



UZDROWICIEL. TOM II
WIEDŹMA

MAGDALENA KUŁAGA

Magdalena Kulaga

**Uzdrowiciel
Tom II**

Wiedźma



Copyrights to:



Wirtualne Wydawnictwo „Goneta” Aneta Gonera

www.goneta.net

ul. Archiwalna 9 m 45

02-103 Warszawa

Korekta: Izabela Jurkiewicz

izabela_golebiewska@o2.pl

Okładka: Katarzyna Jackiewicz

okovabi@gmail.com

Mapka: Magdalena Marków

vilandra@onet.pl

Redakcja: Aneta Gonera

wydawnictwo@goneta.net

ISBN: 978-83-65227-21-8

Wydanie 1

Warszawa, 4 marca 2016

Tekst w całości ani we fragmentach nie może być powielany ani rozpowszechniany za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, w tym również nie może być umieszczany ani rozpowszechniany w postaci cyfrowej zarówno w Internecie, jak i w sieciach lokalnych bez pisemnej zgody wydawnictwa „Goneta” Aneta Gonera.

Od redakcji:

Druga część dobrego fantasy. Uzdrowiciel obdarzony niezwykłymi umiejętnościami potrafi leczyć nie tylko rany fizyczne, ale też smutek, zmartwienia i spowalniać starzenie się swoich najbliższych i mieszkańców swojej wioski. Wszyscy kochają go i są mu wdzięczni, traktując go jak osobę świętą i nietykalną. Właśnie wrócił z dalekiej podróży ze stolicy, gdzie lecząc dworzan i członków rodziny królewskiej omal nie postradał życia. Umiejętności uzdrowiciela postanawia sobie przywłaszczyć Mayene — demon, tytułowa wiedźma — niezniszczalna, nie posiadająca serca. Uzdrowiciel staje do walki z nią, a stawką jest życie jego najbliższych i ludzi z jego otoczenia. Nie może dopuścić, by stało się im coś złego, na czym cierpi jego ponadprzeciętna wrażliwość. Nie zostaje jednak sam. Pomagają mu w tym niezawodni przyjaciele, których poznaliśmy w części pierwszej. Wszyscy zaangażowani są w twardą i bezwzględną walkę ze złem, która pociąga za sobą wiele ofiar.

PAMIĘCI MOJEGO DZIADKA

Mapa Królestwa Tenchryzu



ROZDZIAŁ 1 — PORWANIE

— Co, do cholery, łązi tam w krzakach na obrzeżach lasu? — zapytał Alesei.
— Nasi mali leśni przyjaciele czy jakieś inne diabelstwo?

Kowal Azylas wolno podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

— To troll — zauważył po namyśle. — Bliżej już nie podejdą. Kilku z nich miesiąc temu przypaliliśmy dupy. Widzisz jak się kryje, menda? Pewno to jeden z tych przypieczonych, psia jego mać!

— Nie obrażaj mojego psa — ostrzegł go Alesei, zerkając wymownie na swojego ulubieńca, który stał teraz obok nich na murach miasteczka — Bardzo tego nie lubi.

Kowal napotkał psie oczy, a do jego uszu dobiegł cichy warkot.

— Taa... — mruknął pod nosem z miną filozofa.

Alesei przyjrzał się owłosionemu stworzeniu. Jego ciało migotało mu co chwilę w gęstwinie krzaków nieopodal murów.

— Może zakończyć sprawę strzałą? — zasugerował spokojnie.

— Wtedy zleci się ich więcej, żeby się zemścić — odparł kowal z przekonaniem. — Nie ruszaj, jak ciebie nie ruszają.

— Złota zasada w miasteczku?

— Nie inaczej.

Alesei po raz kolejny potupał w miejscu, pocierając przy tym potężne ramiona ukryte pod grubym kaftanem z owczej wełny i futrzaną peleryną. Przy ubranym skromnie kowalu wyglądał nader zabawnie; zupełnie jakby miał właśnie ruszyć na północ, do Lodowych Krain. O tym właśnie pomyślał Azylas, uśmiechając się półgębkiem.

— Zimno dzisiaj — zauważył tymczasem niezadowolony osiłek.

— Wciąż nie przywykłeś? — mruknął kowal z uśmiechem. — Mówiłem, żebyś wziął kąpiel w rzece, gdy nastały pierwsze mrozy. Zahartowałbyś się, jak nic!

— Sam sobie bierz... — zaczął Alesei, kończąc jednak swój wywód niewyraźnym mamrotaniem, maskującym kilka szpetnych przekleć.

— Hrabia już to zrobił... twój przyjaciel Sel także. Tylko ty, Ross i baby — wyliczał Azylas, szczerząc się na widok krzywej miny Aleseia — nie zamoczyliście nawet palca. Nawet żołnierze co tu byli kąpali się w naszej zimnej wodzie. My zawsze mamy sztywne fiuty, a wasze kulą się jak stare liście.

— Nie słyszałem narzekań — wykrzywił się Alesei w odpowiedzi. — Mój szybko się rozgrzewa w dobrych rękach.

— To w takim razie — uśmiechnął się kowal — powiedz jeszcze Selowi, żeby lepiej grzał, bo mu przyjaciel zmarnieje.

Na te słowa Alesei łypnął okiem na kowala, lecz ujrzał tylko szczerą wesołość bez śladu uprzedzeń. To wciąż dziwiło nowych przyjaciół Wiwana, i to już od pierwszych dni pobytu w tym miejscu. Nikt nie wspominał o ich przeszłości, choć widział, że z uwagi na jego i Sai wygląd rozpoznano ich w miasteczku. Nikt jak dotąd ich nie zaczepiał, ani nie wytykał palcami orientacji Rossa, zdecydowanie bardziej rzucającej się w oczy niż Sela, któremu zdarzało się obejrzeć za ładną dziewczyną. Może dlatego że byli teraz przyjaciółmi Wiwana? A może ludzie tutaj nie patrzyli na upodobania sąsiadów, lecz na wartość, jaką sobą przedstawiają?

— Powiem Selowi, że martwisz się o Rossa — rzucił na pozór od niechcienia, w nadziei na odpowiednią reakcję.

Nie przeliczył się.

Kowal burknął coś w odpowiedzi, wyraźnie zmieszany. Alesei ze śmiechem odsłaniającym jego piękne białe zęby szturchnął go przyjaźnie w ramię.

Pewne rzeczy jednak nie zmieniają się ot tak.

* * *

Przez kolejne trzy tygodnie, tuż po powrocie, Wiwan się ukrywał. Był zbyt słaby i, czego nie zdołał ukryć przed bliskimi, zbyt przestraszony, by stanąć przed tłumem. Jednak po kilku dniach nieodparta chęć pomocy sprawiła, że każdej nocy wyruszał na tajne wyprawy, by ukradkiem ocalić choć kilka istot. I nic nie mogło go od tego odwieść, nawet lęk, z którym walczył każdego dnia. Alesei, Sel, Ross, czy nawet kilka razy Oliwier jeszcze w kobiecym przebraniu, wychodzili razem z nim i dwoma żołnierzami w cywilu dla ochrony, także ukrywając twarze. Jednak o jego powrocie szybko zaczęły krążyć pogłoski, zwłaszcza gdy cudowne ozdrowienia zaczęły się mnożyć. Przestali być bezpieczni. Oliwier musiał się wycofać z nocnych wypraw po tym, jak ktoś wcisnął mu kartkę z adresem, szepcząc błagalnie o pomoc. Julien twierdziła, że zdradziły go suknie. Kobiety mają oko do takich rzeczy. Pewnie któraś zauważyła jakiś detal lub materiał, który nie uszedł jej uwadze.

Selena stała się odtąd pośrednikiem między potrzebującymi a uzdrowicielem.

Ross także musiał się wycofać, choć powody jego postępowania nie były do końca jasne. Pewnej nocy ktoś celowo uchylił jego kaptur. Zobaczono jego twarz i pasmo białych włosów. Przez tydzień, podczas gdy wciąż towarzyszyli im żołnierze królowej, Ethan, chcąc zrehabilitować się nieco za swe wcześniejsze zachowanie, z tylko sobie wiadomych powodów zastąpił go w tych tajnych misjach. Lecz przestał po tym, jak go napadnięto, by zaraz potem niespodziewanie pozostawić bez żadnego uszczerbku. Dziwny incydent do ostatniego dnia pobytu żołnierzy był dla wszystkich zagadką. Po ich wyjeździe Ross niemal przestał

wychodzić. Nie tylko dlatego, że przez swoje włosy stał się zbyt charakterystyczny. W tamtym czasie przenieśli się na zimę z powozu, w którym on, Sel i Alesei mieszkali we trójkę, do posiadłości Wiwana i jego rodziny, pilnowanej czujnie przez ochotników zwerbowanych przez kowala.

Było jeszcze coś, o czym wiedzieli tylko on i Wiwan.

Miesiąc wcześniej przybyli do miasteczka podróżni obwieścili radośnie, że zaraza ustąpiła. Świat zaczął wracać do normalności. Wielu opuściło Barnicę, by wrócić do domów. Inni postanowili zostać tu już na stałe. Wiwan mógł wychodzić bez obawy, że tłum potrzebujących osaczy go ze wszystkich stron. Miał należytą ochronę, złożoną z ludzi gotowych bronić go własną pierśią, by nikt już nigdy nie podniósł na niego ręki. Lub by nie próbował go uprowadzić. Nawet gdyby znów byli to żołnierze samego króla.

Jednak lęk po przeżytym koszmarze miał go już nigdy nie opuścić. Zwłaszcza gdy wokół niego zbierało się więcej niż kilkoro ludzi. Bał się tłumu.

Tego dnia, gdy Alesei wraz z kowalem ochotniczo pełnili służbę na murach miasteczka, do Wiwana przysła kobieta ranna w rękę. Twierdziła, że przewróciła się w czasie porządków. Uzdrowiciela, który swym nadprzyrodzonym darem widział przyczynę powstania wszelkich ran, otarć, pobić czy nawet chorób, nie można było w ten sposób oszukać. Wiedział, że raniła się celowo, by się u niego zjawić. Znał też powód, dla którego przysłała, i omal nie odprawił jej gniewnie.

Zza filaru na piętrze Ross obserwował swoją matkę i przyjaciela.

Wiwana nie odmówił jej jednak pomocy. Z trudem panując nad wzburzeniem, uleczył jej zranioną rękę, podczas gdy ona ukradkiem, z chciwą, czujną ciekawością rozglądała się po otoczeniu.

Szukała.

Ross był tego pewien, jak bicia własnego przerażonego serca.

Obserwowała z uwagą ruchy uzdrowiciela, wyraz jego twarzy, oczy, które na nią spoglądały, starające się nie zdradzać żadnych tajemnic. Każdym nerwem Wiwan czuł panujące w holu napięcie między wyrodną matką a jej synem ukrytym w cieniu. Trudno było zachować neutralność, której wymagała ta gra pozorów, jaką prowadziła cała trójka.

Co więcej, ona, węszyła! Niczym zwierzę chwytający trop swej ofiary.

Nasłuchiwała...

Ross widział, jak twarz Wiwana poważnieje; jak staje się coraz bardziej spięty. To dzięki zachowaniu przyjaciela jego podejrzenia potwierdziły się w pełni. Poczuł, jak ogarnia go chłód. Strach, który zdołał w sobie stłumić, dawny strach z ponurych czasów, dziecięcy lęk przed biciem, przed niezasłużoną, niesprawiedliwą karą — znów pojawił się w jego myślach.

Matka zmierzyła uzdrowiciela czujnym spojrzeniem urodzonego drapieżnika.

O tak, Ross znał to spojrzenie...

Zawsze go miała... Ten zmysł, ten instynkt...

Tę przebiegłość!

Podziękowała mu, nie przestając się przypatrywać.

Gdy odchodziła, jej twarz wykrzywił uśmiech satysfakcji.

Wiedziała.

Przyszła sprawdzić, czy pogłoski okażą się prawdą. Uzdrowiciela zdradziła jego niezwykła wrażliwość.

— Nie mów Selowi — poprosił cicho Ross tuż po jej odejściu.

Wiwan spojrzał na przyjaciela uważnie, szczerze zaskoczony jego prośbą.

— Dlaczego?

— Poprosiłem Oliwiera o pomoc po tym, jak ktoś napadł na Ethana. Coś mi nie pasowało. Jakby nie o niego chodziło napastnikowi, jakby był tylko ostrzeżeniem. Miałem rację. Oliwier odkrył, że matka i to bydłę, Ramsey, ten... — Wiwan kiwnął potakująco głową na znak, że rozumie, by oszczędzić mu dalszych, jakże bolesnych wyjaśnień — ...mają statek w porcie i wkrótce zamierzają wypłynąć. Wiesz, jak go nazwali? — zapytał z żalem. — CADELIA! Użyli imienia mojej matki. Galion okrętu ma jej rysy twarzy! A Ramsey jest kapitanem! Wiwan... — urwał nagle, przejęty poczuciem krzywdy. — Oni... Oni chyba nic nie wiedzą o Selu? Albo ich nie obchodzi. I niech tak zostanie. Niech odpłyną! Niech znikną raz na zawsze z mojego życia! Bo jeśli Sel się dowie... Nie chcę, by coś robił w tej sprawie! Nie chcę, żeby coś mu się stało! Niech wreszcie odejdą!

Ostatnie słowa wypowiedział z dziwną mściwością, niepodobną do niego. Zwykle przecież cechowała go pogoda ducha i życzliwość dla świata, zwłaszcza ostatnio, gdy na dobre złączył się z Selem.

Przez chwilę Wiwan w milczeniu obserwował tę osobliwą zmianę. Nikt nie domyśliłby się w tym momencie, że w głębi duszy sam zmagał się czasem z podobnym gniewem wymierzonym w ludzi, którzy bez wahania byli gotowi rozerwać go żywcem. Nie pozwalał, by te uczucia zawładnęły jego sercem. Podobnie jak czynił to Ross, z którym uzdrowiciel odnajdywał coraz więcej wspólnego. Może dlatego, że obaj nosili te same wisiory w kształcie dłoni obejmujących rubin? Ethan oddał swoją kopię, która z oczywistych dla wszystkich względów trafiła do Wiwana.

A może chodziło po prostu o pokrewieństwo dusz?...

Wreszcie z wahaniem kiwnął potakująco głową.

— Mam nadzieję, że nie będę tego żałował — rzekł cicho.

* * *

Kolejna wyprawa nad brzeg zatoki, gdzie Sel z przejęciem starał się

uchwycić piękno fiordu z widokiem na miasteczko, zakończyła się sukcesem. Zewsząd otaczały ich góry, a liczne wodospady czyniły to miejsce majestatycznym i niepowtarzalnie pięknym. Dla człowieka, który spędził wśród murów stolicy całe swoje dotychczasowe życie bez nadziei na nic więcej, był to naprawdę bezcenny i poruszający widok. Coraz częściej zdarzało się, że pomoc była konieczna. Tak było i dziś. Ludzie, u których przesiadywał zwykle na ganku rysując, chętnie mu na to przyzwolali. W zamian Sel pomagał im w gospodarstwie i przynosił zakupy z targowiska, czym naprawdę zaskarbiał sobie ich wdzięczność. Była to bowiem miła para dość wiekowych staruszków, cieszących się dobrym zdrowiem, podobnie jak większość mieszkańców rodzinnego miasta uzdrowiciela. Staruszkowie byli jednak samotni, więc wizyty Sela przyjmowali z wdzięcznością i traktowali go jak dobrego przyjaciela domu. Sel zaś przez większość swojego życia, spragniony takiej akceptacji, przyjmował ich przyjaźń z wdzięcznością.

Właśnie trzymał w rękach kolejne szkice do swojej małej wystawy, jaką szykował w powozie, zamierzając je niebawem powiesić na wolnym kawałku ściany.

W tym momencie zauważył w oknie wybitą szybę.

W mgnieniu oka jego dobry nastrój się ulotnił. Pełen złych przeczuc i nauczony przez wcześniejsze doświadczenia, wyciągnął miecz z rękojeścią w kształcie głowy jednorożca, ostrożnie podchodząc do powozu.

Ślady przed pojazdem niczego jednak nie zdradziły. Na placu przed domem wujostwa Oliwiera i Julien kręciło się zawsze sporo ludzi, a śnieg nie padał już od wczoraj. Czuł jednak, że wewnątrz powozu czeka go niemiła niespodzianka.

Nie mylił się.

Na podłodze leżał kawałek skały, niechlujnie owinięty w zwitek pergaminu, co świadczyło o wyraźnym pośpiechu. Poczul przyspieszone bicie serca, gdy zaczął czytać znajome pismo Rossa. Było nieco dziecinne, gdyż — jak ten mu kiedyś wyjawiał — nie umiał pisać i czytać, dopóki nie nauczyła go tego jego wspaniała opiekunka, Valeri, wówczas gdy zamieszkał w Domu Rozkoszy. Nie tylko jednak treść budziła złe przeczucia.

Słowa bowiem zostały zapisane ludzką krwią.

RAMSEY CADELIA ZATOKA NIEWOLNIKÓW

Pod spodem zaś wielkimi krwawymi literami Ross napisał jedno imię:

MAYENE

ROZDZIAŁ 2 — PANIKA W MIASTECZKU

Przez moment, bardzo długi moment, Sel stał nieruchomo, ściskając w milczeniu pergamin z pismem kochanka. Szkice, tak uwielbione zaledwie chwilę temu, teraz poniewierały się po podłodze zupełnie zapomniane. Wiatr wdzierał się przez dziurę w rozbitej szybie powozu, a z zewnątrz dobiegały stłumione odgłosy codziennego życia.

Zupełnie jakby nic złego się nie stało...

Myśli wirowały w jego głowie jak oszalałe. Dlaczego? Kto mógłby chcieć go porwać? I jaki miałby w tym cel?

— Ross... — szepnęła z bólem w sercu.

Jakby imię stało się zaklęciem. Z wolna powrócił do rzeczywistości. Wiatr przybrał na sile. Śnieg smagany powiewem zaszumiał cicho. A z zewnątrz wcale nie docierały odgłosy codziennej krzątaniny, lecz coraz głośniejsze nawoływania i krzyki.

Coś złego działo się w miasteczku, był tego pewien.

Stanął na schodkach powozu, by spojrzeć na plac targowy widoczny tuż za płotem. Wkrótce też ciotka bliźniąt, która kazała wszystkim nowym przyjaciołom Wiwana mówić po imieniu, stanęła obok niego.

— Sel? — zagadała. — Co tam się dzieje?

Ubrana zgodnie z miejscowym góralskim zwyczajem, szybko doszła do płotu, by ze zdumieniem obserwować wydarzenia na zewnątrz. Kilka kobiet chodziło właśnie wokół i nawoływało swych mężów lub synów. W przypadku tych drugich pojawiali się też ojcowie. Słyszała również imiona kobiet.

— Laysa!! — krzyknęła do jednej z kobiet Smeralda. — Co się dzieje?!

— Od rana nie mogę znaleźć mojego syna — odparła starsza kobieta, załamując ręce. — Miał się na wiosnę żenić. Mai, mojej przyszłej synowej też nie ma. Wszyscy ich szukamy. A Maryta szuka swojego chłopca, bo na noc do domu nie wrócił. Ponoć zaginęła też żona kowala i karczmarz z synami. Co tu się dzieje, Seme? Najpierw śmierć nam groziła, a teraz nasi przepadli!

Odeszła, załamując ręce i wciąż nawołując bliskich. Smeralda, czyli Seme, jak nazywali ją znajomi, spojrzała na Sela. Ten stanął obok niej z pergaminem w dłoniach.

— Sel... — spojrzała na niego, a wtedy ujrzała wyraz jego twarzy.

Tknięta przecuciem, wyszeptwała:

— Ross?

Kiwnął potakująco głową, na co zbladła.

— Oliwier? — zapytał.

— Sprawdzę zaraz! — odparła nerwowo.

— Zniknęli ci najsilniejsi — zauważył. — Lub najzręczniejsi. Ci, którzy mieli pecha i byli akurat poza domem, gdy rozpoczęła się łapanka.

— O czym ty mówisz?! — zapytała ze zgrozą.

Znała tych ludzi, więc nie mogła się z nim nie zgodzić. Żona kowala była świetną łuczniczką. Karczmarz i jego synowie potrafili zaprowadzić porządek wśród przybyłych.

— A Ross... — dodał cicho Sel — ma Klejnot Nadziei. Ktoś chce, by w miasteczku zapanował chaos.

— Co tu jest napisane? — zapytała, wskazując na pergamin w jego ręku.

— Później, Seme — odparł, dotykając jej ramienia. — Nie pozwól Oliwierowi i dziewczętom wyjść z domu. Idę do Wiwana.

— A jeśli ciebie też zabiorą?

Nie odpowiedział.

Minął ją i przeskoczył płot z nowo nabytą zręcznością.

* * *

Wiwanowi i jego bratu wystarczył jeden rzut oka na przyniesiony przez Sela pergamin, by wyjaśnić część tajemniczej wiadomości od Rossa.

— RAMSEY — powiedział przejęty uzdrowiciel, patrząc na Sela. — Ross ci nie mówił?

Na samo wspomnienie tego imienia naszła go koszmarna wizja wydarzeń, które przeżył kiedyś razem z Rossem. Przypomniawszy sobie matkę Rossa, nawołującą swego kochanka, by katował chłopaka pogrzebaczem...

— To był ten sam bydlak, który...? — Sel nie miał śmiałości dokończyć, a Wiwan skinął tylko głową.

— Był w mieście — odparł. — Razem z jego matką. Ale Ross prosił, by na razie ci o tym nie mówić. Miał nadzieję, że odpłyną. Z tego co wiemy, szykowali się do wypłynięcia w morze.

Sel zacisnął wargi w gniewie.

— ZATOKA NIEWOLNIKÓW — wycedził powoli Pafian. — Pewnie tam płynęła ta gnida! Ponure miejsce. Nazwa zgodna z przeznaczeniem. To tam handlują niewolnikami, i to na wielką skalę. A CADELIA... — pstryknął palcami. — To okręt! Widziałem go!

— Pewnie wypłynął dziś o świcie! — zawołał Sel. — Razem z Rossem! — jęknął i ucichł ze łzami w oczach.

— I Ramseyem — dodał ponuro Wiwan. — A także, jak twierdzisz, kilkoma lub kilkunastoma mieszkańcami miasteczka.

— Matka postanowiła go sprzedać na targu niewolników! — syknął gniewnie Sel. — Chcieli się obłowić! Ross ma magiczny klejnot!

— I nie jest brzydki — dodał złowróźnie Pafian.

Sel poczuł, jak nagły chłód ogarnia jego serce. Bał się o tym nawet myśleć...

— Ale dlaczego teraz? — zapytał Wiwan. — I czemu właśnie ci ludzie?

— Bo są w sile wieku, Wiwanie — odparł Pafian. — A zaraza minęła.

Wiwan był zdruzgotany tymi wieściami. Lecz coś nie dawało mu spokoju. Niemniej taki nagły niepokój to było według niego zbyt mało, by podzielić się nim teraz z przyjaciółmi. Musiał poczekać na rozwój wydarzeń, które poprą jego ponure podejrzenia.

A to był dopiero początek.

— Jadę do portu — oświadczył zdecydowanie Sel. — Zabiorę ze sobą Aleseia. Muszę odnaleźć Rossa, Wiwanie. Jeśli macie rację... — zagryzł wargi, zbyt przejęty ponurą wizją, by dokończyć zdanie.

Wiwan kiwnął potakująco głową na znak aprobaty. Z ciężkim sercem dotknął jeszcze krwawego atramentu.

— Co widzisz? — zapytał go Pafian.

— Ross naciął palec, żeby to napisać — odparł skupiony uzdrowiciel, dotykając pisma. — Bał się... — urwał, wpatrując się z namysłem w słowa. — Bał się, że nikt się nie dowie...

Spojrzeni na niego z obawą.

— Kim jest ta Mayene? — zapytał Sel.

Bracia wymienili spojrzenia. Pafian pokręcił przecząco głową i odparł:

— Nie mam pojęcia, Sel, ale z pewnością to ona za tym wszystkim stoi.

* * *

Przylegając do ściany jednej z chat, Ross starał się uspokoić ciężki oddech. Bieg pomiędzy zabudowaniami w porcie, płotami i murkami, by umknąć prześladowcom, był dla niego niezłą próbą. Od dawna nie był zmuszony do takiego wysiłku fizycznego. Poważnym błędem okazało się teraz zaniedbanie formy.

Odkryła go!

Kilka godzin przed rozpoczęciem poszukiwań przez Sela, Ross odkrył zamiary Ramseya i jego pirackiej szajki. Chciał upewnić się tylko po wieściach od Oliwiera, że tej nocy rzeczywiście odpłyną. Do głowy by mu nie przyszło, że mają takie plany. Najwyraźniej Ramsey z nikim o tym nie rozmawiał, gdy Oliwier się tu kręcił. Zwlekał z decyzją do ostatniej chwili. W demonicznym planie przewodziła ONA: rudowłosa, która wręczyła pokazną sakiewkę Ramseyowi. Matka Rossa stała u jego boku.

— Musicie go schwytać — nakazała im rudowłosa. — On musi opuścić miasteczko!

— Zajmiemy się tym — odparł Ramsey niedbałym tonem, który miał

wyraźnie pokazać, że nie lubi wykonywać cudzych rozkazów.

Na dźwięk jego głosu Ross poczuł, jak przez ciało przebiegają mimowolnie dreszcze, a ręce zaczynają drżeć jak u starca, bezwiednie się pocąc. Cieszył się, że nikt tego nie dostrzega. Nikt nie wiedział, jak wiele trudu go kosztowało otrząśnięcie się z ich ostatniego spotkania. Jedyne Wiwan domyślał się prawdy.

— Wyczuwam Klejnot — rzekła kobieta. — Jest w pobliżu.

— Znajdziemy go, pani — odparł z przekonaniem Ramsey.

Ujęła go pod brodę mocnym, szybkim uściskiem, po czym syknęła gniewnie:

— Oby. Inaczej wszystkich was pozabijam...

Niespodziewanie i zbyt gwałtownie skierowała wzrok tam, gdzie w obecnej chwili mieściła się kryjówka Rossa. Zupełnie jakby go zwęszyła! Jej oczy błysnęły dziwnym, opalizującym blaskiem. Wydały się nieludzkie, zachłanne.

Przeraził się i zerwał do ucieczki, nim wydała polecenie pościgu. W ten sposób zyskał nieco czasu.

To wtedy w porcie usłyszał jej imię.

MAYENE.

Gdy znów uciekał, klucząc między wąskimi uliczkami portowego miasteczka, w jednej z kryjówek na kawałku pergaminu napisał słowa, które tak zaniepokoiły Sela. W uliczkach zauważył, jak ludzie Ramseya i jego matki łapią mieszkańców, którzy z różnych powodów wychodzili jeszcze zaspani i senni o blasku budzącego się do życia dnia.

Długo musieli na niego polować.

Słońce wychylało się zza chmur, gdy przebiegający rzucił kamień z pergaminem w okno powozu.

Nie zauważyli.

Ale jeden jego nieostrożny manewr wystarczył.

Pochwycili go.

* * *

— Nie dajcie mu oprzytomnieć — słyszał głos rudowłosej kobiety. — Jeśli będzie świadomy, użyje Klejnotu, żeby się uwolnić. Nie zabijajcie go! Klejnot jest z nim ściśle związany. Bez niego będzie tylko zwykłym rubinem. Nie traktujcie go zbyt brutalnie, a dostaniecie dobrą cenę. Czarownicy poznają się na jego wartości, możecie mi wierzyć!

Nagle poczuł, że ktoś przytrzymuje mu głowę i próbuje wlać do ust jakiś ohydny płyn. Szarpnął się, za wszelką cenę gotów się bronić.

— Trzymać go! — krzyknęła kobieta.

— Stój grzecznie, jak ci każą! — usłyszał nagle niski, zachrypnięty od wieloletniego picia głos swojej matki i poczuł, jak ta wymierza mu silny policzek.

W miejscu, gdzie dzielono go kijem zapulsowała rana. Nogi ugięły się pod nim na dźwięk tego głosu.

Ale nie poddał się.

Szarpnął się i poszukał jej wzrokiem. Stała tuż obok. Ubrana w męski skórzany strój, widać że wygodny, ale i drogi. Najwidoczniej nieźle jej się teraz powodzi. Pchnął ją, aż upadła. Ktoś zdwoił wysiłki, by go przytrzymać. Unieruchomiono go. Uśmiezek zniknął jednak z twarzy matki, a zastąpiła go ponura złość.

Korzystając, że dwóch ludzi trzyma jego głowę, Mayene przemocą wlała mu kilka kropel do ust.

— Trzy wystarczą — powiedziała jego matce, wręczając buteleczkę. — Od większej ilości możecie trwale uszkodzić mu głowę lub nawet zabić.

— Zastanawiam się... — rzucił Ramsey z ponurym uśmiechem, ale Mayene parsknęła na niego gniewnie.

Ross poczuł się straszliwie bezradny i ociężały. Bezbronny.

Tak bardzo nienawidził czuć się bezbronnym!

— Kochanie — usłyszał nagle głos rudej przy swoim uchu. — Baw się dobrze daleko stąd, u swych nowych panów. Nawet nie wiesz, co masz, prawda? Jak wielką posiadasz moc? Tak wiele mógłbyś nią zdziałać... Mógłbyś być potężniejszy od najpotężniejszych filarów tej ziemi. A ty marnujesz tę moc, trzymasz na uwięzi. Płać więc za swoją głupotę! Twój przyjaciele będą cię szukać i popłyną za tobą do Zatoki Niewolników. Niech płyną. Ja tymczasem zajmę się tym, który tu zostanie.

„Wiwan!” — pomyślał ze zgrozą.

— Zdzira! — rzucił do niej, nie bawiąc się w żadne uprzejmości.

Usłyszał jej chrapliwy śmiech, jakieś głosy, zamieszanie.

Odpywał. Tracił poczucie rzeczywistości. Wszystkie odgłosy dziwnie potęgowały się w jego głowie. Zniekształcały. Świat się rozmywał.

— Sel... — szepnął cicho, nim świadomość miejsca i czasu rozciągnęła się, rozkołysała i zniekształciła na dobre.

Jakby spadał gdzieś w nieskończoność...

„Znajdź wiadomość” — pomyślał błagalnie.

Z bólem i tęsknotą przypomniał sobie jego twarz. Właśnie teraz, gdy zaczęli już układać sobie życie... Gdy Sel był już zdrowy...

Znaleźli się w poważnych tarapatach.

* * *

— Sai — zagadła Julien. — Jak to wszystko wygląda?

Sai ocknęła się z zamyślenia, by na nią spojrzeć. Było bez zarzutu. Na

pierwszy rzut oka łudzące podobieństwo mogło zmylić każdego.

— Słuchajcie! — drzwi pokoju otworzyły się nagle, gdy Smeralda wpadła w wyraźnym pospiechu. — Oliwiera nie ma w pokoju! Jest może u...? Ach... jesteś! — krzyknęła z ulgą. — To teraz muszę szukać Julien. W miasteczku stało się coś strasznego! Ktoś porwał kilkunastu naszych! Oliwier — podeszła bliżej. — Musisz powiedzieć Julien... Żeby tylko gdzieś tu była... — przerwała, by złapać oddech.

— Co się stało? — Julien z niepokojem zerknęła na Sai. — Ciociu!

— A... — kobieta zawahała się nagle, jakby jakaś myśl przeszła jej przez głowę. Po chwili jednak odparła z przejęciem: — Rossa prawdopodobnie porwali!

— Co? Jak to? Jego także?! — krzyknęła Julien i tym razem ciotka spojrziała na nią uważniej, a jej oczy rozszerzyły się, gdy w jednej chwili pojęła, co się naprawdę wydarzyło.

— Sel tak powiedział... — poinformowała powoli, wpatrując się w jej twarz. — Wielka Matko, to ty, Julien! A ja już myślałam...

Łudzaco podobna do brata Julien stała się Oliwierem dzięki charakterystyce Sai. Dla wszystkich, którzy nie znali rodzeństwa tak jak przyjaciele i rodzina, mogła śmiało za niego uchodzić. Peruka odzwierciedlała kolor włosów Oliwiera. Niewielka linia zapuszczonej brody i cienka linia wąsów była identyczna jak u chłopca. Twarz stała się jeszcze bardziej podobna niż wcześniej, zniknęła delikatna siatka szczegółów, które pomagały odróżnić bliźnięta. Będąc przebrany za kobietę, Oliwier niemal całkowicie upodobił się do swej siostry bliźniaczki. Przebrana za mężczyznę Julien użyła sztuczek, by wyciągnąć na wierzch to, co zwykle odróżniało jej brata od niej samej. W tej postaci niemal stali się jednym. Jak on, gdy musiał jeszcze niedawno używać swego przebrania.

— Co wy wyprawiacie? — wyszeptała wstrząśnięta Smeralda. — Co to wszystko ma znaczyć?

— Nie zdradź nas, ciociu — poprosiła Julien łagodnie.

— Ciociu... — powtórzyła z wyrzutem Smeralda. — Wiedziałam od razu. Oliwier mówi do mnie zawsze Seme, tak mu przecież pozwoliłam. Wiedziałam, że coś jest....

— Proszę cię...

— Po co to robicie?! — krzyknęła zdenerwowana kobieta.

Julien łagodnie położyła rękę na jej ramieniu. Sai stanęła obok.

— Proszę, posłuchaj mnie — poprosiła Julien. — Nie mów, co widziałas. Oficjalnie Oliwier jest w domu. Julien także. Nic się nie zmieniło...

— Jak to...?

— Oliwier jest w domu, Seme — tym razem Julien zaakcentowała sposób zwracania się do ciotki przez jej brata. — Julien także — powtórzyła dobitnie.

— Twój wuj musi wiedzieć — szepnęła na to Seme, choć nie do końca

rozumiała, na co to wszystko.

— Tylko on — zaznaczyła spokojnie Sai. — I nasi przyjaciele.

— Gdzie jest Oliwier? Czy dowiem się w końcu, po co to wszystko?

Julien, teraz zupełnie przemieniona w Oliwiera, nachyliła się ku niej. Sai uśmiechnęła się lekko, choć w duchu martwiła się o los ukochanego.

— A jak myślisz? — zapytała Julien, a kąciki jej warg zadrgały. — Gdzie teraz jest mój szalony brat?

* * *

— Nie ulegajcie panice! — Erlon, hrabia i pan okolicznych ziem, których centrum stanowiło portowe miasteczko nad brzegiem zatoki, stanął przed wzburzonym tłumem zebranych przed jego pałacem.

Rodzina towarzyszyła mu w otoczeniu niewielkiej ochotniczej straży. Nawet stojący przy ukochanym wnuku dziad Wiwana ze strony matki dzierżył u swego boku miecz. Sprawnemu i silnemu ponad swój wiek towarzyszyła żona. Weteran wojny ze swego tajemniczego świata, którego symbolem był noszony w jego rodzinie krzyżyk na szyi. Wiwan starał się dotrzymać mu kroku w tej postawie, choć serce biło mu w piersi jak szalone, napędzane lękiem, który starał się w sobie zwalczyć od czasu tragicznych wydarzeń na targowisku w stolicy. Strach jednak wciąż mu towarzyszył, gdy wokół było tak wielu ludzi, choć większość znał niemal od urodzenia. Nawet obecność brata i przyjaciół niewiele w tej sytuacji pomagała. Lecz dzisiaj czuł lęk nie tylko przed tłumem. Zdawał sobie z tego sprawę. Rozglądał się powoli z nadzieją, że dostrzeże być może źródło swego niepokoju.

Na obrzeżach tłumy zauważył skrytą w cieniu Sai i Julien, która przebrała się za swego brata.

Sądząc po twarzach rodziny znającej jego nowych przyjaciół, nikt inny tego nie zauważył.

— Gdzie jest Julien? — zapytał go cicho Pafian, potwierdzając tym samym jego przypuszczenia.

— Pewnie została z ciotką i wujem — odparł bez zająknięcia. — Oliwier boi się o siostrę.

— A o siebie nie? — zdziwił się nieco Pafian, podczas gdy jego ojciec próbował przekonać zdenerwowanych ludzi, by zachowali spokój i podjęli rozsądne działania. — Prędzej przypuszczałbym, że jest u boku Sela w porcie.

— Możliwe — zgodził się Wiwan, patrząc Julien w oczy.

Nieznacznie pokręciła przecząco głową, co znaczyło: „Nie mów nikomu, że wiesz”.

„Czemu to służy?” — zastanawiał się.

— Pafian — szepnął do brata. — To dopiero początek.

— Też tak uważam — odparł ze spokojem. — I moim zdaniem znów chodzi o ciebie.

Wiwana poczuł, jak przenika go chłód. Podzielał obawy brata.

Ostatnimi czasy wszystko dziwnie kręciło się wokół niego. Martwił się, swoim zwyczajem mniej uwagi poświęcając sobie. Jego bliscy i przyjaciele już raz ucierpieli, gdy chodziło o jego osobę. Teraz także groziło im niebezpieczeństwo. Ross wpadł już w ręce ludzi, którzy kiedyś okrutnie go skrzywdzili.

Czy naprawdę dar uzdrawiania wciąż był darem?

— Panie hrabio! — kował Azylas, który znalazł zastępstwo dla siebie na murach, pojawił się szybko na zgromadzeniu. — Przecież nie możemy ich zostawić! Tam jest moja żona!

Patrzył wprost na Wiwana, oczekując od niego pomocy. Od razu zaczęły padać słowa innych:

— I moja siostra!

— Moja żona też!

Wołanie wielu rozniosło się echem po pałacowym dziedzińcu.

Wszyscy zainteresowani patrzyli teraz na uzdrowiciela jak na pewny ratunek i opokę, jakby to on miał przywrócić ład i porządek, pomijając tym samym jego ojczyzna, prosząc wszystkich o rozwagę. Wiwana był ich wsparciem w każdym nieszczęściu. W czasie zarazy nie wahał się przyjść im z pomocą, na jego dar zawsze mogli liczyć. I teraz, choć na niewiele by się tu przydał, znów zwrócili się do niego o pomoc. Nawet szacunek do hrabiego Erlona, do którego rodu te ziemie należały, nie mógł tym razem wygrać z autorytetem uzdrowiciela. Wiwana napotkał spojrzenie swego przybranego ojca. Jak zawsze w ciężkich chwilach widział w jego oczach odbicie uczuć swojej matki. Wsparcie i zrozumienie. Hrabia cofnął się, ustępując mu miejsca przed tłumem.

Od niedawna takie chwile sprawiały, że Wiwana miał ochotę uciekać w panice. Jego rodzina wiedziała o tym. Szczerze mu współczuła.

Jednak nie mógł uciekać przed tym w nieskończoność...

Przełknął nerwowo ślinę, nim wystąpił naprzeciw zaniepokojonych ludzi.

— Nie możecie wypłynąć wszyscy — powiedział.

Udało mu się nawet zapanować nad głosem: zadrżał jedynie na początku wypowiedzi. Potem poczuł się pewniej.

— A co z naszymi bliskimi, panie? — zawołał znów Azylas.

Wiwana nie wahał się z odpowiedzią, choć decyzja nie należała do najłatwiejszych:

— Wybierzcie ludzi. Miasto potrzebuje ochrony.

— W porcie cumuje Hydra! — zawołał pewien mężczyzna. — Nią wypłyniemy!

— Azylasie! — głos Wiwana, kiedy zechciał, bez trudu potrafił przedrzeć się

przez inne, nadając mu odpowiednią siłę i melodyjność. Tłum zamilkł natychmiast, jakby uzdrowiciel zamiast słowem, smagnął w powietrzu batem.

— Tak, panie hrabio? — odparł zawołany z pewną obawą.

— Wybierzesz ochotników i wyprawisz ich z moimi przyjaciółmi — rzekł mu Wiwan. — Sam zostaniesz tutaj...

— Panie hrabio! — zaprotestował kowal, lecz Wiwan uciszył go gestem i ciągnął dalej. — Zostaniesz, inaczej w miasteczku zabraknie kowala. Poproś do mnie elfy wysokiego rodu, zbierz ludzi. Uzbrojcie się!

— Mamy się uzbroić?!

— Musimy być przygotowani. Pozostali — zwrócił się do tłumu — niech mają się na baczości. Bądźcie czujni! Nie chodźcie nigdzie samotnie. Trzymajcie broń w swoich domach. Nie ufajcie obcym!

Jego słowa wywołały wśród ludzi prawdziwe poruszenie.

— Co się dzieje, panie?! — zawołano. Wyczulone zmysły uzdrowiciela, które znacznie urosły w siłę odkąd wrócił do domu, wyczuły wreszcie obecność wrogów. Nie wiedział jednak, ilu tak naprawdę ich jest. Był obserwowany.

„Mam nadzieję, że uda mi się was zaskoczyć” — zwrócił się do nich w myślach. — Być może będziemy musieli się bronić — odparł z powagą.

Tłum wzburzył się jeszcze bardziej, rozgorzały dyskusje. Kowal Azyłas gromkim głosem podejmował decyzję, kogo przydziela do misji ratunkowej, a kto zostaje. Radził sobie w tej roli doskonale.

— Czy nie jest na to za wcześnie, Wiwanie? — zapytał hrabia Erlon. — Nie masz dowodów na to, że coś nam grozi.

— Gdy ostatnio nie dawano wiary moim przeczuciom... — Wiwan spojrzął w ciemne oczy swego przybranego ojca — wicekról urósł w siłę i zorganizował zamach stanu.

Hrabia Erlon przyjrzał się mu z uwagą, zastanawiając się nad właściwym doborem słów. Czuł, że za działaniem Wiwana kryją się echa niedawnych wydarzeń, także tych rodem z najgorszego koszmaru, jeszcze zanim wypowiedział te słowa. Ta sprawa wciąż była tematem ogromnie bolesnym. I być może nigdy nie przestanie...

Rozumiał to.

— W takim razie będzie lepiej, jeśli wrócimy do pałacu — orzekł, zerknąwszy jeszcze na zebranych ludzi.

Azyłas wybrał grupę śmiazków, którzy udali się do portu. Na dziedzińcu pozostali jeszcze ci, którym nie w smak była jego decyzja. Spór trwał w najlepsze.

* * *

— Zbladłeś — powiedziała matka do syna, gdy rodzina zmierzała do pałacu.

Ujęła go pod ramię. Jej niedawno jeszcze promienna uroda naznaczona została znamieniem bolesnych doświadczeń ostatnich miesięcy. Dziewczęca niewinność ustąpiła kobiecej, matczynej dojrzałości, mimo nadal młodego wyglądu. Przez kolejne dni po powrocie syna Lena Beckert płakała ukradkiem w ciemnościach nocy lub leżała bezsennie. Często siedziała przy łożu syna, przejęta i przerażona bezgranicznym okrucieństwem ludzi wobec ukochanego dziecka. Budziła go z męczących koszmarów i odpędzała ponure myśli matczyną czułością. Gdy nie było jej przy nim, kiedy wyruszał na jedną ze swoich tajnych wypraw z przyjaciółmi, pozwalała sobie na żal, którego nie mógł wtedy zobaczyć. Mimo to wiedział. A wtedy, zamiast być mu pociechą, to ona słuchała jego kojących słów, uspokajała się pod wpływem jego dotyku. Nie mógł znieść jej zgryzoty, martwił się o nią, więc by nie przysparzać mu trosk, nakazała sobie spokój. Aby dać mu siłę, sama stała się silna. Nie tylko dla niego musiała ją w sobie odnaleźć. Cała rodzina przeżyła wstrząs, gdy dowiedziała się o tym, co się stało; gdy zobaczyli bladego i chudego Wiwana, tak innego od tego, którym niegdyś był. Była silna i dla nich. Nie chciała, by widzieli jej łzy. Nawet jej drugi syn nie mógł ich zobaczyć. On także przeżył to, co spotkało jego brata, choć na swój sposób. Wielką pociechą stali się wtedy nowi przyjaciele ich synów, których życzliwość szybko zaskarbiła sobie zaufanie rodziny Beckert. Zwłaszcza Ross stał się ulubieńcem stroskanej matki i babki za ciepło okazywane uzdrowicielowi i za gotowość do pomocy w potrzebie. Dziwiła się, że nie było go tutaj teraz, podobnie jak Sela. To skłoniło ją do pełnego niepokoju pytania, gdy przeszła ją nagła myśl:

— Wiwanie — zwróciła się do syna. — Czy zabrano kogoś z twoich przyjaciół?

Wszyscy zatrzymali się w holu, oczekując na odpowiedź. Wiwan spojrzał na Pafiana, nim znów jego oczy spotkały się z oczami matki, równie niebieskimi jak jego.

— Tak — odparł, starając się, by zabrzmiało to spokojnie.

Po tych słowach zapanowała cisza.

— Kogo zabrali? — spytała matka.

Babka uzdrowiciela zbliżyła się do nich. Obie kobiety niemal przeczuwały odpowiedź.

— Rossa — odpowiedział zgodnie z ich obawą.

— Kogoś jeszcze? — zapytała drżącym głosem hrabina, podczas gdy jej matka zerknęła nerwowo na swego męża, ciekawa jego reakcji i jednocześnie przerażona nowiną.

— Nie — odparł Wiwan cicho w nadziei, że się nie myli.

Nie widział w tłumie Oliwiera, choć inni byli przekonani, że go widzieli.

— No, to się doczekał — mruknął pod nosem dziadek Wiwana, nerwowo zacierając ręce. — Zawsze pchał się tam, gdzie nie trzeba!

— Co ty mówisz?! — krzyknęła na niego oburzona babka. — Chłopaka spotkało straszne nieszczęście! Jak możesz być tak okrutny?!

— Babciu... — zaczął Wiwan, ale matka uspokoiła go gestem.

Znając oboje staruszków nie od dziś, zgodził się z matką w milczeniu. Dziadek odszedł wkrótce ścigany naganą babki, którą ignorował w milczeniu. Młodszy członek rodziny odprowadził ich wzrokiem.

— Widzę, że w pewnych sprawach twój ojciec nadal się nie zmienił — uśmiechnął się lekko do swej żony hrabia Erlon. — Cokolwiek Ross by nie zrobił, i tak dla dziadka pozostanie niewystarczająco dobry.

— Mylisz się — odwzajemniła ten uśmiech hrabina z czułością.

Podobnych rozmów przeprowadzili już wiele. Poglądy jej ojca, wyniesione ze świata, z którego przybył, były źródłem pobłażliwych konwersacji u pozostałych członków rodziny. Kłótniami między starszymi przestano się już przejmować. Równie szybko jak się kłócili, tak szybko się godzili, co zawsze dziwiło hrabiego Erlona: jego rodzice bowiem zachowywali się nad wyraz spokojnie. I zimno.

— Tak? — zapytał z nutką zdziwienia.

— Nigdy się do tego nie przyzna — pokręcił głową Pafian. — Ale Ross jest jego ulubieńcem.

— Jakim cudem? — zapytał hrabia, nie kryjąc zaskoczenia. — Przecież zawsze dawał mu do zrozumienia, że ledwie go toleruje. Nawet udawał z początku, że go nie widzi i nie słyszy, jeśli dobrze pamiętam.

Wiwan czuł żal ściskający powoli jego serce. Powoli i boleśnie. Nie brał udziału w rozmowie, przejęty losem przyjaciela. Wciąż pamiętał tę koszmarną wizję...

Teraz on był z nimi na statku...

— Owszem, z początku tak było — wyjaśniał tymczasem Pafian. — Dziadek rzeczywiście ledwie tolerował Rossa i Sela. Sel szybko dał za wygraną i przestał go zagadywać. Zachował dystans. Ale Ross nie ustąpił. Myślę, że na przekór wszystkiemu bardzo polubił dziadka. Stary weteran wojenny z nieznanej krainy, taki pełen godności, dumy, wzbudzający autorytet. W swoim życiu Ross pewnie nikogo takiego dotąd nie spotkał i bardzo mu zależało, żeby dziadek się do niego przekonał. Pod pewnymi względami nawet go przypominał... — urwał, gdy nagle poczuł mocny uścisk dłoni na swoim ramieniu i zobaczył wyraz oczu swojego brata. — Wiwan? — zapytał zaskoczony jego zachowaniem.

— On nie umarł, Pafianie — rzekł cicho Wiwan. — Nie mów o nim w czasie przeszłym.

Pafian zamilkł, przejęty tą uwagą.

— Naprawdę się tym zmartwił — dodał Wiwan, myśląc o swoim dziadku. — Zaciera ręce, gdy naprawdę się czymś przejmuje. A milczy, bo boi się ośmieszyć. Woli milczeć, niż przyznać się, że mu zależy, a tym samym narazić się

na ewentualne głupie żarciki. Nie znosi tego.

— Ja nie... — zaczął Pafian niezręcznie.

— Wiem — wzrok Wiwana zmiękł. — Po prostu się martwię. Przepraszam.

Minął ich wszystkich i poszedł do biblioteki. Po chwili usłyszeli cichy trzask zamykanych drzwi.

— Jestem mistrzem w popełnianiu idiotycznych pomyłek! — zdenerwował się Pafian sam na siebie.

— Ależ skąd — uspokajał go ojciec. — Gdyby nie twoja spostrzegawczość, nigdy bym nie uwierzył, że dziadek i Ross naprawdę się lubią. W kilku zdaniach uświadomiłeś mi, w jaki sposób zacieśniała się ich znajomość. Teraz pamiętam, jak Ross słuchał z nami opowieści o wojnie i właśnie... taak... starania waszego dziadka, by nie pokazać mu, że cieszy się, gdy go widzi — roześmiał się cicho, spoglądając na żonę i syna. — To było piękne. Staruszek aż się palił, żeby mu coś pokazać, ale ukrywał to tak starannie... — pokręcił głową z niedowierzaniem.

— A Ross to widział — dodała matka cicho. — I nie zdradził się ani słowem.

Poczuł dziwną pustkę w sercach i przejął ich nagły lęk. Dopiero teraz naprawdę uświadomili sobie, jak wiele im dała obecność niezwykłego mężczyzny i jego magicznego Klejnotu Nadziei. Pafian był pewien, że otucha wniesiona w ich serca przez Rossa nie była jedynie zasługą magicznego przedmiotu noszonego na szyi.

Życiową siłę, która pomagała mu stawiać czoła przeciwnościom, Ross miał w sobie od zawsze...

* * *

— Wejdz proszę — powiedział cicho, widząc czerwonołosą Waszebę i jej towarzysza.

W milczeniu wrócił do biurka. Waszeba z ciekawością rozejrzała się po imponującej bibliotece pałacu. Na biurku leżało kilka książek. Nie widziała dotychczas tak tak wspaniałych wolumów w całym królestwie. Stanęła przed uzdrowicielem, chwilę mu się przyglądając. Nie odpowiedział jednak na jej wyjątkowo nieśmiały uśmiech. Pochłaniały go inne sprawy.

— Potrzebujesz naszej pomocy — bardziej stwierdziła niż spytała.

— Tak — spojrzał na nią.

Nigdy nie uciekał wzrokiem, gdy rozmawiał z innymi.

Był szczery.

Nigdy też jego oczy nie błądziły mimochodem po jej sylwetce, nie śledziły jej ruchów, tak jak oczy wielu mężczyzn, których znała. Podobne myśli albo były mu obce, albo kryła się za tym inna przyczyna. Podejrzewała to drugie. Odkąd się

pojawił, a nie znała go wcześniej, kobiety traktowały go bardziej jak brata lub przyjaciela. Jakby żadna nie widziała w nim mężczyzny. Naprawdę były tak ślepe, czy wolały widzieć w nim tylko kogoś nadzwyczajnego, ale niedostępnego? Nie widziały jego urody, jego zalet w inny sposób? Widocznie nigdy nie przyszło im do głowy, że Wiwan jest człowiekiem z krwi i kości, jak inni. Wpojony przez starszych szacunek do uzdrowiciela odsuwał go od ludzi do tego stopnia, że sam także przestał się tym interesować.

Nie wierzyła w to ani przez chwilę. Na pewno istniał sposób, by do niego dotrzeć.

Obeszła biurko i przysiadła na jego krawędzi, dokładnie o krok od Wiwana, by choćby przez moment jego oczy musiały spocząć na jej zmysłowej sylwetce i smukłych nogach. Nie miała złych zamiarów, nie chciała go uwieść. Chciała jedynie przykuć jego uwagę.

Na początek.

Milcząco śledził jej poczynania z kamienną twarzą.

— Dlaczego elfy? — Poruszyła się, lecz uzdrowiciel wciąż patrzył jej w oczy, jakby niczego innego nie dostrzegł. — Dlaczego miałyby pomagać ludziom mieszkającym w małym portowym miasteczku?

— Dlatego, że proszę was o to po raz pierwszy. Wiele razy wam pomogłem.

— I dlatego musimy się teraz odwdziaczyć?

Spojrzał na nią wzrokiem, w którym dostrzegła żal. Wstał. To sprawiło, że znalazł się jeszcze bliżej niej.

Wreszcie się doczekała: jego oczy na chwilę spoczęły na jej pełnych wargach. Tylko na chwilę. Cokolwiek przeszło mu teraz przez głowę, szybko odeszło. To jednak wystarczyło, by poczuła lekki dreszcz.

— Proszę tylko o pomoc. Nie żądam wdzięczności ani zapłaty — odparł z cichym wyrzutem.

Rozmowa zmierzała w złą stronę.

— Przepraszam — uśmiechnęła się łagodnie. — Nie chciałam, by tak to zabrzmiało.

Serce przyśpieszyło, gdy poczuła jego bliskość. Czowała legendarne ciepło, którym promieniował. Widziała z bliska jego oczy. Od miesiąca nie była tak blisko. Na wyciągnięcie dłoni.

Przełknęła ślinę. Wstała.

Była jego wzrostu.

— Jest nas tylko dwoje, ale chętnie przyjdziemy wam z pomocą — rzekła miękko, nadając głosowi nieco zmysłowy ton, który działał na mężczyzn.

Najwyraźniej jednak nie na Wiwana, a przynajmniej nie tak, jak oczekiwała. Choć niewątpliwie zauważył jej zabiegi, zachował spokój. Chciała, by było inaczej. Mężczyźni na ogół rozbierali ją wzrokiem. Uzdrowiciel traktował ją zupełnie

zwyczajnie, po przyjacielsku, jak równą sobie partnerkę czy jednego ze swoich przyjaciół. Gdy odkryła, że nie adoruje jej tak, jak się tego spodziewała, była zaskoczona. Dotąd uwielbiała prowokować, szczególnie tych, którzy wpadli jej w oko. I nagle znalazł się człowiek, młody przecież i atrakcyjny, traktujący ją jak równą sobie, z szacunkiem i sympatią. A wtedy złościć zaczęła ją myśl, że wszelkie zabiegi traktował ze spokojem. Człowiek, któremu zapragnęła się spodobać, nie przekraczał pewnych granic, był wyrozumiały, opanowany, a jej zaloty umyślnie ignorował, jakby namiętność była mu obca. Mogła głowić się nad przyczynami takiego zachowania u Wiwana, wściekając się na w duchu do woli. Nie pragnął, nie pożywał, nie flirtował. I właśnie to sprawiło, że zwróciła na niego uwagę. Teraz na przemian doprowadzało ją to do gniewu i do rozpacz.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili ujrzała ciemnowłosego brata uzdrowiciela w towarzystwie dwóch innych mężczyzn. Mimowolny niemal nawyk sprawił, że skupiła na nich uwagę. Milczący skłonił się im uprzejmie, na co odpowiedzieli tym samym w wyraźnym pośpiechu.

— Wybacz, Wiwanie — kajał się Pafian. — Ale czas nas nagli!

— Przyszliśmy się pożegnać — powiedział Sel nerwowo. — Statek pierwotnie miał wypłynąć jutro, ale na szczęście niewiele było trzeba, by gotów był do drogi już dziś. Ochotnicy żegnają się z rodzinami.

Ubrani do podróży Sel i Alesei stanowili miły dla oka widok. Wiwan podszedł do nich pospiesznie, by uścisnąć im dłonie.

— Sprowadź go do domu! — poprosił, obejmując mocno Sela w przyjacielskim uścisku.

— Choćby za cenę życia — odparł mu Sel poruszony. — Gdyby to było możliwe, ruszyłbym teraz, zaraz!

Wiwana spojrział mu w oczy, kładąc ręce na ramionach. Waszeba obserwowała ich obu w milczeniu, z sympatią patrząc na coraz przystojniejszego Sela, szatyna o długich, gęstych rzęsach, pięknie okalających jego oczy ciemną oprawą. Kiedy tu przybył, wyglądał chudo i słabo, jakby przeszedł poważną chorobę. Z upływem czasu gościnność ciotki jednego z przyjaciół i trening, żołnierzy królowej sprawiły, że jego ciało nabrało przyjemnych dla oczu kształtów. Niestety, jego serce otoczone było nieprzebytym murem. Plotka jednak głosiła, że choć wierny był swemu partnerowi, widok kobiet nie był mu do końca obojętny. Niejedna w miasteczku chętnie więc nawróciłaby go na „właściwą” drogę. Sama możliwość wydawała się podniecająca.

— Macie moją krew? — spytał z powagą uzdrowiciel.

Sel pokiwał głową.

— Mamy. O to nie musisz się martwić.

Krew uzdrowiciela. Był to rzadki i bardzo pożądany rarytas. Leczyła każdą ranę, każdą chorobę, choćby ktoś był już o włos od śmierci.

Przyjaciele przez chwilę patrzyli sobie w oczy w milczeniu. Pochłaniała ich troska o porwanego. Bolała ich myśl, co mogło się teraz z nim dzieć.

Bali się wyrazić na głos swój lęk.

— Poradzisz sobie? — zatroskał się Sel na myśl o prześladowającym Wiwana strachu przed ludźmi i sennych koszmarach.

Dziś także oczy przyjaciela były podkrążone. Znow nie spał dobrze.

— Tak — odparł Wiwan, odwracając wzrok. — Kiedyś i tak musiało to nastąpić.

Sel przyjrzał mu się z powagą. Wiele wiedział o jego cierpieniu i o tym, jak bardzo przydała się pomoc Rossa. Objął go mocnym, krzepiącym uściskiem.

— Wrócimy — wyszpetał mu wprost do ucha. — A ty pilnuj, byśmy mieli dokąd wracać.

— Tak zrobię — odparł Wiwan.

— Dopilnuję, żeby spełnił obietnicę — wtrącił Alesei, prężąc nieco mięśnie pod grubym kaftanem.

Wiwan uśmiechnął się do niego z powagą w oczach.

— Jestem pewien, że tak będzie — odparł. — Nie zapomnij tylko o sobie.

— I o moim bracie! — usłyszeli głos Julien, która weszła wraz z Sai i rodziną braci Beckertów do biblioteki.

Uśmiechnęła się do Wiwana porozumiewawczo. Milczący zbliżył się do Waszeby, spoglądając na wchodzącą dziewczynę z zainteresowaniem.

— Przecież go widziałem — rzekł Pafian.

Julien, teraz w swojej sukience, do której przypasała krótki miecz i nałożyła skórzana zbroję, podobnie jak Sai, uśmiechnęła się i ujawniła słuchającym swój podstęp.

— Tylko wy i moi wujowie o tym wiecie — zastrzegła.

— A Oliwier...? — zapytała babka Wiwana.

— Jest na statku. Zamusztrował się tam. Taki był plan, gdyby coś poszło nie tak. Myśleli, że ktoś mógłby porwać Rossa, a nawet ciebie — spojrzała uważnie na Wiwana. — Co się naprawdę stało, tego nikt nie przewidział. Kapitan nie zdradził się słowem. Wiedźma była ostrożna. W pomieszczeniach zagłuszała rozmowy. Na zewnątrz nie mówiła o swych planach.

— Wiedźma? — zainteresował się natychmiast hrabia Erlon.

— Tak — odparła Julien, potrząsając przy tym burzą swoich ciemnych loków. — Używa magii.

— Skarbie — znow odezwała się starsza kobieta. — Oliwier postąpił szlachetnie. I bardzo nierozważnie. Ze względu na was oboje.

Julien spojrzała na nią wymownie.

— Nie mógł zrobić inaczej — odparła ze spokojem, choć w sercu podzielała te obawy.

Waszeba i Milczący zbliżyli się do nich.

— To czyni sprawę poważniejszą — zatroskała się Waszeba.

Znów znalazła się blisko Wiwana, jednak waga usłyszanych informacji była teraz ważniejsza. Mimowolnie jednak zbliżyła się jeszcze trochę, a ciało przybrało wyszkoloną postawę obrońcy, nieco wysuwając się przed uzdrowiciela.

— Będziemy twoją strażą — oznajmiła Wiwanowi.

Każdy jej ruch był naznaczony kocią gracją, więc i ten emanował zmysłowością, chociaż nieświadomie. Po prostu taka była jej natura. Po jego spojrzeniu poznała z ulgą, że zrozumiał jej dobre intencje.

— Zawsze przyda się dodatkowy miecz — oświadczył Pafian, przyglądając się rozmówczyń.

On akurat byłby łatwym celem, gdyby tylko zechciała. Jednak coraz mniej jej na tym zależało. Zwłaszcza w obecności Wiwana.

— Teraz jestem spokojny — rzekł Sel. — Wiem, że zostawiam przyjaciela w dobrych rękach.

Pafian odchrząknął znacząco. Sel uśmiechnął się lekko.

— Ciebie także miałem na myśli.

Skłonił się Pafianowi i elfom. Milczący odpowiedział podobnym ukłonem z nieznacznym, zagadkowym uśmiechem na twarzy. Waszeba wiedziała, że jej towarzysz szanuje Sela za wytrwałość i niezwykły talent.

Sel pozwolił sobie na krótką kontemplację urody niezwyklej czerwonowłosej dziewczyny. Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Więc plotki rzeczywiście okazały się prawdą.

Trwało to zaledwie chwilę. Jakby sprawiał wrażenie, że jego myśli chciały przez moment oderwać się od ponurych wizji snujących się w jego głowie. Widać było, że troska odcisnęła już na jego twarzy swe piętno. Nikt nie miał wątpliwości, że Sel bardzo przeżył porwanie Rossa. Bardziej, niż to okazywał.

Zapadło milczenie.

— Chodź, Sel — Alesei lekko pociągnął przyjaciela w stronę drzwi. — Pora wypłynąć.

Sel kiwnął potakująco głową. Zebrał się w sobie i pożegnał raz jeszcze ze wszystkimi.

Wiwana spoglądał za nim z troską.

— Alesei! — zawołał, nim czworo przyjaciół wyszło z misją ratunkową. Czworo, gdyż dziewczyny postanowiły im towarzyszyć.

Muskularny młodzieniec obejrzał się. Długie, brązowe włosy spiął w kucyk dla wygody. Jego pies, który wszędzie mu towarzyszył, także się zatrzymał, jakby połączony ze swym panem jakąś dziwną więzią.

— Dbajcie o siebie — poprosił Wiwana.

Alesei kiwnął głową z powagą.

— Znasz mnie — odparł. — Nikt już nie zginie na mojej warcie. Wyciągniemy go stamtąd. Wyciągniemy ich wszystkich.

Wsparł rękę ma mieczu z rękojeścią jednorożca.

— Aaa... Wiwanie! — zawołał jeszcze, nim ten wyszedł. — Miejcie oko na trolle za murem.

Wiwan spojrział porozumiewawczo na swego przybranego ojca. Erlon dotknął dłoni Leny w pocieszającym geście. Lekkim i ciepłym uśmiechem obdarzył jej zaniepokojoną tą informacją matkę, którą kochał bardziej niż własną.

Wiwan znał powody niepokoju obu kobiet. Słyszał, podobnie jak jego brat, historię powstania miasteczka. To wtedy jego ojczym otrzymał te ziemie od swojej rodziny.

— Nie zapomnę — odparł z powagą.

Jego ojczym był w wieku zbliżonym do Erlona, gdy zaatakowały ich trolle. Nie była to tylko garstka zdziczałych istot, które znów zaczęły się pojawiać pod murem.

Wtedy nie było nawet muru...

Alesei pozwolił sobie jeszcze na grymas uśmiechu, ukłonił się wszystkim i opuścił bibliotekę.

Wiwan stał w milczeniu, nasłuchując, dopóki za przyjaciółmi nie zatrzasnęły się wejściowe wrota. W sercu rosła obawa przed przyszłością, którą chyba jeszcze nikt z obecnych nie dostrzegał. Porwano kilkunastu zaradnych i zdolnych ludzi. Zabrano Rossa i jego niezwykły klejnot. A teraz w ślad za porwanymi wypłynęli inni, co znów uszczupliło liczbę ludzi w miasteczku. Wraz z nimi odpłynęli kolejni jego przyjaciele. Osilek i uzdolniony konstruktor, którego pomysły chętnie wykorzystywano w Barnicy. Czy tylko on widział w tym celowe działanie?

— Wiedźma — rzekł ni do siebie, ni do brata Pafian. — Jest gorzej, niż przypuszczałem.

Spojrzał mu w oczy i dostrzegł te same obawy, które nim targały.

— Co będzie dalej? — zapytał cicho.

Ich dziadek stanął przy oknie. W milczeniu spoglądał na zewnątrz, na odległy port, do którego teraz zbliżał się Sel z przyjaciółmi. Zgodnie ze swoją nieugiętą naturą pilnował się, by nie okazywać troski, lecz wyraz jego oczu i ciche westchnienie go zdradziły.

Wiwan wiedział, że martwił się nie tylko losem swego ulubieńca. Dożył czasów, gdy znów musiał martwić się o los swoich bliskich.

Podzielał jego lęk.

ROZDZIAŁ 3 — CADELIA

Oliwier spojrział raz jeszcze na góry, nim powrócił do szorowania pokładu. Wypłynęli z fiordów, zostawiając w tyle zatokę i portowe miasteczko kilka godzin temu. Nie wiedział, że dostęp do otwartego morza ukaże im się dopiero teraz. Długo płynęli wśród malowniczych gór i dolin, żegnani cichymi rykami smoków i odgłosami dzikich zwierząt. Poranek niósł ze sobą wiele niezwykłych wrażeń, które w innych okolicznościach chłonąłby z przyjemnością. Słoneczny dzień zaprzeczał ponurym wydarzeniom na pokładzie Cadellii. Ze zgrozą obserwował, jak źle traktowano uwięzionych ludzi: umieszczono ich w ładowni, skrępowanych i zakneblowanych. Zdążył już zasięgnąć informacji, by dowiedzieć się, ile czasu zajmie podróż do Zatoki Niewolników.

Dwa dni.

Dwa dni w takich warunkach, o chlebie i wodzie, jeśli porywacze okażą łaskę, lub o głodzie, jeśli tego nie zrobią. Skrępowani, spętani jak zwierzęta pod okiem piratów.

Dwa dni dla Rossa, który leżał teraz pod pokładem, niezdolny świadomie skinąć palcem, na łasce swej okrutnej matki i jej kochasia, kapitana okrętu. Minęło już kilka godzin, a żadne z nich nie zainteresowało się jego osobą. Sprawdzili tylko, czy wciąż żyje. Matka Rossa rzekła złośliwie do Ramseya, że pewnie poleży jak kłoda do wieczora na własne życzenie, ponieważ wypił nie trzy, a co najmniej pięć lub sześć kropli eliksiru wiedzy. Na własne życzenie zresztą, bowiem szarpał się, gdy pierwszy raz mu go dawano.

Ramsey odparł, że przynajmniej teraz Ross zamknął pysk. Jej poradził to samo, bo gówno go obchodzi, co robi jej synalek.

Olivier zauważył, że Cadelia Hope wołała rzeczywiście zamilknąć, niż narazić się na gniew swego kochanka. Wyraźnie nie chciała tracić jego względów, gotowa zgodzić się na wiele, raczej dzięki dyplomatycznym zabiegom niż lękowi. To była twarda kobieta, którą niełatwo byłoby zastraszyć.

Ramsey nie wyglądał na człowieka zdolnego do wybaczenia czy pobłażliwości, lecz jej był oddany. Działanie matki Rossa nie było podyktowane strachem, ale roztropnością i ślepym uczuciem, którym Oliwier ze względu na przyjaciela szczerze gardził. Ramsey był surowy w obejściu, ale ją kochał. Razem byli zdolni do wszystkiego.

Oliwier miał szczerą nadzieję, że uda mu się dotrzeć do uwięzionych ludzi i nieprzytomnego przyjaciela jak najszybciej. Po zamustrowaniu ochotników i zamieszaniu z uwięzionymi, okrutna para udała się do kajuty kapitańskiej i nie opuściła jej przez długie godziny, racząc w międzyczasie wszystkich na statku odgłosami swych odrażających miłosnych igraszek. Na szczęście od godziny do

uszu Oliwiera nie docierały już jęki rozkoszy. Bosman nakazał mu szorowanie pokładu wraz z kilkoma nowymi. Lepiej było posłuchać, niż kręcić się bez celu.

Wreszcie matka Rossa wyszła kompletnie ubrana z kajuty. Zgadywał, że zwierzę, z którym spędziła tych kilka upojnych ostatnich godzin, spało teraz w swym barłogu, zmęczone wysiłkiem. Pozorując zmianę miejsca do szorowania, znalazł się bliżej schodów prowadzących na pokład. Cadelia, nieco wstawiona, wyprostowała się dumnie, poprawiając włosy spięte w kok. Trzymała pion, choć z pewnością szumiało jej w głowie od wypitego trunku. Rozejrzała się po otoczeniu, przyglądając się pracy marynarzy. Oliwier udał, że musi się rozprostować przed dalszą pracą, na co bosman, poganiany widokiem kochanicy kapitana, wrzasnął na niego, by wziął się do roboty. Krzyk ten zwrócił na niego niechcianą uwagę kobiety. Uniosła brwi w zaskoczeniu na jego widok, by potem chytrze się uśmiechnąć.

Oliwier spuścił wzrok, po czym momentalnie wrócił do swojego zajęcia, pilnie się do niego przykładając i udając, że niczego nie dostrzegł, ale czuł na sobie jej wzrok.

Tym razem nie kobiece przebranie, lecz jego prawdziwa postać przyciągnęły uwagę.

Był pewien, że ta zaraz do niego podejdzie.

Nie mylił się.

— Panie Lean! — wrzasnęła do szpakowatego bosmana, przystając przy Oliwierze.

Czubki jej butów znalazły się o jakieś dwa centymetry od dłoni Oliwiera, na której się wspierał.

— Tak, pani pierwszy oficer? — zgłosił się wezwany, a kilku marynarzy obejrzało się z zaciekawieniem w ich stronę.

— Odkąd to zatrudniamy u nas porcelanowe lalki? — zapytała, patrząc z niesmakiem na Oliwiera.

— Ma ręce i nogi, to się nadaje — odparł bosman. — Ładną buzię mieć przestanie, jak dłużej z nami zostanie!

Reszta marynarzy zarechotała na tę komiczną uwagę.

— Wstań! — zażądała cicho Cadelia.

Oliwier wstał powoli ze szczotką w rękę, nie patrząc w oczy rozmówczyni, by nie zdradzić prawdziwych myśli. Przyjrzała mu się chwilę w milczeniu.

— Masz imię, laleczko? — zapytała uszczypliwie, co wywołało tu i ówdzie cichy śmiech.

Uniół głowę, ukazując twarz pod obrębem sfatygowanego kapelusza. Przez miesiąc udało mu się zapuścić jedynie niewielki zarost. Żeńskie cechy, które czyniły jego urodę tak dwuznaczną, nie pozwoliły na prawdziwą brodę.

— Jestem Delen — odparł.

Gdy wymówił imię, zagryzł nieco wargę, usiłując ukryć napięcie i emocje, jakie nim targaly.

— Jesteś młodziutki — zauważyła z uśmiechem. — Ledwo dorobiłeś się zarostu. Ile masz lat?

— Prawie osiemnaście — skłamał na poczekaniu.

— Pierwszy raz na statku, prawda? — Wyciągnęła ręce i pochwyciła swymi długimi palcami o pomalowanych na czarno paznokciach jego dłoń ze szczotką. — Skóra delikatna jak u panienki — przejechała jedną ze swoich dłoni po jego zaczerwienionej już skórze na policzku. — Nigdy ciężko nie pracowałeś. Syn bogaczy, który szuka przygód?

— Tak, pani oficer — odparł, z trudem powstrzymując się, by nie wyrwać swej dłoni z jej uścisku ze wstrętem.

Pokiwała głową z krzywym uśmiechem.

— Umiesz opiekować się innymi?

Serce Oliwiera przyśpieszyło bieg.

— W czasie zarazy pomagałem w mieście opiekować się chorymi — odparł na pozór spokojnie. — Myłem ich, sprzątałem po nich, karmiłem, poilem...

— Taak... — popatrzyła na niego z namysłem — Nadasz się idealnie. Nic tu po tobie.

Wyjęła szczotkę z jego ręki i odrzuciła w kąt.

A potem, za co dziękował gorąco Matce Ziemi, wypowiedziała oczekiwane przez niego słowa:

— Pod pokładem są ludzie przeznaczeni na targ niewolników. Dopilnujesz, by dotarli tam w dobrym stanie. Jest też czarownik. Zatrósz się o niego, ale pilnuj, by nie odzyskał do końca przytomności. Odpowiadasz za to głową. Jeśli oprzytomnieje, powiadomisz mnie natychmiast, rozumiesz?

„Niedoczekanie twoje” — pomyślał ze złością. Odpowiedział, przykładając się, by zabrzmiało to jak najbardziej szczerze:

— Tak, pani oficer.

— Chodź — przysunęła się do niego nieco chwiejnie na tyle blisko, aż poczuł odór gorzałki w jej oddechu, po czym cofnął się nieco odruchowo. — Pokażę ci, czym się będziesz zajmował.

Poszedł za nią w ponurym milczeniu.

— Wszystko ma być jak trzeba! — zakończyła, gdy objaśniała mu, jak sobie wyobraża jego opiekę nad więźniami. — Panie Lean!

— Ajajaj, pani oficer! — zawołał wzywany, stojący teraz przy dwóch wyznaczonych do pilnowania marynarzach.

— Dajcie mu to, czego zażąda, jeśli chodzi o czarownika! — rozkazała, zaledwie zaszczywszy spojrzeniem swego nieprzytomnego syna, który leżał na stercie słomy naprzeciw związanych górali. — Oczywiście w granicach rozsądku!

— Tak jest!

Gdy bosman udał się na górę, podeszła wreszcie do nieprzytomnego. Oliwier patrzył na nią z mieszaniną niedowierzania i wstrętu. Na twarzy kobiety gościł bowiem wyraz tak nieskrywanej pogardy i złościwości, jakiego nigdy nie spodziewałby się po matce patrzącej na swoje dziecko. Marzył o tym, by już poszła, jakby sama jej niechęć mogła jeszcze pogorszyć stan przyjaciela.

Ross stał się niemal warzywem. Żył, o czym świadczył jego ciężki, urywany oddech, jakby wdychanie i wydechowanie tlenu wymagało olbrzymiego wysiłku, lub cichł nagle, niemal niesłyszalny, a jego klatka piersiowa ledwie unosiła się i opadała. Rubin lśnił czerwonym stłumionym światłem. Oliwier miał niemal pewność, że tylko dzięki klejnotowi Ross wciąż pozostawał żywy, pomimo zbyt dużej dawki eliksiru. Z ust ciekła mu ślina, a półprzymknięte oczy nie wykazywały śladu jakiegokolwiek świadomości. Na przemian bełkotał coś lub milczał, wstrząsany nerwowymi tikami. Wszystko to, co stanowiło o istocie jego charakteru, o sile ducha, cała żywotność i energia, którą emanował — zniknęły. Ross nie przypominał już siebie, nie przypominał nawet wiejskiego głupka, o którym czytał Oliwier w opowieściach. Był zaprzeczeniem wszystkiego, za kogo wcześniej go uważano. Budził litość i przerażenie swym stanem.

— Mam nadzieję, że tylko się zeszczał — mruknęła z pogardą jego matka, dotykając spodni Rossa czubkiem buta w miejscu, gdzie widać było plamę. — Ależ by mu to dopiekło, gdyby wiedział, co zrobił! On, taki czyścioszek! Taki porządniś!

Oliwier czuł, że jest bardzo blisko granicy wytrzymałości. Miał ochotę dopaść ją tu i teraz, zemścić się za takie traktowanie przyjaciela. Szczęściem ani ona, pochłonięta czerpaniem satysfakcji z położenia Rossa, ani pilnujący więźniów strażnicy nie dostrzegli wyrazu jego twarzy, bo wtedy na nic zdałby się jego podstęp i szybko by go stracono. Wiedział o tym. A jednak nienawiść do tej kobiety tak rozpierała jego serce, że z trudem powstrzymywał się od zadania jej ciosu.

— I co? — zapytała nieprzytomnego. — Teraz nie jesteś taki cwany! Wszystko byśmy mogli z tobą zrobić, a ty nie mógłbyś kiwnąć palcem! — kucnęła przy nim. — Znalazłabym takich, co by dogadzali ci w najlepsze, skoro tak lubisz, aż nie mógłbyś chodzić. Srano by ci na twarz, mały zboku! — wysyczała z nienawiścią. Oliwier zacisnął dłonie w pięści, ledwie nad sobą panując. — Co teraz powiesz, co?! — zawołała, a wstrząśnięci więźniowie patrzyli na nią ze zgrozą. — Nic nie zrobisz! Nic! Nie będziesz się stawiał! Nie będziesz uciekał! Nic nie zrobisz, cwaniaczku! Książatko, co to zawsze miało się za lepszego! Taki czyściutki, taki porządny. Taki szlachetny! — wstała, by kopnąć go ze złością, a Oliwier drgnął nerwowo. — Zwykła, tania, zboczona dziwka! Oto, jak skończyłeś! Ja — wskazała na siebie trzęsącym się palcem w pijackim gniewie — to ja jestem

kimś! Słyszysz?! To ja jestem pierwszym oficerem na tym statku! Nosi moje imię! Ma moją twarz! A ty? Ty jesteś NICZYM! — wyszczała ze złością.

Gniewnie odwróciła się do wstrząśniętego Oliwiera, który oczyma wyobraźni już bił ją po twarzy. Złapała oddech, przełknęła ślinę i warknęła do ledwie panującego nad sobą chłopaka:

— Oporządź go! Sprzedam go pierwszemu lepszemu, który da za niego choćby miedziaka! Nawet za darmo go oddam, żeby tylko zszedł mi z oczu, słyszysz?!

— Tak, pani oficer — odparł z trudem Oliwier, przełykając głośno ślinę, ale na szczęście matka Rossa nie zauważyła lub po prostu zignorowała jego wzburzenie.

— No! — pomachała mu palcem przed nosem. — I tak masz się do mnie zwracać zawsze! Jasne?!

„Z nienawiścią?” — pogardliwie zapytał ją w myślach.

— Tak jest! — odparł jednak, starając się wymówić te słowa w miarę spokojnie, bez okazywania targających nim emocji.

Cadelię zadowolili ta odpowiedź, ponieważ z pijackim uporem zinterpretowała ją po swojemu.

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

— To do roboty! — krzyknęła, a wychodząc nieoczekiwanie klepnęła go zamasyście w tyłek, zapewne mocniej niż zamierzała.

Gniew i poczucie poniżenia zapaliły się w umyśle Oliwiera. Z trudem utrzymał ręce przy sobie. Tak gwałtownej złości nie czuł wobec nikogo od bardzo dawna; od czasów, gdy walczył o życie w komnacie wicekróla. Wydawało mu się, że nawet wtedy odczucia były słabsze od obecnych, które paliły go teraz żywym ogniem.

A potem spojrzał na nieprzytomnego przyjaciela.

Gniew, niczym paląca gorączka, zgasł w nim raptownie zastąpiony przez napierające łyzy. Odwrócony tyłem do strażników, narzucił sobie z wolna opanowanie ze względu na Rossa i innych uwięzionych.

Na wszystkich znanych mu bogów, musi im pomóc! Musi uratować przyjaciela z tego koszmarnego stanu! Musi! Inaczej będą zgubieni! Wszyscy!

Ukląkł przy przyjacielu, by mu się dokładnie przyjrzeć, przerażony skutkami działania eliksiru i zawiści. To, co zobaczył wprost nie mieściło mu się w głowie. W jego domu nikt nigdy nie potraktowałby drugiego człowieka w ten sposób, zwłaszcza bliską osobę. Bardzo dobrze w tej chwili rozumiał i akceptował poniekąd postępowanie przyjaciela w przeszłości, jego wybory. Dom Rozkoszy był niezwykle przyjaznym miejscem dla Rossa w porównaniu z jego własnym rodzinnym.

Gdzie znajdowało się źródło tej nienawiści? Bo nie mogło chodzić tylko

o orientację przyjaciela. Kryło się w tym coś innego, tego był pewien.

— Ty tam!! — zawołał do jednego z pilnujących mężczyzn — Weź kumpla i przynieście wody, jakieś czyste ubrania i szmaty!

— A co ja, twoja służka?! — podniósł z gniewem głos marynarz. — Sam sobie przynieś, w końcu od tego jesteś!

Spodziewał się takiej odpowiedzi i miał na to sposób, choć słabo mu się zrobiło w duchu na myśl, jak wiele ryzykuje, i to nie tylko swoim życiem.

— Posłuchaj! — szybko znalazł się przy brodatym osobniku. — Nie dotarło do ciebie, co mówiła? Macie mi dać wszystko, czego zażadam! Jeśli on się obudzi — wskazał na Rossa — jedną myślą sprawi, że zrobicie, co zechce! Każe ci tańczyć, to będziesz tańczył. Zabić kumpla — tu mężczyzna spojrział nerwowo na towarzyszącego mu kompana — czemu nie?! — ciągnął Oliwier bez litości. — Skoczyć w wodę? Choćby zaraz! Dlatego rób, co mówię! Czarownik ma czuć się jak w puchu, by spać jak dziecko i nie obudzić się aż do portu! A więźniowie mają nadawać się na sprzedaż, bo inaczej nikt ich nie kupi, jasne? Zrób, co mówię, inaczej zamelduję, jak to wypełniacie rozkazy. A tego chyba nie chcesz?...

Marynarze zmierzili go złym wzrokiem i zaklęli pod nosem. Oliwier był świadomy, że właśnie zyskał dodatkowych wrogów, ale widział, jak bardzo byli oddani kapitanowi i jego kochance, i to bez żadnych skrupułów. Żaden z nich nie pofatygował się, by ulżyć więźniom, i nie było to podyktowane strachem.

— A kto ich przypilnuje? — zapytał drugi marynarz z bliźną nad okiem.

— Odpowiadam za nich — warknął krótko Oliwier.

Uśmiechnęli się złośliwie na myśl, że on też ma powody do obaw przed złośliwą pierwszą oficer.

— To lepiej się do tego przyłóż! — rzucił brodaty, by mieć ostatnie słowo, nim obaj w końcu wyszli.

Ich uszczypliwość w ogóle nie obeszła Oliwiera. Czuł, że jego walka o lepszy byt więźniów dopiero się zaczyna. Przestał zastanawiać się nad konsekwencjami. Uciszył strach.

— Zajmę się wami — zwrócił się do wpatrzonych w niego ludzi, ściśniętych po przeciwnej stronie. — Obiecuję.

Karczmarz, najstarszy w tej grupie, kiwnął aprobowająco głową. Nie mogli mówić, ale ich oczy wiele potrafiły wyrazić.

Ukląkł ponownie przy Rossie i sięgnął do małego flakonika na swojej szyi z krwią uzdrowiciela. Oczywiście ponure zbiry ze statku ograbiły jego przyjaciela z podobnego flakonika, nadal zupełnie nie znając w pełni działania magicznego klejnotu. Uniósł głowę Rossa i ostrożnie wlał do jego ust połowę zawartości. Potem otarł je szybko ręką własnego rękawa, by zostało jak najmniej śladów.

— Połknij — szepnął.

Nie wiedział, czy Ross go usłyszał, lecz po chwili zobaczył, być może za

sprawą odruchu, że jego prośba została spełniona.

— Będzie dobrze — szepnął, nachylając się do jego ucha. — Wyjdiesz z tego.

Na górze marynarze toczyli beczkę z wodą do wejścia. Słyszał ich głosy.

— Ross — szepnął. — Bądź ostrożny. Jesteś naszą jedyną nadzieją — spojrzał w górę, gdyż rozmowy stały się głośniejsze. — Słyszałem ją. Mówiła, że możesz być mocniejszy niż fundamenty ziemi. Nie pokazuj, że czujesz się lepiej...

Kroki na drewnianych schodach sprawiły, że zamilkł. Skończył się czas.

Zerwał się na równe nogi, widząc powracających marynarzy i bosmana.

— Nareszcie — powiedział z pretensją. — Pokażcie, co tam macie!

Na drewnianej podłodze jego przyjaciół budził się z głębokiej nieświadomości, podczas gdy Oliwier wydawał polecenia odnośnie uwięzionych, kazał zdjąć im kneble, związać inaczej (od kilku godzin mieli ręce związane za plecami), rozdzielić wodę. Żałował, że nie może kazać ich uwolnić, ale nie mógł przesadzić, bo wzbudziłby takim zachowaniem podejrzenia. I tak ryzykował, że posądzą go o nadmierną troskę i zwiążą z innymi lub wyrzucą za burtę.

Najważniejsze, że podał Rossowi dar uzdrowiciela. Tej jednej myśli się uchwycił. Oczy więźniów porozumiewały się z nim w lęku, ilekroć usłyszeli cichy jęk leżącego. Bali się tego, co mogło teraz nastąpić. Bali się, że porywacze zorientują się, że „czarownik” przytomnieje i wszystko będzie stracone, zwłaszcza że widzieli widoczne zmiany. Na razie marynarze jednak zajęci byli spełnianiem poleceń, podczas gdy Oliwier zajął się przyjacielem. Zasłaniając go sobą, zmienił mu ubranie. Nie tylko spodnie wymagały wymiany. Kazał jednemu z marynarzy przynieść koc i słomę, ponieważ Ross leżał na zimnej podłodze. Jego zimowa katana była wewnątrz mokra od potu, podobnie koszula i kaftan.

Pierwszy raz zobaczył z bliska jego blizny...

Wydawało mu się, że zobaczywszy Wiwana oswoił się już z widokiem okrucieństwa wobec drugiego człowieka. Ale w jego naturze nie leżał brak wrażliwości na krzywdę. Niektóre blizny na ciele Rossa były stare, pewnie pochodziły jeszcze z dzieciństwa...

Z wysiłkiem zamknął umysł przed wizjami tego, co się zdarzyło, inaczej gniew przyćmiłby mu rozsądek. Spokojnie, jak wtedy gdy pomagał chorej dziewczynie z zamku i jak później pielęgnował chorych, do których chodził z Wiwanem, zadbał o przyjaciela, zamykając w sobie inne odczucia. Wreszcie, gdy już skończył, Ross otworzył oczy i spojrzał na niego półprzytomnie. No tak, potrzeba mimo wszystko trochę czasu, by usunąć skutki działania trucizny w jego ciele.

Przez chwilę Ross patrzył na niego tak, jakby nie dowierzał własnym oczom. A kiedy przyszło zrozumienie, powieki otworzyły się szerzej. Oliwier dyskretnie pokręcił przecząco głową, czując szybsze bicie swego serca. Ross przymknął oczy,

gdy marynarze nachylili się nad nim z ciekawością.

— I co? — zapytał brodaty — Ocknął się?

Oliwier sięgnął nieco drżącą ręką po przygotowany kubek z wodą i przystawił do ust Rossa. Zgodnie z jego cichą nadzieją Ross wziął jedynie niewielki łyk, reszta spłynęła mu na koszulę. Uspokojeni marynarze wzięli to za zwyczajny odruch.

— Chyba widzisz, że nie — odparł Oliwier, odstawiając kubek.

— Łeb by nam wszystkim urwała pospołu — powiedział ponurym głosem brodaty.

Oliwier spojrział na obu mężczyzn. Mimo wcześniejszej kłótni szukali u niego nici porozumienia, słusznie wiedząc, że dzielą ten sam los w razie klęski. Jego spojrzenie, nieco zmieszane i pełne obaw, musiało zadowolić marynarzy, bo brodaty poklepał go po koleżeńsku po plecach.

— Dobra robota — pochwalił.

ROZDZIAŁ 4 — HYDRA

Julien i Sai przyglądały się ostatnim pośpiesznym przygotowaniom. Trwały czule pożegnania i prowadzono ostatnie rozmowy przed wyprawą. Większość znalazła się już na pokładzie, żegnając się raz jeszcze ze swoimi bliskimi i zgromadzonymi ludźmi na pomoście i plaży. Sel i Alesei wnieśli swój niewielki ekwipunek i pomogli przenieść resztę żywności. Julien uśmiechnęła się czule, z dumą. Sel cieszył się ogromnie z odzyskanego zdrowia i przepelniającej go energii. Chętnie brał się za wszelkie prace, których nie mógł wykonywać wcześniej. Lubił pracować fizycznie i cieszyć się efektami swojej pracy. To sprawiało mu satysfakcję, przede wszystkim dlatego, że nie czuł się już bezużyteczny. Chętnie uczył się nowych umiejętności i widać było, że swoją pracowitością zdobył już pewne poważanie u miejscowych. Jeśli czegoś nie umiał, traktowano go ze zrozumieniem. Wieść o tym, że jest jednym z ozdrowieńców wyrwanych z łap śmierci przez Wiwana niewątpliwie także pomogła mu w zyskaniu sympatii.

Po raz ostatni przed podróżą zbliżył się, by pożegnać się z kobietami na pomoście.

— Uważajcie na siebie — powiedziała Julien, patrząc mu w oczy.

Niezależnie od tego, co robili teraz w swoim życiu, ich zawiązana jeszcze w dzieciństwie więź miała pozostać między nimi już na zawsze. Wszelkie odczucia, które mogły zranić odsunęli w cień, choć ta decyzja była powodowana głównie tym, że oboje — mimo że każde inaczej — kochali Rossa. Ciepła, które wytworzyło się między nimi nie sposób było stłumić. Czas umacniał przyjaźń, a gasił niepozorną miłość, niepotrzebną i niszczącą. Na przyjaźni zależało im bardziej, choć bywały jeszcze chwile, gdy uczucia próbowały zwieźć ich na manowce. Tak jak teraz.

— Wróc takim, jakiego widzę cię w tej chwili...

— Nie mogę tego obiecać — odparł poważnie Sel. — Ale postaram się wrócić w jednym kawałku. — Uśmiechnął się lekko.

Sai wspięła się lekko na palcach, by ucałować w policzki Aleseia. Było to niczym muśnięcie wiatru i kropla deszczu, lecz sprawiło mu o wiele większą przyjemność niż niejedna pieszczota, którą obdarzyły go inne kobiety. Żadna z tamtych nie była jego przyjaciółką, nie znała świata, który razem opuścili.

— Przywiozę go — obiecał jej wyjątkowo poważnym tonem, bez maski pewnego siebie siłacza, którą zwykle przybierał.

Chciał powiedzieć jej tak wiele, by ją pocieszyć, lecz słowa nigdy nie były jego mocną stroną. Objął ją więc delikatnie, jakby była kruchym kwiatem wschodu, w obawie, by jej nie zgnieść w swym mocnym uścisku. Teraz jej troska

sprawiła, że rzeczywiście wyglądała na kruchą i delikatną, ale on znał jej niezłomność i siłę, która pomogła jej przetrwać. Objęła go bez słowa. Jej czarne włosy pachniały jaśminem. Ostrożnie wciągnął nosem ten zapach, pragnąc zachować go w pamięci na czas podróży.

Julien nie musiała wspinać się na palcach, by ucałować policzek Sela.

— Powiedz Rossowi, że jego siostra z przypadku już za nim tęskni.

— Siostra... — szepnął — Tak, na pewno mu przekażę. Ucieszy się — oczy niebezpiecznie zaczęły go piec.

— A Oliwierowi powiedz... — dodała — powiedz, że go kocham. Zawsze. Na zawsze.

— Dobrze — odparł.

— I jeszcze jedno — uśmiechnęła się czule. — Przekaż im ode mnie jeszcze to.

Zbliżyła swoją twarz do jego twarzy i delikatnie ucałowała w oba policzki. Przy drugim pocałunku Sel drgnął, co sprawiło, że ich usta zetknęły się ze sobą, nim musnęła jego twarz.

Jakby czas stanął nagle w miejscu, wstrzymując oddech między dotknięciem ust a pocałunkiem w policzek.

Zgodnie pozwolili, by ta chwila minęła.

Kiedy odsunęła się od niego, poczuła jakąś zmianę w ich życiu. Serce zmieniło rytm. Ogarnął ją spokój.

W jego oczach wyczytała podobne odczucia i nagle przepełniona ulgą i spokojem objęła go mocno, na co odpowiedział tym samym, śmiejąc się cicho. On także to wyczuł. Dwie łzy spłynęły po jego twarzy.

Miłość, która nie powinna istnieć, po prostu odeszła.

Alesei nie bawił się w subtelności.

— Będzie cholernie ciężko przekazać to Oliwierowi — zauważył z uśmiechem.

W jego oczach kryły się inne uczucia, których teraz nie ujawnił. Sai przyjrzała się im obojgu, po chwili jednak uśmiechnęła się przyjaźnie. Julien spojrzała na nią z wdzięcznością.

Napięcie zniknęło.

Stały na pomoście tak długo, jak długo statek widoczny był na horyzoncie. Kiedy minął fiord i zniknął im z oczu, ujęły się za ręce w siostrzanym uścisku.

— Kiedy zaczynamy? — spytała Sai spokojnie.

Wiatr targał ich włosy, poruszał delikatny materiał sukien.

Julien uniosła lekko głowę, przymknęła oczy, by odpocząły chwilę od smagań włosów.

— Teraz — odparła cicho.

* * *

Kapitan Noren Englehn, mężczyzna o ogorzałej od wiatru twarzy i spojrzeniu oficera królewskiej eskorty był człowiekiem, który niejedno już przeżył na burzliwych wodach mórz i oceanów, choć nie miał jeszcze czterdziestu lat. Niełatwo było go zaskoczyć i nade wszystko cenił sobie wśród swojej załogi dyscyplinę i posłuszeństwo. W zamian jego ludzie mogli być pewni, że zrobi wszystko, co w jego mocy — a nawet powiadano, że więcej — by ratować statek i załogę. Niewielka, trójmasztowa Hydra była niewątpliwie jego ukochanym dzieckiem i nic nie naraziłoby na gniew kapitana bardziej, niż naruszenie jego statku na niebezpieczeństwo.

Otaksował uważnym spojrzeniem garstkę reprezentantów miejscowych, czyli mieszkańców, dbając o to, by na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień; by nie przywołać na usta nieco pogardliwego uśmiechu. Ci ludzie chcieli odbić swoich, walcząc z Ramseyem i jego bandą? Cóż, niektórzy mieli na to jakieś szanse. Innych popchnęła na statek silna motywacja i najwidoczniej tylko ona, ponieważ nie wyglądali na takich, którzy kiedykolwiek trzymali miecz w ręku. Wiedział jednak, że świat wciąż się zmienia, a ludzie słabi, których nikt nie posądzałby o odwagę, niejednokrotnie ratowali życie innych. A ci uznani za silnych upadali czasem dość krwawo i boleśnie, pociągając za sobą wiele istnień. Nigdy nie przesądzał więc sprawy od pierwszego wrażenia.

— Kto chce zrezygnować, odeślemy go na brzeg. Póki jest jeszcze czas — rzekł do ustawionych w szeregu górali i członków swej własnej załogi, wskazując ruchem głowy okoliczne fiordy, pomiędzy którymi płynęli.

Za godzinę mieli znaleźć się na otwartym morzu.

Wymowna cisza po tych słowach znaczyła dla niego wiele. Kapitan przyjrzał się wszystkim po kolei, szukając lęku w ich oczach, lecz ich spojrzenia były nieugięte. Na początku pierwszego szeregu stali, według informacji od bosmana Nata, dwaj przyjaciele uzdrowiciela. Słyszał plotki o przyczynach, dla których znaleźli się na pokładzie statku. Najważniejsze, by bez zbędnej dyskusji wykonywali jego rozkazy. Reszta, na razie, była mniej istotna.

— Od tej chwili — zwrócił się do nowo przybyłych — jesteście członkami mojej załogi. Macie słuchać moich rozkazów. Ja tu dowodzę. Rozumiem wasze motywy i szanuję je, ale jeśli narazicie życie mojej załogi... — zatrzymał na dłużej wzrok na przyjaciółach uzdrowiciela, spoglądając im z uwagą w oczy — ...nie zawaham się przed wydaniem rozkazu, by wyrzucić was za burtę. Hydra nie jest waszą zabawką. To mój statek. Kto nie będzie mnie słuchał... pożałuje!

Znów przeszedł wzdłuż szeregu, jakby sprawdzając, czy wszyscy zrozumieli jego słowa. Gdy ponownie się odwrócił, napotkał spojrzenie jednego z nich.

— Rozejść się! — rozkazał.

Gdy grupa się rozeszła, kapitan skinieniem przywołał swego bosmana i ruchem głowy wskazał na mężczyznę, który podczas przemowy spojrział na niego z taką determinacją.

— Kto to jest? — zapytał.

— Sel Andilo. To jego kochasia porwali, tego z klejno...

— Nie prosiłem o to, Nat! — przerwał mu krótko kapitan.

Bosman umilkł natychmiast, by po chwili już spokojniejszym tonem powiedzieć:

— Przepraszam, kapitanie.

— Ci ludzie nie mają pojęcia o żeglowaniu. Chcę, żebyście nauczyli ich pewnych postaw. Nie będą mi się tu szwendać bez celu po statku, dopóki nie staniemy do walki.

— Tak, kapitanie. Walka jest pewna?

— Wygląda na to, że tak. Broń i działa na pokładzie gotowe?

— Mechanizm kuszy na dziobie jest zepsuty. Nie wypuszcza liny, obraca się z trudem.

— Czemu go nie naprawiono?

— Nie mamy pojęcia, co tam szwankuje. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda dobrze.

Kapitan uniósł nieco swój kapelusz nerwowym ruchem, by natychmiast na powrót osadzić go na głowie, poprawiając ostatnim ruchem dłoni rondo.

— Niedobrze — stwierdził niezadowolony.

— Ajajaj — przytaknął ciemnoskóry bosman. — Niedobrze.

— Panie Andilo! — zawołał kapitan, znów odruchowo dotykając kapelusza.

Sel przerwał rozmowę z pocierającym dłonie z zimna Aleseiem i zbliżył się do marynarzy.

— Słucham, kapitanie?

— Podobno jest pan konstruktorem?

— Można tak powiedzieć, choć niewiele dotąd zrobiłem. Głównie doprowadziłem wodę do pałacu, usprawniłem kuchnię. Ludzie korzystają z moich pomysłów.

— Zna się pan na mechanizmach?

— Lepiej niż inni — odparł ze skromnym uśmiechem Sel, nie wnikając w szczegóły.

Mechanizmy i ich działanie były drugą ukrytą pasją Sela, który jeśli nie szkicował z natury, to projektował po cichu własne pomysły i konstruował modele w jednym z pomieszczeń gospodarczych pałacu Beckertów. Pomoc ofiarom zarazy i związany z tym brak czasu powstrzymywały na razie jego zapędy. Ponieważ jednak świat wracał już do normalności, Sel miał coraz więcej takich chwil, gdy pomiędzy obowiązkami mógł rozwijać swoje pasje. Ross, wyczulony na estetykę,

dbał o wizualną formę tak, by całość nie szpeciła. Zapowiadało to dość dynamiczną przyszłość, zwłaszcza przy wsparciu uzdrowiciela.

— Czy zajmie się pan naszą kuszą?

Sel spojrział na wskazany przedmiot i uśmiechnął się lekko na pokaz. Troska nieustannie zajmowała jego myśli, pomimo pozorów spokoju.

— Zajmę się. Nie lubię czekać bezczynnie, panie kapitanie.

— Doskonale — dowódca wyciągnął do niego dłoń, którą tamten uścisnął, i skinął na bosmana, by wprowadził Sela w szczegóły.

Kapitan przyglądał się im przez chwilę. Wyglądało na to, że Sel zna się na rzeczy, bo po dłuższych oględzinach ustalił, gdzie tkwi problem.

— Trzeba rozbierać — oznajmił krótko.

— Co się stało? — dociekał kapitan.

Sel przywołał gestem trzech mężczyzn stojących obok niego, by lepiej się przyjrzeni trybom nakręcającym naciąg kuszy. Nawet pies okazał pewne zainteresowanie ich działaniami. Bosman pogłaskał go, gdy zwierzę znalazło się obok niego.

— Wewnętrzne koło zębate rozsypało się w drobny mak — oznajmił rzeczowym tonem. — Trzeba je wymienić. Na szczęście mogę uprościć mechanizm, będzie potrzeba mniej kółek — wyjaśnił tak, by zrozumieli. — Potrzebuję kilku narzędzi i godzinę czasu.

— Zrobisz to w godzinę? — zdziwił się Alesei, bowiem podobnie jak i dla pozostałych, dla niego zasady działania kuszy z użyciem kół zębatach i korby były niemal jak magia.

— Może nawet niecałą — mrugnął do niego Sel. — O ile mi pomożesz.

— Róbcie to, co konieczne! — nakazał kapitan, w duchu szczerze zaskoczony umiejętnościami Sela.

Sel zauważył jego ukryty podziw, lecz udał, że niczego nie dostrzega. Już zaczynał lubić tego kapitana, który pozornie był wymagający, ale wewnątrz miał w sobie ducha prawdziwego łowcy przygód. Świadczyła o tym choćby jego natychmiastowa zgoda na udział w niebezpiecznej wyprawie i śmiesznie niska zapłata, którą za to przyjął. Bosman tłumaczył się chęcią pomocy i sympatią do uzdrowiciela, ale Sel wiedział swoje. Czuł, że stworzą dobry duet.

ROZDZIAŁ 5 — GOSPODA POD JEDNOROŻCEM

Minęło południe tego fatalnego dnia. Na pozór życie toczyło się jak dawniej, lecz w każdym domu czy zagrodzie, każdym namiocie przybyszów, który pozostał w osadzie, broń trzymano w pogotowiu. Widok miecza nikogo już nie zaskakiwał. Matki strofowały dzieci, by zachowały czujność i nie zbliżały się do obcych. Górale czujnie mierzyli wzrokiem przybyłych po pomoc uzdrowiciela ludzi, których obóz wciąż mieścił się w środku miasteczka, choć ich liczba drastycznie się zmniejszyła.

Mróz wciąż mocno trzymał, choć w Wermodzie nieśmiało pojawiły się pierwsze oznaki wiosny. W górach zawsze odczuwano ją z opóźnieniem. Jasny, wyjątkowo słoneczny dzień przeczył ponuremu nastrojowi w miasteczku.

Milczący stał na zewnątrz jednego z takich namiotów wraz z Waszebą. Wiwan pomimo poczucia zagrożenia postanowił nie ignorować próśb o pomoc ze strony potrzebujących ludzi.

Pafian towarzyszył mu wewnątrz.

— Siostra, ale tak szczerze... — zwrócił się do niej — Czujesz coś do niego?

Waszeba spojrzała na niego. Ten sposób zwracania się do niej od lat nacechowany był czułością, nie błędem językowym. Pod rzekomo aroganckim milczeniem i dumą jej brat ukrywał swe dobre serce.

— Nie wiem — odparła — Za to wiem, że mój brat polubił tych ludzi.

— Wiesz, że ja...

— Wiem, Solai, braciszku — uśmiechnęła się ciepło — Ty nie chcesz się angażować.

— Oni umierają — zauważył ponuro blondwłosy elf.

Waszeba знаła przyczynę tego nastroju. I związaną z tym bolesną tęsknotę.

— Czasu nie da się zatrzymać — szepnęła.

— Niepotrzebne gadanie! — prychnął gniewnie — Puste słowa!

— Tylko tak przetrwamy. Jeśli będziesz jedynie widzem, życie nabierze gorzkiego smaku. Będziesz cierpieł bardziej. Tego bólu nic nie ukoi, aż do chwili, gdy postanowisz umrzeć.

Milczał.

— Tylko inni ludzie ukoją tęsknotę za tymi, co odeszli — dodała.

Znów odpowiedziała jej jedynie cisza.

— Pozwól sobie na to. Ciesz się chwilami, które z nimi spędzisz.

— I pozwól im umrzeć...

— Skoro takie jest życie śmiertelnych...

Umilkli.

— Nie lubią mnie — powiedział cicho. — Nikt poza twoim uzdrowicielem nie darzy mnie sympatią.

Zignorowała przytyk.

— Nie pozwalasz na to — odparła — Nikogo do siebie nie dopuszczasz. Zdradź swoje prawdziwe imię, wyciągnij rękę. Pomóż im. Mayene ukrywa się gdzieś w pobliżu. Możesz pomóc ją znaleźć. Potrafisz to zrobić.

Widziała, że rozważa w duchu jej propozycję. Wiedziała, że musi być cierpliwa. Musi poczekać, aż przestanie zmagać się sam ze sobą.

Wreszcie odwzajemnił jej spojrzenie.

— Zgoda. Zaryzykuję raz jeszcze.

Uśmiechnęła się do niego z czułością.

— Więc na co czekasz? — zapytała. — Idź. Znajdź Mayene.

Westchnął ciężko, z udawaną rezygnacją.

Po chwili już go nie było.

* * *

Wiwan uśmiechnął się pokrzepiająco do leżącej kobiety, trzymając rękę na jej obrzmiałym brzuchu. Była bardzo młoda, podobnie jak jej mąż. Zatraskani rodzice obojga stali obok Pafiana, przejęci niepokojem.

Od początku, odkąd wszedł do tego namiotu, nawiązał nić porozumienia z matką młodego mężczyzny, kobietą, której oczy zdradzały pewne doświadczenie życiowe. Teraz nawiązał z nią kontakt wzrokowy, szukając porozumienia w trudnej sytuacji. Zrozumiała jego spojrzenie. Z troską i współczuciem podszła do swego syna, czekając w milczeniu, aż uzdrowiciel ujawni prawdę. Młoda matka także coś przeczuwała. Uzdrowiciel sprawił, że ból minął i mogła wreszcie jasno myśleć, dlatego była w pełni świadoma, że z dzieckiem stało się coś złego. Bała się tej prawdy. Jej oczy szukały pokrzepienia w oczach matki, która trzymała ręce przy twarzy, gotowa wybuchnąć głośnym płaczem. Wiwan czuł, że to ostatnie, czego teraz było potrzeba dziewczynie i zgromadzonym krewnym. Ten histeryczny szloch nie pomoże, jedynie wywoła rozdrażnienie i rozdrapie rany na duszy jeszcze bardziej, dlatego zwlekał z odpowiedzią. Ujął rękę młodej matki, jakby chciał dodać jej siły. Uścisnęła ją mocno. Jej oczy już pełne były łez. Już czuła...

Przymknął oczy i pozwolił, by w jego pamięci ożyły kojące obrazy wspomnień. Wspólne rozmowy przy stole. Wieczne posiedzenia rodzinne na tarasie. Opowieści dziadka i przejęci nimi słuchacze. Noc, gdy przez wariacki pomysł chodzili z Pafianem po dachach. Sai i Oliwier. Śmiech Rossa. Ostatni wieczór, gdy wracali do domu z królewską eskortą. Alesei i jego pies, zwany jak dotąd po prostu psem...

Dobry nastrój, jaki wywoływały te wspomnienia, z wolna wpłynął na

towarzyszących mu w namiocie ludzi, niczym opary niezwykle przyjemnych dla nozdrzy perfum. Matka młodej ciężarnej uspokoiła się. Jej ojciec, podobnie jak teść, wyprostował się, gotów przyjąć to, co przyniesie los. Młody mężczyzna usiadł po drugiej stronie łoża i przytulił żonę, trzymając ją za drugą rękę.

— Jak masz na imię? — zapytał cicho Wiwan, a matka mężczyzny usiadła przy nich.

— Nelsa — odparła cicho dziewczyna, dzielnie próbując powstrzymać łzy i ściskając rękę męża.

Wiwan odczekał jeszcze chwilę, by smutek zastąpił rozpacz. Pafian zawsze podziwiał w nim siłę, która pozwalała mu w takich chwilach jak te przekazać złe wieści ze spokojem i troską, bez nadmiernego współczucia.

— Nelso — zaczął Wiwan, a jego melodyjny głos kołował myśli zgromadzonej rodziny. — Niestety... twoje dziecko nie żyje. Okręciło się pępowiną. Muszę je wyjąć, inaczej umrzesz. Pozwól nam je pochować.

Nelsa spojrzała z przerażeniem na niego, potem na męża i pozostałych. Obecna przy niej kobieta pogłaskała ją pokrzepiająco po twarzy. Matka, dzięki Wiwanowi znacznie spokojniejsza, w milczeniu przytuliła ją do siebie. Poczł delikatny dotyk. Kobieta o mądrych oczach dotknęła jego dłoni. Pafian westchnął cicho.

— Panowie — Wiwan zwrócił się cicho do mężczyzn, podczas gdy kobiety płakały. — Mój brat wyprowadzi was na zewnątrz. Zaczekajcie tam. Spotkam się z wami jeszcze — spojrzał ciepło na młodego mężczyznę.

Ten skinął ze zrozumieniem głową i pocałował pograżoną w żalu żonę. Wyszepiali do siebie jakieś słowa, pełne czułości i oddania, nim wyszedł za Pafianem jako ostatni.

— Czy potrzebuje pan czegoś, panie hrabio? — zapytała cicho matka dziewczyny.

— Nie używam żadnych narzędzi — uspokoił przede wszystkim przerażoną dziewczynę. — Potrzebuję tego samego, czego używamy przy porodzie. Gorącej wody. Ręczników... — nie wspomniał, że w sumie na niewiele mu się to przyda. Chodziło raczej o to, by je czymś zająć — To nie będzie bolało — zapewnił wszystkie, gdy patrzyły na niego z mieszaniną żalu, grozy i zdumienia. — I nie potrwa długo.

— To znaczy? — zapytała młoda kobieta.

Wiwan skinął głową starszym, które rozpoczęły przygotowania. Matka męża Nelsy wyszła z namiotu, by przynieść gorącą wodę.

Dotknął czułym gestem jej czoła.

— Zaśnij — szepnął do niej, a kiedy pod wpływem dotyku jej oczy zaczęły się zamykać, dodał ciepło: — Zadbam o to, byś mogła jeszcze kiedyś urodzić dzieci. Tak dużo, jak będziesz chciała. Teraz wszystko już będzie dobrze...

Nim zdążyła powiedzieć choć słowo, zasnęła.

Gdy już wszystko było przygotowane, zapytał jeszcze:

— Kto zabierze chłopca?

Przejęte kobiety spojrzały po sobie, zaskoczone tymi smutnymi wieściami.

— Ja — odparła kobieta o mądrych oczach. — Zajmę się nim. Ty zajmij się córką — spojrzała na drugą.

Matka Nelsy skinęła głową w milczeniu. Gdyby Wiwan im nie pomógł, z pewnością zachowałyby się inaczej. Nie miałyby w sobie tej siły.

Wiwan przez cały czas trzymał rękę na brzuchu ciężarnej, by uchronić ją przed bólem. Żałował jedynie, że nikt nie może uchronić jego samego przed tym potwornym widokiem. Zabronił Pafianowi wchodzić do namiotu.

Przesunął delikatnie ręką po skórze. A potem palcem wskazującym wyznaczył sobie szlak, jaki zrobiłby zapewne nóż albo sztylet. Pod pozostałymi palcami dłoni zapulsowała energia, otaczając ochroną ciało niedoszłej matki, przejmując kontrolę nad całym życiowym procesem. Białka oczu uzdrowiciela zaślniły intensywną bielą pod wpływem pulsującej mocy, niczym budzącego się wulkanu.

Kobiety patrzyły na niego, nie śmiąc przerwać ciszy głębszym westchnieniem. Ciało uległo dotykowi jego dłoni. Obrócił nią na bok, by małym palcem delikatnie przejechać wzdłuż wyznaczonego sobie szlaku, a wtedy, w niezwyklej ciszy, ręka zagłębiła się powoli, jakby wchodziła w ciasto, a nie w pulsujące ciało. Szczelina rozwarła się szerzej za sprawą ruchów dłoni. Nie było jednak śladu krwi.

Wiwan wstrzymał oddech. Poczuł pod palcami delikatne ciało martwego dziecka. Z wysiłkiem zapanował nad sobą, dla dobra obserwujących go z napięciem kobiet. Poczuł, jak skórę oblewa mu pot.

A wtedy znów delikatny dotyk przyniósł mu pokrzepienie. Mądre oczy kobiety spoglądały na niego ze zrozumieniem, jej sympatia była niczym kojący balsam.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

— Przygotujcie się — rzekł cicho.

* * *

— Po trzech miesiącach, bo tyle się znamy, przychodzisz nagle znieenacka i ofiarowujesz pomoc w znalezieniu Mayene, jak gdyby nigdy nic, i na dodatek wypowiadasz przy tym więcej słów, niż kiedykolwiek od ciebie słyszałam! — wyrzuciła z siebie zdenerwowana Julien zza parawanu, za którym się przebierała — Co się stało? Piłeś?!

Sai zauważyła, że słysząc ten potok słów, elf zaczyna się lekko uśmiechać.

Temperament przyjaciółki podobał się niejednemu mężczyźnie.

— Byłem małomówny — powiedział, decydując się na szczerość — i przez to trochę oschły...

— Trochę?

— Tak. To dlatego że przywiązuję się do przyjaciół... ludzi. A oni, gdy przyjdzie ich czas, umierają... To boli — dodał po chwili milczenia.

Sai posmutniała. Dobrze rozumiała jego słowa. Tęsknota za Leną wciąż bolała, pomimo że była teraz z Oliwierem szczęśliwa, a jego obecność była dla niej prawdziwym ukojeniem.

— Kiedy odeszli?

Milczący spojrział w jej niezwykle piękne oczy.

— Zesłej wiosny umarł mój najbliższy przyjaciel — odparł. — Dożył sędziwego wieku.

— Miał dobre życie?

Skinął potakująco głową.

Julien wyszła zza parawanu przebrana za brata, przerywając ponury nastrój.

— Znajdę ją po śladach magii — zwrócił się do niej — i natychmiast was powiadomię.

— Pójdę z tobą.

— Pamiętaj, że biją w tobie dwa serca — upomniał ją delikatnie. — Pozwól mi to zrobić. Wrócę, by przekazać wieści. Znam kilka magicznych sztuczek. Będziesz miała swoją okazję, czuję to. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

Spojrzała na niego, tknięta nagłym wspomnieniem.

Ross mówił podobnie.

— Mam dla ciebie inne zadanie. Chodzi o człowieka. Nie wiem jeszcze, co dla niej robi, ale na pewno spotykają się. Mieszka w gospodzie Pod Jednorożcem.

— Jak wygląda?

— Wysoki, ciemnowłosey. Ma szare oczy. I magiczną bransoletę na lewym nadgarstku. Nie wiem czego dotyczy wygrawerowane na niej zaklęcie, ale na pewno ma nad nim władzę. Niepodporządkowanie się jej zadaje mu ból.

Julien spojrzała z lękiem na Sai, która podzielała to uczucie. Obie rozpoznały go z opisu.

— O co chodzi? — zapytał elf, zaniepokojony ich zachowaniem. — Znacie go?

— Tak — wyszeptała Julien. — To Tenan.

— Na pewno? — wyszeptał elf nadal nazywany Milczącym, gdy dyskretnie przyjrżeli mu się przez okno w gospodzie.

Julien kiwnęła potakująco głową. Tenan niewiele się zmienił. Nadal nosił czyste aż do przesady ubranie, a jego oczy przypominały sople lodu. Wydawały się nawet jaśniejsze, niż je zapamiętała, co sprawiało, że pozostali bywalcy gospody i

podróźni trzymali go na dystans. Spojrzenie, jakim obdarzał ludzi, nie skłaniało do nawiązywania znajomości. Ponieważ przed przybyciem dziewczyny opowiedziały mu w skrócie historię Tenana i jego przynależności do bandy rzezimieszków, której przywódca szczególnie upodobał sobie Oliwiera na ofiarę, Milczący lepiej rozumiał zagrożenie wynikające z jego kontaktów z Mayene. Zdażył niedawno je zauważyć. Skrywał w sobie mroczną tajemnicę, której ujawnienie było jedynie kwestią czasu. Tenan to bandyta i okrutny zabójca, a więc na pewno nie spotkał się z wiedźmą dla przyjemności.

— Mayene tu nie ma — powiedzieli Sai i Julien, gdy ukryli się na tyłach. — Ale jest w pobliżu. Na targowisku.

Przed wybuchem zarazy plac na środku portowego miasteczka uzdrowiciela był targowiskiem, do którego ścigało coraz więcej kupców z całego królestwa i morza. W czasie zarazy targowisko przestało istnieć, a na jego miejscu postawiono namioty przybyłych po pomoc ludzi. Stopniowo migracja przybyszów sprawiła, że namioty ustawiono w niemal każdym wolnym skrawku miejsca w mieście. Od miesiąca ich liczba znów skurczyła się do kilkunastu na placu targowym.

— Wyczuwasz to? — spytała Julien z ciekawością.

— Mówiłem, że wyczuwam magię.

— Zwykle o tej porze Wiwan leczył potrzebujących na targowisku — przypomniała przejęta Sai.

Obie spojrzały prosząco na młodego elfa.

— Tak — odparł na ich niemą prośbę. — Pójdę już — zerknął na trójzębną, ukrytą pod płaszczem broń z dziwnie wydłużonym środkowym kolcem, którą Sai nazwała swoim imieniem. Sai wiedziała, co chce przez to powiedzieć.

— Zaczekaj! — Julien złapała go za ramię, nim odszedł — Wciąż mamy na ciebie mówić: Milczący? Przyznaję, że po twoich dzisiejszych wyznaniach to wydaje się po prostu głupie...

— Julien... — pokręciła głową Sai na słowa przyjaciółki. — To chyba nie wypada...

Blondwłosy elf skłonił się im lekko, uspokajając ją gestem.

— Jestem Dinnaroth — uśmiechnął się uprzejmie.

Rozczarowanie na twarzy dziewcząt było bardzo wymowne. Omal nie wybuchnął śmiechem.

— Po prostu mówcie mi Dinn — powiedział miękko. — Ja także nie lubię tego imienia. Ojciec chciał trzymać się tradycji.

— Dinn — powiedziała Sai, pierwsza wyciągając rękę do uścisku. — Brzmi o wiele lepiej.

Wyczuł nagniotki na jej dłoniach, pozornie tak delikatnych.

Broń Sai nie była jedynie ozdobą.

— Mamy po prostu tak stać i czekać? — zapytała Julien po jego odejściu —

To może potrwać!

— Jak inaczej chcesz się dowiedzieć, czego chce Mayene?

— Oszaleję, jeśli zejdzie nam do wieczora! — zdenerwowała się Julien. —

Może po prostu tam wejdę i ...

— I co?

— Jestem mężczyzną, nikt mnie nie pozna!

Sai spojrzała na nią wymownie. Julien westchnęła ciężko.

— No tak. Czy będę Oliwierem czy nie, o n mnie rozpozna.

Sai zastanowiła się przez chwilę.

— Tenan nie zdradza w łóżku swoich emocji — zauważyła w zadumie, na co Julien zmierzyła ją spojrzeniem. — Tak słyszałam — odparła spokojnie, z uśmiechem niosącym w sobie ślady dawnego życia. — Ma do ciebie słabość.

Julien wzruszyła ramionami.

— Pafian twierdził podobnie — odparła, zerkając na ściany gospody, jakby mogła przeniknąć je wzrokiem i ujrzyć go siedzącego samotnie przy stole, jak przed chwilą. Nagle przyłapała się na myśli, że czuje żal. Żal, że on siedzi teraz sam, a ludzie boją się do niego podejść...

— Postradałaś rozum?! — zdziwiła się Sai, widząc jej spojrzenie. — To morderca. Zabił twoją najlepszą przyjaciółkę, żonę Sela! Potem dwoje służących, których znałaś od dziecka, i kto wie kogo jeszcze! Chciał mieć cię jak rzecz i wierz mi, gdyby nie to, co się stało, na pewno byłabyś już jego dziwką! Jak w ogóle możesz o nim myśleć w ten sposób?!

— W jaki, Sai? — próbowała się bronić. — Niczego nie pomyślałam...

Sai umilkła. Spoglądała na nią wzrokiem, w którym kryło się życiowe doświadczenie.

— To morderca — szepnęła.

Julien unikała jej wzroku.

— Pamiętam — odparła, starając się, by ton jej głosu wskazywał na pewność siebie.

Myślała o tym niejednej nocy. Przypominała sobie jego czyny, gdy był w bandzie Morena. Ten chłód, brak jakichkolwiek ciepłych uczuć.

I Milerę. Milerę, której zawiesił pętlę na szyi i bez chwili wahania wypchnął przez okno.

Milerę, która leżała z rozbitą głową na bruku przed jej domem.

Zakryła oczy Sela, by odegnąć z jego myśli widok martwej przyjaciółki, która zaledwie miesiąc wcześniej została jego żoną.

Jak mimo to mogła....?

Dlaczego o tym myślała?

Dał jej Klejnot Nadziei, wtedy jeszcze należący do Wiwana, a któremu to zerwał go z szyi.

Pafian powiedział, że uczucie musiało być prawdziwe, inaczej Klejnot nie miałby teraz wartości. Miłość, choć nie tylko Tenana, obdarzyła klejnot mocą.

Tenan wręczył go jej z miłości.

Dinn wyznał, że nieposłuszeństwo wobec bransolety wywołuje w nim ból.

A jeśli to uczucia powodują, że Tenan jest nieposłuszny woli magicznej bransolety?

„Chciałem tego dla ciebie”... Pamiętała te słowa.

Pamiętała...

Nawet Sai nie kwestionowała tych uczuć. Powiedziała, że Tenan ma do niej słabość. Jego uczucie było szczere. Ten smutek w jego oczach...

— Sai — przywołała ją do świata żywych. — Tenan jest więźniem bransolety. Zastanów się. Oddał mi klejnot. Powiedział, że chciał go zachować dla mnie.

— Zerwał go Wiwanowi z szyi!

— On — Julien była pewna wyznania, które miało za chwilę paść z jej ust. — Nie powinien pragnąć niczego dla innych. Nie powinien. Człowiek, który nie ma w sobie ludzkich uczuć nie pragnie, lecz kieruje się zaspokojeniem własnych potrzeb. To męczyzna taki jak inni. Gdy przychodził do Domu Rozkoszy, zaspokajał swoje potrzeby i wychodził, prawda? Nawet nie używał słowa „dziękuję”.

— Ty chyba nie rozumiesz... — zaczęła Sai, lecz Julien przerwała jej nerwowo.

— Poczekaj! Zawsze spełniał wolę Morena. Zabijał na jego polecenie. Milerę także zabił na jego polecenie. Taka była wola Morena. Chciał, by Sel znów był wolny. Zabił ojca Sela także na jego rozkaz. Wykonuje rozkazy, nawet najbardziej okrutne, ponieważ musi! Ale klejnot zabrał sam. Nie wrócił z nim do Morena. Oddał go mnie! Sai, klejnot podąża za miłością. Ross mówi, że klejnot ma świadomość. Tenan mnie kocha.

— To nie jest dobre uczucie — odparła Sai. — To zły człowiek. On cię zabije. Zgwałci i zabije. Oto jego miłość!

— Bardzo łatwo to sprawdzić — odparła Julien ze śmiertelnym spokojem. — Dowiemy się, czego od niego chce Mayene i co naprawdę do mnie czuje. Sprowokuję go.

— Oszalałaś?!

— Będiesz w pobliżu — Julien spojrzała na nią. — Jeśli będzie chciał mnie skrzywdzić i zabić, jak mówisz, wtedy go zabijesz!

* * *

Gospoda Pod Jednorożcem oferowała pokoje gościnne na piętrze. Ostatni,

dość mały, z widokiem na stajnie, zajmował Tenan. Najwyraźniej nie zależało mu na widoku pięknych fiordów czy zatoki, czy nawet pałacu uzdrowiciela na wzniesieniu. Prawdopodobnie jednak stęsknił się nieco za towarzystwem, co tłumaczyłoby dlaczego zjadł obiad na dole, a nie w swoim pokoju, w odosobnieniu. Choć ludzie trzymali się od niego z daleka, ich obecność mu wystarczyła. Skłaniającej się do swojej teorii sercem Julien i jej nieufnej towarzysze to wyjaśnienie wydawało się prawdopodobne.

— A Dinn martwił się, że większe niebezpieczeństwo grozi ci przy Mayene — zauważyła Sai, gdy weszły dzięki uprzejmości oberżysty do pokoju Tenana. Sai, którą Tenan znał słabo i nawet nie zauważył w tłumie gości, porozmawiała z życzliwym oberżystą, który oczywiście ją znał jako przyjaciółkę uzdrowiciela, a potem wciągnęła Julien przez otwarte okno.

— Na wszelki wypadek... — Julien sięgnęła po ukryty na piersi flakonik z krwią uzdrowiciela — użyję go, gdy będzie nadchodził...

— Jesteś szalona — zauważyła Sai.

— To chyba rodzinne.

Uśmiechnęły się do siebie.

Julien delikatnie dotknęła ramienia przyjaciółki.

— Nie martw się — powiedziała ciepło. — Mój brat jest jak kot. Nie da sobie zrobić krzywdy. Może nawet o nim coś słyszałaś. Nazywano go Kotem z Wermodu. Sprytnie uciekał po dachach i murach tuż przed nosem bandy.

— To on jest tym chłopakiem, który wszedłby nawet na szklaną górę?! Tak mówiono o Kocie. Słyszałam o nim. Dziewczyny z domu chciały go zobaczyć z bliska. Podobno przesiadywał na dachach w pobliżu Domu Rozkoszy. Więc to on... — Sai pokręciła głową z niedowierzaniem. — Nie wspominał o tym.

„Ponieważ chodził tam, by oglądać ciebie i Lenę”, pomyślała w duchu Julien. Działo się to w czasach, gdy jeszcze nie mieli przed sobą tajemnic. Julien wiele wiedziała o tajemnych tęsknotach swojego brata bliźniaka. Wiedziała jednak też, dlaczego nie zbliżył się wtedy do tych kobiet. Do tej pory ubolewała nad jego samotnością przez te wszystkie lata. Na szczęście pomoc Wiwana przerwała tę udrękę. Czasem myślała, jak dziwnie układał się dotąd ich los. Jej brat ukradkiem obserwował dwie piękne kobiety w Domu Rozkoszy, gdy tymczasem ich przyjaciel Sel spotykał się z nimi nad ranem, kiedy to kończyły obsługiwać klientów. Potem sypiał pomiędzy nimi w łóżu. Rysował nawet ich portrety. Tak niewiele było trzeba, by Oliwier i Sai poznali się wcześniej. Tylko jaki wtedy byłby ich los? Czy teraz nie było im łatwiej żyć?

Gwizd od strony stajni uświadomił im, że pora się przygotować. Chłopak stajenny zagwizdał tylko raz. To oznaczało, że Tenan wraca sam do pokoju. Sai szybko spojrzała na zdenerwowaną przyjaciółkę.

— Pamiętaj, co ci mówiłam o mężczyznach — przypomniała jej rozmowę,

którą przeprowadziły kiedyś w domu. — Dotyk to magia. Nie bądź nachalna. Dotykaj go, ale głównie patrz mu w oczy.

Usłyszały kroki na korytarzu.

— Jestem tu — szepnęła pocieszająco i pośpiesznie ukryła się pod łóżem, naciągając nieco narzutę. Julien zdjęła niewielki zarost i pośpiesznie sięgnęła po flakonik z krwią. Upiła spory łyk, jakby chodziło o rum, by dodać sobie odwagi.

— Będzie dobrze — szepnęła do siebie.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Tenan, zabójca Milery...

* * *

Ujrzenie zaskoczenia na jego twarzy i błysk w oku, gdy po chwili odkrył tożsamość mężczyzny w jego pokoju było dla Julien bezcennym przeżyciem, ponieważ na tę jedną krótką chwilę w oczach Tenana nie zobaczyła typowego dotąd chłodu i wyrachowania, lecz spontaniczną radość. Trwało to krótko, ale utwierdziło ją w teorii na temat jego osoby i połączenia z bransoletą na rękę. Nim Tenan zapanował nad sobą, kąciki jego ust uniosły się w powitalnym uśmiechu, ale nie był to perfidny uśmiech. Niestety, zaraz potem jego usta zacisnęły się, a ciało napięło.

Ból przeniknął go jak strzała. Widziała to wyraźnie.

Czemu nie zauważyła tego wcześniej, gdy chodził za Morenem?

Ponieważ wtedy budził w niej odrazę. Odkąd jednak podejrzewała, co kryje się za jego chłodem, obudził w niej zupełnie inne uczucia.

Sięgnęła po perukę i zdjęła ją.

Kaskada czarnych długich włosów sięgających do pasa nie umknęła uwadze Tenana, choć starał się nad sobą panować. Sai miała rację. Jeśli kobieta podoba się mężczyźnie, to ten mimowolnie śledzi każdy jej ruch.

Męskie ubranie wywołało w nim lekkie uniesienie brwi.

— Dalej proszę — powiedział na pozór spokojnie — Bardziej interesuje mnie to, co masz pod tym kaftanem — przeszedł obok niej, by oprzeć się o stół. — Zaczynij się rozbierać.

Przez twarz Julien przeszła iskra gniewu.

„Jeszcze czego!” — powiedziały mu jej oczy.

Twarz Tenana na dobre przybrała dawny wyraz obojętności.

— Po co przyszłaś? — zapytał.

— Od dawna jesteś w mieście? — spytała bez ogródek, ściągając delikatny zarost przyklejony do twarzy. Tylko chwilę wahała się, czy podejść do niego. Sai miała rację. Brakowało jej obycia z mężczyznami. Może dlatego, że dotąd jedynie się z nimi całowała. Dzielenia łóżka z Rossem w żadnym razie nie można było nazwać intymną relacją. Był dla niej jak brat, pomimo jednego pocałunku, który

nastąpił w dość niezwykłych okolicznościach.

— To chyba nie jest twoja sprawa — odparł zimno.

Stała przy nim.

— Czemu tu przyjechałeś?

„I dlaczego dopiero teraz?” — dodała w myślach — „Gdzie byłeś wcześniej?”

— Statki wypływają stąd na pełne morze — odparł lakonicznie.

„Wermod jest niedaleko od morza” — odpowiedziała mu w myślach, przechylając głowę z przekorą — „Mogłeś wypłynąć stamtąd”.

— Nieprawda — powiedziała głośno, nim przemyślała odpowiedź.

— Nieprawda, że statki wypływają stąd na pełne morze? — udał zdziwienie, kpiąc sobie z niej wyraźnie.

— Nie po to tu jesteś — nie dała się sprowokować.

— Masz rację, nie po to.

Ta prosta odpowiedź zbiła ją nieco z tropu.

— Co robisz dla Mayene?

Nie okazał zdziwienia. Gdyby to było możliwe w ludzkiej naturze, najchętniej niczego by po sobie nie okazał. Ale będąc z daleka od Morena, sam, zdany tylko na siebie w tym pokoju, okazywał więcej swobody w zachowaniu.

Milczał chwilę, patrząc na nią. Dzielnie wytrzymała spojrzenie jego szarych oczu, tak dziwnie nieludzkich.

— Przychodzi tu odkąd przyjechałem — odparł. — Pieprzy się ze mną co noc.

Niemal słyszała głos Sai w swojej głowie. Te słowa miały ją jakoś poruszyć, może nawet zboleć. Tak, domyślała się tego.

— Od dawna tu jesteś? — spokojnie powtórzyła pytanie.

— Od trzech dni.

Tenan nie wykręcał się od odpowiedzi. To było trochę dziwne.

— Tylko tego chce?

— Nie.

— Więc czego jeszcze?

— Jestem zabójcą, Julien. Nie wierzę, że zapomniałaś.

Wypowiedział jej imię dziwnie miękko. Jakby upominał małą dziewczynkę. Jakby chciał jej powiedzieć: „Uważaj, z kim rozmawiasz. Jestem niebezpieczny. Zabieraj się stąd, póki możesz”.

— Kogo masz zabić?

— Jeszcze mi nie powiedziała.

— Zrobisz to?

— Zawsze to robię. To moja praca.

— Nawet jeśli będzie chodzić o moich przyjaciół?

— Nic dla mnie nie znaczą.
— A ja? Mnie także zabijesz?
— Oczywiście. Wchodząc tu, sama podpisałaś na siebie wyrok. Zabiję cię tutaj.

Chłód jego słów przejął ją dreszczem.
— Wiedzą, że tu przyszłam.
— Co z tego? Będziesz już martwa.
— Zabiją cię za to.
— Powodzenia.
Ta obojętność...
— Dałeś mi wisior Wiwana.
— To nie uchroni cię przed śmiercią.
— Tenanie... — wyciągnęła rękę i ostrożnie położyła ją na jego dłoni. — Nie proszę cię o łaskę.

— A może powinnaś? Twoja nagła śmierć zabije Oliwiera.
„To wszystko ma wzbudzić we mnie strach — pomyślała. — Więc czemu się nie boję?”

Nie stracił jej dłoni ze swojej. Nawet się nie poruszył.
Patrzyła w oczy zabójcy.
Wiedziały już część tego, czego chciały się dowiedzieć.
Jak ma przebić się przez to jego zimne spojrzenie i udowodnić Sai, że Tenan jest niewolnikiem bransolety? Widząc jego zachowanie i przypominając sobie, co zrobił Milerze, sama zaczęła wątpić...

On ją zabije. Nie będzie miał wyboru. Chyba że Sai go uprzedzi. Wtedy ona zabije jego. I nikt nigdy nie dowie się prawdy...

Poczuła łzy. Zamrugowała zaskoczona, a wtedy spłynęły po jej policzku. Twarz Tenana zmieniła się z obojętnej w zaskoczoną i wstrząśniętą. Wyciągnął rękę i dotknął spływającej łzy. Wstrzymała oddech.

A potem nagle przeszył go ból, większy niż przedtem. Ból, który wywołał gniew. „Uważaj — mówiła jej Sai, gdy omawiały plan działania. — Jeśli Tenan odkryje, że wiesz o jego powiązaniu z bransoletą i pomyśli, że robisz to po to, by cierpieć — może cię nawet zabić”.

Tenan pomyślał o tym.
W mgnieniu oka przestał być powściągliwy.
— Wydaje ci się, że masz mnie w garści, co?! — krzyknął. — Że coś na mnie masz?

Wstał gwałtownie przy tych słowach, chwytając ją za ramiona. Szarpnął nią w stronę łóża, a następnie brutalnie rzucił. Ból najwyraźniej minął w czasie gniewu, lecz wspomnienie o nim sprawiło, że wciąż kłębiły się w nim gwałtowne emocje. Zerwał z siebie kaftan i rozerwał nieskazitelnie czystą koszulę.

Julien przeraziła się. Nie spodziewała się, że będzie miał taką siłę. Rzucił się na nią i obiema rękami przytrzymał jej ręce, przygniatając do pościeli. Czowała jego ciężar na swoim ciele. W szarpaninie widziała jego muskularny tors i włosy na piersiach. Czowała zapach, który działał na nią zupełnie inaczej, niż w tych okolicznościach powinien. Upajał. Zrozumiała, że poważnym błędem było wypicie krwi uzdrowiciela przed spotkaniem z mężczyzną, który w pewien sposób na nią działał. Krew Wiwana już dała o sobie znać, gdy zażył ją Oliwier. Ona także nie była wolna od jej działania, o czym już się przekonała. Jej własna krew zaczęła się burzyć, ciało obudziło się do ukrytych dotąd doznań. Ruchy Tenana, który dążył do zastraszenia swojej ofiary i zniewolenia siłą, zamiast strachu wzbudziły w niej podniecenie. Przestała się bać. Przecież nie będzie cierpieć, gdy w jej krwi krąży uzdrowicielska krew Wiwana. Jej ciało reagowało wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Policzki pokrył rumieniec.

— Kobieto — wycedził przez zaciśnięte zęby Tenan. — Jeszcze pożałujesz, że nie umarłaś od razu!

Zaczekała, aż jego usta znajdą się wystarczająco blisko. Poderwała się i sama sprowokowała pocałunek.

Myśląc, że Julien gra z nim w jakąś grę, by zyskać sobie jego przychylność, podjął ją i rozchylił wargi do pocałunku. Niemal słyszała jego myśli. Skoro chciała go pocałować, czemu nie skorzystać?

Tenan nie wiedział, że w życiu Julien był już jeden człowiek, który myślał, że nie ulegnie nigdy pocałunkowi kobiety...

Siła działania krwi Wiwana upoiła go jak wino. Przyłgnał do jej ciała z cichym jękiem, spragniony jej ust. Uległ jej pocałunkom jak Ross, nie mogąc i nie mając siły, by się temu oprzeć. Wreszcie oderwał się z wysiłkiem, puszczając ją. Uniósł się nieco, a wtedy w blasku dnia z okna z widokiem na stajnie wyraźnie zobaczyła z bliska jego oczy.

Były bursztynowe.

Takiego koloru oczu jeszcze nie widziała. Czasem mówiono, że kolor ten przypomina stare złoto, ale wszyscy, którzy handlowali bursztynem i wyrabiali z niego biżuterię, jak niegdyś jej ojciec, mówili, że ci szczęśliwcy mają właśnie jego kolor i piękno.

Bursztyn.

Zapatrzyła się, zatoneła w tych oczach...

— Bursztynowe... — szepnęła w zachwycie.

Zastygł w zdumieniu na te słowa. Kątem oka Julien spostrzegła jakiś ruch tuż za jego głową. Zerknęła.

Za Tenanem stała Sai.

Jedno z jej niezawodnych ostrzy znajdowało się kilka centymetrów od jego szyi. Wsparta kolanem na łożu, tuż za nim, drugą rękę z ostrzem uniosła nieco,

przygotowując się do zadania dwóch ciosów.

Raz za razem.

Od śmierci dzieliły Tenana tylko słowa wypowiedziane przez Julien o jego oczach. To one powstrzymały Sai od ciosu.

Tenan spojrział na nią, jakby rozpaczliwie próbował przeniknąć jej myśli, odgadnąć jej uczucia. Poczowała drżenie jego ciała.

— To zemsta, prawda? — zapytał cicho, z rezygnacją i smutkiem. — Chcesz, żebym zapłacił za śmierć Milery?

Czekał na jej odpowiedź. Był jej pewny. Może nawet oczekiwał, że Julien wykrzyczy mu ją w twarz z okrutnym śmiechem?

Dotknęła jego policzka.

Sai opuściła broń i spojrzała na jego rękę. Pod rękawem zalśniło złoto.

Bransoleta.

— Jak cię uwolnić? — zapytała szybko Julien. — Tenan! Wiem o bransolecie! Jak ci pomóc?!

Czoło Tenana zalśniło od potu. Z wysiłkiem powstrzymywał się, by nie jęknąć z bólu, który z wolna narastał. Jeśli nasycona ciepłem radość sprawiała, że ból przenikał go na wskroś, jeśli czułość wywoływała cierpienie, to co mógł zrobić z nim przepełniony uczuciem, namiętny pocałunek?

Zapewne sprawi, że będzie błagał o śmierć, skręcając się w straszliwych konwulsjach...

— Nie... — odparł, z wysiłkiem siadając na łożu. Obecność Sai ledwo zauważył, zbyt pochłonięty tym, co się z nim działo. — Zasłużyłem na to.

Jedno wypowiedziane z powagą słowo poruszyło obie kobiety. To Sai uklękła przy nim i przemówiła cicho:

— Powiedz...

Oczy Tenana wciąż były bursztynowe, jakby nie było sensu ukrywać się za obojętnością i chłodem. Złamał warunki klątwy.

Głowa pulsowała mu bólem.

Julien sięgnęła szybko po chustkę w kieszeni kaftana, gdy zobaczyła krew płynącą mu z nosa.

Za chwilę ból stanie się nie do zniesienia. Wtedy będzie gotów nawet je pozabijać, by to przerwać.

— Czar będzie trwał — wyrecytował im cicho. — Póki miłości znak go nie złamie.

— Znak? — zapytała Julien. — Pocałunek?

Ból narastał.

— Wynoście się! — zawołał w udęcę.

— Powiedz mi! — błagała go Julien.

Spojrział na nią. Jego oczy znów jaśniały. Kolor zniknął.

— Wyjdź! — chwycił ją za ramię boleśnie mocno i szarpnął w stronę drzwi.
— Wynoś się! To przez ciebie jestem zgubiony!

— Nie zostawię cię!

— Nie wyobrażaj sobie, że coś do ciebie czuję! — pchnął ją na drzwi, aż jęknęła boleśnie.

— Julien! — ostrzegła ją Sai. — Musimy wyjść! Ból odbiera mu rozum!

Chciała uciec, ale przytrzymał ją jak kot, który schwytał mysz i przygotowuje się do pożarcia. Nie mogła mu się wyrwać. Oczy Tenana przepęłniała wściekłość. Były białe.

Nieludzkie.

Bransoleta pulsowała światłem. Krew zaczęła spływać także z jego uszu. Sai jęknęła i rozejrzała się szybko.

Julien daremnie próbowała się uwolnić z jego uścisku. Po drugiej stronie ktoś uderzał w drzwi pięścią i nawoływał, by otworzyli. Pewnie zaniepokojony oberżysta.

Sai chwyciła dzbanek na wodę i uderzyła nim Tenana w głowę. Miedziany gar stuknął głucho w czaszkę. Tenan zachwiał się i upadł, tracąc przytomność.

Przez chwilę patrzyły na niego, próbując się uspokoić. Potem Julien otworzyła drzwi i uspokoiła w kilku słowach oberżystę i jego ludzi, mówiąc że panują już nad sytuacją.

— Co teraz? — zapytała przyjaciółkę, obserwując z niepokojem leżącego.

— Nadal myślisz, że można go uratować?

— Tak. Dlaczego pocałunek go nie uwolnił?

Sai wymownym gestem sięgnęła po widoczny na szyi przyjaciółki flakonik z krwią Wiwana, z połową zawartości.

— To miał być pocałunek miłości — zauważyła. — Choć, musimy zaciągnąć go na łóżko i związać. Tam widzę sznur, w jego torbie.

— Mamy go związać?

— Chcesz dokończyć interesującą rozmowę sprzed chwili? — zapytała ironicznie Sai, biorąc nieprzytomnego Tenana pod pachy. Julien pochwyciła go za nogi i nieco niezdarnie, objając go o podłogę i łóżko, zdołały go wciągnąć. — Zejdziemy mu z oczu, a wtedy się uspokoi.

— Skąd ta pewność? A jeśli bransoleta dokończy dzieła?

Sai zabrała sznur i własną bronią przecięła go na pół.

— Przywiąż go za nadgarstki do ramy łóżka — poleciła. — To twoja obecność jest przyczyną jego męczarni, twój pocałunek. Pod tym względem ma rację. Bez ciebie będzie mu łatwiej.

— W ten sposób go nie uwolnię.

— Spróbujesz znowu, gdy będzie na powrót spokojny. Inaczej w końcu go zabijesz, nim złamiesz klątwę. Widzisz krew?

Julien spojrzała na twarz Tenana.
— Zmyjmy ją — poleciła Sai. — Gdy Mayene znów tu przyjdzie nocą, lepiej by myślała, że po prostu się zabawiał.
— Mayene — wyszeptała Julien, kończąc go wiązać — Zostawimy go tak dla niej?
Sai nadal była opanowana i konkretna.
— Kochanie, twój Tenan nie jest prawiczką już od dawna.
— Ale oni będą...
— Odwrócenie uwagi od ciebie tylko mu pomoże.
— Jak możesz być taką...?
— Będzie nam wdzięczny za to, że cię nie zabił, zobaczysz. Tego z pewnością by żałował. Szaleje za tobą. To widać.
Julien spojrzała na nią, unosząc brwi.
— Myślisz ...
— Nie wierzę, że to mówię — uśmiechnęła się Sai ciepło. — Ale ten szaleniec naprawdę cię kocha. Niech dowie się, kogo Mayene zleci mu zabić. Musimy to wiedzieć.
— A jeśli powie jej o nas?
— Nie powie — zapewniła ją Sai z przekonaniem, spoglądając na Tenana.
— Jestem pewna.

ROZDZIAŁ 6 — MAYENE

Wiwana opuścił przygnębionych stratą ludzi, którzy pożegnali go ciepło mimo przejmującego ich smutku. Ogarnięty wciąż ponurymi obrazami z namiotu rozejrzał się po prowizorycznym obozie. Pafian kucał właśnie przy jednym ze swoich białych tygrysów. Jak na komendę on i zwierzę spojrzeli na Wiwana. Zaniepokojony jego wyrazem twarzy brat zbliżył się szybko, a tygrys podążył u jego boku. Waszeba nadal pilnowała okolicy. Wyczuwała nastrój uzdrowiciela. Chciała, by miał czas na ukojenie nerwów. Niestety, troska jego brata nie pozwoliła na to.

— Wracamy do pałacu? — zapytał Pafian z troską w głosie.

Wiwana byłby mu wdzięczny, gdyby Pafian czasem mniej się starał. Od pamiętnych wydarzeń na targowisku gorliwie przykładał się do tego, by zapewnić mu ochronę. Jego gorliwość i zgryzota matki męczyły czasem uzdrowiciela, który musiał zmagać się jeszcze prócz tego z nocnymi koszmarami. Świadomość, że martwi swoich bliskich złym samopoczuciem nie pomagała mu w poprawie nastroju. Wiwana chciał, by życie biegło już normalnym trybem, a koszmary

zaczęły blaknąć. Niestety, matka i brat nie pozwalali mu swą troską i smutkiem ani na chwilę zapomnieć o przeszłości, choć próbował im dać do zrozumienia, czego po nich oczekuje. Reszta rodziny starała się go zrozumieć. Podobnie jak przyjaciele. To było jego pociechą.

— Jest jeszcze dwoje potrzebujących — wtrąciła Waszeba, by odwrócić uwagę ich obu. — W tamtym namiocie czeka dziewczynka, której nie przestaje boleć głowa, ma mdłości i często traci przytomność — wskazała namiot po prawej. — A w tym — pokazała na ten obok — jest kamieniarz. Wypadek przy budowie domu młynarza sprawił, że ma złamaną nogę w trzech miejscach.

— Były przypadki zarazy? — zapytał Wiwan, wdzięczny, że może się czymś zająć.

— Powiedziałyby.

Napotkał spojrzenie jej pięknych oczu i spuścił wzrok, nim mogła sprawić, że się zarumieni.

Przymknął oczy. Poprzez paletę barw uczuć skupił się na dwojgu, o których wspomniała Waszeba. Ciemna aura wokół głowy dziewczynki. Czarna wokół nogi kamieniarza. Jego cierpienie. Odwaga, jaką starał się okazywać swoim towarzyszom pomimo bólu.

Pomoc zaraz nadejdzie.

— Odwiedzę najpierw kamieniarza — zdecydował, idąc już w stronę namiotu.

— Pójdę z tobą — rzekła Waszeba, wchodząc w słowo Pafianowi, który najwyraźniej chciał zaproponować to samo. — Zostań na straży! — nakazała mu stanowczo.

— Semen — Wiwan dotknął przelotnie sierści tygrysa, który im towarzyszył. — Nie oddalaj się.

Semen mruknął cicho.

— Co jest? — Pafian wiedział, że Wiwan nie wydał tego polecenia ot tak. Zbyt dobrze go znał. Waszeba także stała się czujna, nie tylko pod wpływem jego słów.

— Ona tu jest — odparł Wiwan cicho i nie czekając na reakcję brata, wszedł do namiotu z Waszebą.

Kolorów aury Mayene nie mógł pomylić z niczym, choć zaledwie musnął jej obecność swoimi zmysłami. Srebro i czerń. Nienaturalne.

Nieludzkie.

Skinął lekko głową Waszebie, w cichym podziękowaniu za pomoc z Pafianem.

— On chce dobrze — powiedziała łagodnie.

— Wiem — uśmiechnął się ciepło Wiwan, nim przywitał się z dwoma towarzyszami rannego kamieniarza i nim samym.

— Pamiętam cię — uśmiechnął się do cierpiącego, delikatnie kładąc dłoń na jego złamanej nodze. — Jesteś Bert. W zeszłym roku wygrałeś na turnieju najsilniejszych w naszym mieście!

— Cały mieszek złota! — zawołał przyjemnie zaskoczony mężczyzna o kędzierzawej brodzie. — Dzięki temu zbudowałem tu dom, panie hrabio! Cieszę się, że mnie pamiętasz!

— Co się z tobą działo w czasie zarazy?

— Na szczęście ominęła mnie i moją rodzinę, panie. A teraz pomagam tym, co zdecydowali tu osiaść. Mam z tego niezły zarobek.

Wiwana słuchał paplaniny mężczyzny i jego przyjaciół, wciąż trzymając rękę na nodze kamieniarza. Ból ustąpił, jak tylko energia rozeszła się z jego dłoni na złamaną nogę. Przejęty spotkaniem z uzdrowicielem mężczyzna opowiadał o wypadku, patrząc na Wiwana z dumą i radością. Noga powracała w tym czasie do swojego pierwotnego stanu. Kości złączyły się z cichym trzaskiem, który sprawił, że mężczyźni umilkli i z zafascynowaniem obserwowali zmiany. Krew krążyła powoli.

Drugi trzask. Drugie złamanie zrosnięte.

I wreszcie trzecie.

Tu kość przebiła skórę, więc dzięki rozciętej nogawce spodni wszyscy zobaczyli kość zagłębiającą się powoli w ciało i powracającą na swoje miejsce z cichym trzaskiem, bez bólu. Rana zasklepiała się powoli, aż znikła, jakby nigdy nic się nie stało. Tylko ślady krwi i pot na ciele kamieniarza były świadectwem, że jednak coś było nie w porządku. Kamieniarz stanął niepewnie na nogi i zaczął wylewnie dziękować, a jego kamraci wcisnęli zaskoczonej Waszebie kilka sztuk srebra, choć oboje, ona i uzdrowiciel, wzbraniali się przed zapłatą.

— Bardzo mi przykro, panie hrabio — powiedział poważnie kamieniarz Bert, gdy minęła euforia — z powodu tego, co cię spotkało. Wiedz, panie, że nie wszyscy ludzie na tym świecie są łajdakami. Za moje zdrowie i szczęście będę cię panie wielbił do śmierci. Powiedz słowo, a pójdę wszędzie i zrobię, co zechcesz. Przy mnie nikt nie podniesie na ciebie ręki.

Wzruszony Wiwan objął go krótko i mocno, nie mogąc wydobyć słowa. Wiedział, z całkowitą pewnością, jaką dawały mu jego wyczulone zmysły, że kamieniarz mówi szczerze i jest gotów wprowadzić w czyn swoje słowa. Taka sympatia zawsze sprawiała, że rozgrzewało się w nim serce z miłości do ludzi. I nawet tanto okrucieństwo zdawało się wtedy blaknąć w jego pamięci.

W dobrych nastrojach wyszli z namiotu. Kamieniarz Bent zapraszał właśnie wszystkich na wieczorny poczęstunek u siebie i beczkę piwa, gdy nagle tygrys warknął złowrogo i nim ktokolwiek zdołał zareagować, Waszeba stanęła przed Wiwanem, osłaniając go swoim ciałem, a potem błyskawicznie rzuciła sztylet...

Kobieca sylwetka o ognistorudych włosach przemknęła obok jak błysk

pioruna.

— Pafian! — krzyknął Wiwan, widząc miecz w ręku brata.

— Przeszła obok. Chciała rzucić jakieś zaklęcie! — długie, ciemne włosy Pafiana wysunęły się z kłamy — Wydaje mi się, że chciała podpalić namiot! Raniłem ją, a twój brat — skinął na Waszebę — chyba ją ściga. Nie miałem pojęcia, że jest tak szybka!

— Rano jeszcze nie wiedzieliśmy o jej istnieniu — zauważył Wiwan.

Podmuchił w ich twarze. Kamieniarz i jego przyjaciele dołączyli do Waszeby i osłonili Wiwana. Tygrys warknął ponownie i pognął gdzieś na lewo.

— Semen! — zawołał za nim Pafian, lecz daremnie.

Waszeba wyciągnęła łuk i strzałę.

— Muszę iść do tej dziewczynki — szepnął Wiwan wśród panującej ciszy.

Tylko trzask płonącego ogniska na środku prowizorycznego obozu zakłócał tę ciszę.

Wiwan przymknął oczy.

Zaledwie dotknął aury więdźmy...

Tygrys warknął gdzieś po drugiej stronie. Odpowiedział mu drugi głos. Reeba, tygrysica, pojawiła się obok nich i stanęła przed ludźmi w obronnej postawie.

Nagle usłyszeli krzyki w namiotach, a w chwilę później namiot z chorą dziewczynką w środku stanął w płomieniach. Przerażona rodzina wybiegła z namiotu. Ojciec niósł ośmio, może dziewięcioletnią córkę na rękach. Matka wskazała ręką na namiot.

— Więdźma — rzekła tylko.

Jakiś kobiecy głos krzyknął, gdy Semen pobiegł za płonący namiot. Zgromadzeni ludzie stanęli obok grupy Wiwana, wpatrując się w miejsce, gdzie mignęło im przed chwilą białe futro i skąd rozległ się krzyk.

A wtedy, w wolnej przestrzeni po drugiej stronie placu, pojawiła się ona.

Pierwszy raz Wiwan miał okazję zobaczyć jej nieludzkie, opalizujące oczy. Była dużo starsza od niego. Miała twarz o ostrych rysach. Jej nadgarstki zdobiło mnóstwo bransolet i pierścieni, zaś ubranie mieniło się pomarańczem, czerwienią i żółcią. Jej włosy miały tak hipnotyzujący odcień, że zgromadzeni nie mogli oderwać wzroku.

Ubranie pochłapane miała krwią. Jedno ramię trzymała trochę sztywno. Sprawna rękę uniosła w zwycięskim geście i rzuciła przed siebie trzymany przedmiot, który ukryła wcześniej dla lepszego efektu. Reeba warknęła wściekle.

Mayene rzuciła pod nogi zgromadzonych głowę białego tygrysa...

Waszeba uniosła nieco brodę.

Dinn stał za Mayene, a jego dłoń właśnie wypuściła strzałę. Jęknęła cięciwa łuku.

Ale Mayene już nie było. Waszeba wystąpiła naprzód i odbiła strzałę brata, uderzając swym łukiem, nim ta przypadkiem kogoś zabiła.

Wiwan stał wśród ludzi, obok swojej następnej podopiecznej na rękach ojca.

— To był pokaz — rzekł z powagą. — Sztuczka, która miała nam pokazać nieco jej umiejętności.

— Jest cholernie szybka — zauważył ktoś w tłumie.

— Ale nie dość — Wiwan z powagą spojrział na swego brata i elfy. — Możemy ją zranić.

Przeszła mu przez głowę pewna myśl. Wspomnienie o tym, czego dokonał, choć nie był z tego dumny. Najlepiej wyrzuciłby to zdarzenie ze swej pamięci. Po spojrzeniu Pafiana odgadł, że brat pomyślał o tym samym.

O ich rozmowie w domu Sela...

„Czy w razie konieczności jesteś w stanie powtórzyć to, co zrobiłeś wtedy na targowisku?”

Spojrział na otaczających go ludzi. Kamieniarz wciąż był czujny, rozglądał się dookoła. Waszeba stanęła u jego boku. Pafian podszedł do głowy zabitego ulubieńca. Dziewczynka spojrzała w oczy swego uzdrowiciela, trzymana teraz za rękę przez ojca. Poczul, jak ogarnia go znajomy chłód.

„Co, jeśli będę musiał to zrobić?” — odpowiedział w myślach na tamto pytanie.

Wyciągnął rękę do chorego dziecka...

ROZDZIAŁ 7 — BUNT NA POKŁADZIE

Ross leżał z zamkniętymi oczami, zbierając siły. Do jego uszu dochodziły dźwięki rozmów współwięźniów, szum fal i komendy bosmana. Pod głową czuł miękką poduszkę i dużo słomy, a ciepły koc przyjemnie go rozgrzewał. Przez jakiś czas po wybudzeniu z narkotycznego snu czuł przeraźliwe zimno. Drżenia nie dawało się powstrzymać. Oliwier zbył niepokój towarzyszących mu porywaczy, mówiąc, że to nic takiego. Wcześniej ruszał się niespokojnie i mamrotał coś lub się ślinił, a teraz po prostu drży. Miało to nie tylko stłumić podejrzenia. W ten sposób przyjaciel dawał mu wskazówki, jak ma się zachowywać, by wyglądało to naturalnie.

Po raz kolejny dziękował w duchu losowi za Oliwiera i jego odwagę, by lawirować między rzezimieszkami Ramseya. I jednocześnie drżał w duchu na myśl, co mogłoby się z nim stać, gdyby domyślili się prawdy.

Co stałoby się wtedy z Julien...

Dlaczego pozwolił mu na ten szalony pomysł, by zrekrutował się na statek, podczas gdy Ramsey szukał łowców przygód?!

Lecz gdyby wtedy Oliwier tego nie zrobił...

Bardzo chciało mu się pić, lecz Oliwier nie miał okazji, by podać mu wodę. Zdołał jedynie zwilżyć mu wargi godzinę temu, pod pretekstem ocierania go z potu. Gdyby tak po prostu go napoił, marynarze donieśliby Ramseyowi, że czarodziej najwyraźniej się budzi, bo pije wodę jak pozostali. Ci dwaj, którzy towarzyszyli Oliwierowi od początku, stale kręcili się w pobliżu. By zabić jakoś czas grali w kości w kącie, próbowali nawet wciągnąć w to Oliwiera. Ten dla spokoju przysiadł się, by obserwować grę.

Pewnie zastanawiał się nad następnym ruchem. Minęło już południe.

„Co teraz?” — myślał gorączkowo. — „Musimy coś zrobić”.

RAMSEY — szepnął Kamień Nadziei.

Nie pierwszy raz kamień przemawiał do niego, choć Ross nie zdradził tego jeszcze nikomu.

Jakby kierowany tą podpowiedzią, wsłuchał się bardziej w odgłosy na statku. Było to tak naturalne, tak proste. Poprzez dźwięki i fale dotarł do umysłu, jakby umiał to już od dawna. Nawet nie czuł się przerażony.

Ramsey wstał wreszcie z łoża, drapiąc się po kroczu. Byłby całkiem jeszcze interesującym mężczyzną, gdyby nie cuchnął teraz potem i rumem. Ross wiedział, że kiedy tamten otrzeźwieje, zadba o siebie, a raczej postara się, by inni o niego zadbali. Nie znosił cuchnąć jak świnia. Podszedł do jego matki od tyłu i mało subtelnie złapał ją za pierś.

„Nie chcę tego oglądać” — powiedział Klejnotowi w myślach.

Ramsey migdalił się ospale z Cadelią, dopóki w miarę nie otrzeźwiał. Postanowił zaczerpnąć nieco zimnego powietrza. Gdy przywitał się z załogą, jego wzrok spoczął na drzwiach, przez które wchodziło się pod pokład.

— Jak tam nasz towar? — zapytał swoją kobietę, która wyszła za nim.

— Mają jeść i pić — odparła krótko.

— A twój synalek?

— Śpi jak zabity.

Ross drgnął, gdy zrozumiał, że Ramsey się tu wybiera.

Bał się go bardziej, niż chciałby przyznać.

Ramsey zszedł na dół. Oprócz więźniów i swoich ludzi zauważył natychmiast Oliwiera i jego uwadze nie umknął fakt, że w ogóle go sobie nie przypomina.

— Kim ty, kurwa jesteś? — zapytał.

— Pani pierwszy oficer przydzieliła mnie do opieki nad więźniami — odparł spokojnie Oliwier.

— Dałaś im niańkę? — Ramsey wykrzywił się do jego matki.

— Nie inaczej — odparła, wzruszając ramionami.

— A gdzie masz kieckę i czepek, paniusiu? — zadrwił z Oliwiera, na co jego marynarze zarechotali, a kilku innych zaczęło ciekawie zaglądać z pokładu. — Buzię ma jak dziewczyna, tylko sukienkę dać — skrzywił się ni to w uśmiechu, ni to w jakimś gniewie.

Ross słyszał jego myśli. Po wypiciu Ramsey był w stanie w jednej chwili wpaść w gniew. Już się o tym przekonał. Wystarczyła czasem jedna myśl.

Teraz właśnie pomyślał, że Oliwier ma stanowczo za ładną buźkę jak na marynarza, a jego pani sama go wybrała. Pokręcona logika podpowiadała mu resztę.

Oliwierowi groziło niebezpieczeństwo.

Takie myśli u Ramseya groziły natychmiastowym wybuchem.

— Ty go wybrałaś? — zapytał złowróźnie.

Cadelia wyczuła, co się święci, podobnie jak jej syn. Wszyscy umilkli, czekając na ciąg dalszy. Ross wyczuł strach przyjaciela.

Sam zaczynał się o niego bać.

Ramsey pozornie był wciąż w dobrym humorze, ale jego oczy temu przeczyły.

Ross widział to przez uchylone powieki.

— Czemu akurat jego wybrałaś? — zapytał z pijacką powagą.

Cadelia zawahała się tylko przez moment.

— Chcesz, to wybierz sobie innego — odrzekła na to, przesuwając się dyskretnie, by zasłonić sobą źródło kłopotów. Oliwier przezornie milczał.

— Marzy ci się spróbować na dwa baty? — drążył dalej z uporem Ramsey.

— Oglądasz się za młodszymi?!

„Masz kłopot” — Ross zwrócił się do matki w myślach.

ODWRÓĆMY JEGO UWAGĘ — rzekł Klejnot.

Ross zastanowił się.

„Lepiej, żebym cię tu z nim nie widział” — szepnął do umysłu Ramseya.

Jak pociągnięta za sznurki marionetka, Ramsey powtórzył niemal słowo w słowo:

— Lepiej, żebym cię, do cholery z nim tu nie widział!

Ross pozwolił sobie na ciche westchnienie. Teraz i tak nikt nie zwracał na niego uwagi.

„Ma siedzieć tu pod pokładem aż do portu w Zatoce” — szepnął swym umysłem do świadomości Ramseya.

„Wybacz, Oliwierze — zwrócił się do swego przyjaciela w myślach. — To dla twojego dobra”.

Było to nieco dziwne, lecz wydawało się, że Oliwier jest poza jego działaniem. Raczej go nie słyszał...

— Ma siedzieć pod pokładem aż do portu! — krzyknął tymczasem kapitan prosto w twarz jego matce.

Oliwier spojrział nagle uważnie na leżącego przyjaciela. Serce Rossa wykonało salto. Zamknął powieki.

— A niech siedzi — wzruszyła ramionami z pozorną obojętnością matka Rossa, doskonale nad sobą panując.

Ale Ross wiedział, że nadal boi się gniewu kochanka. Czuł jej napięcie. Coraz silniej odczuwał emocje innych. Jak kręgi na wodzie, gdy rzuci się kamień.

Oliwier coś podejrzewał.

Ramseya uspokoiła na razie odpowiedź Cadellii. Rozejrzał się po znajomych twarzach załogi i zerknął na więźniów.

— Tak baba się ma słuchać! — zawołał do wszystkich, obejmując ją ramieniem, a potem jego spojrzenie spoczęło na Rossie. Podszedł do niego, z ciekawością przyglądając się posłaniu i leżącemu.

— Ale ma jak w puchu. Jak mości księżę! — zauważył z uśmiechem. Załoga zarechotała cicho, w duchu przyjmując z ulgą tę zmianę tematu. — To twoja robota? — zapytał Oliwiera.

— Tak, kapitanie.

— A kto mu rozbił nos bez mojego rozkazu?

— O czym ty mówisz? — Cadelia spojrzała na syna uważnie. — Nikt mu w gębę nie dał. Krew mu leci z nosa i tyle.

„Krew?!” — zastanowił się Ross.

TO PRZEZE MNIE — odparł Klejnot.

Nieprzytomny według Ramseya Ross nie był na razie interesujący.

Podszedł więc do Oliwiera, wciąż bardziej zaabsorbowany nim niż czymkolwiek innym. Pogroził mu palcem przed nosem.

— Rozumiesz, kurwa, co chcę powiedzieć? — zapytał go.

— Tak, panie kapitanie — odparł Oliwier, a Ross w duchu pozazdrościł mu opanowania.

— No!

Pochwycił w pasie matkę Rossa i zaczął gramolić się na górę.

— Panowie! — zawołał. — Za nasze łowy powinniśmy dziś świętować! Bosman, dawać tu jakąś muzykę i beczkę rumu! Jutro się obłowimy!

Załoga chóralnie krzyknęła z radości.

Dwaj marynarze towarzyszący dotąd Oliwierowi podążyli za kapitanem, polecając mu zostać według rozkazu. Drzwi zamknęły się głucho.

Wreszcie byli sami.

Oliwier wydobył zza pasa sztylet i podszedł do długowłosej dziewczyny, pierwszej z więźniów.

— Jak ci na imię? — zapytał szybko.

— Maia — odpowiedziała dziewczyna.

— Jestem Oliwier — przeciął jej więzy. — Wiesz, co masz robić.

— Tak — kiwnęła głową i uwolniła nogi. Po chwili podeszła do młodego chłopaka, który spojrzał na nią czule.

Tymczasem Oliwier nalał wody do niewielkiej miski i zamoczył w niej kawałek płótna, którym zmył krew pod nosem przyjaciela.

— Powoli — delikatnie pomógł mu usiąść, opierając o ścianę, po czym nalał mu wody do kubka — Pij. Tylko nie za szybko.

Ross poczuł mdłości.

— Lubisz morskie podróże? — zapytał Oliwier z uśmiechem.

— Dotąd nie miałem okazji...

— Gdy wrócą, udawajcie skrępowanych — pouczył porwanych Oliwier. — Niech najpierw się spiją!

Kiwnęli głowami na znak zgody, uwalniając się nawzajem z więzów.

— Użyłeś go? — zapytał przyjaciela bez ogródek, wskazując gestem na klejnot.

Ross przyjrzał się mu z zainteresowaniem.

TO BLIŹNIAK. ONI SĄ NIEZWYKLE WRAŻLIWI — rzekł mu w myślach Klejnot.

— Próbowałem — odparł.

— Przejmujemy statek? — zapytał ich cicho jeden z synów karczmarza.

— Nie mamy innego wyboru — odrzekł mu Oliwier. — chyba że chcecie być sprzedani w niewolę.

— Pomożesz nam? — spytała Maia, patrząc na Rossa — Ty i Klejnot?

— Ten Klejnot nie ma tak potężnej władzy — zauważył karczmarz z nutą żalu.

„Unieś rękę w górę” — polecił mu w myślach Ross.

Nim mężczyzna zastanowił się nad swoim życzeniem, posłusznie uniośł rękę.

Ktoś zapytał go, co wyprawia, a karczmarz spojrział nagle ze zdumieniem na Rossa, jakby odkrył go na nowo. Po chwili wszyscy domyślili się prawdy.

Zapadło milczenie.

— Pomogę wam — odpowiedział Ross z powagą.

* * *

— Łajba, panie kapitanie! — wydarł się z bocianiego gniazdka młody chłopak.

Sel drgnął i spojrział we wskazanym kierunku. Alesei i ochotnicy z wioski podążyli za jego spojrzeniem.

Daleko przed nimi płynął statek. Stąd oczywiście nie sposób było rozpoznać, czy była to Cadelia, ale sam jego widok, choć tak odległy, sprawił, że serce w piersi Sela zaczęło tłuc się niespokojnie. To musiał być ten statek!

Statek, który wiozł na swym pokładzie Rossa i jego oprawcę. Tego, który omal nie skatował go na śmierć. I Oliwiera, nieświadomego pewnie do końca, w jak poważne tarapaty się wpakował.

Dzwon okrętowy zabrzmiał w uszach żeglarzy.

Raz.

Widząc, że kapitan przykłada do oka lunetę, Sel puścił się biegiem z dziobu, gdzie skończył już naprawiać kuszę, po czym wszedł na mostek. Bosman próbował go powstrzymać, jednak gest kapitana zezwolił mu na pobyt.

— To oni? — zapytał cicho, by ukryć napięcie.

Kapitan zerknął na niego, lepiej maskując ciekawość niż bosman, którego fascynowało najwyraźniej oddanie Sela dla swego przyjaciela i kochanka. Sel nawykł już dawno do podobnych spojrzeń, nic sobie z nich nie robiąc. Przejął lunetę z rąk kapitana i spojrział z niecierpliwością.

Zobaczył niewiele więcej, ale serce dawało mu nieugiętą pewność.

To była Cadelia.

— Jak szybko ją dogonimy? — zapytał niespokojnie.

— Mniej niż dwie godziny — odparł kapitan. — To niestety zła wiadomość, panie Andilio.

— Dlaczego?

— Burza — bosman wskazał mu ręką niebo na zachodzie. — Za godzinę chmury zakryją słońce. Za dwie — rozpęta się tu piekło.

Sel spojrział we wskazanym kierunku. Ledwo zauważył zaciemnienie na niebie, na linii horyzontu.

— To pewne? — zapytał ich. — Ledwie widzę jakąś zmianę przez to słońce.

— Zmiany wiszą w powietrzu, Sel — powiedział do niego z pokładu Alesei. — Idzie szybko — dodał. — Będzie tu nawet wcześniej. Wiatr jej sprzyja.

Jakby wezwany, wiatr zerwał się nagle ostrym podmuchem, uderzając ich po twarzach.

— Był pan już na morzu? — zapytał z ciekawością kapitan.

Sel spojrział raz jeszcze. Rzeczywiście, w czasie ich rozmowy linia horyzontu wyraźnie pociemniała, a chmury wypełniły więcej przestrzeni.

— Uprawialiśmy winogron na stokach Hernej, za Terynami — odparł Alesei w zadumie, spoglądając na horyzont. — Ojciec nauczył mnie rozpoznawać zmiany. Wiedzieć znaczyło przetrwać.

Sel spojrział na niego. Otwarty i towarzyski Alesei, który zdążył już wzbudzić sympatię załogi, mało opowiadał o swoim życiu, zarówno wtedy, gdy znali się w Domu Rozkoszy, jak i teraz. Jakby odcinał się od dawnych czasów. Jednak Sel wiedział, co się za tym kryje. Hulaka i kobieciarz żyjący beztrosko z dóbr ojca oraz jego najlepszy przyjaciel pewnego razu opuścili domy rodzinne, po tym jak klęska urodzaju spustoszyła plantacje. Ojciec zdenerwował się na syna i wypędził go z domu za chlebem, a Alesei, po wielu perypetiach, założył sobie wygodne gniazdko w domu Mateczki Rebeki. Stamtąd wysyłał pieniądze rodzinie. Śmierć Darmona zabitego z ręki bandytów, którego Sel także bardzo lubił, oraz późniejsze wydarzenia z dnia, gdy wyprowadzono Wiwana z zamku na pewną śmierć sprawiły, że Alesei znacznie spoważniał i dojrzał, choć niektóre nawyki nadal miały się u niego dobrze. Każdy jednak wiedział, że na tego osiłka, choć lubił się bawić i był niepoprawnym kobieciarzem, przyjaciele zawsze mogli liczyć.

— Nawet to nam nie pomogło — dodał Alesei. Choć dla innych pewnie zabrzmiało to dość zagadkowo, Sel rozumiał słowa przyjaciela.

— Zwołaj załogę — rozkazał kapitan bosmanowi.

Gdy Nat spełnił rozkaz, kapitan przekazał wieści ludziom, szczególnie zwracając się do górali z miasteczka, których to małe zebranie dotyczyło.

— Musicie także wiedzieć o jeszcze jednym — powiedział do nich na koniec. — Ci przemytnicy i sztorm nie są naszym jedynym zmartwieniem.

Paru żeglarzy ze statku uśmiechnęło się półgębkiem. Jeden z nich, z kolczykiem w uchu i sterczącymi włosami, przeszedł obok żony karczmarza, mrucząc coś do swego sztyletu o białych rybeńkach, jakby szykowałą się niezła zabawa.

— Tam, gdzie zmierzamy, aż roi się od rekinów — rzekł kapitan, na co Alesei zaklął po swojemu. — Ta okolica często stawała się miejscem starć. Rekiny polubiły ludzkie mięso.

— Innymi słowy, ludzie... — zawołał bosman, szczerząc się do zaskoczonych ochotników idealnie białe zęby, tak bardzo kontrastujące z kolorem skóry. — Nie zapraszać mi tu rekinów na kolację, jasne?

— Doskonała sugestia, panie Willon — rzekł kapitan, wstrzymując się od uśmiechu na widok zaskoczonych i przestraszonych twarzy swoich gości.

Sel spojrział na Aleseia, który wyszczerzył się w odpowiedzi. Ktoś z załogi klepnął go przyjaźnie po plecach. Bosman roześmiał się życzliwie na widok jego miny.

Skoro nie mógł nic na to poradzić, lepiej było skupić się na tym, co mógł zrobić.

To tylko kolejna komplikacja.

Zerknął na statek w oddali. Kapitan wydał rozkazy i Hydra zwiększyła prędkość, gdy ustawiono żagle w innej pozycji. Sunęła po falach, ścigając się z wiatrem, burzą i własnym przeznaczeniem.

Odległość od celu zmniejszyła się.

— Otwieram puszkę — szepnął cicho do siebie Sel swoim dawnym zwyczajem. — Srebrna łyżka, kwitnąca gałązka, źdźbło trawy spomiędzy kamieni...

Poczuł, jak ogarnia go spokój.

ROZDZIAŁ 8 — TO TYLKO KOLEJNA KOMPLIKACJA

Wracając natknęli się na Sai i Julien, które zaciągnęły ich do siebie na posiłek. Julien znów była w przebraniu. Oberżysta obiecał dyskrecję odnośnie wydarzeń w pokoju Tenana. Była pewna, że słowa dotrzyma. Mayene nie miała powodu, by go o cokolwiek wypytywać. Seme przyjęła niespodziewanych gości z otwartymi ramionami. Uściskała serdecznie wyraźnie zmęczonego Wiwana jak rodzzonego syna, przyglądając mu się z troską. Od małego on i Pafian przychodzili tu często jako sąsiedzi, bawili się z jej synami, teraz mieszkającymi w innym królestwie za morzem, skąd dostawała często listy, gdy statki z Alinoru zawijały do portu. Na czas zarazy zakazała im przybywać, a teraz, gdy ucichła, wypatrywała ich przybycia. Dzieci jej siostry, które podarował jej los, były jej teraz osłodą na tęsknotę za własnymi, a Wiwan i Pafian wzbudzali w niej tyle wspomnień i matczynej czułości, jakby byli także jej dziećmi. Znała ich przecież. Wrażliwy uzdrowiciel był zarówno przedmiotem troski jego własnej matki, jak i samej Seme, nic dziwnego więc, że niepokoili ją także prześladowające go koszmary, o których słyszała od hrabiny. W przeciwieństwie jednak do niej nie robiła wokół sprawy tyle szumu. Chciała mu dać tyle spokoju, ile potrzebował, choć jako matka rozumiała zgryzotę nękającą jej przyjaciółkę. W domu Seme i jej męża Kirsta zawsze czuło się ciepło i miłość. Kierując się tymi pobudkami, przestraszona, że zabrano uzdrowiciela do zamku Seme, kazała synom płynąć statkiem do innego królestwa. Teraz szybko zaciągnęła dziewczęta do pomocy, by podać posiłek, przekonana, że gorąca zupa pomoże Wiwanowi stanąć na nogi. Nie zapomniała też o Pafianie: zagadywała, co wolałby zjeść i wypić potem, głaszcząc na koniec po głowie, jakby nadal był małym chłopcem. Pafian bardzo lubił swą przybraną cioteczkę, bez złości pozwalając jej na takie traktowanie. Zaskoczeni nieco panującą tu ciepłą atmosferą Waszeba i Dinn szybko dali się jej ponieść. Jedyne gest Pafiana, który ze smutkiem karmił przy stole swoją tygrysicę przypominał o przykrych zajściach. Seme zgodziła się, by pochował swego ulubieńca nad rzeką, w jej ogrodzie, gdzie zapadał już zimowy mrok. Przejmującą była myśl, że wiedźma oderwała łeb Semena, nie stosując żadnej broni. Gdy skończyli jeść późny obiad i zaczęli opowiadać o wydarzeniach na targowisku, dobry nastrój przygasł nieco. Wspólnie zaczęli się zastanawiać, co dalej robić. Jasnym było, że Mayene na tym nie poprzestanie.

Wiwana chciał brać udział w tej rozmowie. Ale znużenie, spowodowane głównie źle przespaną nocą i bardzo intensywny dzień, jaki miał za sobą, dawały już o sobie znać. Choć pewne rzeczy nie dawały mu spokoju, jeśli chodziło o Mayene, odkąd dotknął jej aury, choć czuł, że jest o krok od odkrycia czegoś ważnego, nie potrafił skupić się na tyle, by podzielić się swymi spostrzeżeniami z

przyjaciółmi. Oczy same mu się zamykały. Ciepły posiłek i sympatia przybranego wujostwa sprawiały, że jego myśli otulały się jakby przytulną kołdrą. Mimowolnie jego ciało zaczęło się przechylać ku Waszebie, jakby podświadomie szukał u niej wsparcia. Seme uśmiechnęła się do czerwonołosej dziewczyny, gdy ta ze wzruszeniem spojrzała na zasypiającego na jej ramieniu uzdrowiciela. Coś było między tym dwojgiem, jeszcze nieśmiałe i ostrożne, ale już widoczne dla innych. Dobrze by było, gdyby Wiwan nareszcie kogoś znalazł. Seme życzyła mu tego z całego serca.

— Obudzę go — powiedział cicho Pafian. — Musimy jeszcze wrócić do domu.

— Aj tam! — machnęła ręką Smeralda. — Poślę kogoś. Niech powie, że dzisiaj Wiwan śpi u mnie. Zostajesz z nim, prawda? Dom duży, miejsca w nim nie brak, odkąd wyprowadzili się podróżni. Będzie gdzie spać. Dla was także się znajdzie miejsce, duszyczko — Seme spojrzała na piękną kobietę-elfa i jej brata. — Położymy Wiwana w pokoju gościnnym, niech odpocznie. U nas zawsze się mu dobrze śpi. Nikt mu głowy nie zawraca. A że to nie żadna świątynia, położysz się obok niego i przypilnujesz, coby mu się naprawdę dobrze spało. Tylko go dziś nie męcz, jest tak wyczerpany, że ledwie tu przyszedł.

— Ja nic... — zająknęła się Waszeba, świadoma, że wszyscy jej się przyglądają, a Dinn o mały włos nie parsknął śmiechem. — Jestem jego strażniczką! Muszę go pilnować, to moje zadanie! Obiecałam.

— No, a o czym ja mówię? — udała zdziwienie Seme, choć oczy jej się śmiały — Pilnuj go, pilnuj, bo to nasz jedyny skarb. A ty mu już głowy nie zawracaj — zwróciła się do Pafiana. — Ino se legnij w drugim pokoju z jej bratem, każdy w swoim łóżku, bo dwa są. Wy się jak Ross z Selem grzać nie musicie, prawda?

Pafian otworzył usta, nie wiedząc co powiedzieć, a wszyscy roześmiali się cicho, by nie zbudzić Wiwana. Dinn pokręcił głową z rozbawieniem, co było naprawdę miłym widokiem dla oka po tych wszystkich jego poważnych minach.

— Mnie jest wystarczająco ciepło — odparł.

Jeśli jeszcze zastanawiał się, czy naprawdę ponownie ryzykować z nowymi przyjaciółmi, teraz na pewno był przekonany, że warto. Nic tak nie rozgrzewa serca jak życzliwość.

— Dobrze! Widać, żeś chłopak gorący! Tylko tę minę niepotrzebnie grobową przybrałeś. Za taki uśmiech to księżyc by można sprzedać!

Krist znacząco chrząknął. Seme z rozbawieniem cmoknęła go głośno w policzek.

— Chodźcie, dzieci! — zawołała do młodych. — Noc długa. Wiwana trza położyć. A jutro nie wiadomo co się jeszcze z tą wiedźmą przydarzy.

— Kto wie, czy w nocy czegoś nie zmałuje... — odezwał się jej mąż po raz

pierwszy tego wieczora.

— Nie, wujku — odparła Julien, zerkając na Sai — dziś raczej będzie już zajęta.

Swym byстрыm okiem Seme zauważyła także, że jej siostrzenica dziwnie posmutniała na tę myśl. Miała nadzieję, że później dowie się, jaka jest tego przyczyna.

— Musimy wam o czymś powiedzieć — rzekła Sai, gdy wstali od stołu. Pafian i Waszeba zajęli się śpiącym Wiwanem, prowadząc go po schodach na górę. Pafian skinął w milczeniu głową.

* * *

W środku nocy Wiwan otworzył oczy.

Leżał w znajomym pokoju, w domu Seme i Krista. A więc go nie opuścił. Noc była cicha. Wszyscy spali.

Obok niego biło czyjeś serce. Słyszał puls.

— Znów złe sny? — zmysłowy głos mógł należeć tylko do Waszeby.

Wstrzymał na chwilę oddech.

Miała rozpuszczone włosy, które opadały teraz kaskadą na białą pościel. Biała koszula podkreślała jej idealną cerę. Wsparta na ramieniu leżała obok w ubraniu. Zdjęła jedynie zimową kaptotę. Wciąż miała na sobie swoje wysokie, skórzane buty. Sztylet i miecz trzymała przy sobie.

Była taka piękna w blasku świec...

Nigdy nie był tak blisko kobiety, nie leżał obok. Nie pozwalał sobie na takie myśli, na marzenia o bliskości.

Miał kilka powodów.

Nie uważał się godnym takiej kobiety jak Waszeba.

Na zamku ludzie pokazali mu, jak można zohydzić coś, co może nieco naiwnie łączył dotąd z uczuciem.

A tu, w jego rodzinnym miasteczku, kobiety traktowały go jak specjalnego rodzaju medyka lub nawet kapłana. Nietykalnego...

„Ona po prostu czuwa nade mną” — upomniał sam siebie z nutą smutku. Nawet to, że w jej myślach wyczuwał zaprzeczenie tych słów, ukrył w sobie głęboko.

Nie potrafiłby pewnie żyć w ten sposób. Chciał kochać z wzajemnością, ale bał się, że po pewnym czasie jego charakter byłby największą przeszkodą. Zaczęłyby drażnić swoją wrażliwością lub sprawiać, że kochająca osoba zagłaskiwałaby go swoją opiekuńczością, przekonana, że tego mu właśnie trzeba. Nie chciał, by tak się stało.

Waszeba dotknęła jego czoła z troską. Miała chłodną dłoń.

— Chyba masz gorączkę — zauważyła.

— Zawsze jestem taki ciepły — odparł jej cicho.

Przez chwilę po prostu na niego patrzyła, jakby chciała zrobić coś jeszcze, lecz bała się naruszyć tę delikatną równowagę między nimi.

— Co cię zbudziło? — zapytała wreszcie.

Była tak blisko... Nawet jej lekko szpiczaste uszy wydawały mu się piękne.

Powrócił myślami do swych przeczuć ze snu.

Mayene.

— Ona nie jest człowiekiem — odparł jej szeptem, jakby bał się, że wiedźma go usłyszy. — Jej aura nie jest ludzka. Nie ma w sobie nic ludzkiego.

— Więc kim jest?

— Nie wiem. Ale nie należy do istot... — urwał nagle, tknięty straszną myślą — z naszego świata — dokończył ze zgrozą.

I nagle przeszła go myśl, wspomnienie przerażające w swym szczególe.

— Czerń — powiedział cicho. — Czerń oznacza chorobę. Zło, które toczy ciało ofiary...

Waszeba słuchała cierpliwie, czujnie zerkając na okna.

— Czerń to zbliżającą się śmierć — szepnął. — To śmierć.

— Ona umiera? — zapytała.

Spojrzał na nią, porażony tym, co chciał powiedzieć. Wyczuwał ją. Czuł, jak przyspiesza jej puls. Niepokoiła się.

— To oznacza, że nie będę mógł tego zrobić... — szepnął do siebie.

— Czego? O co ci chodzi?

Pamiętał.

Feeria kolorów i barw aury żyjących istot. Czerń i srebro Mayene. Czerń i szarość u kamieniarza i chorej dziewczynki. Śmierć wyciągała ręce. Wskazała już na nich.

Opalizujące oczy.

Kolory, które miały zamaskować tajemnicę.

Śmierć nie może zabrać tego, co nie jest żywe.

Śmierć dotyczy istot z tego świata. Dotyka każdego.

Ale nie dotknie tego, co żywe nie jest, choć kolory, w które się ubiera mają tak sugerować. Żywe, przyciągające kolory.

I brak pulsu.

Maskarada.

— Ona nie ma serca — szepnął, blednąc.

— Jest okrutna — zauważyła Waszeba. — Tak. Domyślam się...

Spojrzał na nią ze śmiertelną powagą, sprawiając, że umilkła.

— Nie, Waszebo — powiedział. — W jej piersi nie bije serce. Nie jest istotą z naszego świata. W naszym świecie wszystko co żywe kiedyś musi umrzeć. Jej

nasze prawa nie obowiązują. A to oznacza, że nie mogę jej zabić, zatrzymując serce. Bo ona go nie ma.

— Pafian ją zranił.

— Pafian... — Wiwan czuł strach ściskający jego serce. — Pafian wkrótce będzie martwy. Założę się, że już zadbała o to, by wyleczyć ranę.

Waszeba przypomniała sobie, co opowiedziały im Sai i Julien, nim położyła się tu z Wiwanem.

Tenan ma kogoś zabić.

Nie powiedziała mu. Julien wyjaśniła jej, kim był Tenan i skąd Wiwan może go znać. Powiedziała, że sama opowie mu o wszystkim.

— Coś musi ją zabić — zauważyła.

— Coś musi ją też żywić.

Spojrzała mu w oczy. Wiwan sugerował jej jakieś okrucieństwo, coś nie do pojęcia.

Zobaczyła, że drży, jakby nagle ogarnął go chłód. Dotknęła jego dłoni. Była zimna. Pomimo że Wiwan leżał pod kołdrą, drżał, jakby znalazł się nagle w lodowej jaskini. Zabrała narzutę i okryła go jak mogła. Podziękował jej spojrzeniem. Objęła go ramionami, chcąc go ogrzać. Jej twarz znalazła się blisko jego.

Pocałowała go delikatnie w policzek.

— A to za co? — zapytał, powoli się uspokajając i ogrzewając pod jej dotykiem. — Właśnie przekazałem ci straszne wieści.

— Tak po prostu — szepnęła.

Patrzyli na siebie, dopóki nie poczuła pod swoją dłonią, że znów jest ciepły. Czowała ogarniający ją spokój. Wiwan otulał ją swym ciepłem, kołł jej zmysły. Uśmiechnął się lekko, dotykając żartobliwie palcem jej nosa.

— Nie martw się — powiedział z dawnym spokojem, a jego melodyjny głos brzmiał w jej uszach jak wspaniała muzyka. — Znajdziemy jakiś sposób.

* * *

Gdy w Barnicy spożywano kolację, Ramsey przeklinał na czym świat stoi i poganiał swoich ludzi. Wygrażał niebu i każdemu z bogów, którego sobie przypomniał. Jego twarz oblepiona włosami i zlane deszczem wykrzywiała się w zaciętości.

Cadelia, atakowana przez wściekłe fale zalewające pokład, prześlizgiwała się kierowana jego wprawną ręką. Cokolwiek można było powiedzieć o jej kapitanie, jednej rzeczy każdy był pewien: nie było większego szaleńca i odważniejszego kapitana od niego. Cały świat mógłby tonąć w odmętach wód, niebo mogłoby płonąć, a Ramsey bez lęku stawiałby temu czoło, choćby żywiołami kierował sam

diabeł. Pioruny były wokół, a wiatr smagał ludzi i żagle. Ramsey drwił z tego i wygrażał żywiołom. Jego ludzie, zapatrzeni w niego w takich chwilach niczym w bóstwo, spełniali rozkazy bez szemrania, szybko i precyzyjnie, na tyle, na ile pozwalała im rozszalała natura. Wiadomo bowiem, jak potrafi wściec się kapitan, gdy coś nie idzie po jego myśli.

— Naprzód, szcurze pomioty! — wołał Ramsey. — Moja pani nie boi się fal i piorunów!

Przyciągnął bliżej do siebie stojącą obok kochankę, by kontemplować jej twarz w błyskach piorunów. Uwielbiała go, gdy był w swoim żywiole, choć jednocześnie bała się rozmiarów jego szaleństwa. Choć przemokła doszczętnie, stała u jego boku, gotowa stawić czoła najgorszemu, oddana jego odwadze, zapatrzona w jego twarz i oczy, widoczne pomimo gęstego zarostu i długich włosów. To właśnie w takich chwilach kochała go najmocniej.

A on kochał ją.

— Boisz się, moja królowo?! — krzyknął, przekrzykując szum fal i grzmoty, jakby wokół nie było dość powodów, by się bać.

— Nie przy tobie!

W jego oczach zobaczyła czułość i oddanie, choć tylko przez chwilę. Znow krzyknął na swoich marynarzy, lecz nie wypuszczał jej z rąk, obejmując wciąż w pasie.

Chciał, by była przy nim.

Czasem nieco ją to przytłaczało.

— Ty się niczego nie boisz — stwierdził z dumą, jakby się do tego przyczynił.

Rozejrzał się. Szalejący sztorm rzucał nimi, fale zalewały pokład.

Ale nie to zepsuło jego humoru.

Pośród blasku błyskawic i piętrzących się fal dostrzegł nagle kadłub mniejszego statku, a na żaglach zauważył znajomy znak wściekłej bestii z mrocznych wieków, przed którą drżeli marynarze.

Statek był już całkiem blisko.

— Caddy!! — wrzasnął nieludzko. — Sprawdź z ludźmi, co robi twój synalek. Jak będzie niegrzeczny... wiesz, co zrobić!

— Co się dzieje?

— Zdaje mi się... — Ramsey przekrzykiwał ryk efektów burzy — że płynię do nas jego pieprzona panienska!

Cadelia podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Hydra! — warknęła, widząc znak na żaglach.

— Już ja mu zgotuję powitanie! — zapewnił ją Ramsey. — Możesz być pewna. Nogi z dupy powyrywam!

Pochwyciła go za poły kaftana i ucałowała zapalczywie.

— Cokolwiek mu zrobisz — powiedziała — zrób to na oczach Rossa. Jak wtedy z Nimem, pamiętasz?

Ramsey uśmiechnął się, widząc jej złość, podniecony perspektywą okrutnej zabawy.

— Ależ z ciebie diablica... — rzekł z zadowoleniem, przyciskając mocniej jej kibić do siebie.

* * *

Aby nie odczuwać skutków morskiej choroby, większość porwanych górali musiała zażyć nieco z uszczuplonej już porcji daru uzdrowiciela, należącego do Oliwiera. Choć martwił się, że dar może się okazać potrzebny w perspektywie nadchodzącej walki, nie miał wyboru. Większość tych ludzi nigdy nie pływała nawet łodzią rybacką, łącznie z nim samym. Było zaledwie czterech z grona piętnastu uprowadzonych, którzy parali się rybołówstwem. Tak akurat zrzędził ślepy los, pozwalając Mayene porwać przedstawicieli zawodów związanych ze stałym łodem.

— Nie ma tu nic, co mogłoby służyć za broń — oznajmił karczmarz. — Czysto jak w świątyni.

— Przygotowali się, psia ich mać! — zakląła żona drugiego karczmarza, który pozostał w Barnicy. — Żeby tak choć kij miała, ale gdzie tam! Trza wyjść z pustymi rękami i tak ich szybko capnąć, coby oddechu nawet nabrać nie zdążyli! Innego wyjścia nie widzę!

Paru przytaknęło na te słowa. Gdy upewniono się, że szalejący sztorm skutecznie odciąga uwagę porywaczy, zaprzestano udawania. Nie było już po co siedzieć związanym. Czas uciekał.

Oliwier milczał. Wchodząc na pokład zdawał sobie sprawę z ryzyka, jednak im bliżej starcia, tym bardziej niepokoił go fakt, jak stawia czoło wrogom bez broni, jedynie z nieodłączną procą i sztyletem. Wiedział, że Julien i Sai nie potępiały go za to szaleństwo, ale miał nadzieję, że los będzie mu sprzyjał. Nierozzerwalna życiowa więź z Julien, miłość do niej i do kobiety równie mu drogiej, a może nawet bardziej, była jego nieustannym źródłem niepokoju. Lecz wiedział mimo to, że inaczej nie mógłby postąpić. Polubił Rossa, który wiele znaczył dla jego siostry. Był jakby bratem w cierpieniu, gdy on walczył o przetrwanie na dworze króla, prawdziwym wsparciem i przyjacielem, który nie zawahał się narazić własnego życia, gdy przewrócił się powóz, by ją ochronić. Rozumiał, jak bardzo wspólne przeżycia ich ze sobą połączyły. To, co jeszcze dotarło do niego, strzępy historii z życia nowego przyjaciela, nawet miłość do Sela, sprawiło także, że Oliwier nie zastanawiał się, czy wejść na pokład, gdy zaciągnięto tam Rossa.

Dobrze, że przezornie zamustrował się wcześniej.

Bez tego ci ludzie być może nie mieliby teraz nawet cienia szansy na wolność.

Cieszył się, że tak postąpił i że jest tu teraz z nimi.

Jednocześnie bał się. Może bardziej ze względu na kochające go kobiety niż na siebie samego, ale jednak.

Ross dotknął jego ramienia z cieniem uśmiechu. Będąc tak blisko matki i jej okrutnego kochanka nie potrafił stawić czoła niebezpieczeństwu z dawną siłą, lecz wciąż nie brakowało mu odwagi.

Oliwier poczuł się podniesiony na duchu za sprawą Klejnotu i nowym spojrzeniem ogarnął towarzyszących mu ludzi.

Karczmarz uściskał go mocno wobec zebranych.

— Tego chłopaka trza chronić. Dwa życia ma w sobie, a mimo to się narażał dla nas i dla swego przyjaciela!

— Stań se za nami, Oliwier — rzekła na to przysadzista karczmarka, którą jak i większość znał wcześniej z widzenia, lecz wtedy był głównie Seleną, czego teraz wolał nie przypominać. Najwyraźniej słyszała, jak ma na imię, gdy przedstawił się Mai, która uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. — Niech cię tam nie dosięgną.

— Wyleźmy wreszcie z tej dziury, ojciec — odezwał się jeden z synów karczmarza o włosach tak kręconych jak u jego rodzica. — Będzie, co ma być!

— Czekajcie! — Ross spojrział w górę. Jego skupiona twarz teraz poblądła wyraźnie.

— Moja matka i kilku ludzi idą tutaj — wyjaśnił im z powagą.

Maia odezwała się pierwsza, nim pozostali, nienawykli wciąż do nowych umiejętności Rossa, ochłonęli z zaskoczenia.

— Ilu ludzi? — zapytała przytomnie.

Spojrział na nią, zaskoczony twardym brzmieniem jej głosu, znamionującym odwagę i determinację. Jej postawa wzbudziła w nim podziw.

Nie mógł zawieść tych ludzi, pozwalając, by lęk nad nim zapanował. Więc, choć w piersi serce tłukło się niespokojne, odparł wspomagany siłą dziewczyny:

— Sześciu.

— Dobra nasza! — zawołał jeden z myśliwych.

Ross rozejrzał się szybko.

— Na miejsca! — zakomenderował. — Muszą tu wejść!

Gdy wszyscy znów usiedli, udając nadal skępowanych więźniów, poza Oliwiera nonszalancko wspartym o beczkę z wodą, czarodziej Klejnotu dodał jeszcze:

— Ale nie muszą stąd wyjść...

Porwanym wypłynęły złowróżbne uśmiechy na twarze.

* * *

Cadelia weszła pod pokład, spoglądając bystro na Oliwiera i związanych. Syn leżał na posłaniu. Jej chytra dusza wyczuła zmianę w powietrzu, coś niepokojącego, lecz nim zdążyła się zorientować, gdzie tkwi przyczyna, jej ludzie zeszedli za nią i zamknęli drzwi. Skinęła na nich, by mieli oko na wszystko.

Coś tu nie grało. Czowała to.

Oliwier patrzył na nią spokojnie. Ross usunął lęk z serc współtowarzyszy, co było dla nich zarówno błogosławieństwem, jak i szaleństwem, lecz w duchu byli mu wdzięczni. Teraz każdy z nich powoli zaczynał odczuwać jego wpływ.

„Ten chłopak jest niebezpieczny” — pomyślała Cadelia, spoglądając na Oliwiera.

„Nie wyjdziecie stąd żywi” — usłyszeli nagle w swoich głowach towarzyszący jej ludzie.

Poczułi lęk. Porażający strach przed głosem i tym, co niesło przesłanie. Sześciu silnych, znających niejedno niebezpieczeństwo w swoim życiu ludzi, którzy mieli całkiem spore szanse w walce z porwanymi, nagle przeraziło się, słysząc głosy w głowach, niczym wyrocznię losu zwiastującą im zgubę.

Zmieszali się. Ku zaskoczeniu Cadelii wyciągnęli miecze w zabobonnym lęku, rozglądając się czujnie, sprawdzając twarze uwięzionych. Jedyne Oliwier uniósł nieznacznie brwi w zaskoczeniu. Pozostali tkwili na podłodze, pozornie unikając spojrzeń żeglarzy.

Nie na darmo Cadelia była pierwszym oficerem-kobietą w tej bandzie na statku, który nosił jej imię. Może i obawiała się nieco Ramseya, ale to nie znaczyło, że miał nad nią pełną władzę. Jedyne taką, na jaką mu pozwalała przez swoją ślepą miłość.

— Co jest, do cholery?! — wydarła się, czując lekkie ukłucie paniki. — Stało wam się coś w głowę, psy przekłete?! Po co wyciągacie miecze?

— Głos... — szepnął jeden z marynarzy.

Cadelia natychmiast spojrzała na swojego syna. Wciąż leżał w tej samej pozycji, jak go widziała z początku, ale już straciła pewność, że jest nieprzytomny. Pomyślała, że dźgnięciem miecza w żebra wyjaśni tę kwestię natychmiast. Nie da się zwieść jego sztuczkom. Wiedźma kazała na niego uważać. Dobrze wiedziała, że tamta miała rację. Z pewnością chętnie poderznąłby jej gardło za jej wcześniejsze czyny, nieodrodna krew swojego ojca!

Zupełnie go nie znała. Nigdy nie chciała go znać. Nawet nie chciała, by się urodził, ale płód nie dał się spędzić. Niepojęte, jak syn tego potwora dotąd trzymał się życia.

Wiedziała, że kiedyś każe jej zapłacić za wszystkie zbrodnie, których się dopuściła. Lepiej więc byłoby, gdyby teraz wciąż był nieprzytomny. Na wszelki

wypadek wyciągnęła flakonik wiedźmy i mocniej ścisnęła miecz w swojej dłoni.

Gdy znalazła się tuż przy nim, zerwał się z posłania, pochwycił ją za nogę i pociągnął, aż gruchnęła na podłogę. To był sygnał dla pozostałych, którzy stanęli do walki z marynarzami.

Ross chętnie pomógłby towarzyszom, wpływając na marynarzy, by stracili chęć do potyczki, lecz matka okazała się kobietą o naprawdę niezwykłym instynkcie przetrwania. Gdy górale obezwładniali i krępowali ludzi Cadelii, ta wypuściła miecz i podrapała Rossa po twarzy ostrymi paznokciami, sprawiając, że cofnął się, by nie stracić oka. Pomimo bólu po upadku rzuciła się na niego zaciekle z wrzaskiem, ściągając go na podłogę, by przygnieść własnym ciężarem.

Oliwier skoczył do przodu na pomoc, lecz chcący go chronić górale odepchnęli go do tyłu, wciąż szarpiąc się z marynarzami, bo dwóch biło się naprawdę nieźle. Maia sięgnęła po miecz jednego z pokonanych, jednak przed zadaniem ciosu powstrzymał ją lęk przed zadaniem śmierci. Chłopak u jej boku wyjął broń z jej dłoni i przepełniony chęcią zemsty wbił w pierś wroga, jakby robił to przez całe życie.

Inni jednak nie zginęli. Górale zwiążali ich i zakneblowali, niektórych opornych ogłuszając, a jego czyn potraktowali z mieszaniną grozy i wyrozumiałości, pozostawiając ocenę Mai, która wkrótce miała zostać jego żoną.

Matka zdołała przygnieść swego syna, siadając na nim. Bolesnie wykręciła mu prawą rękę, chcąc wcielić w życie swój plan ratunku i wlać mu w usta nawet całą zawartość flakonika wiedźmy, by zapobiec jego żądzy zemsty, o którą go podejrzewała. Gdyby to był ktoś inny, nie ona, Ross być może broniłby się bardziej zaciekle. Ale to była jego matka, która nieraz go zdradziła. Niejeden raz była dla niego źródłem cierpienia i omal nie zrujnowała mu życia. Paniczny strach narosły od czasów dzieciństwa, ten sam, który sprawiał, że bał się powrotów do domu, który sprawiał, że budził się nocami przekonany, że idzie do niego, by wymierzyć mu karę za niepopelnione czyny i błędy dziecka — osłabiał jego wolę walki.

— Nie będziesz się mścić!! — wrzeszczała nad nim, szarpiąc się z nim zaciekle.

Kilkoro ludzi spojrzało na tę scenę ze zgrozą. Oliwier wyrwał się wreszcie do przodu.

— Powinnaś mnie kochać! — krzyknął głosem tak przepełnionym żalem, że teraz już wszyscy na niego spojrzeli. — Powinnaś mnie kochać, mamó! Dlaczego mnie tak nienawidzisz?!

Jego słowa sprawiły, że Oliwier zamarł.

Zdawało się, że wszyscy czekają na wyjaśnienia.

Choć Oliwier śledził wzrokiem dłoń Cadelii z flakonikiem oraz Rossa, powstrzymał się od udzielenia pomocy przyjacielowi, podobnie jak pozostali, którzy stanęli niepewnie, czekając na odpowiedź wyrodnej matki, która w innych

okolicznościach mogła już nigdy nie nastąpić.

— Syn mordercy, zwyrodnialca, co za nic miał ludzkie życie! — wrzasnęła mu w twarz matka. — Zboczeniec plugawy, jak jego ojciec! Brudna świnia, która kryje się pod porządnym ubraniem i myśli, że jego gówno nie śmierdzi! Nie powinienes istnieć! Ani ty, ani twój ojciec — rzeźnik i gwałciciel! Żaden z was!

Silna karczmarka sapnęła gniewnie na te słowa, podeszła do siedzącej na synu Cadellii i pięścią zdzieliła ją w twarz. Potem, gdy zaskoczona i przymroczone Cadelia obmacywała obolałą kość policzkową, bez żadnego szacunku okręciła sobie jej włosy wokół ręki i postawiła ją na nogi twarzą do swej twarzy.

— Dziecko winisz za zbrodnie ojca? — syknęła wściekła. — Spójrz kiedy w lustro, tam dopiero diabła zobaczysz!

Pociągnęła ją w stronę schodów, wrywając flakonik z dłoni.

— Nie gapcie się tak! — rozkazała oszołomionym współtowarzyszom. — Jazda, porozdzielać się. Jedni pilnują więźniów, drudzy idą za mną! Oliwier! — krzyknęła, ale Oliwier ubiegł jej rozkaz i już znalazł się przy przyjacielu, więc kiwnęła tylko na ten widok potakująco głową i dodała głośno: — Powiedz mu, coby się wziął w garść póki co! W domu ode mnie pajdę ze smalcem dostanie i garniec najlepszego piwa, ale teraz działać musimy!

Ross spojrzał na nią i na matkę z rozkwaszonym nosem, czując jak ciepło i wdzięczność rozgrzewa mu serce dla karczmarki. Po raz drugi w jego życiu obca kobieta stanęła w jego obronie w walce z matką.

Kiedyś to Valerii wzięła jego stronę...

Matka szarpnęła się, lecz ból i groźba wyrwania trzymanyh w mocnym uścisku włosów przez karczmarkę powstrzymała jej zapędy.

— Nie skończyłam z tobą! — wrzasnęła do syna.

— Mnie się widzi, że skończyłaś! — karczmarka zerknęła na drzwi, słysząc kolejne pioruny. — A teraz se pogadam z twoim chłopem! Zobaczymy, jak mu na tobie zależy!

— Trzymasz się? — zapytał z troską Oliwier, oglądając szramy na twarzy Rossa.

Te jednak zaczęły już znikać za sprawą krwi Wiwana krążącej w jego żyłach. Oliwier przyjął to z ulgą.

Ross spojrzał na niego bez słowa. W jego oczach przyjaciel zobaczył wzbierające łzy, lecz ten szybko potrząsnął głową, wyraźnie nakazując opanowanie. Zerknął w stronę schodów, po których wspinała się już większość porwanych. Nawet Maia otrząsnęła się z chwilowego letargu.

Ross wsparł się na Oliwierze, by wstać, odsuwając jednocześnie wszelkie uczucia na potem.

Oliwier widział, jak wiele kosztowało jego przyjaciela spotkanie z matką. Mimo pozorów spokoju drżały mu ręce.

Ross spojrział na uwięzionych marynarzy.

— Nie sprzeciwiajcie się — powiedział nagle tonem, od którego nawet Oliwier poczuł ciarki na karku. — Inaczej sprawię, że skoczycie wszyscy do morza i nie będziecie walczyć o życie...

Jak udawało mu się zachować zimną krew po tym, co się stało? Tego Oliwier nie wiedział. Zobaczył, że Klejnot lśni chwilę czerwonym blaskiem, a zaraz potem gaśnie.

Pokaz, by zastraszyć. Nawet więźniowie to wiedzieli. Mimo to zrezygnowali z oporu.

Ross nie pragnął ich śmierci. Chciał tylko, by siedzieli spokojnie i nie przeszkadzali.

Oliwier szybko odwrócił wzrok, by przyjaciel nie zobaczył w jego oczach łez wzruszenia.

Wszystko, o co wyrodna matka podejrzewała syna, nie było prawdą.

Ross nie był złym człowiekiem.

— Mikela! — wrzasnął nagle karczmarz.

Przysadzista kobieta zachwiała się na schodach i gdyby nie to, że na drodze stanęła jej przemytniczka i pozostali współtowarzysze niedoli, upadłaby na podłogę. Na skroni widać było wyraźne rozcięcie i krew.

Przy drzwiach stał Ramsey z drewnianym młotem w rękach. Otarł twarz niedbałym ruchem w zacinającym deszczu i wietrze, nic sobie nie robiąc z szalejącej pogody.

— Caddy! — zawołał do matki Rossa, która skorzystała z zamieszania i wyrwała się w stronę drzwi.

W geście niezwykłej u niego uprzejmości wyciągnął do niej rękę, by pomóc wyjść, a zaraz potem ustawić za swoimi plecami.

W sercach porwanych zagościła trwoga.

— Brać ich! — krzyknął Ramsey.

To była ta krótka chwila, jedno uderzenie serca, gdy strach ogarnął buntowników, a ich nadzieja zgasła w poczuciu beznadziei.

Wtedy Ross nabrał tchu i krzyknął:

— Zamknąć drzwi! Brońcie się!

— On się ocknął! — upewniła kochanka Cadelia ze strachem w głosie.

Karczmarz pchnął mieczem niezdarnie. Ramsey pochwycił jego rękę. Wywiązała się krótka szamotanina, w wyniku której odważnemu mężczyźnie i dwóm innym ludziom udało się dostać do uchwytu drzwi i pociągnąć je do siebie. Udało się wykorzystać uchwyt i sztylet Oliwiera do zablokowania. Jasnym jednak było, że ta prowizorka nie wytrzyma długo. Mimo to mały sukces sprawił, że górale wiwatowali radośnie.

— Powyżynają nas tutaj! — krzyknęła jedna z dziewczyn, która w czasie

zarazy rozdzielała żywność potrzebującym i organizowała zapasy.

Jej słowa, pomimo swego znaczenia, zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie niż objaw lęku. Odwaga powróciła.

Maia obmywała tymczasem na podłodze skroń karczmarki, której Oliwier nalał do ust kroplę ubywającej krwi uzdrowiciela.

— Co z nią? — zaniepokoił się Ross.

— Będzie dobrze — odparł Oliwier.

Karczmarz stanął u podnóża schodów z mieczem, którego nie pozwolił sobie wyrwać. Wykrzywił się w stronę Rossa z zadowoleniem.

— Dobra robota! — zawołał. — Wszyscyśmy zaczęli srać w gacie zamiast działać. Jak jeszcze raz stanę jak durna koza — kopnij mnie w dupę!

— Załatwione! — uśmiechnął się Ross.

Drzwi stęknęły głucho.

— To nic nie da — stwierdził dobitnie Ross, patrząc w górę. — Zrezygnujmy. Nawet jeśli je otworzymy, wybiją nas jednego po drugim...

— Co on robi?! — zapytał ze zdumieniem narzeczony Mai.

— To, co potrafi najlepiej — odparł mu tajemniczo zapytany, patrząc na żarzący się Klejnot Nadziei.

Odgłosy umilkły.

— Matko Ziemio! — szepnął jeden z górali, spoglądając na Rossa z zabobonnym lękiem.

* * *

— Podłożyć ogień? — zapytał jeden z marynarzy, na co Ramsey bez uprzedzenia strzelił go w pysk .

— Spalisz statek, idioto! — wrzasnęła Cadelia, a do kochanka w panice krzyknęła: — On zmusi nas do wszystkiego! Mayene nas uprzedzała!

— Nie do wszystkiego, Caddy, nie do wszystkiego!

— Pozabija nas albo zmusi, żebyśmy sami się pozabijali!

— Tego — wykrzywił się do niej Ramsey — nie może zrobić. Dobrze o tym wie.

— Dlaczego? — zapytała, na co marynarze z zaciekawieniem czekali na odpowiedź.

— Bo to, co mu tam dynda na szyi, to Klejnot Nadziei — wyjaśnił im. — Podobno zrodzony z miłości — zaznaczył z szyderstwem, nadając tym słowom drugie znaczenie i wywołując kpiące uśmiešky na twarzach załogi. — A żaden pieprzony miłosny klejnot nie pozwoli zabijać. Nie może użyć go w tym celu. Tak powiedziała wiedźma.

Przyjęli tę wieść z ulgą , lecz po chwili jeden z marynarzy zapytał:

— A co może zrobić?

— Ross!! — wrzasnął w stronę zamkniętych drzwi Ramsey, nie udzielając odpowiedzi. — Przypląnęło twoje słoneczko! Osobiście oderżnę mu jaja! Zaczynam mieć w tym wprawę! — uśmiechnął się złośliwie. — Pamiętasz Nima, twojego kochasia?

Nie doczekał się odpowiedzi, lecz mimo to uśmiechnął się do Cadelii i załogi z satysfakcją.

— To go wykurzy — powiedział.

Tymczasem górale zatrzymali Rossa, nim zdołał osiągnąć drzwi, targany żalem i gniewem.

— To szaleństwo! — zawołał karczmarz. — Większość z nas nigdy nie walczyła! Wybiją nas, nim pomoc zdąży wejść na pokład!

— Jeśli chcesz go pokonać, użyj tej swojej magii! — zawołał jeden z porwanych myśliwych.

— Nie jestem dobry w manipulacjach ludźmi! — przyznał Ross w zdenerwowaniu. — To nie jest takie proste!

— To każ im się nawzajem pozabijać! — odparł mu myśliwy.

— Nie mogę — odparł Ross i pokrótce wyjaśnił im działanie klejnotu.

— Klejnot zrodzony z miłości... — karczmarz podrapał się w zamyśleniu po głowie. — To może każ im się w tobie zakochać? — zasugerował niepewnie.

Kilku górali cicho zachichotało.

Ross spojrział na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy...

* * *

„Od początku to było głupie” — pomyślał jeden z marynarzy, spoglądając na zbliżający się statek. — Po co w ogóle pchaliśmy się w handel ludźmi? Dobrze nam było, jak było...”

„Ten chłopak Cadelii nie jest taki zły — pomyślał inny. — Ma przecież klejnot miłości...”

„Kto powiedział, że mamy się w to pchać, skoro to sprawy między matką a synem?” — zastanawiał się tymczasem jeszcze inny stary marynarz.

* * *

— Co on teraz robi? — zapytał cicho karczmarz Oliwiera, widząc Rossa przemykającego w skupieniu oczy.

— Cii... — zapytany położył tylko palec na ustach.

„Caddy... — szepnął Ross w myślach do umysłu Ramseya. — Po co my się w to bawimy?”

Starał się, by sposób sformułowania słów był ten sam, jakiego używał Ramsey. Bał się, że odkryje manipulację. Ten grunt wciąż był dla niego niepewny, głównie dlatego, że obawiał się gniewu swoich prześladowców. Strach nie chciał go opuścić, zbyt głęboko w nim tkwił. Dlatego Ross nawet nie próbował przeniknąć do umysłu matki...

— Caddy — Ramsey objął ją w pasie, gdy już wydał rozkazy, by przygotować broń i działa. — Po co my się w to bawimy?.

„Skończ z tym” — szepnęła cicho Ross także za podszeptem serca.

Oliwier spojrział na niego ze smutkiem.

— Skończ z tym — powtórzył Ramsey. — Po cholere nam to wszystko?

„Zgadza się ze mną” — ucieszył się Ross w duchu.

— Zostawmy tych ludzi i wróćmy do swoich spraw — Ramsey obserwował Hydrę zmagającą się z falami, zmierzającą w ich kierunku. — Dobrze nam z tym było.

Ross wyczuł wahanie w uczuciach matki. Coś w niej drgnęło.

Zastanawiała się, tknięta nagle myślą, że może rzeczywiście coś w tym jest. Ale wciąż dręczył ją lęk. Zabrnęła za daleko...

— On mi nie odpuści — powiedziała, patrząc w oczy swej miłości, szukając w niej zrozumienia.

Serce Rossa biło szybko. Kierowany pragnieniem, by zyskać choć cień akceptacji zranioną miłością, która czekała przez całe życie na odwzajemnienie, targany żalem nie wiedział, co teraz ma podpowiedzieć. Jakie podszeptać słowa. Nie mógł zaprzeczyć ustami Ramseya. Były rzeczy, które ciężko byłoby wybaczyć, o ile w ogóle było to możliwe...

Popełnił błąd...

ROZDZIAŁ 9 — SZTORM

Barnica układała się do snu. Pafian delikatnie poprawił poduszki pod głową brata. Uśmiechnął się do Waszeby. Sai czekała obok w milczeniu, patrząc z troską na zmęczonego Wiwana.

* * *

Mayene weszła do pokoju Tenana. Zobaczyła go śpiącego z rękami przywiązanymi do łoża...

Uśmiechnęła się krzywo, przysiadając ostrożnie obok niego. Przez chwilę kontemplowała jego urodę, patrząc opalizującymi oczami bez białek, niczym istota

z obcej planety badająca swoją ofiarę. Tym dla niej był. Zabawką, ofiarą... Niczym więcej.

Usiadła na nim i pochwyciła za związane ręce. Wzdrgnął się, przebudzony gwałtownie. Jego bursztynowe oczy napotkały jej nieludzkie spojrzenie.

Pocałowała go.

Poczuł, jak traci siły. Całe jego istnienie protestowało przeciw temu, broniąc się przed zagładą.

Ale nie miał wyboru...

* * *

Na morzu Hydra tańczyła na falach. Kapitan wykrzykiwał raz po raz rozkazy. Sel nie widział zapowiadanych rekinów, lecz był pewien, że kryją się gdzieś w odmętach wód, czekając na swoją okazję...

Cadelia, czyli piękny, przybrany złotem galeon sunął przed nimi na falach.

— Zgubimy ją? — zapytał bosmana z obawą.

— Nie ma mowy! — odkrzyknął Nat, sprawiając wrażenie, jakby wiatr i deszcz były czymś zwyczajnym.

— Wytrzymaj... — Sel wyszeptał cichutko przed siebie przekaz mentalny do Rossa, choć wiedział, że tamten nie mógł go słyszeć.

Alesei odrzucił mokre od deszczu ciężkie, długie włosy. Zerknął na przyjaciela.

— Poradzi sobie! — krzyknął, by podnieść go na duchu.

Sam jednak martwił się o przyjaciela, przeklinając mijające bez wiedzy o jego losie chwile.

Część górali schroniła się pod pokładem, jednak gdy zbliżyli się do Cadellii, wyszli na zewnątrz pomimo sztormu i ogarniających ich mdłości. Nikomu nie przyszło nawet na myśl, by poprawić ten stan cennym darem Wiwana, który dwaj jego przyjaciele nosili przy sobie. Był cenny. Krwi Wiwana nie chcieli marnować na takie błahostki jak choroba morska, choć Alesei zaproponował to góralom. Ci odparli dumnie, że to nie woda tylko życie uzdrowiciela, więc dadzą sobie radę bez interwencji magicznych mocy. Przyjaciele zatem postąpili podobnie. Z szacunku. Dumna odmowa górali wiele im powiedziała o ich oddaniu Wiwanowi. Coraz większą wagę przywiązywali do daru przyjaciela i do tego, jaki miał wpływ na ludzi. Także na nich samych.

Sel przemókł do suchej nitki. Przerażająco wielkie fale napełniały go lękiem, którego jednak starał się dzielnie nie okazywać, skoro wszyscy podjęli taką decyzję. Nigdy nie był na morzu. Nawet nie przypuszczał dotąd, że kiedyś to się zmieni, i do tego w tak potwornych warunkach. Chciał tylko jak najszybciej znaleźć się u boku Rossa; wiedzieć, że jest cały i zdrowy.

Wtedy mógłby znieść nawet sztorm i burze z piorunami.

— Przygotować się do abordażu! — krzyknął kapitan.

Nawet góralom nieobce było to słowo. Ten i ów w zdenerwowaniu sprawdził miecz i nóż u pasa. Karczmarka, której mąż i synowie zostali porwani, odetchnęła dwa razy głęboko i odgarnęła mokre i lepiące się do twarzy kosmyki włosów, by nie przeszkadzały. Marynarz z kolczykiem w uchu uśmiechnął się do niej, pokazując swój rynsztunek. Ojciec Mai, którego Sel znał z niedawnych czasów, gdy pomagali podróżnym szukającym pomocy u uzdrowiciela, skinął Selowi głową. Ten kiwnął głową dla dodania sobie otuchy, po czym obaj spojrzeli przed siebie na pięknie rzeźbiony galeon będący więzieniem ich bliskich. Wszyscy mieli tę samą determinację wypisaną na twarzach.

Hydra doganiała Cadelię.

— Dawaj! — zawołał gromko Alesei.

— Ostrza!! — krzyknął kapitan Noben wśród trzaskających piorunów.

Alesei przyskoczył do wajchy przy przednim maszcie i pociągnął. Szczęknęły wysuwane z kadłuba ostrza w kształcie sierpu.

Hydra pokazała zęby.

Pies stanął na dziobie, szczekając na Cadelię krótkimi pojedynczymi szczeknięciami.

Byli tak blisko, że widzieli już kadłub potężnego statku, przy którym Hydra przypominała zwykłą rybacką łódkę, a także dostrzegli działa gotowe do wystrzału i uzbrojonych marynarzy wygrażających im z pokładu. Nie pozostawiali im jednak dłużni.

Lampy na statku świeciły w ciemnościach niczym latarnie nad kajutą kapitana. Piękna kobieca postać wieńcząca zgrabnie dziób żaglowca z rozwianymi włosami, podobnie do swego pierwowzoru, z chmurnym wyrazem na twarzy spoglądała z najwyższą pogardą.

Sel obserwował kobietę, która wydała Rossa na świat.

Zapamiętywał jej obraz w swej artystycznej pamięci.

Kapitan Noren pobielał na twarzy. Nat zamarł, patrząc na gotowe do wystrzału działa.

— Kapitanie! — zawołał. — Rozniosą nas!

— Panie Andilio!

— Tak, panie kapitanie! — odkrzyknął odruchowo Sel.

— Pora, by pan zaprezentował działanie kuszy! — zawołał do niego. — I to zaraz!

Sel spojrział na niego nieodgadzionym wzrokiem, rozważając możliwości.

— Ajajaj, kapitanie! — odparł po chwili.

— Ster lewo! — zawołał kapitan.

— Jest ster lewo! — padła szybka odpowiedź sternika, równie prędką jak

jego działanie.

„Zdobędziemy złoto w innym miejscu — szepnął Ross do umysłu Ramseya. — Po co ryzykować?”

Ramsey, podobnie jak wcześniej, powtórzył zdanie niemal słowo w słowo.

Nagle jednak coś w nim zgrzytnęło. Poczł niesmak, gdy tylko słowa wyszły z jego ust. Jakby wypowiadał je ktoś inny.

Jego ludzie wygrażali tym na Hydrze. Obiecywał sobie, że będzie wypatrywał kapitana i szukał kochasia Rossa, który pewnie stoi u jego boku, ale to, co podpowiedział mu umysł, rozproszyło jego uwagę. Zapomniał wydać rozkaz do ataku...

Coś tu nie grało...

— Ramsey! — Cadelia szarpnęła go za poły kaftana. — Mamy ich! Co się z tobą dzieje? Czemu nie wydajesz rozkazu?! I od kiedy to boisz się ryzyka, rezygnujesz ze złota, co? Nagle strach cię obleciał?! Mówię do ciebie, słuchaj mnie!

Cadelia patrzyła na niego zaskoczona i wściekła. To nie było do niego podobne. Uwielbiała i bała się jednocześnie, gdy pchał się w niebezpieczeństwo z błyskiem szaleństwa w oku. Ramsey się nie bał. Nigdy nie rezygnował. Nawet jeśli ryzykował wszystko.

Sam o tym wiedział doskonale.

— Stul dziób, kobieto!! — krzyknął nagle, przestraszony swoim niespodziewanym wcześniejszym zachowaniem.

Miał nadzieję, że poza nią nikt z załogi tego nie zauważył.

Zastanowił się, gdy tymczasem Hydra... zawróciła.

— Straciliśmy ją! — zawołał jeden z marynarzy, ze złością spoglądając na kapitana.

Za chwilę straci też poważanie u swoich ludzi.

— Do diabła! — krzyknął wściekły. — Za nimi!

— Kapitanie, woda wdiera się na statek! — zawołał inny, wybiegając spod pokładu.

Szalejące fale sprawiały, że woda zalewała działa w pokładach działowych i stojących obok nich ludzi, wdzierając się do wnętrza otworami strzelniczymi.

— Zamknąć! — zawołał Ramsey nieco rozproszony.

Marynarz zawahał się, ale przyjął, że najpewniej chodzi kapitanowi o działa, więc pobiegł z powrotem pod pokład. Tymczasem Hydra ustawiła się za nimi.

— Załadować działa pokładowe! — krzyknął Ramsey.

Marynarz zatrzymał się w pół kroku. Przez chwilę wszyscy spoglądali na kapitana niepewnie, dopóki krzywo na nich nie spojrział. Potem zaczęli w pośpiechu spełniać jego rozkaz. Ramsey zaklął gniewnie.

— Twój synalek mać mi w głowie! — syknął do Cadelii. — Wmawia mi

rzeczy, których nie chcę mówić.

— Gadanie...

— Spójrz na mnie, kobieto! — krzyknął. — Czy kiedykolwiek się zawahałem?!

Cóż, musiała przyznać, że nigdy.

Ramsey sięgnął po miecz. Zwołał kilkunastu ludzi przed wejście do pokładowego luku, gdzie zabarykadowali się więźniowie.

— Dość tego pieprzenia! — zawołał do nich. — Wywlec ich stamtąd!

Lecz nastąpiły niespodziewane komplikacje.

— A w imię czego? — zapytał nagle jeden z marynarzy. — Dlaczego mamy narażać życie? Bo mamusia nie potrafiła dać synkowi klapsa?

Ramsey i Cadelia spojrzeli na niego, zaskoczeni tym zuchwalstwem.

— Zginiemy w walce na darmo! — zawołał inny, nim kapitan zdecydował, że ukaże swego człowieka za niesubordynację, odpowiednio objając mu gębę.

— Chłopak ma klejnot miłości! — zawołał stary marynarz. — Nic nam nie zrobi!

Ramsey zrozumiał. Kolejna manipulacja. Znał swoich ludzi. To niemożliwe, żeby nagle zrobili się tacy wrażliwi...

— Ramsey... — powiedziała z wahaniem Cadelia, obserwując otaczających ich ludzi.

— Widzę — odpowiedział jej ponuro.

Ostatecznym dowodem na to, że marynarze ulegli sile sugestii Rossa były słowa bosmana, człowieka, który kiedyś był wielorybnikiem.

— Oni tylko chcą być wolni. Po co się narażać?

* * *

— Ross — Oliwier zaniepokoił się, obserwując przyjaciela. — Krew ci płynie z nosa...

Ross spojrział na niego, półprzytomnie dotykając wskazanego miejsca. Oliwier sięgnął po kawałek szmatki z opatrunków, które nosił przy sobie.

Musiał wygrać tę walkę woli z Ramseyem. Za chwilę tamten swoim stylem zastraszy ludzi. Zaprowadzi porządek wśród załogi siłą swego autorytetu. Jeśli go nie powstrzyma, nie zbuntuje załogi.

Nigdy dotąd czegoś takiego nie robił. Nawet nie wiedział, że potrafi... Aż do chwili, gdy postanowił użyć mocy. Klejnot powiedział, że powinni spróbować...

* * *

— Nie będziemy z nimi walczyć! — zawołał marynarz, a kilku innych

odpowiedziało mu echem.

Ramsey wściekł się nie na żarty. Z zimną furią stanął naprzeciw swoich ludzi. Zobaczył w ich oczach obawę. A jednak! Jednak się go bali! Trząśł się od gniewu, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli. Jego błękitne oczy niemal ciskały pioruny. Przyskoczył do pierwszego, który się odezwał, po czym bez wahania wbił mu sztylet zza pasa prosto w serce.

Załoga skamieniała ze zgrozy, nie mając odwagi stawić mu czoła. Tak silny miał posłuch. Cadelia wyciągnęła swój sztylet.

Ramsey pozwolił, by ciało osunęło się po nim z pozornym spokojem. A potem spojrzał na swoich ludzi...

* * *

Ross zrozumiał, że przegrał.

Teraz wszyscy marynarze drżeli ze strachu przed gniewem swego kapitana. Nie docenił siły jego autorytetu. I obawy ludzi przed jego szaleństwem.

Zbyt wiele naraz chciał zrobić, nie mając wprawy. W głowie słyszał już nieustanny szum i ogarnęły go mdłości.

— Idą tu — powiedział z trudem. — Przepraszam...

DAJMY IM WOLEŃ WALKI — szepnął Klejnot.

Ross przymknął oczy...

* * *

— Wyważyć! — krótko rozkazał Ramsey, nie siląc się już na wyjaśnienia.

Jego ludzie ochoczo przystąpili do wykonania rozkazu.

Nagle przez grzmot przedarł się stuk.

Zupełnie znikąd pojawiła się potężna strzała przewiązana długą liną, która z impetem wbiła się w pokład kilka centymetrów od butów Ramseya.

Koniec liny uwiązany był do potężnej kuszy na dziobie Hydry, która zbliżyła się do nich od prawej.

— Ognia! — usłyszeli okrzyk kapitana Hydry nawet przez huk fal.

Kilka dział na pokładzie statku wybuchło salwą.

Wybuch rozniósł niemal maszt przed stojącą u boku Ramseya załogą i wyrządził poważne szkody wśród ludzi.

Ramsey wyciągnął miecz w górę, bielejąc z wściekłości.

— Na co, kurwa, czekacie?! Ognia!! — ryknął.

* * *

— Przeklęty wiatr! — krzyknął Sel do Aleseia, zły, że strzała nie dosięgła

celu.

W tym momencie sierpowe ostrza Hydry wbiły się w kadłub Cadelii. Załoga zachwiała się na nogach.

— Dalej, panowie i panie! — zawołał kapitan Englehon. — Do abordażu!

Część załogi i wszyscy górale ruszyli na drugi statek z bojowym okrzykiem.

Wtedy huknęły działa Cadelii.

Hydra, zdecydowanie mniejsza, ustawiła się mniej więcej w połowie długości większego statku, wbijając ostrza, które zespoliły oba statki. Każda z wystrzelonych przez Cadelię kul ominęła maszty, muskając je tylko bez poważniejszych szkód, ale zarówno kapitan jak i Sel wiedzieli, że następna salwa naprawi ten błąd.

Zaskoczeni górale zasłonili się odruchowo.

— Dalej, panienki! — zawołał Nat. — Ataaak!!

Wszyscy się zerwali. Z większą lub mniejszą wprawą pochwycili liny i wdrapali się na jednostkę przeciwnika.

Marynarz z kolczykiem w uchu pomógł gorliwej karczmarce i zgodnie, jakby od lat brali udział w takich potyczkach, stanęli na pokładzie z toporami gotowymi do walki. Na Cadelii było więcej marynarzy, po cichu więc liczone, że pewne wsparcie dadzą porwani, gdy będzie można ich uwolnić.

Sel wskoczył na pokład w chwili, gdy wściekły Ramsey odciął linę od strzały, która omal go nie zabiła.

Ich spojrzenia się spotkały.

— Caddy? — zwrócił się w stronę swej wybranki przemytnik.

— Tak! — odparła z zaciętością w głosie. — To następca Nima.

Jej odraza była tak wielka, że nie zdobyła się w tej chwili na bardziej obraźliwe określenie.

— Zajmij się swoim synalkiem, a ja zajmę się tym tutaj!

— Nie!! — odparła. — To ty dokończ, co zacząłeś! Trzy lata temu powinienes go zabić, ale zawałiłeś sprawę! Ja zatłukę tego śmiecia!

Spojrzał na nią, a potem na zbliżającego się Sela, który torował sobie drogę wśród walczących.

Uśmiechnął się krzywo.

— Jak chcesz, skarbie! — zawołał, a potem zwrócił się do załogi u jego boku. — Wyważyć drzwi!

Z pomocą młota i kilku solidnych kopniaków spełniono jego polecenie.

U podstawy schodów na dole stali porwani, gotowi do walki na śmierć i życie.

Ross stał pośród nich.

Ramsey znów się uśmiechnął.

Serce Sela przepełnił lęk, gdy zrozumiał, z kim za chwilę będzie walczył

Ramsey, lecz nie miał możliwości, by temu przeszkodzić.

Na drodze stanęła mu matka Rossa.

Alesei był już w pobliżu, wciąż jednak walczył z kilkoma przeciwnikami.

Cadelia wyciągnęła miecz i z bojowym okrzykiem rzuciła się do walki. Mieczem дарowanym przez królową Konstancję Sel odparował atak.

Jeśli choć przez chwilę sądził, że matka Rossa będzie słabą, zapijaczoną przeciwniczką, teraz pozbył się złudzeń. Najwyraźniej nie próżnowała przez te lata spędzone u boku Ramseya.

Doskonale władała mieczem.

Walka była zaciekła.

Cadelia uważnie obserwowała jego ruchy, nie dając się ponieść odrazie i nienawiści. Dążyła do wyznaczonego sobie celu pewnie i nieubłaganie.

Przyzwyczajona do kołysania na morzu wykorzystała chwilę, gdy stracił równowagę, i cięła go w twarz.

— Już nie będziesz taki ładny! — powiedziała szyderczo.

Nie zważając na krew z rozciętego policzka, Sel naparł na nią mieczem.

Kolejne sprawne ruchy Cadelii rozcięły mu podbródek i skórę na piersi. Zaklął pod nosem jednym z ulubionych przekleństw Aleseia.

— Puszczają nerwy? — zadrwiła. — Dalej, panienko, rekiny czekają już na twoje ścierwo!

Udał, że rzeczywiście traci nad sobą panowanie. Odczekał, aż uśmiechając się z satysfakcją na widok jego pozornej furii popełni błąd. Kosztowało go to trochę sił, lecz ten wysiłek się opłacił. Pewna siebie Cadelia natarła na niego, przekonana, że za chwilę go zabije.

Wtedy ku jej zdumieniu udało mu się wykonać kontrę, dzięki której zbliżył się do niej szybciej, niż się spodziewała, i uderzył w twarz, aż się zatoczyła i upadła.

Nim zdołała się zebrać, czubek jego miecza dotknął jej gardła...

Spojrzała na niego wściekła.

Splunęła w jego stronę z pogardą. Bez lęku.

W duszy Sela żal i gniew walczyły z poczuciem sprawiedliwości. Cadelia dopuściła do tego, by Ross był bity tak, że blizny pozostaną mu do końca życia. Uciekł przez nią z domu.

Zawiodła go i zraniła bardziej niż własna matka Sela...

— Za długo to trwa! — wrzasnęła w jego stronę. — Nie masz jaj! Nie jesteś prawdziwym mężczyzną, tylko takiego udajesz! Jesteś marną namiastką mężczyzny! Ross zawsze wybiera jeszcze gorszych mięczaków od siebie! Ty i Nimm jesteście tacy podobni do siebie! Może i umiecie się bić, ale jak przyjdzie co do czego, brakuje wam jaj!

„Nim?” — zastanowił się Sel.

Jego poprzednik...

— Mylisz się — odparł ponuro, unosząc miecz do ciosu.

— Seeel!! — wrzasnęła nagle tuż obok Alesei. — Nie rób tego!!

Cadelia uśmiechnęła się szyderczo. Zła, podstępna kobieta gotowa znęcać się nad swoim dzieckiem. Ta, która przyczyniła się do śmierci poprzedniego partnera Rossa.

Okrutna i bezwzględna.

Sel nie chciał już się wahać. Ani zastanawiać...

Alesei powstrzymał go w ostatniej chwili, a karczmarka Mikela rzuciła się zniecka na powaloną Cadelię i owinęła jej szyję łańcuchem.

— To... — wydyszała, gdy szarpały się ze sobą — żebyś wreszcie stuliła pysk, suko!

Twarz Cadelii poczerwieniała, gdy zaczęła walczyć o powietrze. Zbyt mocno zaciśnięty łańcuch niemal go jej pozbawiał.

Karczmarka zaciągnęła ją na środek pokładu, gdzie było już kilku uwięzionych, po czym związała.

Sel rozejrzył się. Zdobywali przewagę.

Jednak Rossa tu nie było!

Spojrzał na rozwalone drzwi prowadzące do luku.

W tym momencie Hydra oddała drugą salwę. Pokład Cadelii zatrzęsął się, szyby w kajucie kapitana zadrżały. Jeden z masztów pękł i omal nie przygniótł sobą walczących. Działa celowo skierowano bardziej do góry, by wyrządzić szkody w ożaglowaniu.

Sel ruszył w stronę drzwi.

* * *

Gdy Cadelia skrzyżowała miecz z Selem, Ramsey wpadł jak burza pod pokład, by przestraszyć porwanych, prowadząc za sobą ludzi.

Ale zdesperowani górale, wiedząc że znajdują się w pułapce, z której być może nie wyjdą żywi, jeśli nie będą działać razem, zaciekle się bronili. Ten i ów wydarł broń przeciwnikowi, bijąc go pięścią lub waląc swoim czołem w nasadę nosa przeciwnika. Kobiety trzymały się nieco w tyle do chwili, aż mężczyźni zdobywali broń, co niespodziewanie okazało się dość łatwe. Maia uderzyła mieczem jednego z marynarzy, gdyż zamierzał wbić sztylet w jej narzeczonego. Karczmarka Mikela przedarła się na górę, gdzie wywłócił jedną z kobiet pobudzony marynarz, po czym poderżnęła mu gardło. Obie podzieliły się bronią i dołączyły do walk na pokładzie.

Zerknąwszy pobieżnie na swoich ludzi w trakcie walki, Ramsey dostrzegł, że nagle znów stracili zapał, jakby obawiając się przeciwników. Zbyt łatwo się

poddawali.

— Psie syny!! — wrzasnął na nich, próbując przywołać ich do porządku. — Mąci wam w głowach ten pomiot! Zabić ich!!

Sprzeczne uczucia jednak zupełnie dezorientowały marynarzy. Lęk przed gniewem kapitana i strach przed zemstą porwanych sprawiły, że poczuli się zupełnie zagubieni. Górale wykorzystali tę okazję.

Nie dość jednak chronili swego czarownika.

Z bojowym okrzykiem Ramsey ruszył na Rossa, który trzymał miecz w ręce. Ostrza zgrzytnęły złowrogo. Drobniejszy Ross z trudem odparował natarcie silnego przeciwnika, wprawnego w dodatku we wszelkich bijatykach, czego o Rossie nie można powiedzieć.

— Mamusia mówi, że byłeś niegrzeczny! — Ramsey zbliżył swoją twarz do jego. — Tym razem nie będzie klapsa!

Strach po słowach Ramseya sprawił, że ciarki przeszły Rossowi wzdłuż kręgosłupa i zlał się potem. Jego ciało pamiętało uderzenia i kopniaki. Umysł dobrze znał okrucieństwo.

— Ross! — zawołał do niego Oliwier. — Nie jesteś tu sam!

Może chciał powiedzieć, że są tu też jego przyjaciele? A może to, że odpowiada za los swoich współtowarzyszy i nie wolno mu się poddawać?

Może jedno i drugie.

Nie powiedział nic więcej, pochłonięty walką z uwolnionym marynarzem, tym samym, któremu wydawał polecenia ledwie kilka godzin wcześniej. Ramsey pomyślał przelotnie, że zajmie się nim potem w podzięce za zainteresowanie Cadelii. O ile tamten wciąż będzie żył.

Na razie delektował się strachem swego przypartego do ściany przeciwnika. Widział strach w oczach Rossa.

Ross zrozumiał pełne znaczenie słów przyjaciela. Pomoc nadchodziła. Jest ludziom potrzebny.

Nie może się poddać.

Łatwiej pomyśleć, niż zrobić. Ramsey był o wiele silniejszy od niego. Poniewczasie Ross pożałował, że nie przykładał się zbyt do treningów.

— Caddy rozprawia się właśnie z twoją drugą kurwą, słoneczko — uśmiechnął się jadowicie Ramsey. — Na szczęście ostatnią w twoim życiu. Jak się wsłuchasz, to może go usłyszysz, gdy będzie umierał kwicząc jak zarzynana świnia! Prawie jak Nim.

— Nim... — z wysiłkiem odparł Ross — nie krzyczał. Umarł jak bohater. Z mieczem w dłoni.

— Zabił się, bo był tchórzem!

— Zrobił to, bo twoi kolesie chcieli mu zadać okrutną śmierć. Wolał się zabić, niż umierać w męczarniach na moich oczach!

Ramsey obserwował go z cichą satysfakcją, czekając na łzy, które nie nadeszły.

— Zhardziałeś — zauważył z mieszaniną uznania i kpiny jednocześnie, jakby podobna myśl nigdy wcześniej nawet nie przyszła mu do głowy. — Gdybyś nie był dupodajcem, może zrobiłbym z ciebie mężczyznę.

Ross spojrział na niego, z całej siły pragnąc, by Ramsey odczytał pogardę w jego oczach. Drżał z wysiłku. Używanie mocy i osłabienie po działaniu trucizny poważnie nadważyło jego siły.

Tym razem mógł przegrać. Nie wywinie się śmierci, jak zdarzało mu się to wcześniej. Czuł to.

— To koniec, Ross — powiedział Ramsey z dziwnym spokojem, potwierdzając jego obawy.

— Koniec będzie taki, jaki ja zechcę — odezwał się głos.

Ramsey poczuł dotyk miecza na swoich plecach. Ross spojrział ponad jego ramieniem.

Sel stał o krok za jego oprawcą. Był cały we krwi.

Twarz Ramseya ściągnęła się w niepokoju i gniewie, gdy zrozumiał, do kogo należy głos i gdy zobaczył reakcję swego przeciwnika.

— Caddy!! — krzyknął w stronę pokładu. — Caddy!!

— Nie usłyszysz cię — powiedział Sel cicho.

Ramsey rozejrzał się. Teraz dopiero zauważył, że jego ludzie zostali pokonani, a na zewnątrz jest dziwnie spokojnie. Walka była skończona.

Ross obserwował rozpacz w spojrzeniu Ramseya, twarz pokrywającą się czerwienią. Ręce drżały jak u starca. W oczach błysnęło lśnienie.

Naprawdę kochał jego matkę.

— Jestem kapitanem tego statku, psie syny! — ryknął do wszystkich obecnych Ramsey. — Żądam walki! Chcecie zająć statek, to najpierw musicie mnie pokonać. Inaczej przysięgam na wszystkie demony tego i każdego innego świata, że powrócę tu jako upiór i będę was dręczył, aż wszyscy zawiśniecie na sznurze! Nie zarżniecie mnie tu jak barana! Jestem Ramsey Taren, kapitan Cadellii, i żądam uczciwego pojedynku!

Pokonana przez górali załoga krzyknęła z uznaniem, podniesiona na duchu jego słowami. To był kapitan jakiego znali. Ich kapitan.

Wzburzeni górale zaczęli protestować.

Sel spojrział na swojego kochanka przypartego do ściany.

Widział jego desperację i zmęczenie. Mógł sobie tylko wyobrażać, jak tamten się czuje.

Uniósł nieco głowę, by powiedzieć głośno i wyraźnie:

— Zgoda. Będzie pojedynek!

Wszyscy ucichli.

Ramsey uśmiechnął się z satysfakcją. Serce Rossa niemal zamarło.

— Sel, to ja będę walczył! — krzyknął. — To moja sprawa!

Ale Ramsey zignorował jego słowa i odwrócił się do swego przeciwnika. Splunął na podłogę. Sel patrzył na niego, opanowany i spokojny, czego nauczył się przez lata choroby.

— Nie wyleczyłeś się, żeby teraz umrzeć — powiedział do niego Ross na pół prosząco.

— Wzruszająca scenka, zaraz się popłaczę — zadrwił Ramsey, na co jego ludzie zarechotali złośliwie.

— Powiedziałem, że koniec będzie taki, jaki ja zechcę — odparł spokojnie Sel. — A ja chcę jego śmierci.

Ton głosu Sela sprawił, że nawet Ramsey nic nie odpowiedział. Ross nagle przypomniał sobie groteskową maskę na twarzy Sela tamtego pamiętnego dnia, gdy jechali na pomoc uzdrowicielowi. Maskę, którą sam mu namalował. Julien powiedziała kiedyś, że to było jakby drugie oblicze Sela.

Maska śmierci.

Oliwier natomiast rozpoznał ton głosu. Ostatnim razem w taki sposób Sel wróżył śmierć Morenowi.

„Kochałem cię...” — rzekł wtedy Sel...

— Ross — uśmiechnął się lekko Sel, rozpraszając ponure wspomnienia. — Nie bój się, nic mi nie będzie. Nie bój się.

Sel zrobił to dla niego.

Ross odpowiedział uśmiechem, delikatnym i czułym, pochodzącym z głębi jego serca.

Klejnot rozświetlił się łagodnym blaskiem.

— Dość tego cyrku! — wrzasnął Ramsey, nacierając na Sela.

Sel odparował uderzenie z dziecinną łatwością. Minęły czasy, gdy był słabowitym, schorowanym człowiekiem. Codzienne treningi, z początku pod okiem żołnierzy królowej, a potem już we własnym zakresie, w które wciągnęli z czasem nawet Wiwana sprawiły, że Sel był w formie, jakiej nie miał nadziei uzyskać podczas swojego wcześniejszego życia. Nie był to jeszcze szczyt możliwości, o czym dobrze wiedział, jednak Kirian, dowódca straży, chwalił go za umiejętne wykorzystanie tego, czego zdołał się już nauczyć, oraz za spryt w ukrywaniu słabości. Trenował go z najlepszymi, podobnie jak Wiwana, dając im niezły wycisk i nie pozwalając na uzalanie się nad sobą. Dla ich dobra, jak mawiał, choć były chwile, gdy Sel myślał, że zaczyna go już nienawidzić.

Teraz miał okazję sprawdzić, co warte były te treningi.

Nie brał pod uwagę porażki. Nie był to przejaw dumy czy próżności. Sel nie myślał o klęsce. Skupił się na wykonaniu zadania. Innej opcji niż zwycięstwo nie brał pod uwagę. Ross by się załamał. Ramsey nigdy nie zapłaciłby za krzywdy,

które mu wyrządził. Być może stanąłby do walki, która mogła zakończyć się dziś jedynie śmiercią Rossa.

Musiał go pokonać.

Ramsey wyczuł przeciwnika i zrozumiał, że nie pójdzie mu tak łatwo, jak przewidywał. Poczł się tym przyjemnie zaskoczony. Wreszcie, od długiego czasu, trafił na dobrego przeciwnika, i to takiego, po którym nie spodziewał się z początku zbyt wiele. Zawsze miał złe mniemanie o ciotach. Są płaczliwe i nie umieją walczyć. Tymczasem najpierw zaskoczył go Ross, przed trzema laty stawiając mu opór, lecz przegrywając z jego siłą. Potem jego kochanek, Nim, łucznik, który dopiero przyjął się do straży królewskiej. Łucznik nie mógł wygrać z pięcioma zaprawionymi w bójkach mężczyznami, chyba że przeszedł trening. Nim nie zdążył...

A teraz ten. Caddy mówiła, że to jakiś artysta, co to rysuje obrazki; rycerzyk pomagający staruszkom, prawdziwa panienka, co to się rozplącze, gdy ją popchnąć.

Caddy czasem była ślepa. Ramsey od razu poznał, że chłopak nie jest bojaźliwy i ostro trenuje. Kobieta chciała widzieć to, co chciała, i kropka.

Caddy...

Zaatakował ponownie wypadem naprzód. Sel zakręcił ostrzem i odwzajemnił cios, zmuszając Ramseya do blokady. Miecze zadzwięczały śpiewnie. Okrążając się wzajemnie, zadawali ciosy i blokowali, gdy tymczasem ludzie uciekali na boki.

Doświadczenie starszego mężczyzny dawało o sobie znać, ale Sel zdawał się ukrywać pod pozornym spokojem niespożyte pokłady energii. Nie dawał się sprowokować do głupich wyskoków. Kirian by mu tego nie darował. Ramsey na to liczył. Chwilami ciosy były tak silne, aż wibrowały w nadgarstkach. Kilka osób wydało okrzyki podziwu dla umiejętności i opanowania Sela. Oliwier zacisnął dłonie w pięści. Ross zaciskał dłoń na rękojeści miecza. Alesei stanął na schodach obok karczmarza i wprawnym okiem oceniał walkę.

Miecze uderzały o siebie tak szybko, że rozmywały się w powietrzu. Obaj przeciwnicy zlali się potem. Ramsey miał skłonność do odsłaniania lewej strony, jednak robił tak szybkie kontrataki z siłą, od której dygotały kości w ciele Sela, że nie sposób było go tam dosięgnąć.

— Dawaj, Sel! — zawołał Alesei. — On chce cię zamęczyć!

Nawet dla mniej doświadczonych ludzi stało się to już jasne. Ramsey liczył, że jak zwykle jego siła pomoże mu wygrać. Sel pozwolił się zapędzić w stronę schodów, ani na chwilę nie spuszczał z oczu przeciwnika. Po chwili obaj znaleźli się na pokładzie, gdzie wciąż smagał deszcz i wiał wiatr. To pozwoliło nieco ochłoniąć obolałym mięśniom Sela.

Ramsey uwielbiał się popisywać w obecności gapiów. Widać było, że walka na pokładzie bardziej mu odpowiada. Mieli tu więcej przestrzeni i więcej par oczu

do obserwowania pojedynku.

Sel musiał szybko położyć temu kres.

Zaczęli się okrzyki.

— Co jest, rycerzyku? — zadrwił Ramsey. — Czyżbyś się zmęczył? Moja pani nieźle poharatała ci buźkę, co? Dobrze ci było, gdy zabiłeś matkę Rossa?

— Nie nazywaj jej tak — odparł Sel ponuro. — Jediną kobietą, która mogła być jego matką była Valeri. Nikt inny!

— Ta stara dziwka? — zaśmiał się Ramsey. — Dymałem ją raz czy dwa...

Sel lubił Valeri i wielu innych mieszkańców Domu Rozkoszy, traktujących go zawsze dobrze i po przyjacielsku, jak rodzinę. Ramsey chciał go sprowokować. Uda, że da mu to, czego oczekuje...

Skoczył do przodu, markując cios w lewy bok Ramseya. Ramsey szybko zablokował cios ripostami. Sel sprawił, że miecz Ramseya świstnął nieszkodliwie w powietrzu i znalazł się wystarczająco blisko, by zdzielić Ramseya w twarz kilka razy.

— To za Rossa — wycodził.

Ramsey otarł krew z rozbitego nosa i splunął. Natarł na Sela, zdany na swoją niezawodną siłę, ciesząc się na widok zmęczenia przeciwnika.

Wtedy rozległ się głos tuż za jego plecami.

— Ramsey ...

Wszędzie poznałby ten głos. Zdekoncentrował się. Odparował uderzenia Sela, marząc teraz tylko o tym, by ją znów zobaczyć. Żyła...

Sel wykorzystał okazję, by zakończyć walkę. Skulił się i wypadł do przodu, mieczem mierząc w pierś przeciwnika.

Wbił mu go mocnym pchnięciem.

Ramsey zakrztusił się i pochwycił jego dłonie. Powoli odsunął go od siebie, wyciągając miecz.

Upadł na kolana.

— Caddy... — powiedział dziwnie żałośnie.

Sel podparł się o miecz, wyczerpany walką, a Ross przypadł do niego zaniepokojony.

Cadelia wstała ze związanymi rękami i łańcuchem owiniętym luźno wokół szyi. Przeszła do swego kochanka i ucałowała go czule, płacząc. Niezdarnie przytulił ją do siebie, opadając z sił, i spojrzał na parę stojącą tuż obok.

Ku zdumieniu wszystkich kiwnął głową z szacunkiem, spoglądając na Sela, jakby gratulował mu dobrej walki. Sel powstrzymał się od podobnego gestu, na co przemytnik jedynie się uśmiechnął. Położył się podtrzymywany przez Cadelię i dotknął jej twarzy z dziwną nabożnością, gestem znamionującym prawdziwe uczucie.

— Caddy... — wydusił z siebie — oddaj łajbę w ręce Rossa.

— Co takiego?! — zapytała wstrząśnięta. — Nie ma mowy!

Zaskoczony Ross wpatrzył się ze zdumieniem w Ramseya, nie mogąc wykrztusić słowa.

— Powiedziałem coś do ciebie, kobieto! — krzyknął do niej Ramsey. — Oddaj mu łajbę! To twój syn! Ma prawo ją spalić, jeśli tylko zechce!

— Przecież to mój statek! — krzyknęła rozpaczliwie, jakby wydzierano jej serce z piersi.

— Ważniejszy od niego? — zapytał chrapliwie, cichnąc z wolna.

— Tak — odparła, patrząc prosto w oczy swemu synowi i wytrzymując jego oskarżycielskie spojrzenie.

— Ależżż... zzz... cie-ebie...dia... diabllica — wydusił z trudem Ramsey, nim umarł.

Cadelia spojrzała na niego, przytuliła i ucałowała po raz ostatni. Związanymi rękami zdołała zamknąć mu niewidzące już oczy.

Ross poczuł łzy pod powiekami. Sel objął go delikatnie. Klejnot otaczał jego serce kojącym ciepłem, a Alesei i Oliwier stanęli obok niego. Nic jednak nie mogło go teraz pocieszyć. Nawet górale spoglądali na niego ze współczuciem, a na jego matkę ze złością.

Nic nie było w stanie zmienić jej uczuć.

Wreszcie spojrzała na niego, zimna i nieprzystępna. Wstała niczym królowa, dumnie i godnie prostując się przed nim. Pomimo więzów, łańcucha, skołtunionych i mokrych włosów, rozmytego makijażu i poobijanej głowy — właśnie tak wyglądała. Wyglądała jak władczyni.

— Ja, pierwszy oficer żaglowca Cadelia, noszącego moje imię — zaczęła — wobec wszystkich tu zgromadzonych oddaję statek w ręce obecnego tu Rossa Hope... — zatrzymała się, a Ross zagryzł wargi — i mianuję go kapitanem Cadellii — dokończyła, wkładając w to całą pogardę pokonanej. — Obyś nauczył się nim żeglować — dodała jadownicie.

Ross pomyślał, że mógłby nie przyjąć tego daru. Mógłby spalić go razem z nią. Lecz nawet po tylu latach cierpienia nie potrafił wzbudzić w sobie takiej nienawiści. Jedynie żal.

I smutek.

— Przyjmuję podarunek, matko — odparł ze spokojem.

Jej spojrzenie było obojętne, jakby chciała mu pokazać, że wszelkie jego wysiłki na nic się zdadzą.

Wiedział o tym. I niczym otwarta rana, nie przestawało boleć.

— Oszczędzę wam fadygi — zamruczała pod nosem i podeszła do rozrzuconych ładunków. Wspięła się na nie z pewnym trudem i stanęła na balustradzie. Nikt jej nie powstrzymywał. Ludzie tylko mruzczyli gniewnie lub głośno jej złorzeczyli.

— Powstrzymać ją? — zapytał Alesei.

— Nie — odparł cicho Ross, w tym jednym się z nią zgadzając.

Cadelia spojrzała na morze, cichnące z wolna po burzy. Chmury wciąż zasłaniały niebo i nie widać było gwiazd.

W dole czekały na nią rekiny, ukrywające się pod statkami, czekające na żer. Śmierć nie będzie łatwa, jak jej życie nie było. Sama je sobie takim zgotowała. A teraz straciła swą miłość i ukochany statek. Te gnojki wbiły się w jego burtę. Pewnie Ross każe go spalić.

Zmarnował jej życie i zabrał to, co kochała. Tak to widziała. Nigdy nie chciał robić tego, co należy. Nawet Ramsey nie potrafił go wychować.

Westchnęła.

Wtedy nagle poczuła uderzenie. Krótki błysk bólu, nim zdążyła zrozumieć, co się dzieje. Rozejrzała się i tuż przed swym synem zobaczyła tego pięknego chłopca, Delena, którego wcześniej nieopatrnie mianowała opiekunem porwanych.

Opuścił rękę, w której przed chwilą coś trzymał.

I nagle to zobaczyła. Sterczało w jej piersi. Grot bełtu, większego od innych. Bełtu wystrzelonego z ogromnej kuszy.

Z pokładu Hydry.

Spadła w odmęty wód, umierając, nim rekiny pochwyciły zdobycz...

Przez chwilę nikt nie wydobył z siebie słowa. Oliwier spuścił głowę, czekając na pierwsze oskarżycielskie słowa. Zamiast tego poczuł dłoń na swoim ramieniu i kojące ciepło, które uspokoiło jego mocno bijące serce.

Ross rzekł tylko cichym głosem:

— Dziękuję.

Jakby to zerwało nagle okowy milczenia wśród zgromadzonych poruszonych do głębi. Stojąca u boku swego męża odnalezionego w czasie walki, karczmarka Mikela pierwsza krzyknęła radośnie :

— Wiwat, kapitan Hope!!

Wszyscy prócz uwieczonych marynarzy Cadeli zjednoczyli się nagle w tej radości i zawołali za nią:

— Wiwat! Wiwat!

Pośród tłumu uwolnionych i ich bliskich, pośród marynarzy Hydry i Cadeli, Ross stał w otoczeniu przyjaciół i przyjmował hołd, jakiego nie spodziewał się nigdy w swoim życiu.

A potem wszyscy zaczęli witać się i gratulować sobie radośnie wygranej walki, ciesząc się z ponownego spotkania i odzyskanej wolności. Ross przyjmował gratulacje, przyjazne uściski kobiet i poklepywania po ramieniu przez pewien czas, próbując cieszyć się ich radością, ale nie potrafił. Potem za jego przyzwoleniem Alesei zarządził ucztę z zapasów Cadeli, korzystając z tego, że pogoda zaczęła się

uspokajać.

Objął wtedy Sela i szepnął, że nie ma już sił na nic więcej.

Sel ucałował go w czoło z troską i zaprowadził do kajuty kapitana, gdzie na szczęście Oliwier, przeczuwając tę chwilę nieco wcześniej, zadbał o to, by zmienić pościel i otworzyć okna. Minał ich w milczeniu. Za namową Sela Ross przekazał dowództwo jednemu z poleconych przez kapitana Norena ludzi. Żegnały ich życzenia dobrej nocy, szczególnie górali, którzy byli z Rossem od początku, wyrażające też troskę i wsparcie.

Ross doceniał ich życzliwość, ale w tej chwili miał już dość zarówno tego, jak i całej reszty wrażeń dzisiejszego dnia. Miał w sobie poczucie niesamowitej wręcz pustki i jakiegoś wewnętrznego dygotania, jakby jego dusza umieszczona została na niepewnych i popękanych fundamentach.

Czuł, że zaraz się rozsypie. Uklęknie wśród tych szczęśliwych, zadowolonych z udanej akcji ludzi. Zacznie po prostu wyć.

I nie przestanie...

ROZDZIAŁ 10 — TENAN

Mayene położyła rękę na ramieniu zmęczonego Tenana. Zaciągnęła go do zagajnika za domem Semeraldy i Kirsta Kalen, nie dając mu chwili odpoczynku, odkąd przyszła do niego o zmierzchu poprzedniego dnia. Powiedziała, że to kara za spanie z inną kobietą, wierząc w jego historyjkę o dziwce.

Tak naprawdę uwielbiała go dręczyć. Każdy powód był dobry. Nie dbała o resztę.

Po przeżyciach z bransoletą i nocnych igraszkach Tenan wyglądał koszmarnie. Cienie pod szarymi oczami nadawały mu wygląd śmiertelnie chorego.

Mayene uwielbiała, kiedy jej ofiara słała się ze zmęczenia. Za każdym razem, gdy go odwiedzała, Tenan zbierał siły do następnego spotkania, śpiąc długo i jedząc obfity posiłek, ponieważ tak długo, jak długo wiedźma u niego była, nie pozwoliła mu jeść, pić ani spać. Dobrze wiedział, że pozbawianie go sił sprawia jej dziką radość. Tak samo jak zdawał sobie sprawę, że nie czuje się tak po prostu zwyczajnie zmęczony po jej wizytach. W nocy wysysała z niego siły. Ledwie mógł się skupić, a w takich chwilach łatwo było popełnić błąd.

Zdawało mu się, że ona czeka na ten jego błąd, aż go popełni, aż ujawni wreszcie jakąś słabość, którą mogłaby drażnić do woli, zupełnie jak to się działo podczas wspólnego seksu, gdy on już opadał z sił. Czerpała z tego radość. Nie z tego, czy sprostą jej oczekiwaniom jako mężczyzna. Największą rozkosz sprawiało jej zabijanie go powoli, niszczenie jego młodego życia i urody, a nade wszystko fakt, że był tej przerażającej prawdy całkowicie świadomy i że nie mógł nic z tym zrobić. Liczyła, że wkrótce zobaczy, jak jego głupia i bezpodstawna nadzieja, hardość i siła, która dotąd pomagała mu przetrwać, zacznie wreszcie gasnąć i zastąpi ją strach.

Wtedy prawdziwy koszmar dopiero się rozpocznie.

Pierwszym błędem wobec niej byłoby więc okazanie strachu.

Drugim — przeciwstawić jej się. Bolesnie się o tym przekonał pierwszej nocy.

Trzecim — pokazać jej, że na kimś mu zależy.

Poranek w dolinie był ciemny. Działo się tak zawsze nim słońce dotarło do niej z poza grzbietów gór. Panujące wciąż wszechobecne zimno przenikało na wskroś. Tenan drżał. Marzył, by znaleźć się wreszcie w obserwowanym przez nich domu. Niestety, biorąc pod uwagę towarzystwo, z jakim obecnie przebywał, jedynym celem tej wizyty w domostwie byłoby morderstwo.

— Tam dzisiaj śpi — wyszeptła mu do ucha. Wiedział, że ma na myśli uzdrowiciela. — Zabijesz, nim się obudzi. Niech widok jego ciała wstrząśnie nimi do głębi!

Milczał. Jeśli chciała, by to zrobił, musiała dać mu wyraźne polecenie. Tak działała klątwa. Z własnej woli nie robił niczego złego. Gdy Moren powiedział, by zabił Milerę dla przykładu — dał mu sznur. To był wyraźny rozkaz: „Zabij”.

Nie zamierzał pomagać Mayene i czegokolwiek jej ułatwiać. Jeśli chciała jego usług, musiała mu rozkazać. W przeciwnym razie znajdzie sposób, by obejść klątwę. To już się zdarzało.

Nie zapytał, kto jest jego celem.

Bał się odpowiedzi.

— A co ty będziesz robić? — zapytał ponuro.

Ujęła go pod brodę i spojrzała w oczy.

— Chcesz mi się sprzeciwić? Twoje oczy robią się niebieskie.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł zimno. — Nie widzę swojej twarzy i nie wiem, jaki kolor mają w danym momencie moje źrenice! Szczerze mówiąc, mam to gdzieś!

Jej opalizujące oczy błysnęły, ale nic mu to nie mówiło. Nie potrafił odgadnąć jej myśli.

Widok tych oczu już dawno odcisnął swe piętno w jego pamięci...

Odwróciła mu głowę, by spojrzał we wskazanym przez nią kierunku; jakby był marionetką w jej rękach, co stawało się z każdym dniem coraz bardziej bolesną prawdą. Tylne drzwi domu prowadzące do ogrodu nad rzeką skrzypnęły w panującej wokół ciszy.

— Oto twoja ofiara — szepnęła mu do ucha z uśmiechem. — Zabij ją, Tenanie. Nakazuję ci.

„Wydała rozkaz” — pomyślał z rozpaczą, obserwując kobietę sylwetkę zmierzającą w stronę rzeki.

Nie powiedziała mu, jak ma zabić. Jedyne dała wskazówki, jak ma wyglądać ciało po śmierci. A to oznaczało, że mógł zrobić to po swojemu, czyli niezupełnie zgodnie z wolą swej obecnej mocodawczyni.

„Będziesz posłuszny, gdy każą ci zabić. Uległy, gdy każą torturować. Sumienny, gdy każą krzywdzić niewinnych”.

„Ach tak, Krispine? — pomyślał z drwiną, z wprawą kryjąc duszę za fałszywym zwierciadłem białych, nieludzkich oczu. — „Wszystko zależy od interpretacji rozkazu...”.

Mayene nie powiedziała, by zabił ze szczególnym okrucieństwem. Kazała zostawić ciało w okropnym stanie.

Zawsze trzymał się szczegółów. To były detale, które pozwalały mu jeszcze przetrwać. Dla jego ofiar nie miało to znaczenia. Dla ich bliskich zapewne także. Ale dla niego tak. Rozpaczliwie trzymał się tego, by unikać okrucieństwa.

Rozważnie pilnował teraz każdego swego gestu. Mayene obserwowała jego twarz.

Drżenie ustało. Przestał odczuwać zimno pod wpływem emocji.

„Nie uwolnisz mnie od klątwy — myśli skierował ku Julien z nutą żalu. — Nie po tym, co zrobię”.

To był koniec jego nadziei.

Jeśli tak ma być, jeśli jedyne, co może zrobić, to złagodzić wyrok — zrobi to. I tak go już nienawidzą. Julien musi zapomnieć o swojej wyrozumiałości. Musi zapomnieć o uczuciach do niego. Znienawidzi go jak inni. Na dobre.

Zamordował dwoje starych służących, którzy kochali Julien i Oliwiera jak własne dzieci, znali ich od małego. Co z tego, że zrobił to szybko i nie czuł bólu?

Zabił Milerę z rozkazu Morena. Jakie znaczenie ma fakt, że wyrzucił ją przez okno, by oszczędzić jej przyjaciółce i mężowi widoku agonii? Moren chciał, by Milerę zabić dla przykładu na oczach wszystkich — ale nie powiedział tego wprost.

Ojca Sela zabił, nim ten się obudził. Tamten nie zdążył sobie nawet w pełni uświadomić, co zaszło.

Zadawał szybką śmierć, gdy tylko miał ku temu okazję.

To była jego jedyna broń przeciw złu, które mu nakazywano.

Nie mógł się sprzeciwić. Gdy padał rozkaz, całe jego ciało skupiało się na jego realizacji. Nie miał nad tym władzy, ale zawsze znajdował lukę w klątwie. Tkwiła w takich szczegółach, jak i teraz się zdarzyły. Była różnica między śmiercią w męczarniach a szybką śmiercią ze zbeszczeszczaniem ciała.

Oszczędzał bólu i udręki.

Jednak Mayene to nie Moren.

Mayene go przejrzy.

A wtedy jego koniec będzie nie do pozazdroszczenia.

Skoro Julien go znienawidzi, nie mógł do tego dopuścić.

Nie mógł jej ochronić w żaden inny sposób. Prawdę mówiąc, lepiej byłoby dla nich wszystkich, gdyby zginął.

Patrzył teraz, jak ze swej spokojnej przechadzki, przed nawałem codziennych obowiązków wracała do domu, nieświadoma swego losu. Seme...

Nie będzie jego ofiarą ...

Zebrał w sobie tyle siły, ile jeszcze zdołał. Wiedział aż za dobrze, czym za chwilę może skończyć się jego plan.

Mayene go zabije.

Stała tuż obok, niczym czuła kochanka, jedną ręką obejmując go w pasie, przytulona do jego pleców, wspierając głowę na jego ramieniu. Wysunął się z jej objęć, z dotyku jej zimnego ciała.

Spojrzał na nią.

Sztylet jego lewej ręki, ukryty pod rękawem, uwolnił się dzięki sprytnemu mechanizmowi, gdy Tenan wykonał obrót i wbił go w brzuch wiedźmy aż po

rękojeść. Sapnęła zaskoczona. Wiedział, że to nie wystarczy, by ją zabić. Przekonał się o tym, gdy przysłała do jego łóża pierwszej nocy. Ciął ją wtedy dwukrotnie. Cholernie trudno było ją trafić. Nie wygrał, a za swój wyczyn omal nie zapłacił życiem. Teraz jednak cieszył się, że straciła czujność i pozwoliła mu się zranić. Najwyraźniej liczyła na to, że jest zbyt osłabiony, by się jej postawić. Gdy odruchowo pochyliła głowę po zadanych ciosie — nie czekał. Pochwyił pukiel jej rudych włosów i z determinacją uciał tyle, ile zdołał utrzymać.

Był pewien, że wiedźma boleśnie odczuje ich stratę. Jej próżność pod tym względem nie miała granic. Uwielbiała je, czesała, bawiła się nimi. Choć wiedział, że w niczym to mu nie pomoże, uciał sporą ich garść, by pozbawić ją tej przyjemności, a także dla własnej satysfakcji.

Nie mylił się.

Mayene wrzasnęła jękliwie, chwytając ręką tam, gdzie włosy stały się krótsze, jakby zdarł z jej głowy płat skóry. W mgnieniu oka ucięty pukiel zczerniał i zamienił się w pył.

Tenan wykorzystał jej zdumienie i poderżnął jej gardło...

Jednak cios nie zrobił jej krzywdy. Nie popłynęła nawet krew.

Znalazł się bliżej i trafił celniej niż ktokolwiek dotąd. Zadał jej śmiertelne rany, a ona uśmiechnęła się jedynie złośliwie, choć odczuła uderzenia.

Był zgubiony.

Słyszając krzyk, Seme zatrzymała się nieopodal i ze zdumieniem przypatrywała się, jak rudowłosa kobieta chwyta młodego mężczyznę za kark i powala na ziemię, zupełnie jakby był jedynie szmacianą lalką. Było to tak niezwykle i tak przerażające, że w pierwszej chwili zamiast wzywać pomocy, zamarła ze zgrozy i zdumienia. Szybko jednak pojęła, kim jest kobieta nieopodal. Wahala się z decyzją, czy wołać o pomoc, czy ratować odważnego chłopaka, na którym Mayene usiadła i po krótkiej szarpaninie, w której wyraźnie był zbyt słaby, wymusza na nim pocałunek. Z przerażeniem zauważyła, jak to pozbawia go nie tylko sił, lecz wyraźnie wyniszcza. Mayene karmiła się jego witalnością. Jeśli Seme wróci teraz do domu niezauważona przez wiedźmę, być może ujdzie z życiem, ale dla tamtego nie będzie ratunku.

Podniosła kilka kamieni i cisnęła je celnie w okna na piętrze domu. Szyba roztrzaskała się w oknach pokoju zajmowanego przez Pafiana i Dinna.

— Eeej! — krzyknęła odważnie do wiedźmy, mając pełną świadomość, że przeciw tamtej ma jedynie kamień w zaciśniętej dłoni.

Sądząc jednak po chłopaku, który marniał w oczach, za chwilę mogło być już za późno.

Mayene uniosła głowę, odrywając swe usta od warg półżywego Tenana. Pochylona w ten sposób wyglądała jak tygrys pożerający swoją ofiarę. Jej oczy przeraziły Seme.

— Zostaw go w spokoju! — krzyknęła jednak dzielnie, choć głos jej przy tym zadrżał.

Świst strzały przerwał ponury uśmieszek Mayene, która pochwyciła swą ofiarę i przeturlała się z nią z dala od elfickiego łuczника, co to pojawił się tuż za nią. Seme odetchnęła nieco, widząc Dinna, który skinął jej głową i zniknął.

— Nie wykonałeś rozkazu, mój miły — szepnęła wiedźma do swego kochanka.

Rozejrzała się czujnie i syknęła. Po pocałunku rana na brzuchu i szyi zamknęła się i zaczęła goić. Wciąż przytomny Tenan mógł jedynie patrzeć w jej oczy, które napawały go lękiem.

— Dam ci inny — szepnęła mu lubieżnie. — Tylko po to, by obserwować, jak się męczysz i umierasz, bo nie będziesz miał siły, by go spełnić. Z przyjemnością zobaczę, jak mózg wypływa ci uszami — przywarła do niego, gdy obok przemknął Dinn, szukając jej, ale magiczny kamuflaż zbyt dobrze ich ukrywał. — Tenanie... — ucałowała go w policzek z szyderym uśmiechem. — Wracaj do gospody. Natychmiast. Nakazuję ci.

Zdobył się na ostatni wysiłek i splunął jej w twarz z pogardą.

Z satysfakcją otarła twarz. Odeszła w nienaturalnym pośpiechu.

Głowa zaczęła mu pulsować lekkim bólem. Wiedział, że już wkrótce to się zmieni.

Przynajmniej zrezygnowała z tamtego rozkazu. Powiedziała: „Dam ci inny”. Czyż to nie oznaczało, że anuluje poprzedni? Dla niego było to jednoznaczne.

Dinn usłyszał go pierwszy i odnalazł częściowo zanurzonego w zimnej wodzie rzeki. Tenan czuł przenikające go zimno i wilgoć, ale ledwie miał siłę, by ruszyć ręką.

— Dinn! — wołała Seme.

— Tutaj! — zawołał Dinn, pośpiesznie wyciągając Tenana z wody. — Trzymaj się. Wiwan zaraz ci pomoże — powiedział mu.

— Bardzo w to... wątpię — szepnęła Tenan, nie mając siły, by nadać temu zdaniu nieco ironii.

Ból się nasilał. Seme przyklęła przy nich.

— Jak ci na imię? — zapytała.

— Tenan...

— Postawił się wiedźmie — pochwaliła go Seme z dumą. — Ranił ją, ale się menda do niego przyssała i zdrowie sobie poprawiła.

— Proszę... — nie pamiętał, kiedy ostatnio użył tego słowa.

Za wszelką cenę chciał uniknąć śmierci w męczarniach. Wczorajsze spotkanie z Julien dało mu przedsmak tego, co mu grozi. Wolałby, by go od razu zabili, niż umrzeć taką śmiercią.

— Muszę wracać do gospody.

— Cichaj ... — szepnęła jego niedoszła ofiara, gładząc po głowie. — Zaraz cię do domu zaniemiemy i ogrzejemy...

— Będę trupem — odparł jej gorzko.

„Właściwie to na to zasłużyłem” — dodał ponuro w myślach.

Dinn zmarszczył brwi, jako jedyny z całego towarzystwa rozumiejąc, co się dzieje.

— Rozkazała ci...? — zaczął, lecz w tym momencie z okna na górze dobiegł trzask wybijanej szyby i znajome już wycie, tyle że znacznie dłuższe, przesycone bólem. Seme zerwała się na równe nogi.

— To z pokoju Wiwana! — krzyknęła.

Dinn spojrział bezradnie na Tenana.

— Idź... — powiedział elfowi z wysiłkiem, czując coraz większy ból głowy.

— Wybacz... — szepnął Dinn, odchodząc. — Seme, zostań z nim. Zawołaj o pomoc!

Seme, choć bardzo niepokoiła się o Wiwana, posłuchała. Nie postąpiłaby inaczej. Nie zostawiłaby ранego własnemu losowi.

— Ludzie! — zaczęła wołać — Ludzieeee! Bywaj tu który!

Domy nie były od siebie zbyt oddalone i po chwili w gospodarstwach sąsiadów usłyszeli nawoływania. Seme nie przestawała wzywać pomocy, dopóki ze swego miejsca nie zobaczyła pierwszych nadchodzących.

* * *

To przez kojącą obecność Wiwana Waszeba straciła czujność. Wiwan zasnął w poczuciu bezpieczeństwa, polegając na jej umiejętnościach. Jego nastrój wpłynął na Waszebę, nim zdążyła to zauważyć. Bliskość uzdrowiciela otuliła jej zmysły niczym ciepły i miękki koc zimową nocą. Jego obecność, zapach, dotyk nawet, gdy położyła dłoń na jego dłoni, by sprawdzić, czy jest ciepły, jednocześnie kierowana tajemną tęsknotą, uspił jej instynkt. Wiwan nie robił tego świadomie. Tak działał na ludzi, gdy sam był w dobrym nastroju. Elfy nie były wyjątkiem, choć doświadczona w potyczkach przedstawicielka tego rodzaju powinna była przewidzieć, że coś takiego może się stać i nie ulegać jego wpływom.

Waszeba, zamiast czuwać, ukojona jego obecnością położyła się obok i po chwili zasnęła błogim snem, trzymając go za rękę. Nie zbudził jej nawet krzyk dochodzący z zewnątrz.

Gdy Mayene wpadła do ich sypialni, Waszeba zdążyła jedynie obrócić się w stronę intruza i otworzyć oczy.

W następnej chwili wiedźma chwyciła ją za szyję i z niewiarygodną siłą uderzyła nią o ścianę.

Wszystko potoczyło się szybko.

Wiwan, wciąż ubrany, nie licząc butów, z przerażeniem ujrzał Mayene podrywającą Waszebę z podłogi i z całej siły dwukrotnie uderzającą jej głową o ścianę. Nieprzyjemny stuk przy tych uderzeniach i ślad krwi wyraźnie wskazywał, że wiedźma ma zamiar rozłupać czaszkę dziewczyny. Skoczył ku wiedźmie, porażony jej prędkością i szkodami, jakie uczyniła w krótkiej chwili. Usłyszał w swej głowie, jak szybko słabnie puls Waszeby. Nie miał niczego pod ręką. Gorliwość przyjaciół i brata sprawiły, że miecz leżał teraz bezużytecznie na komodzie, czyli w tej sytuacji jakby na końcu świata. Chwyił pukiel włosów Mayene i pociągnął.

— Zostaw! — krzyknął.

Mayene dostała szału. Znów ktoś ośmiela się dotykać jej włosów! Wykręciła się z jego uchwytu i popchnęła go na drzwi od pokoju, które ktoś usiłował otworzyć. Dębowe drzwi wydały głuchy odgłos, a Wiwan przez moment miał wrażenie, że pękł mu kręgosłup.

„Gdzie jest miecz Waszeby?! Albo chociaż jej sztylet?!”

„Na łożu...”

Rzucił się z jękiem bólu w tę stronę. Mayene przyskoczyła do niego, siadając na nim, jak przedtem na Tenanie.

— Nie stawiaj mi się tu! — syknęła wściekle, patrząc mu prosto w oczy. — Zrobisz, co każę, albo całą tę twoją mięścinę zamienię w krwawą łaźnię!

Za drzwiami usłyszał wołania Pafiana i Julien.

Najwyraźniej Waszeba je zamknęła. Głuche uderzenia dowodziły, że brat próbował na siłę się do nich dostać.

— Czego chcesz?! — zapytał, bez lęku patrząc w jej niesamowite oczy.

Przynajmniej starał się, by tak to wyglądało.

— Twojej mocy.

— Tego się spodziewałem.

— Chcę życia w moim łonie! — nachyliła się ku niemu.

Nastąpiła cisza, przerywana jedynie uderzeniami w drzwi i nawoływaniem kilku głosów.

Serce Waszeby biło coraz słabiej. Jej ciało leżało bezwładnie, z nienaturalnie wykrzywioną ręką. Wiwan czuł całym sobą, jak jej życie gaśnie z każdą chwilą.

Mayene czekała, jakby czas całego świata należał tylko do nich, pewna swego. Nie spuszczała z niego wzroku. Siedziała na nim, rozkoszując się widokiem swej przyszłej zabawki, z którą w imię miłości do jego bliskich i przyjaciół będzie robiła wszystko, na co tylko przyjdzie jej ochota. Jej ciało aż promieniowało podnieceniem na samą myśl o tym. Wyczuwał to.

W jego wspomnieniach ożyły niechciane obrazy rozpusty na zamku królewskim. Jego ciało buntowało się, rozdarte między odrazą i pragnieniem. Podniecenie Mayene wzbudziło w nim nieznane dotąd uczucia, które były mu teraz

zarówno wstrętne, jak i rozpały w nim ogień. Wbrew woli reagował na fizyczny kontakt z kobietą, która go pragnęła. Własne wyczulone zmysły, szczególnie współodczuwanie tortuowały go, budząc pragnienia i wstręt jednocześnie. Mścił się na nim brak doświadczenia w erotycznych doznaniach i dotąd skrywana tęsknota za bliskością drugiego człowieka...

Groza wypowiedzianych słów nie przebrzmiała jeszcze w powietrzu, gdy Mayene dodała stanowczo:

— Dasz mi dziecko, uzdrowicielu. Zostaniesz moim mężem. Wtedy i tylko wtedy okażę łaskę i nie wymorduję twoich bliskich ani nie sprowadzę zagłady na miasteczko. Zrozumiałeś?

Wydała mu rozkaz, przyzwyczajona do tego, że zawsze nad wszystkim panuje i nikt nie ośmiela się jej przeciwstawić. Była pewna, że tym razem też tak będzie.

Uśmiechnęła się lubieżnie, dając mu do zrozumienia, że wie o jego uczuciach.

Bardzo wolno, nienawidząc jej z całej duszy za to, jakie uczucia w nim wzbudziła, odparł jej bardzo wyraźnie, powoli cedząc słowa:

— Po... moim... trupie....

Gdyby znała go lepiej, wiedziałaby, że wywołała w nim gniew poprzez groźby na temat rodziny i przyjaciół, a to, szczególnie u niego jako uzdrowiciela kochającego ludzi całym sercem, pomimo że go skrzywdzono sprawiło, że w ich obronie zdolny był do rzeczy niezwykłych, których nawet u siebie nie podejrzewał. Na dodatek wyraźnie zapowiedziała mu, że zamierza rządzić jego życiem, a do tego postanowił absolutnie nigdy nie dopuścić...

Położył rękę na jej piersi, pewnie, bez żadnej dwuznaczności, pochłonięty gniewem, w który przetopił rozpierające go nowe odczucia.

— Masz moją moc, więdźmo! — szepnął złowróźbnie.

Ciepło niczym gorąca lawa wpłynęło w nią szybko i przeniknęło w stronę jej martwego serca. Oczy Wiwana zalsniły. Lśniący blask rozszedł się żyłami i żyłkami pod jego skórą niczym fala. Mayene znieruchomiała w zaskoczeniu i zdumieniu, zapatrzona w to fascynujące zjawisko.

W następnej chwili poczuła, jak niesamowita energia przenika jej ciało, rozchodzi się po nim, płynie tam, gdzie powinna płynąć krew, i nagle w martwej skorupie ciała, którą musiała utrzymywać, karmiąc się cudzą żywotnością, poczuła skumulowaną moc wokół serca. A to...

Zaczęło bić...

Przeraziła się jak nigdy dotąd. Uzdrowiciel wiedział! Uzdrowiciel odkrył jej tajemnicę!

Co jest żywe, można zabić...

Jęknęła, przepełniona nagłym lękiem.

— Dość! — zawołała, lecz Wiwan nie miał zamiaru przestać.

Chciał ją ożywić, by potem zatrzymać jej żywe, bijące serce.

Mayene, zła i przestraszona, za wszelką cenę postanowiła mu brutalnie przerwać ten proces.

Z siłą przekraczającą znacznie ludzkie możliwości, położyła dłoń na jego rękę, chwyciła ją i przekręciła, aż kości trzasnęły. Ogarnięty potwornym bólem Wiwan krzyknął rozdzierająco. Jego blask zniknął, nie ukończywszy dzieła. Mayene na tym nie poprzestała. W zemście za jego działanie naparła na złamaną rękę i zgruchotała ją poniżej łokcia swoją siłą, wywołując w nim kolejną falę bólu. Zdołał jednak ująć wiedźmę zdrową ręką i z trudem ponowił próbę. Wrzasnęła przerażona i odskoczyła do okna, roztrzaskując szybę.

Puls Waszeby ustawał.

Pafian niemal wyrąbał już dziurę w drzwiach obok zamka.

Wiwan na wpół stoczył się, na wpół spadł na podłogę i przyczołgał się do umierającej dziewczyny. Usiadł obok z wysiłkiem.

— Sam się o to prosiłeś — wysyczała Mayene, patrząc na niego z wściekłością. — Znajdę inny sposób.

W jej dłoniach zobaczył swój miecz. Stojąc nad nim, uniosła go w górę. Odruchowo zasłonił sobą raną dziewczynę.

Za chwilę zginie.

Trzymał za rękę nieprzytomną Waszebę, dając jej swoją moc, modląc się, by dziewczyna mogła przeżyć, gdy jego zabraknie.

Nie myślał już o niczym innym.

Nawet przez chwilę nie przeszła mu przez głowę myśl, że mógłby postąpić inaczej, że mógłby ratować życie poprzez własną ucieczkę. Jeśli Mayene go zabije, może zadowolony ją to na tyle, by zostawić Waszebę w spokoju. Ona musi żyć...

Musi żyć.

Pokazała mu odrobinę innego świata uczuć, które dotąd ledwo sobie uświadamiał. Dla niej nie był uzdrowicielem, kapłanem, hrabią. Wiedział i czuł to. Widział to w jej oczach. Jeszcze nocą zastanawiał się, odkrywał zagrzebane, zdeptane uczucia, zniszczone przez innych na zamku u króla, zniekształcone, splugawione. Wczoraj spojrział na to inaczej. Odkrył, że mogłoby być inaczej, może nawet... Gdyby mógł coś w sobie zmienić...

Pocałunek Waszeby obudził w nim coś, czego nawet w sobie nie podejrzewał. Jakby dotąd był kamienną formą, w którą tchnięto nagle życie. Fizyczna bliskość Mayene, tak inna od dotychczasowych kontaktów, wywołała w nim zamęt, ponieważ w jego ciele zaczęła budzić się zmysłowość. Źle to interpretując, Wiwan nienawidził się za swoją reakcję.

Teraz w myślach prosił Boga ukochanych dziadków, który był tak potężny i wielki, jak mu mówili przez całe życie, a którego symbol wciąż wisiał na

łańcuszku na jego szyi — prosił jedynie o wybaczenie za wcześniejsze plugawe myśli przy Mayene, by gniew Boga na niego nie pochłonął też dziewczyny, której uczucia były szczerze i czyste w swych intencjach. „Ocal ją. Błagam cię...Ty jeden możesz...”.

Wychowany w dwóch odmiennych od siebie tradycjach, w ostatnich chwilach zwrócił się do Boga, którego szanował na równi z Matką Ziemią, lecz który właśnie teraz dzięki silnej wierze jego dziadków i matki, nawet w nowym świecie, gdzie przybyli, nie zapomnieli o nim, wydawał się być ponad wszelką władzę i magią tego świata. Potężna istota, której moc mogła przeciwstawić się także obcej w tym świecie istocie.

Dinn dostał się do pokoju przez rozbite okno. Mayene na widok elfa odwróciła się i porzuciła błyskawicznie swój morderczy plan. Śmignęła obok niego, tnąc go w twarz na oślep, nim zdołał użyć swego sztyletu. Ból i strach powstrzymał Dinna przed dalszym działaniem. Popłynęła krew. Uklęknął na podłodze, dotykając twarzy.

Pafian i Kirst wdarli się wreszcie do środka. Na widok stanu Wiwana i Waszeby Pafian zbladł jak płótno i uklęknął przy rannych.

Zlany potem, cierpiący straszne męki, Wiwan wciąż kurczowo trzymał nieruchomą Waszebę za rękę, obawiając się, by nie odeszła w objęcia śmierci.

Dinn z krwawiącym cięciem na lewej połowie twarzy dotarł do siostry i uzdrowiciela.

— Solai — szepnął z lękiem, kucając, by pogłodzić jej dłoń, dotykając ubrań i zdejmując piękne, purpurowe włosy z jej twarzy ze łzami w oczach, niepomny na własny ból i krew znaczącą wszystko, czego dotknął.

— Żyje — powiedział Wiwan, drżąc na całym ciele. — Pafianie... — szepnął z cichą rozpaczą. — Muszę nastawić rękę.

Pafian wiedział już, jak leczy się jego brat. Ostatnio miał okazję zaobserwować to w stolicy. Żalem napełniała go myśl, ile brat będzie musiał teraz wycierpieć. Czy zrobi to sam, czy ktoś mu w tym pomoże, ból niestety będzie tak samo nie do zniesienia.

— Nie rób wszystkiego naraz — usiadł przy nim. — Najpierw podleczyć ją, żeby przeżyła jakoś, póki nie dojdiesz do siebie. — Po czym zwrócił się do elfa, widząc, że ten nie ma zamiaru odstąpić od siostry. — Dinnie, jesteś ranny. Zrób coś z tym. Potem wrócisz — próbował go uspokoić.

Wiwana szepnął cicho do Dinna, nie mogąc zapanować nad głosem na skutek drżenia:

— Ze mną będzie bezpieczna. Nie pozwolę jej umrzeć. Idź.

— Ja mu pomogę — powiedziała Sai, która przyszła z Julien za Pafianem.

— Dobrze — Pafian w duchu odetchnął z ulgą.

Sai była zawsze opanowana, miała stalowe nerwy. Mógł na niej polegać.

Kobieta pomogła Dinnowi wstać i z wrodzoną delikatnością zaprowadziła go do swojego pokoju.

Julien bez słowa przyniosła koc i okryła trzęsącego się Wiwana.

— Nnni...e mogę ttego zzzrobić — wyjąkał szcękający zębami uzdrowiciel do brata. — Jej umysł to ruina. Jest zniszczony. Je... jeśli... ją tttak zzzostawię...

— Nie zostawisz. Musisz tylko dać sobie ochłonąć. Nie namawiałbym cię do złego, wiesz przecież. Wiwanie... — Pafian objął go delikatnie, nie dotykając prawego ramienia. — Będzie boleć jak cholera. Możesz zemdleć z bólu, a wtedy ona...

— Tak — odparł cicho uzdrowiciel, patrząc na przybranego wuja i Julien, która uśmiechnęła się słabo na pocieszenie. — Wiem... Ale to cholernie boli! — jęknął.

Było im go żal, ale nie mogli mu w żaden sposób pomóc. Jedyne wspierać. Julien delikatnie pogładziła go po policzku, a przybrany wuj uściśnił lekko dłoń trzymającą rękę Waszeby. Wiwan czuł, jak łyzy płyną mu po twarzy. Gdyby tylko wiedzieli...

— Kiedy będziesz gotów...? — zapytał cicho Pafian.

Wiwan trząsał się nieustannie. Trzymał Waszebę za rękę, czując powracające w nią życie. Jeszcze nie skończył, ale jeśli będzie powstrzymywał proces swojego leczenia, będzie długo cierpiał.

— Boję się — szepnął do nich.

Pafian przysunął się do niego. Julien pocałowała go w spocone czoło i taktownie wyszła z pokoju, zabierając wuja.

Zostali tylko we troje.

— Zrób jeszcze tylko to — szepnął mu Pafian pocieszającym tonem. — Stawiłeś czoło złej wiedźmie. Dasz radę. Potem będzie po wszystkim.

Wiwan wtulił się w ramię brata, jak tylko mógł najlepiej. Wstydził się swoich wcześniejszych uczuć. Bał się bólu.

Pafian miał oczy pełne łez. Próbował je ukryć. Chciał być dla brata prawdziwym wsparciem.

— Puść ją teraz — szepnął Wiwanowi. — Możesz już?

Pytał, czy dla Waszeby nie było już zagrożenia.

Wiwan skinął głową w milczeniu.

— Kocham cię, bracie — szepnął mu Pafian. — Jestem z tobą.

— Słowo daję — rzekł Wiwan gniewnie, cały przepełnionym żalem — że jak tylko się pozbięram, zatłukę tę francę!

Pafian, nieświadomy rozterek Wiwana, uśmiechnął się lekko na te słowa. Zwykle jego brat starał się być powściągliwy.

Wiwan puścił rękę Waszeby. Nabrał tchu, jakby miało mu to w czymś pomóc, i pozwolił, by rozpoczął się proces regeneracji. Ramię z trzaskiem wróciło

na swoje miejsce. Zaraz potem kość poniżej łokcia z nieprzyjemnym chrupnięciem powróciła do swego poprzedniego stanu i zaczęła się zrastać.

Zgromadzeni ludzie wewnątrz i na zewnątrz usłyszeli przeraźliwy krzyk, którego niepodobna było powstrzymać, choć Wiwan wtulił twarz w ramiona brata. Julien ukryła twarz w dłoniach. Sai i Dinn zamarli, ogarnięci współczuciem i troską, a Kirst zacisnął ręce w żalu i gniewie. Seme stanęła u szczytu schodów. Wcześniej dopilnowała, by zaniecono Tenana do gospody na jego błagalną prośbę. Okropnie rozboleła go głowa. Seme przypuszczała, że pewnie na skutek uderzenia o ziemię. Miała do niego trochę żalu, że nie chce skorzystać z jej gościnności i opieki, ale zmiękła na widok jego rozpaczliwego spojrzenia pięknych, bursztynowych oczu. Teraz stała u szczytu schodów, otoczona przez sąsiadów zdruzgotanych cierpieniem ich ukochanego uzdrowiciela, kryjąc smutek i łzy w swoich dłoniach. Gdy tylko przestał krzyczeć, pobiegła na górę, by go pocieszyć.

Wiwan zemdlął z bólu, przerywając swoje leczenie i leczenie Waszeby. Pafian ułożył go na łożu i odetchnął na widok Seme.

— Nic ci nie jest — zauważył ciepło, a ona objęła go mocno i pogłaskała po włosach.

Nie ukrywał tego, jak bardzo w tej chwili potrzebował takiego gestu.

Seme zakrzętnęła się przy rannych. Ucałowała Wiwana w policzek, ocuciła, podała szybko jakieś maści i nalewki na ból, wykorzystując do tego Pafiana i Julien. Ręka nie była jeszcze zrośnięta, wciąż była widoczna opuchlizna, ale Wiwan i tak uparcie trzymał dłoń Waszeby w swojej, chcąc ją uleczyć do końca. Widocznie było gorzej, niż ktokolwiek miał odwagę spytać, lub kryło się za tym uczucie, z wolna rodzące się w sercu Wiwana, a także chęć odpokutowania za swoje winy. Waszeba leżała więc przy Wiwanie. Seme otuliła oboje ciepło. Zajęła się też nieszczęsnym Dinnem, któremu Sai pomogła, dając kilka kropel krwi uzdrowiciela. Przysiadł nieśmiało na brzegu łoża, jakby bał się zakłócać spokój rannym. Szrama wolno goiła się na twarzy. Czuł się winny temu, że przybył z pomocą tak późno. Seme przyniosła wraz z Julien dwa fotele, posadziła elfa i brata uzdrowiciela na nich, a potem pogładziła go pocieszająco po głowie. Bardzo zaskoczyła go tym ludzkim gestem. Widziała, że sprawiła mu tym nieoczekiwaną przyjemność i zastanowiła się, kiedy ostatnio ktoś potraktował go tak czule. Czy w ogóle kiedykolwiek ktoś tak zrobił?

Po chwili przysłana przez nią Sai podała im koce i gorącą kawę zbożową dla całej przytomnej trójki.

Pafian zauważył, jak Dinn przechyla się w stronę Wiwana i delikatnie, jakby bał się go urazić, ścisnął w podzięce jego dłoń. Usta Wiwana drgnęły od ciepłego uśmiechu, choć naprawdę nie było mu lekko. Teraz proces leczenia ich obojga przebiegał znacznie wolniej na skutek jego znużenia. Był wdzięczny Seme za kojące kompresy ziołowe, którymi otuliła jego gojącą się rękę i nakryła czoło,

chcąc zmniejszyć gorączkę. Seme już dawno poznała zwykłą różnicę między ponadprzeciętną ciepłotą ciała Wiwana, u zwykłych ludzi znamionującą stan przedgorączkowy, a rozpalającą jego ciało gorączką. W tej kwestii nie mógłby jej oszukać.

Nim kawa wystygła, a stroskana rodzina powiadomiona przez mieszkańców pojawiła się w domu przybranego wujostwa, zasnął, wciąż trzymając Waszebę za rękę, choć jej wygląd wyraźnie wskazywał, że jest już zdrowa.

„I kto tu teraz jest czym strażnikiem, Solai?” — pomyślał ciepło Dinn, patrząc na ich złączone dłonie.

* * *

— Taa... — karczmarz spojrział w oczy Tenana, kiwając z ubolewaniem głową. — Gości u nas od paru dni. Zawzięła się na ciebie, co?

Podtrzymujący Tenana ludzie w skrócie opowiedzieli karczmarzowi, co zaszło, gdy ten prowadził ich do pokoju zajmowanego przez Tenana. Szybko posłał jedną z dziewczek po picie, jadło i miskę z wodą do mycia.

Nie mówiąc już o swym gościu nic więcej, obejrzał go dokładnie, prawdziwie wstrząśnięty jego stanem. Przede wszystkim Tenan schudł bardzo od wczoraj, gdy ten go widział. Gęste, ciemne włosy wyraźnie zblakły i przerzedziły się, jakby nękała go jakaś poważna choroba; jak podróżnych, którzy przybywali czasem do uzdrowiciela z dalekich stron.

— I jak, Wano? — zapytał jeden z mężczyzn. — Jak ci się to widzi? Seme prosiła, cobym jej powiedział, jak z chłopakiem. Mówi, że ją obronił przed wiedźmą.

Kąciki ust Tenana drgnęły lekko na tę uwagę, ale karczmarz, który swoje już tu widział i wiedział, a resztę ułożył sobie w głowie, dodając to i owo, nie pokazał niczego po sobie, poza uniesieniem gęstych, krzaczastych brwi, jakby w namyśle. Tenan przyglądał się mu. Poczciwy karczmarz patrzył na niego w skupieniu. Wreszcie westchnął i zwrócił się do pytającego i swego gościa:

— Powiedz Seme, że dobrze nie jest. Jak jest silny, a na takiego wygląda — to do jutra przeżyje. O ile wiem to wiedźma pastwi się nad nim odkąd się zjawił, więc nie daję mu zbyt wielkiej nadziei. Nakarmimy go, ogrzejemy i zobaczymy, co będzie. Przydałby się nasz uzdrowiciel.

Tenan nie był szczególnie zaskoczony jego oceną. Czuł się fatalnie. Był słaby jak kociak, trawiła go gorączka. Na szczęście ból głowy minął jak ręką odjął, gdy znalazł się w gospodzie.

— To powiadasz, że wiedźma już raz go dopadła? — chudy mężczyzna wydawał się zaintrygowany.

Dwóch innych jego towarzyszy przyjrzało się Tenanowi z nie małym

zainteresowaniem.

Karczmarz zacisnął wargi, zły widocznie, że się wygadał. Tenan spojrział na niego z nutą sympatii. Ciekawy gość, wyglądał na dobrego człowieka.

Szkoda, że nie może służyć dobrym ludziom. Mógłby nawet pracować w gospodzie dla odmiany.

Kiedyś nawet pracował...

— To nie nasza rzecz — odparł wreszcie karczmarz. — Dajcie chłopakowi odpocząć, a mnie zająć się moją robotą. Czas nagli. Dam wam znać, co i jak.

Wyprowadził ich po krótkim pożegnaniu i podszedł do rannego.

— Gdzie ta Ryska, do diabła łysego? — mruknął na dziewczkę, lecz po chwili rozpogodził się, słysząc pukanie do drzwi.

Ryska przyniosła wszystko z pomocą drugiej dziewczyny, która wyszła po chwili. Najpierw przygotowała jednak szarpie i wodę.

— Zaczynij tutaj — powiedział jej Wano, delikatnie obmacując głowę Tenana, na co ten syknął z bólu. — Spory guz — stwierdził. — Twardy masz łeb. Mogła rozbić ci go jak melon.

Tenan w milczeniu pozwolił się opatrzeć i obmyć. Wano odesłał dziewczynę, gdy skończyli, chcąc porozmawiać. Spokojnie nakarmił rannego kilkoma łyżkami wczorajszego odgrzewanego rosółu. Nie był przy tym ani trochę zalękniony, choć wczorajszego dnia był świadkiem ostrej kłótni swego gościa z siostrzenicą Seme i jej przyjaciółką. Wiedział, że każdej nocy odwiedza go groźna wiedźma. Nie okazał niczego prócz skrupulatności, by gość zjadł tyle, ile zdołał. Potem otarł mu usta, na co Tenan nie miał po prostu siły, udając, że nie widzi irytacji w oczach rannego z powodu tej słabości. Wszystko to zrobił w milczeniu, o nic nie pytając, dopóki nie skończyli.

Tenan zastanawiał się, dlaczego karczmarz zdecydował się mu towarzyszyć. Przedtem nie powiedział do niego żadnego miłego słowa, nawet nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Prosił tylko o różne usługi, jak to bywa w gospodzie, a karczmarz przekazywał jego polecenia swoim ludziom. No i zapłacił z góry za cały tydzień. To nie był chyba powód do tak przychylnego przyjęcia i dobrej opieki.

— Kogo miałeś zabić? — zapytał nagle karczmarz.

Zmierzyli się spokojnym wzrokiem.

— Jesteś odważny, bo wiesz, że umieram? — odpowiedział mu pytaniem.

— Słyszałeś, że uzdrowiciel jest ranny? — rzekł mu cicho karczmarz. — Może nie zdążyć.

Błady jak płótno Tenan patrzył na niego w zamyśleniu.

— No? — zapytał karczmarz. — To kto to miał być?

— To już nie ma znaczenia — odparł cicho. — Nie zrobiłem tego i już.

Nastała chwila milczenia.

— Jak się domyśliłeś? — zapytał Tenan. — Poza wizytami Mayene nie...

— Jesteś z Bandy Morena — wszedł mu w słowo karczmarz. — Jeden z moich gości mieszkał w Wermodzie, w waszej okolicy. Rozpoznał cię. Każdy tam wiedział, co robiłeś, nieoficjalnie oczywiście.

Tenan przyjrzał się mu z nowym zainteresowaniem.

— Mam powiadomić twoich? — zapytał karczmarz. — W razie czego?

— W razie mojej śmierci? — podpowiedział mu Tenan. — Nie owijaj w bawełnę.

— Tak. W razie twojej śmierci.

— Nie.

Karczmarz zanurzył szmatkę w zimnej wodzie, którą przyłożył mu do czoła.

— Czemu to robisz? — spytał go cicho.

— Bo nikt inny tego nie zrobi.

Tenan ze smutkiem pomyślał o Julien. Pewnie pielęgnowała uzdrowiciela.

Życie u jej boku odchodziło w niebyt. Wciąż był więźniem bransolety i umrze jako jej niewolnik.

Zabójca.

— Nie zawsze tak było — powiedział karczmarzowi, nagle wdzięczny, że nie jest sam, gdy nadchodzi jego godzina.

— A jak było? — zapytał cicho karczmarz.

— Inaczej — nagle poczuł wzbierające łzy i żal dławiący w gardle.

— Co napisać na twoim grobie? Jak cię naprawdę zwać?

Tenan jęknął cicho.

— Przegrałem swój los... — wyszeptał, poruszony brutalnością tego pytania i bolesną świadomością.

Westchnął cicho, a potem wyszeptał:

— Pochowaj mnie jak psa. Nie zasługuję na więcej.

Karczmarz zrozumiał, że nic na razie nie wskóra. Wstał, szykując się do wyjścia.

— Synu — zwrócił się do niego z powagą — coś złego ci się przydarzyło na tej drodze życia, którą wszyscy idziemy. Tak to widzę. Zasługujesz na lepszy los. Nie czekaj tu na śmierć. Walcz. Będę tu zaglądał. I biada ci, jeśli zobaczę, że się poddajesz!

— Od lat nikt tak do mnie nie mówił — odparł Tenan z iskierką w oczach.

Nic na to nie mógł poradzić. Zaczął lubić tego człowieka.

Karczmarz spojrział w jego bursztynowe oczy, które jeszcze wczoraj nie przypominały ludzkich.

— Wiem co nieco o ludziach — powiedział. — Zobaczyłem podróżnika, który przyjechał tu, bo chciał przed czymś uciec. A potem dowiedziałem się, kim jest i pomyślałem, że ucieka przed przeszłością. I kiedy wydaje mu się, że nikt tego nie widzi, jego oczy stają się ludzkie, jak teraz. Nie na długo, bo boi się ujawnić, że

jest tylko człowiekiem. A ta wiedźma? Wszyscyśmy słyszeli, jak walczyłeś pierwszej nocy i musiałeś jej ulec. Potem przychodziłeś do nas na dół, bo chciałeś pobyć wśród ludzi, ledwie żywy i głodny jak wilk. Bałeś się jej. Bałeś się wracać do pokoju, ale wracałeś. Jakbyś się sam karał albo ona miała taka władzę, że nie mogłeś inaczej. No i jeszcze jest Julien, siostrzenica Seme. Zależy ci na niej, ale chcesz, by od ciebie uciekła, żeby wiedźma jej nie skrzywdziła, prawda?

Tenan patrzył na niego w milczeniu, zaskoczony jego spostrzegawczością.

— Czyli jestem jak otwarta księga? — zadrwił w końcu. — Żałosne. Zaczynam się starzeć. Dobrze że zdycham teraz, zanim całkiem zdiadzieję.

Ale jego spojrzenie przeczyło wypowiedzianym słowom.

— Masz ochotę na kielicha? — zapytał karczmarz.

— Ostatni kielich dla skazańca? — zapytał szyderczo Tenan, ale karczmarz nie przejął się jego tonem głosu.

Wiedział już sporo o tym, jaki naprawdę jest Tenan.

— Nie inaczej — odparł więc z błyskiem w oku.

Tenan rozparł się bardziej na poduszkach.

— Nie zwykłem pić z nieznajomymi. Nawet umierając.

— Wano — karczmarz wyciągnął swoją dużą dłoń.

— Tenan — ledwie miał siłę, by unieść swoją, lecz i tak było lepiej niż zaraz po ataku.

— A więc... Tenanie... — uśmiechnął się karczmarz — pijesz?

— Nie odmówię.

— Śpij teraz, wpadnę później z jadłem i wódką, jak uporządkuję sprawy.

— Nigdzie się nie wybieram — zamruczał Tenan.

— Na pewno nie na tamten świat! — rzekł karczmarz. — Mniej już przypominasz trupa niż przed godziną.

— To przez twoją kuchnię, dobry człowieku — Tenan z łatwością dopasował się do tej rozmowy, niepowstrzymywany przez bransoletę.

— A może przez moje delikatne rączki, co? — zaśmiał się Wano.

Oslabiony Tenan uśmiechnął się słabo.

Karczmarz pożegnał się z nim raz jeszcze i wyszedł z pokoju.

Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy, a serce wypełnił smutek.

Na dole jego żona i Ryska czekały na wieści z niecierpliwością. Sarana z troską położyła dłoń na jego ramieniu, widząc moc jego przygnębienia.

— Nie macie roboty? — burknął, widząc ich wyczekujące spojrzenia, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Ryska zaczęła gnieść nerwowo dzierzoną w dłoniach ścierkę. Jej duże, niebieskie oczy nie spuszczały z niego wzroku.

— Jest aż tak źle? — spytała cicho karczmarka, by nie usłyszeli ich pierwsi, jeszcze nieliczni klienci na sali.

— On umiera, Sarano — westchnął ciężko, na co twarz Ryski wykrzywiła się od płaczu. Pośpiesznie zakryła ją ścierką i uciekła na zaplecze. — Nie wiem, czy dożyje wieczora.

— Może to lepiej dla niego — odparła cicho jego żona. — Bo jeśli wiedźma kazała mu tu wrócić i znów do niego przyjdzie...

Spojrzeli na siebie, przepełnieni żalem.

— Taki ładny chłopak — szepnęła. — Młody, silny. Miał przed sobą przyszłość.

— Oby tylko ktoś nie podzielił teraz jego losu — zauważył ponuro Wano.

* * *

Jeszcze poprzedniego dnia o tej porze Sel siedział tu i rysował w chłodzie odchodzącej zimy piękno fiordów przed sobą, nieświadomy tego, że widziany wcześniej statek, który uchwycił na swoim rysunku, porwał ze sobą Rossa. W domu obok starsza kobieta szykowała gościowi gorącą czekoladę. Nie dziwiły już jej te poranne wizyty. Sel bardzo ją lubił. Jej mąż zaczynał się ubierać, kręcąc głową z niedowierzaniem, że można było usiedzieć na tym zimnie i rysować. Po dłuższej chwili, słysząc odgłosy z domu, Sel zapukał nieśmiało do drzwi i od progu już wraz z gospodarzami, którzy traktowali go niemal jak syna, witało go ciepło z kominka i niepowtarzalny aromat gorącej czekolady.

Teraz drzwi od domu na wzniesieniu były otwarte pomimo panującego zimna, a ogień w kominku dogasał. Rozsypana po stole czekolada świadczyła o tym, że przechowywaną specjalnie na przybycie lubianego gościa puszkę wytrącono z ręki. Dziś się go nie spodziewano, lecz zwyczaj wspólnego picia czekolady o poranku tak mocno wszedł w krew mieszkańców domku, że marzyli o tym, jak to Sel wróci wkrótce i następnym razem napije się z nimi, a potem będzie się krzątał wokół domu, rąbiąc drewno, niosąc wodę, łatając coś lub ulepszając. A jeśli będzie z nim jego przyjaciel, którego zdoła wyciągnąć tak wcześnie z łóżka, jego młodzieńczy śmiech znów rozgrzeje im serca.

To miało już nigdy nie nastąpić.

Teraz wokół panowała śmiertelna cisza.

Dwoje staruszków, wyschniętych niczym wióry, leżało niedaleko od siebie na podłodze.

Mayene wiedziała, że prawie nie schodzą na dół i minie wiele czasu, nim komukolwiek przyjdzie ochota sprawdzić, co się z nimi dzieje, a tego ich przyjaciela nie było nawet w królestwie. Leżała na łożu staruszków, niepomna na zimno, którego nie odczuwała. Myślała o Wiwanie.

Biedactwo, pierwszy raz kobieta tak na nim usiadła! Ależ miał minę! Widać, że żadna go jeszcze nie dopadła, chłopak aż płonie z gorączki! Trzeba go będzie

porządnie popieścić.

Najpierw da mu niewyobrażalną rozkosz, a potem zemści się za próbę zabicia jej. Zemści się okrutnie, lecz nie zabije.

Jeszcze może udać się jej plan. W sumie dobrze, że jej przerwano. Trochę ją poniosło ze strachu.

Było blisko. Cholernie blisko.

ROZDZIAŁ 11 — WSZYSTKIE ŁZY SPŁYWAJĄ TAK SAMO

W Barnicy kręcili się ludzie. Kowal odwiedził dom Seme ze swym niewielkim oddziałem ochotników. Paru pilnowało domu Seme i Kirsta. Pośród wozów kupców, którzy pośpiesznie zabierali swe towary z uliczek, nawoływań matek, krzyków dzieci, rżenia koni, beczenia owiec, gdakania kur, gdy wszyscy w pośpiechu zabierali się do swoich domów lub z ponurą miną i toporem w ręku pilnował swego dobytku, żywe miasteczko portowe, jakim Barnica znów zaczynała się stawać po przejściu zarazy i powrocie uzdrowiciela, zmieniało się w twierdzę. Nic nie było już takie samo. Napadnięto na uzdrowiciela i najwyższa była pora się zbroić. Nawet matki instruowały swe dzieci, co mają robić, gdy zobaczą wiedźmę. Niemal każdy miał broń, jaką tylko zdołał przysposobić. Czy był to mężczyzna, czy kobieta, broń mieli już pod ręką. Nawet widły mogły się przydać. Górale, choćby ich szanse były nikłe, nie chcieli być bezbronni.

Gwar i szum cichł szybko. Cisza spowijała wąskie uliczki, choć nie minęło nawet południe.

— Tenan... — szepnęła cicho Julien. — Tenan, zbudź się.

Otworzył oczy z wysiłkiem. To była ona. Obok stała jej nieodłączna przyjaciółka i karczmarz.

— Ddopiero teraz dowiedziałam się, że szaleniec, który rano bronił mojej ciotki, ma na imię Tenan. Zanim cię przeproszę, muszę wiedzieć jedno... — zwiesiła głos.

— Czy zrobię ci wystarczająco dobrze, gdy mnie uratujesz? — zapytał schrypniętym głosem.

— Nic się nie zmieniłeś — zauważyła Sai, gdy Julien zarumieniła się i wciągnęła cicho powietrze. — Czy to nie on powiedział ci, że będziesz jego dziwką? Takie były twoje słowa.

— Padły z moich ust — zauważył z drwiną, choć ledwie mógł mówić. — Poznają je.

— Zamierzacie dać mu trochę wody, czy pozwolicie, by się męczył? — zapytał karczmarz, zaś do Tenana zwrócił się słowami: — Co w ciebie wstąpiło?

— Niech się pomęczy — stwierdziła z pozorną powagą Julien. — Najwyraźniej czuje się lepiej. Być może zatęsknił już za tamtym bólem, gdy kopnęłam go w krocze.

Tenan skrzywił się nieznacznie.

— Wolałbym, żebyś mi go teraz...

— Cicho! — fuknął karczmarz. — Tak nie zwraca się do damy!

— Nie widzę tu dam — zauważył z drwiną Tenan.

— Miarkuj się!

— Poważnie mówię — szepnął Tenan. — Córka złotnika i... jej przyjaciółka nie są damami. Choć z całą pewnością należy je tak traktować.

Cała trójka zastanowiła się nad jego słowami. Sai uśmiechnęła się ciepło, zauważając, że Tenan nie nazwał jej dziwką. Komplement także nie uszedł jej uwadze.

„Takim właśnie cię pamiętam z Domu Rozkoszy” — powiedziało mu jej spojrzenie.

Tenan nigdy nie był dla nich zły. Może dlatego, że Moren sam lubił bić i karać. A może dlatego, że skoro nikt nie kazał mu być innym, był dla kobiet uprzejmy, po swojemu chłodny i nieprzystępny, lecz nie brutalny i okrutny. W łóżu dążył do zaspokojenia poprzez zadowolenia najpierw kobiety. Był świetnym kochankiem, tak twierdziły znajome Sai. Te nieliczne, z którymi był. Pamiętała, że nawet je to nieco dziwiło. Innym klientom było obojętne, co czują. On bawił się dobrze, gdy i one miały przyjemność.

Nie miała okazji tego sprawdzić. Nią i Leną zainteresował się bezwzględny bandyta.

— Powiedz — Julien opanowała swe emocje. Zdążyła już zauważyć, że Tenan bawi się w te utarczki. — Miałeś zabić Wiwana?

Serce podpowiadało jej odpowiedź, lecz najpierw wołała wykluczyć inne możliwości.

— Zgaduj dalej — odparł cicho.

— Proszę, nie każ mi się w to bawić...

Spojrzał jej w oczy i uległ ich głębi.

— Miałem zabić twoją ciotkę — odparł ze śmiertelną powagą.

„Tak. To prawda” — potwierdziła w duchu.

Znów miał bursztynowe oczy. Zauważyła to. Był wolny od działania klątwy, zapewne dlatego, że umierał.

— Dlaczego wtedy tak powiedziałeś? — zapytała.

— Chciałem, żebyś wreszcie spojrzała na mnie inaczej, ale ty wciąż widziałeś tylko tego potwora, którym zmuszony byłem zostać. Wytracono mnie z równowagi. Każdy czasem ma zły dzień.

— Zabiłeś Milerę! — krzyknęła. — To nazywasz złym dniem?! A może napadem złego humoru?

Niemal zaśmiała mu się w twarz. Nie dziwił się temu.

— To był rozkaz Morena — odparł. Czuł, że grunt osuwa mu się spod stóp.

Sai zauważyła jego przygnębienie. Częściowo podzielała jednak gniew Julien.

— Mogłeś się zbuntować — zauważyła jej przyjaciółka. — Jak teraz.

Tenan milczał, nie patrząc na nie.

— Silva była nam bardzo oddana. Kochała nas jak własne dzieci — Julien

czuła, że te słowa powinny zostać wypowiedziane. Dwoje służących, którzy zostali z nią i Oliwierem do końca. Krew na nieskazitelnym rękawie koszuli Tenana. — Czy ta twoja obsesja czystości bierze się z poczucia winy? Chciałeś czuć się nieskalany, Tenanie?

Znów milczał. Tym razem jednak, gdy cisza się przeciągała, odezwał się w końcu:

— Musiałem to zrobić, Julien. Ale śmiało, poużywaj sobie! Udowodnij, że ty byłabyś bohaterką! Choć przez jeden dzień bądź w mojej skórze. Rób, co każą! Trzymaj się tylko tych złych, choćby napawali cię wstrętem. Patrz, jak przyjaciel niszczy swego najlepszego przyjaciela, jak bije do nieprzytomności kobietę i robi z nią okrutne rzeczy, ponieważ przypomina mu chłopaka, który go nie chce. I wreszcie — zabijaj na jego rozkaz, dręcz nieposłusznych. I płąć. Płać za każde wahanie, za każdy przejaw litości, za niechęć do takiego życia, za tęsknotę za wolnością, za wspomnienia o czasach, gdy żyłaś inaczej. Za miłość nie w porę. Płać każdego dnia potwornym, rozdzierającym czaszkę bólem. Jednego dnia modliłabyś się, by w końcu cię to zabiło. Drugiego — by wreszcie przestało. A twój pan, czy jak teraz — twoja pani — śmialiby się z tego i rozkoszowali władzą nad tobą. Obserwowali niczym zwierzę w klatce. I wydawali nowe, okrutne polecenia, bo wiedzieliby, że od tego nie uciekniesz.

Umilkł, zaskoczony tak jak i oni tym swoim nagłym wybuchem. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie.

W końcu znów się odezwał.

— Nie waż się mnie ratować, Julien. Zabraniam ci! Jeśli tą łzawą historyjką poruszyłem coś w tobie, jakieś gówniane współczucie, to okaż mi choć trochę szacunku i pozwól zdechnąć tu samotnie. Nie chcę waszej pomocy. Po prostu wbijcie mi w serce jeden z tych waszych szpikulców i skończcie to wreszcie! Skończcie to, do cholery!

— Sam mogłeś to zrobić już dawno — zauważyła Sai, próbując zachować obiektywizm.

Prawda jednak była taka, że słysząc cierpienie w jego głosie, szczerze i tak przepełnione rozgoryczeniem, miękła coraz bardziej.

— Nie — odparł krótko, patrząc na nią z szacunkiem, bo nie bała się być szczerą. — Nie wolno mi.

Julien przysiadła na skraju łoża.

Wyciągnęła zza dekoltu sukni ukryty tam flakonik z połową swej zawartości.

— Wypij to — powiedziała z powagą. — Zaczynij wszystko od nowa.

Przez chwilę mierzył ją spojrzeniem swych bursztynowych oczu, jakby zastanawiał się, czy nie zrozumiała jego wypowiedzi. W jego nadmiernie wychudzonej twarzy oczy wydawały się teraz ogromne, przenikały na wskroś. Jednocześnie każde odbijające się w nich uczucie było dla nich doskonale

widoczne. Nie chciał śmierci, lecz czuł, że na nią zasłużył. A oni, wiedząc o nim coraz więcej, stawali się coraz mniej skłonni do tego, by go karać.

— Jeśli to zrobię, znów znajdę się pod działaniem klątwy — odparł cicho.

Ton jego głosu zasugerował: „Tego właśnie chcesz, prawda? Tak chcesz mnie ukarać?”.

Zapomniała. Czowała, że jeśli teraz przytaknie, to jakby wbiła mu sztylet prosto w serce. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak mocno się do niej przywiązał. Przecież dotychczas starannie to ukrywał. Nawet uderzył ją wtedy, gdy Moren ją porwał. Dlaczego? Co go w niej tak przyciągnęło? Zdawała sobie sprawę, że nie ma w niej tej siły, którą emanował Oliwier. Była wybuchowa, zmienna, nieco jeszcze naiwna. To prawda, że dzień, w którym omal nie zginął Wiwan i Ross wiele w niej zmienił, ale czy przedtem była godna tak silnego uczucia, jakie żywił do niej Tenan? Czemu stała się jego nadzieją?

— Dlaczego ja, Tenanie? — zapytała.

— Byłaś jak ogień — odparł. — Silna, gdy chodziło o brata. Pełna temperamentu. Pełna życia.

— Rozkapryszona księżniczka — dodała.

— Tak... — zgodził się z przekornym uśmiechem — i nie. Raczej jak kocica gotowa skoczyć na Morena z pazurami.

— Uderzyłeś mnie.

— Tracę... — urwał, a następnie zaczął od nowa: — traciłem już nad sobą panowanie. Potwór, którym musiałem być... przejmował władzę nade mną. Za to przepraszam. Szczerze. Dotąd, poza Mayene i tobą, nie uderzyłem szczęśliwie żadnej innej kobiety, jeśli mnie rozumiesz.

— Nie kazano ci — powiedziała Sai.

— Nie kazano mi — zgodził się.

— Jak dokładnie ona brzmi? Ta klątwa? — zapytała Julien, a pozostali przysiedli się do nich.

— To ma coś wspólnego z bransoletą? — zapytał karczmarz. — Widać, że to magia.

Sai wyjaśniła mu działanie bransolety. Spojrzał na Tenana, w pełni już rozumiejąc.

Zamiast odpowiedzi, Tenan zapytał nagle:

— Jaka to pora dnia?

— Prawie południe — odparł karczmarz.

— To czemu robi się tak ciemno?

To pytanie wywołało popłoch wśród obecnych. Słońce wyraźnie i jasno świeciło, choć w pokoju Tenana nie widać było tego blasku ze względu na położenie pomieszczenia względem gwiazdy.

— Julien... — szepnęła Sai.

— Rozumiem. To milczenie jest bardzo wymowne — rzekł Tenan nadal pewnym głosem, nie słysząc odpowiedzi. — Chyba nie zdążymy się już napić.

— Widzisz nas? — zapytał zaniepokojony karczmarz.

Ale Tenan nagle zaczął mówić:

— Będziesz posłuszny, gdy każą ci zabić. Uległy, gdy każą torturować. Sumienny, gdy każą krzywdzić niewinnych. Będziesz zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyłeś. Pójdiesz na służbę do złych ludzi i będziesz im posłuszny. Nie wolno ci się zabić. Nie wolno ci o tym mówić. Jeśli okażesz choć cię dobrych uczuć, będziesz cierpieć. Jeśli się sprzeciwisz, umrzesz w męczarniach. Żadna kobieta nie pokocha potwora, jakim się staniesz, dlatego, byś nie mógł zdjąć z siebie tej klątwy, czar będzie trwał, póki miłości znak go nie złamie.

Gdy skończył, obie kobiety miały łzy w oczach.

— Co i komu zrobiłeś? — zapytał szybko karczmarz z przejęciem. — Że rzucono na ciebie tę klątwę?

Tenan spojrział na nich, gasnąc im w oczach. Jakby już się od nich oddalał. Wpatrzył się w twarz Julien, jej oczy, jej włosy, smutek na twarzy.

— Nie płacz — szepnęła. — Tak jest lepiej. Co powiesz Selowi, gdy wróci? Swojemu bratu? Jak spójrzałybyś w oczy Wiwanowi?

Julien zaczęła kręcić przecząco głową, zaprzeczając jego argumentom.

— Przynajmniej zasnę sam tej nocy — szepnęła z ulgą.

— Julien — szepnęła Sai ze zniecierpliwieniem. — Długo zamierzasz jeszcze czekać?

— Stanie się znów niewolnikiem tej rzeczy — Julien patrzyła mu w oczy, które zasnuwały się mgłą. Tracił wzrok. Bursztynowy kolor mętniał.

— Nie wydaje mi się, dziewczyno — rzekł twardo Wano.

Pochyliła się pośpiesznie, odkorkowując fiolkę. Choć nie miał w sobie zbyt wiele sił, próbował ją powstrzymać, chwytając rękę.

— Tenanie! — krzyknęła. — Przestań!

— Nie rób mi tego.

— Uratuję ci życie — przekonywała go.

— Przytrzymać go? — zapytał Wano skwapliwie.

— Jesteś przeciwko mnie? Myślałem, że się dogadujemy! — wyrzucił mu Tenan, gdy karczmarz przytrzymał mu rękę.

— Na dole czeka nasza flaszka.

— Słaby argument — odparł Tenan z gniewem i żalem. — Wysil się trochę, do diabła!

Julien pochyliła się jeszcze bardziej i w nagłej ciszy, gdy Tenan, odgadując jej zamiar zamarł z nieśmiałą nadzieją, pocałowała go przepełnionym namiętnością pocałunkiem. Rozchyliła mu usta, dotykając językiem jego języka. Przywarła ustami do jego warg, aż jęknął z rozkoszy, czując, jak krew zaczyna szybciej

krążyć, a serce bije jak oszalałe. Wano umyślnie wypuścił jego ręce ze swoich, dopiero gdy Julien odsunęła się, przerywając pocałunek. Miał przy tym na twarzy uśmiezek, jakby czekał na reprimendę Tenana za swój wyczyn.

— A teraz? — spytała Julien, zadowolona z osiągniętego efektu. — Wierzysz mi?

Tenan patrzył na nią oszołomiony obietnicą, która na moment stłumiła jego ponure myśli, potem na karczmarza spoglądającego z miną zadowolonego kota, a na końcu na Sai, której twarz ozdabiał uśmiech zachęcający go, by dał im szansę i pozwolił sobie pomóc. To życzliwe spojrzenie przekonało go ostatecznie. Spojrzał więc na Wano z udawanym wyrzutem.

— Nieładnie — rzekł z naganą, kapitulując wobec tak okazywanej mu wyrozumiałości.

Karczmarz zaśmiał się głośno. Kobiety uśmiechnęły się poprzez łzy.

— Muszę się jeszcze zastanowić — kąciki ust Tenana zadrgały od uśmiechu, gdy zaczął ulegać ich nastrojowi. — Może gdybyś mogła zrobić to jeszcze raz...

— Najpierw wypij! — roześmiała się, podsuwając mu fiolkę.

Posłusznie wypił zawartość i spojrzał na nią z cichym wyczekiwaniem. Serce przyspieszyło jej od tego spojrzenia. Pochyliła się i pocałowała go raz jeszcze.

Bransoleta szczęknęła nagle. Jej znaki zbladły, stając się niemal niewidoczne, na wzorach pojawiła się rysa. Wszyscy czworo przyjrzeni się jej z uwagą.

— Jeszcze nie — rzekł w końcu Tenan, gdy nic się nie wydarzyło.

Czuł cudowne ciepło, rozchodzące się po jego ciele falami.

— Ale wkrótce — pocieszyła go Julien. — Gdy wszystkie wątpliwości odejdą w cień.

Uśmiechnął się z powątpiewaniem.

Poczuł przy tym tylko słabe ukłucie bólu. Zauważyli to.

— Traci moc — zauważył Wano.

Tenan dotknął bransolety. Jego poprawiający się już nastrój prysł. Zastąpił go smutek, jakby ciemność dotknęła nagle jego duszy.

Wszystkich przeszła nagle ta sama myśl, choć z różnych pobudek. Co jeśli stało się to za późno?

— Kto rzucił na ciebie tę klątwę? — spytała cicho Julien, obserwując zmiany zachodzące w jego wyglądzie dzięki krwi Wiwana. — Co to znaczy, że „będziesz zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyłeś”? Kazano ci krzywdzić ludzi, a to dla mnie oznacza, że wcześniej tego nie robiłeś. Czy to prawda, Tenanie?

— Tak — odparł.

— Opowiedz nam o tym — rzekła w imieniu wszystkich. — Proszę...

Dotknęła dłonią jego policzka, gdy chciał odwrócić głowę. Spojrzał na nią

i wtedy zobaczyła cień kryjący się w jego oczach.

„O nie — pomyślała wstrząśnięta. — Tylko nie to. To nie może się stać!”.

— Nie ma o czym opowiadać — zaczął pozornie obojętnym tonem. — Na nasze miasteczko... mniejsze od tego tutaj... także napadła wiedźma. Kryspine. Żywiła się ludzkimi sercami. Oczywiście wrywała je żywym ofiarom i nieważne, czy był to mężczyzna, kobieta, czy dziecko. Zwłaszcza u dzieci było to... — urwał nagle, przejęty wspomnieniem. — Nie widzieliście nigdy... Mój brat miał sześć lat. Ukrył się pod schodami do gospody, którą prowadził mój ojciec. Znalazła go. Wiecie, jak wielką dziurę w jego piersi... Był taki mały, a dziura w nim i ta krew, ten... — odetchnął spazmatycznie. — Pomógłbym, gdyby nie to, że wcześniej przybiła moje ręce do drzwi wejściowych. Miałem być następny. Czerpała wielką przyjemność z przerażenia dzieci. Mój brat... umierał na moich oczach. Ojciec i kilku ludzi stanęli z nią do walki. Nie mieli szans, choć nie była tak szybka jak Mayene, ale za to sprytna. Gdy inni próbowali ją osaczyć, ojciec mnie uwolnił i opatrzył. Przez kilka dni nie mogli jej znaleźć, ale ja wiedziałem, że nie odeszła. Potrzebowała pożywienia. Szczególnie polubiła serca dzieci, a u nas dzieci było dużo. Znalazłem jej kryjówkę. Najpierw się broniła, to oczywiste. Ale mnie ogarnął jakiś amok. Błagała o wyrozumiałość, zebrała, kusila. Byłem głuchy na to wszystko. Gdy ją związywałem, zaczęła mnie przeklinać. Potem ułożyłem dla niej stos na środku miasteczka. Sam. Inni bali się nawet do mnie podejść. Położyłem ją na nim. Wtedy wyrzuciła z siebie tę klątwę. Bez namysłu obciąłem jej język, by zamilkła. Już nie mogła tego odwołać, nawet gdyby chciała. Podpaliłem ją i patrzyłem jak płonie, aż ogień wygasł.

Słuchali w milczeniu.

— Gdy wreszcie dotarło do mnie, co się stało — rzekł cicho — i poczułem straszliwą rozpacz, ból głowy omal mnie nie zabił. Zwijałem się w męce, aż ojciec doradził mi, bym wyciszył w sobie wszystko, wszelkie uczucia. Bym zobojętniał. To pomogło. Zrozumiałem, że muszę wyjechać. Nie mogli tego oglądać. Nie chciałem, by widzieli, jak spełnia się klątwa, a ja zamieniam się w zimnego, zdolnego do wszystkiego potwora. Czar Kryspine był potężny, podsycony jej nienawiścią, przesycony jej duchem. Potem pojawił się pierwszy pan mego losu. Przeszedłem prawdziwy koszmarny chrzest, który miał zabić we mnie człowieczeństwo. Wykorzystałem okazję, by uciec. I tak trafiłem do Morena. Koniec historii.

— Ile miałeś wówczas lat? — zapytał Wano.

— Szesnaście.

Na myśl o tym, do czego zmuszony został Tenan w służbie u swego pierwszego pana w wieku ledwo szesnastu lat, Julien zrobiło się słabo. Fala współczucia ogarnęła ją, gdy pomyślała, jak musiał cierpieć zamknięty w klątwie niczym w klatce.

Jak wiele to życie mogło w nim zniszczyć.

— Ile lat masz teraz? — spokojny ton karczmarza sugerował, że wyciągnął już jakieś wnioski.

— Dwadzieścia dwa.

— Sześć lat... — rzekł w zamyśleniu Wano, skubiąc swoją gęstą brodę i unosząc krzaczaste brwi.

Spojrzał wnikliwie na chłopaka, jakby chciał mu przekazać przesłanie, czy zdaje sobie sprawę, jak wielkie spustoszenie w jego duszy mogło powstać w tym czasie. Popatrzył na Julien zupełnie innym spojrzeniem, jakby współczująco.

— Tenanie... — powiedziała cicho, a wszyscy patrzyli teraz tylko na nią. — To już nie ma znaczenia. Wiem, że nie będzie łatwo, to wszystko. Ale tamto to już przeszłość.

Tenan spojrzał na nią z drgnieniem w sercu.

Bardzo chciał w to uwierzyć, ale nie zawsze przeszłość można było tak po prostu odsunąć w niepamięć. W samej Barnicy byli ludzie, których skrzywdził. Ich uczuciom będzie musiał stawić czoło.

To będzie trudniejsze, niż teraz mogłoby się wydawać.

— No, to teraz już wiemy, co i jak — powiedział Wano, widząc jego przygnębienie. — I jedno ci powiem: jeśli chcesz wrócić na ścieżkę prawych ludzi, ja ci pomogę. Jest dla ciebie nadzieja.

— Ja także ci pomogę — rzekła Sai. — Bo na pewno będziesz teraz tego potrzebował. Nie każdy łatwo wybacza, nawet gdy usłyszy prawdę.

Ujęła delikatnie jego dłoń i uściśnęła. Potem spojrzała wyczekująco na Julien.

Tenan niemal słyszał jej myśli. Przeczuwała, jak wiele będzie musiała zrobić, by go bronić i wspierać. Zastanawiała się, czy naprawdę ma w sobie dość sił i uczucia, by stanąć u jego boku, pomimo zapewnień. Nie dziwiło go to.

Wreszcie spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się łagodnie, a on poczuł nieopisaną ulgę, widząc jej spojrzenie pełne determinacji i ciepła. Ze wzruszeniem odwzajemnił ten uśmiech.

* * *

Wiwan obudził się z dłonią Waszeby spoczywającą na jego piersi. Na fotelu obok łoża siedział Pafian, czytający oprawioną i drukowaną w nietypowy tu sposób książkę o rozklejających się kartkach. Tak bardzo był pochłonięty lekturą, że nie zauważył przebudzenia brata. Wiwan uśmiechnął się lekko. Pafian jak zwykle zabrał ze sobą z domu jakąś książkę, tak na wszelki wypadek, gdyby trafiła się gdzieś okazja do czytania. Przyjrzał się jej z większą uwagą. Ciemna okładka z wizerunkiem pierścienia pokrytego runami na jej tyle, źle sklezione strony. Znał ją

oczywiście, byli w jej posiadaniu od kilku lat.

Podobnie jak pozostałe, przywiózł ją kupiec jadący przez szlak prowadzący przez starą puszcę na zachodzie, członek licznej i uzbrojonej karawany. Od lat Eryk, bo takie nosił imię ów kupiec, dostarczał paczki na rozstaje dróg do gospody „Pod Rozbrykanym Konikiem” od tajemniczego nieznajomego. Kupiec zawsze twierdził, że jest tylko posłańcem. Sprawiał bardzo miłe wrażenie. Polubili się. Prosił, by zwracać się do niego imieniem Eryk, lecz matka Wiwana twierdziła, że z pewnością nie było to jego prawdziwe imię. Nie był też prawdziwym ojcem Wiwana, bo o to Wiwan kiedyś zapytał. Był prawdopodobnie jego przyjacielem, lecz gdy Wiwan chciał drążyć głębiej ten temat, matka i dziadkowie poprosili go, by tego nie robił. „To już zamknięty rozdział — powiedziała wówczas matka. — Tamto już nie wróci. Nie chcę ranić Erlonda wspomnieniami, dawać mu cień podejrzeń, że w moim życiu może być jeszcze ktoś, może ważniejszy od niego, bo tak nie jest. Twój ojciec musiał zostać w tamtym świecie, a te prezenty są znakiem, że nigdy o nas nie zapomniał”.

Ani ona, ani dziadkowie nie chcieli mu powiedzieć, czemu tak się stało; jakby coś ich powstrzymywało. Daremnie próbował dowiedzieć się czegoś więcej.

Każda paczka dostarczana co jakiś czas, każda książka przypominała mu więc o tej niewyjaśnionej tajemnicy.

Pafian poruszył się lekko, odsłaniając drewniany parapet okna, na którym stały dwie doniczki z kwiatami. Wiwan przypatrywał się im z uwagą. Kwiaty zwiędły pomimo mokrego podłoża. Rośliny najwidoczniej zawsze tak reagowały na jego ból i cierpienie. Więdły. Jakby jego niezwykła moc miała swe źródło w sile natury. Seme pewnie już je widziało. Zapewne wszyscy już martwili się o niego.

Spojrzał na kwiaty, skupiając w sobie ukrytą moc.

Przeniknął ich strukturę, wzmocnił i wypełnił.

Powoli, lecz w widoczny sposób uniosły się, wyprężyły, a ich niezwykle korony ożywiły się i nabrały wielkości, piękniejąc bardziej niż przedtem. Pafian obserwował ich powrót do życia z zafascynowaniem.

— Zawsze lubiłem tę twoją sztuczkę — powiedział cicho, by nie zbudzić Waszeby.

Uśmiechnął się do niego, starannie składając książkę.

— Który tom?

— Drugi — mrugnął do niego. — Wiesz, że nie znoszę jedyńki i czytam ją po łóbkach. Za dużo opisów.

Spojrzał na niego z braterską czułością.

— Jak się czujesz? — spytał ciepło.

Tak zwyczajne ze względu na okoliczności pytanie sprawiło, że w oczach dochodzącego do siebie Wiwana pojawiły się łzy. Pafian taktownie przeczekał, aż brat uspokoi się nieco po przejściach, wciąż budzących tak silne emocje.

— Bywało lepiej — wyszeptał Wiwan, odruchowo ujmując dłoń Waszeby.

Wyczuwał ciepło jej uczuć, teraz będące dla niego prawdziwym ukojeniem. Pafian zauważył ten gest, lecz udał, że nie stało się nic niezwykłego. Domyślał się pewnych wątpliwości brata, wołał go więc nie spłoszyć niepotrzebnym słowem.

— Jak ręka? — zapytał jedynie.

— Prawie wyleczona. Całe ciało mam obolałe, jakbym zderzył się z murem.

No tak, jego moc reagowała najpierw na potrzebujących pomocy. Waszeba wyglądała już na zdrową.

— Wiesz, jak bardzo nienawidzę tych chwil, prawda? — zapytał Pafian. — Kiedy muszę bezradny patrzeć na twoje cierpienie...

— Już jest lepiej — przerwał mu Wiwan z cieniem uśmiechu.

Niespodziewanie obu jednocześnie przeszły echa wspomnień, gdy padły słowa o cierpieniu. Wiwan przypomniał sobie rozpacz brata i płacz matki po jego powrocie do domu, ich żal, gniew i bezsilność. Cierpienie bliskich, gdy go ujrzeni, gdy słyszeli jego krzyk nocą i przybiegli, by go pocieszyć. Ranił go ich ból. A Pafian przypomniał sobie chwile, gdy ranny brat wił się w męczarniach po przypalaniu rany na nodze, rzucał się w niemym przerażeniu po koszarze na targowisku i krzyczał, gdy musiał nastawiać rękę. Te wspomnienia sprawiały ból w jego sercu. Skurczył się cały w środku od tych obrazów. Wiwan puścił dłoń śpiącej spokojnie za jego plecami dziewczyny i dotknął ręki brata, obdarzając go mocą swego serca. Pafian poczuł ulgę, jakby ktoś zdjął mu z ramion ciężar.

Uścisnął dłoń brata.

Łzy spłynęły po twarzy Wiwana. Drugą dłonią otarł je pośpiesznie i westchnął, narzucając sobie opanowanie.

— Co właściwie tu zaszło? — zapytał Pafian, by odwrócić jego uwagę od słabości.

Wiwan cicho opowiedział mu wszystko: od ataku na Waszebę, pomijając swoje odczucia, gdy Mayene na nim usiadła, a które wciąż napawały go odrazą do samego siebie, ale i których przyczynę — potrzebę bliskości — zaczynał już rozumieć. To nie Mayene pragnął. Zaczynał tęsknić za doznaniem, o których wcześniej nawet nie myślał, pochłonięty swoją misją pomagania innym i postrzeganiem jego osoby, jakby był jakimś bóstwem, nieskażonym cielesnym, ale bardzo ludzkim pragnieniem.

Dotyk Waszeby przytulonej do jego pleców uświadomił mu, że marzył o tej chwili intymności od czasów, gdy leczył rany po zajściu na targowisku, a w tym czasie część jego nowych przyjaciół połączyły miłosne związki.

Kiedy z trudem kryjąc wzburzenie wyjawiał bratu, czego Mayene żądała od niego, Pafian zacisnął dłonie w pięści w gniewie. A gdy opowieść zakończyła się wtargnięciem Dinna i wyłamaniami drzwi, milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie spytał:

— Więc mówisz, że jej serce zaczęło bić i to ją przestraszyło tak bardzo, że cię zaatakowała?

Wiwan kiwnął głową, znów trzymając rękę Waszeby, jakby wciąż chciał się upewnić, że jest już cała i zdrowa.

— Twoja moc wzrosła — stwierdził Pafian. — Nigdy dotąd nie potrafiłeś nikogo ożywić.

— Ani zabić siłą woli — dodał Wiwan.

— Ani zabić — Pafian pokiwał głową na znak zgody.

— To przez nią — rzekł uzdrowiciel w zadumie. — A przedtem chodziło o tamtych ludzi — umilkł nagle, a Pafian zobaczył przez chwilę lęk w jego niebieskich oczach. — W zagrożeniu moja moc rośnie.

„Założę się, że jeśli zakochasz się w Waszebie, twoja moc sprawi ci jeszcze więcej niespodzianek. Tu na pewno nie chodzi tylko o zagrożenie” — pomyślał Pafian, ale na głos powiedział:

— To przez emocje. Silne emocje zwiększają twoją moc.

— Chyba masz rację.

— Myślę, że ona nie zrezygnowała ze swoich planów.

— Chciała mnie zabić.

— Przestraszyłeś ją. Pewnie cieszy się, że jednak do tego nie doszło.

Spojrzeli sobie w oczy w cichym porozumieniu.

— Tylko ty zdołałeś coś jej zrobić, Wiwanie.

Wiwan wolałby, by te słowa nigdy nie zostały wypowiedziane, ponieważ oznaczały tylko jedno.

— Tylko ja zdołam ją zniszczyć — wyszeptał prawie bezgłośnie, czując w sercu ciężar odpowiedzialności.

Potem przypomniał sobie jej okrutne groźby, śmierć tygrysa, atak na Waszebę.

Wezbrał w nim gniew, który załśnił w jego oczach.

— Niech więc tak będzie — rzekł.

Ton jego głosu nabrał nagle ostrości, której Pafian nigdy dotychczas u niego nie słyszał. Był tak różny od wcześniejszego, wyrażającego poczucie rozbicia, tak złowroźbny, że zabrzmiał w jego uszach zupełnie obco. Rzadko słyszał, by Wiwan tak mówił. Za każdym razem, gdy tak się działo — przechodziły go ciarki. I nawet fakt, że zmęczony uzdrowiciel zasnął niemal po wypowiedzeniu tych słów, nie złagodziło tego wrażenia.

Wiwan już udowodnił, że potrafi być groźny. Zatrzymał ludzkie serca.

Pafian postanowił kiedyś, że będzie się pilnował, by nigdy nie przekroczyć pewnych granic.

Teraz jednak wiedział, że będzie musiał to zrobić.

ROZDZIAŁ 12 — SERCE

Lena Beckert dotknęła lekko ramienia Pafiana, uśmiechając się czule. Kochał w niej ten uśmiech. Subtelny, kobiecy i kojący. Patrząc na nią, jak pochyła się nad starszym synem, całuje go w czoło i poprawia kołdrę na nim i śpiącej dziewczynie, czuł promieniującą od niej miłość, jakby była boginią na ziemi. Zastanowił się po raz kolejny, czy w świecie, z którego przybyła matka i jej rodzice jest więcej takich kobiet. Babcia także miała w sobie tę subtelną godność. Jego brat wiele odziedziczył właśnie po kobietach z tej rodziny, co w jego przypadku stało się w tej sytuacji prawdziwym błogosławieństwem. Według wyobrażeń Pafiana uzdrowiciel właśnie taki powinien być. Nigdy nie pozwolił na to, by wysmiewano brata za wrażliwość i ciepło. Choć jemu i ojcu wydawało się czasem że matka, jej rodzice i pierwszy syn są jakby z innego świata, nie tylko dosłownie, nigdy nie czuli się od nich gorsi lub obcy. Dzięki ciepłu w tej rodzinie, dzięki Lenie i Wiwanowi, który spajał ją swym oddaniem i sercem, zawsze stanowili całość nierozdzielalną.

Lena wyszła cicho, zamykając drzwi, po czym zeszła na dół. Jej matka rozmawiała z Seme, a Erlon w przedsionku z kilkoma ludźmi. Słyszając kroki żony, obejrzał się na nią z ciepłem w oczach. Wciąż kochali się mocno, mimo upływu lat. Tak miało pozostać.

Dzięki niemu przeżyła tu najpiękniejsze chwile. Jej rodzice i syn znaleźli w tym miejscu dom, a ona miłość. Erlon zakochał się w ciężarnej dziewczynie bez tytułu i majątku, w osobie pochodzącej z innego świata. Nigdy nie żałował, choć rodzice pozostawili go, przenosząc się do majątku drugiego syna. Rzadko tu zaglądali. Lena wiedziała, że z jej rodziną ukochany czuł się lepiej niż z własną, tak sztywną i wyniosłą. Wiedziała też, że mąż wciąż wierzy w dobre serca swoich bliskich, choć ta wiara z wolna gasła w nim z upływem lat. Nawet szacunek, jaki zyskał Wiwan w roli uzdrowiciela nie przyniósł oczekiwanych przez Erlona zmian. Jego matka nazwała kiedyś Wiwana błaznem, co to zabawia króla i lud swymi sztuczkami, choć przyznawała, że dość użytecznym. Wierzyła, że moc uzdrowiciela kiedyś zniknie lub on sam zacznie wieść hulaszczę życie, korzystając ze swej sławy. Będzie nurzał się w pijaństwie i rozpuście, aż roztrwoni swój talent. Jakby Wiwan miał kiedykolwiek ku temu skłonności!

Wszystko dlatego, że na urodzinach Wiwana była świadkiem pewnego wydarzenia.

Ten ostatni pamiętny raz rodzina Erlona przybyła łaskawie na urodziny przybranego wnuka i zastała go tańczącego na stole z Pafianem w karczmie „Pod Jednorożcem” wśród miejscowej młodzieży. To było otwarte przyjęcie z okazji ukończenia przez Wiwana osiemnastu lat, prawie trzy lata temu. Zwykła rzecz, że

młodzi się bawią. Brat Erlona bawił się jeszcze lepiej swego czasu.

Nikt nie spodziewał się tej wizyty, bowiem nie otrzymali odpowiedzi na zaproszenie.

Oburzeni dziadkowie Pafiana zawrócili powóz, twierdząc, że to jakaś rozpusta, w którą wciągany jest także ich niewinny prawowity wnuk, a obcy uczą innych prymitywnego zachowania ze swojego świata. To bardzo zabolalo Wiwana i rodzinę jego matki. Choć pomysł tańca wyszedł od Pafiana, Wiwan nigdy więcej już tak się nie bawił. Nikt nie winił Erlona, który cierpiał chyba najbardziej z nich wszystkich, nie mogąc znieść takiego traktowania ze strony swojej rodziny. To ojciec Leny odwiódł go od pogoni za rodzicami w celu przekazania im, by nigdy więcej nie przejeżdżali do Jandaru, ponieważ on usuwa ich ze swego serca i życia.

— Bądź od nich lepszy — Lena pamiętała dobrze te słowa. — Przywiodło cię do nas serce, którego oni w swoich piersiach nie mają. Nie pozwól, żeby zaślepił cię gniew. Życie jest zmienne i kto wie, czy kiedyś los nie każe im zapłacić za te krzywdy.

— A jeśli nic się nie stanie?

— Jeśli się ich wyprzesz, skrzywdzisz samego siebie — odparł stary weteran — bo masz coś, czego oni nigdy mieć nie będą. Coś, za co my cię kochamy.

Choć od tego dnia kontakty Erlona z prawdziwą rodziną ograniczyły się do krótkich wieści i zdawkowych życzeń urodzinowych, był wdzięczny losowi za to, że posłuchał życzliwej rady. Ból łatwiej było znieść, bo miał w sobie nikłą iskrę nadziei, której nie potrafił stłumić.

Lena spojrzała na męża z miłością, a towarzyszący Erlonowi mężczyźni znów w duchu pozazdrościli im siły uczuć, które w ich codziennym życiu przygasiała rutyna. U większości z nich nie upłynęło nawet dziesięć lat od dnia zawarcia małżeństwa, a już straciło ono swój blask, gdy tymczasem po ponad dwudziestu latach hrabina i jej mąż patrzyli na siebie z oddaniem.

Przeprosił ich, by do niej podejść.

— Wciąż cierpi? — zapytał, a ciekawi odpowiedzi górale nasłuchiwali w milczeniu.

— Najgorsze minęło — odparła na tyle głośno, by usłyszeli ją wszyscy, także jej ojciec stojący przy oknie. — Śpi.

— A dziewczyna?

Lena uśmiechnęła się, gdy przypomniała sobie splecione dłonie na piersi jej syna. Jednak wobec innych odparła tylko:

— Także śpi. Już ją wyleczył.

— Pafian?

Tym razem w jej oczach zamigotały wesołe, porozumiewawcze iskierki. Nie mógł im się oprzeć, usta lekko mu drgnęły.

— Czuwa nad nimi... — bardziej stwierdził, niż zapytał.

Przytaknęła głową.

— Dinn patroluje teren wokół domu wraz z innymi — rzekł, podczas gdy czekający na niego zajęli się cichą rozmową. Zerknął ponad ramieniem żony.

— Chyba wiem, co wciąż martwi twojego ojca — szepnął. — Wiwan nie był jego jedyną troską.

Lena wyczytała resztę z jego spojrzenia. Obejrzała się, by napotkać spojrzenie matki, która domyślając się treści rozmowy, skinęła nieznacznie głową.

— Boże — rzekła cicho. — Zapomniałam o nim! Zapomniałam o tych ludziach.

— Nie na długo — zapewnił ją. — Przez to wszystko czuję, jakby minęły całe wieki, a tymczasem mamy za sobą zaledwie jeden dzień.

Spojrzała na jego twarz, wciąż młodą, jakby wczoraj skończył trzydzieści lat, choć wiosną miną już czterdzieści dwa. Wiwan spowolnił proces starzenia u swoich bliskich. Ona sama wyglądała na równą wiekiem mężowi, a jej rodzice, choć byli już po sześćdziesiątce, wciąż wyglądali tak, jak Wiwan ich zapamiętał, gdy miał około pięciu lat. On sam i Pafian nie ulegali jeszcze tak jego mocy. Potęga uzdrowiciela kryła się w ten sposób, chroniąc jego bliskich, by mogli być z nim jak najdłużej, ciesząc się dobrym zdrowiem. Mieszkańcy Barnicy, choć w mniejszym stopniu, także czuli jego wpływ.

— Mamo — zagaił kiedyś jej syn, gdy był mały. — Czy to prawda, że kiedyś umrzecie?

— Tak, synku — odparła z powagą.

— Babcia i dziadek też?

— Niestety tak.

— Nawet Pafian? — spytał poważnie malec — i ciocia Seme?

— Tak — odparła. — Ponieważ wszystko, co żyje musi kiedyś odejść. Tak właśnie stworzono nasz świat.

— Każdy świat? — zapytał. — Nawet ten, z którego przyszłaś?

— Każdy, w którym istnieje życie. Inaczej przestałby się zmieniać.

Spojrzał na nią z dziecięcą powagą.

— Ale ja chcę, żebyście zostali ze mną jak najdłużej — odparł przekornie.

Poczuła łzy w oczach. Erlon czule ją objął.

— Mógł dziś zginąć — wyszeptała mu przez łzy, a jej serce zadrżało pełne matczynek lęków.

— Nie — odparł jej cicho. — To nie był jeszcze ten dzień. Nie dziś.

Wtuliła twarz w jego ramię, chłonąc kojący zapach.

— Musimy stanąć z nią do walki! — oświadczyła. — Nie pozwólmy jej krzywdzić naszych dzieci! Ani przyjaciół! Walczmy z nią!

— Oto prawdziwa góralka! — zawołał na to jeden z mężczyzn.

Erlon spojrzał na nią z dumą i niepokojem, wywołanym troską o jej życie.

— Taki jest nasz plan — odparł z powagą.

— Wiecie już coś o... tych... — odezwał się nagle jej ojciec — ...o porwanych? Jakies nowe wieści?

Mężczyźni pokręcili przecząco głowami.

— Nie martw się, Wiktorze — rzekł do niego Erlon, od dawna ustalonym zwyczajem używając imienia. — Sel zadba o to, by porywacze pożałowali dnia, w którym zrealizowali swój szalony pomysł porwania naszych.

Celowo nie wspomniał o Rossie. Dziadek Wiwana poruszył się, kryjąc zdenerwowanie.

— Mam nadzieję, że czegoś się nauczył na tych swoich treningach — mruknął tak, by wszyscy słyszeli.

Erlon uśmiechnął się lekko, choć troska uwidoczniła się już na jego twarzy.

* * *

„Cieszcie się spokojem dnia — myślała zawistnie Mayene. — Noc nie będzie wam sprzyjać”.

Nagle, niczym podmuch, poruszył nią niepokój. Coś się działo.

Wyjrzała ze swego ukrycia, wężąc niczym zwierzę. Jej nieludzkie oczy śledziły teren.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Wodospady spadające ze skał fiordów mieniły się w łagodniejącym blasku. Podobne do fal, po których płynął jeden, jedyny statek. Syknęła gniewnie. Po chwili jednak jej zimne oblicze wykrzywił uśmiech.

Nie było go na tym statku.

Smukła i szybka Hydra zmierzała do portu, śledzona jej wzrokiem.

* * *

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, zaalarmowani przez swoich czujnych strażników mieszkańcy Barnicy tłumnie czekali, aż Hydra przycumuje. Jeszcze na pokładzie wyzwoleńcy i ich wybawiciele witali się głośnymi okrzykami z krewnymi i znajomymi. Radość była wielka. Kapitan Noren, tak entuzjastycznie witany, cieszył się wraz ze swą załogą. Udało się przywieźć wszystkich porwanych, choć kilku odniosło rany w czasie walki, ale nikt nie zginął.

Gdy pierwsza fala radości minęła, mieszkańcy zaczęli się rozglądać się, zgodnie z przewidywaniami przybyłych, za przyjaciółmi uzdrowiciela. Wśród swoich nie widzieli bowiem ani dobrodusznego osiłka, ani tajemniczego Oliwiera, który ponoć przed żołnierzami królowej udawał piękną Selenę, czemu wielu nie dawało wiary, twierdząc że taka piękność jak delikatna Selena nie mogłaby być

mężczyzną. Selena wyjechała do stolicy — tak przecież mówiono. Oliwier już tu bywał, znano go tu. Z pewnością jest do kuzynki Seleny podobny, jak i jego siostra, bo mają taką samą urodę. Nawet Seme powiedziała przecież sąsiadce, że takie pomyłki zdarzały się częste w dzieciństwie Oliwiera, Julien i Seleny. Dzieci często wprowadzały w błąd dorosłych w domu rodzinnym Rserwer swymi przebierankami. Ot, taka zabawa. Ludzie do tej pory ich mylą.

Nawet jeśli mieszkańcy domyślali się prawdy, zgodnie uznano, że to nie ich rzecz, bo każdy tu lubił Seme i przyjaciół uzdrowiciela, a tę historię traktowano jako prawdziwą, aż taką się z czasem stała w ludzkich głowach.

Najbardziej jednak wypatrywano Rossa i jego przyjaciela, po trosze dlatego, że byli znaną parą mężczyzn w miasteczku, ale przede wszystkim dlatego, że budzili sympatię, zmieniając utarte stereotypy swoim zachowaniem. Do tego magiczny klejnot u Rossa czynił go lepszym, ponieważ wcześniej należał do uzdrowiciela.

Gdy zaczęto o nich pytać, karczmarka Mikela porozumiała się wzrokiem z kapitanem i kilkoma ludźmi, a potem zwróciła się do nich:

— Chodźcie! Trza o wszystkim powiedzieć uzdrowicielowi!

Wtedy szybko opowiedziano im o porannych wydarzeniach. Wstrząśnięci przybysze na wieść o napaści na uzdrowiciela przestraszyli się nie na żarty. Czym prędzej udano się tłumnie do domu Kirsta i Smeraldy.

To z pewnością nie był koniec dramatycznych wydarzeń.

* * *

— Musimy cię stąd zabrać! — zdecydowała Julien. — Jeśli Mayene dowie się, że wciąż żyjesz, znów się tu zjawi.

Obie kobiety przyjrzały się mu z troską. Tenan wyglądał już lepiej, a jego oczy nie straciły na naturalności, ponieważ ból, jak twierdził, był teraz do zniesienia. Ale jego wygląd wciąż świadczył o przebytych przejściach. Wano stwierdził, że teraz Tenan musiałby jeszcze jakiś czas dobrze się odżywiać i odpoczywać, by powrócić do dawnej formy. Wciąż wyglądał jak obciążony skórą szkielet i zmiana na lepsze wymagała zdecydowanie czegoś więcej niż tylko krwi uzdrowiciela. Choć sama krew zdecydowanie przyspieszała powrót do sił i dawnej postury.

— Zabiorę go do siebie — zdecydował Wano. — Przynajmniej dopilnuję, by jadł.

— Masz rodzinę? — zapytał Tenan z powagą.

— Żonę mam. Dzieci już dorosłe i dawno na swoim — odparł Wano, domyślając się, do czego zmierza wyleczony. — Ręczę ci, że lepiej u mnie niż tutaj.

— Zabije was, gdy mnie zna...
— Ani słowa, Tenan! — wszedł mu w słowo karczmarz. — Pod latarnią najciemniej ponoć. Nie słyszałeś o tym?
— Nawet mnie nie znasz!
— Kto mi broni zaopiekować się nieznajomym?!
— Narażasz nie tylko swoje życie.
— Z tobą w domu, czy bez — i tak narażam.
— Ze mną jesteś trupem!
— Ty bez opieki z pewnością nim będziesz! Mayene nie będzie polować na ciebie! Zaatakowała uzdrowiciela! — Wano zbliżył się do niego. — O niego jej chodzi! Dlaczego, Tenanie? Czego od niego chce?
— Wyglądam na wróżkę?
— A może jej chodzi o to, co wzięła od ciebie?
— Chcesz ją o to zapytać? Dlatego mnie zabierasz?
— Myśl, Tenanie! — karczmarz postukał palcem w skroń, podczas gdy kobiety z zainteresowaniem przysłuchiwały się tej wymianie zdań. — Myśl! Słońce już zachodzi!

Lęk sprawił, że Tenan odruchowo spojrział w stronę okna.

Nagle przeczucie kazało mu na głos powiedzieć:

— Chce go zastraszyć.

Milczenie po jego słowach stało się aż nadto wymowne.

Trafił w sedno. Wiedzieli o tym.

— Jego moc... — zastanowił się karczmarz przez chwilę, a potem zniechęta klasnęła w dłonie. — No, pora na ciebie! Zaraz dostaniesz jakiś płaszcz z kapturem, a wy, dziewczyny, pomożecie mi. Dasz radę iść z moją pomocą?

— Dam radę. Tylko nie wiem, czy chcę...

— Nie gładź jak stary dziad! — zbeształ go po raz kolejny karczmarz. — Zabieramy cię stąd i już! Nie masz właściwie nic do powiedzenia.

Nagle z zewnątrz usłyszeli wesołe okrzyki:

— Hydra przyplłynęła z naszymi!

Sai spojrzała na nich. Tenan ze zrozumieniem skinął głową.

— Julien? — zapytała Sai, sercem gotowa już do wyjścia.

Julien zastygła przez chwilę, w milczeniu podejmując decyzję. Wreszcie podeszła do przyjaciółki i objęła ją:

— Uściskaj Oliwiera ode mnie — powiedziała cicho. — Powiedz, że wkrótce się pojawię. Powiedz Rossowi. Im wszystkim. I bądź ostrożna.

Sai objęła ją mocno, zerkając na Tenana zaskoczonego tym gestem.

— Julien... — zaczął cicho, lecz dziewczyna przyłożyła palec do ust, nakazując mu tym samym milczenie.

Sai ucałowała przyjaciółkę i wyszła, skinąwszy mężczyznom.

Tenan spojrział na Julien, która zacisnęła dłonie w pięści. Poczuł, jak jego serce zaczyna przypominać wielki ciężar.

— Myślisz, że wiedźma chce wyssać z naszego Wiwana życie? — zapytał karczmarz, by przerwać kłopotliwe milczenie.

Tenan wodził wzrokiem za Julien, bowiem ta wróciła do jego łóżka. Wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń. Spojrzała na niego z mieszaniną ciepła i powagi.

— Chodź — szepnęła nagle.

Usiłował wyczytać jej oczu coś więcej niż lęk przed przyszłością:

— Gdyby chodziło tylko o to, wzięłaby jego zamiast mnie.

Karczmarz westchnął zafrasowany.

— Więc o co chodzi tej babie? — mruknął.

— Pewnie wkrótce się tego dowiemy — odparła Julien, patrząc Tenanowi prosto w oczy.

Nie potrafił rozszyfrować tajemnicy ukrytej za tym spojrzeniem...

* * *

— Nie ma go — szepnęła Sai.

Tłum mieszkańców zaprowadził ją do domu Seme. Wuj Julien zauważył jej przyjście.

— Julien? — zapytał.

Wyjaśniła mu, czemu nie ma tu jej przyjaciółki, podczas gdy Seme zaprosiła przedstawicieli wyzwolenców, gdyż wszyscy nie pomieściliby się w środku. Reszta wraz z tłumem mieszkańców zdecydowała, że pójdzie do gospody „Pod Jednorożcem”, blisko domu Seme, i tam opowiedzą swoje dzieje. Podwórze szybko opustoszało.

Seme najlepiej jak tylko potrafiła ugościła kapitana Norena, karczmarzę i karczmarza z synami, a także Maię z narzeczonym, podczas gdy rodzina Beckert skupiła się przy kominku.

Sai zauważyła, że Pafian uchylił drzwi od pokoju na górze i stanął oparty o drewnianą poręcz, biegnącą w kwadracie aż do schodów prowadzących bezpośrednio do pokoju dziennego, gdzie wszyscy się skupili. W ten sposób miał widok na wszystkich i nasłuchiwał tego, co działo się wewnątrz pokoju.

Seme oburzyła się na decyzję Julien.

— Na Matkę naszą! — zawołała. — Czy ta dziewczyna rozum postradała? Drogi Erlonie, poproś kogoś, niechże ją sprowadzą do domu razem z moim obrońcą. Nie będziemy tak ganiać od domu do domu! Miejsca tu nie zabraknie. Opieki mu też nie pożałuję. U mnie nawet lepiej będzie miał niż w gospodzie.

Erlon poprosił, by przewieziono tu chorego z gospody wraz z siostrzenicą Semeraldy.

— Tylko mu przekażcie — zawołała Seme do dwóch wybranych — że odmową obrazi samego hrabiego!

— Cóż — rzekł jej na to Erlon, od dawna zaprzyjaźniony z jej rodziną na zupełnie innych zasadach niż hrabiowie w całym królestwie. — Dzięki za próbę uczynienia ze mnie tyrana.

Seme szturchnęła go lekko żartobliwie w bok, co zapewne nie uszłoby jej na sucho wobec jakiegokolwiek innego mężczyzny wyższego pozycją.

— Mówcie — poprosił zebranych, by przekonać się, które pierwsze będzie chciało zabrać głos. — Co się stało z naszymi przyjaciółmi?

Niemal namacalnie wyczuwał niepokój rodziców Leny, stojącej obok z dłonią na jego ramieniu.

* * *

Tenan napotkał spojrzenie zaniepokojonego karczmarza i jego żony. Julien zachowała spokój.

— A jednak nie zasnę spokojnie tej nocy — rzekł do nich z nutą wesołości, ukrywając swoje obawy — Tak widocznie miało być...

* * *

— Spałam przez cały ten czas? — spytała cicho Waszeba, cofając rękę z piersi Wiwana, dziwnie zawstydzona.

Wiwan obejrzał się na nią. Chciał jej odpowiedzieć, lecz bliskość jej oczu i blask jej niezwykłej urody całkiem go onieśmielił. Uśmiechnęła się, widząc jego spojrzenie.

Jednocześnie czuła, że łatwo go spłoszyć, jakby bał się, że może stać się coś więcej między nimi. Czego tak się bał? Zapewne zranienia.

Wiwan naprawdę był inny. We wszystko wkładał serce. Serce, które ludzie tak wiele razy zranili. Jego opór jednak został wreszcie przełamany. Nie potrafił już pozostać wobec niej obojętny.

Z ciszy wyrwał ich głos karczmarki, dobiegający przez uchylone drzwi:

— Ross dziś nie wróci, panie hrabio — powiedziała przejęta. — Przez to wszystko, co się stało, przez tę jego francowatą matkę, chłopak całkiem się załamał...

Wiwanowi ścisnęło się serce z żalu. Przeczynał to.

Przeczynał, że przyjaciel przejdzie tam prawdziwy koszmar.

Głos karczmarki nabrzmiały był od emocji i płaczu. Maia dołączyła. Obie zaczęły opowiadać o podstępie Oliwiera, strasznym stanie Rossa po zażyciu podanej mu przez wiedźmę trucizny i okrutnej matce chłopaka, kochance kapitana

statku, o jej straszliwych słowach, gdy biła własnego syna na ich oczach.

— Ten obraz będzie mnie prześladował do śmierci! — wzdrygnęła się karczmarka ze łzami w głosie. — Dziecko własne obwiniła o swoją krzywdę!

Dalej mówiły o buncie i o tym, jak Ross mieszał załodze w głowie; o walce z matką, pojedynku Sela z Ramseyem... Waszeba spojrzała na Wiwana, który wstał, by ukryć przed nią łzy. W milczeniu oparł się o ścianę przy drzwiach, plecami do niej. Zauważyła, że zachwiał się lekko, jakby zakręciło mu się w głowie. Wstała, by go ewentualnie podtrzymać i poczuła się podobnie. Ujął jej rękę.

Świat się zatrzymał.

Powoli wyszli z pokoju i dołączyli do zasłuchanego Pafiana.

— Oliwier... — kończyła właśnie opowieść karczmarka. — zabił ją pewnie dlatego, żeby Ross przez resztę życia nie myślał o tym, jak ją żywcem pożerają rekiny. Statek synowi oddała, bo jej kochanek kazał... Jego słowa ważniejsze były dla niej niż syn. Do śmierci dobrego słowa od niej nie usłyszał.

Zamilkła. Wiwan zauważył Sai obok swojej matki. Lena wtuliła się w ramię swojego męża, a potem spojrzała na ojca. Podążył za jej spojrzeniem. Dziadek ledwie nad sobą panował. Widział żal w jego oczach, czuł jego rozpacz w swoim sercu.

— Co było dalej? — zapytał jego ojczym cicho, czując, że tylko on jeden ma siłę to zrobić.

— Sel zaprowadził Rossa do kajuty kapitana — kontynuowała opowieść Maia. — A potem, jakoś po godzinie, gdy jeszcze ustalaliśmy, co dalej zrobić z jeńcami i statkiem...

* * *

— Sel — powiedział dziwnym tonem Ross. — Ja chyba jestem chory...

Sel ocknął się z oparów snu, w które już zapadał po zażyciu kropli krwi Wiwana przeciw ranom zadany mu w czasie walki. Oprzytomniał natychmiast, tknięty niepokojem, po czym dotknął czoła kochanka.

Gorączka trawiła ciało Rossa niczym ogień, a ciało zalewał pot.

— Czuję się dziwnie — szepnął cicho chory. — Nie czułem się tak od dawna...

Sel poczuł dreszcze na całym ciele.

— Zaczekaj — powiedział.

Zerwał się z łoża i w pośpiechu zaczął przeglądać wszystkie komody, szafki i szafy w poszukiwaniu leków. Niczego nie znalazł.

Chwycił więc dzbanek z wodą i kilka haftowanych chusteczek, nalał wody do miski, zamoczył chustkę, otarł nią twarz Rossa i położył na jego rozgrzanym

czole.

— Trzymaj się — rzekł mu cicho. — Zaraz sprowadzę pomoc.

— Poznaję ten zapach — zauważył Ross ponuro. — To j e j zapach.

Sel zastygł z chustką w rękę.

— Wszystko tu nią śmierdzi — stwierdził po chwili. — Nie mogę nic na to poradzić. Wybacz. — Sięgnął po fiolkę z krwią i podał mu kilka kropel w narastającym strachu...

* * *

— Ale krew uzdrowiciela uzdrowiciela nie pomogła — ciągnęła opowieść Maia — Choroba nie wzięła się z ciała...

„Mój dotyk by mu pomógł” — pomyślał Wiwan ze smutkiem.

* * *

Poprawa nie nastąpiła. Gorączka jakby przybrała na sile.

— Sel? — zapytał nagle Ross, spoglądając w okna kajuty od strony pokładu — Dlaczego moja matka kręci się przy oknach? Nie wpuszczaj jej!

Sela ogarnęła groza, jakby coś ścisnęło jego serce.

— Ale... tam nikogo nie ma — odparł drżącym głosem.

— Nie pozwól jej wejść! — poprosił Ross, chwytając jego rękę. — Ona chce wejść. Nie pozwól jej!

Sel obejrzał się na okna z wahaniem, jednak nic nie zobaczył. Ręce Rossa zdrząły. Wysunął swoją dłoń z jego uścisku.

— Ona chce, żebyśmy umarli! — szeptał chory. — Chce, bym wreszcie zszedł z tego świata! Zagląda tu przez okna...

— Ross, przestań! — poprosił, blednąc.

— To bydlę weszło do jej domu i zamordowało jej bliskich — mówił dalej Ross, jakby go nie słysząc. — Ją zostawił sobie dla zabawy. Zgwałcił ją obok zamordowanej matki... Mówiła mi! Mówiła nieraz. Czemu ty żyjesz? Czemu nie zostawisz mnie w spokoju?!

Oddech Rossa był przyśpieszony, nierówny. Sel poczuł ból w swoim wyleczonym sercu, znajomy ból.

— Zaraz wrócę! — powiedział, dotykając jego zalęknionej, zmienionej twarzy. Wszedł z kajuty, rozpaczliwie szukając jedynej osoby znającej się nieco na leczeniu.

Straszne słowa padające z ust kochanka wciąż dźwięczały mu w głowie.

— Oliwier! — zawołał.

Rozpacz w jego głosie sprawiła, że wszyscy umilkli.

— Sel — usłyszał przestraszony głos przyjaciela. — Co się stało?
Poczuł, jak łyżę dławia go w gardle.
— Ross... — wydusił, a Oliwierowi nie trzeba było mówić nic więcej.

* * *

— Oliwier poprosił mnie o pomoc — odezwał się kapitan Noren. — Ale ja miałem tylko kilka eliksirów na ból głowy i butelkę przedniej brandy. Podałem mu wszystko.

— Najpierw jednak postanowił zbić gorączkę i kazał nalać dużo letniej wody do wanny, co to stała tam pewnie dla wygody Cadellii. Potem włożyli tam chłopaka — dopowiedziała karczmarka. — Pomogło i przestał mieć zwidy. Zaczął nas przeproszać za kłopot i kazał do domu płynąć, żebyśmy do swoich wrócili. Potem znów gorączki dostał. Co prawda już nie takiej silnej, ale jednak męczył się. Nie chciał, żeby... — zerknęła na dziadka Wiwana i zaraz szybko się poprawiła — żebyście go widzieli w takim stanie. Raz na brzeg chciał uciekać, bośmy blisko byli, a raz w stan taki popadał, jakby drętwa jakaś. Wreszcie rano się uspokoił. Wtedy Alesei poprosił kapitana Norena, coby nas do domu zabrał. No i jesteśmy.

— Kazali wszystkich przeprosić — dodała. — Wrócą tak szybko, jak się da. Trza chłopakowi dać odpocząć. Wiedźma, jak zobaczy, że słaby, to jeszcze go ukatrupi. A oni nie chcą go zostawić. My też nie chcieliśmy, ale nam przetłumaczyli, że ktoś musi wam tu wszystko opowiedzieć i pomóc.

* * *

Statek odplynął i wokół zapanowała cisza. Tylko kilku członków załogi kapitana Norena niezbędnych do obsługi Cadellii i czterech przyjaciół pozostało na pokładzie.

— Dałem plamę — szepnął cicho Ross do leżącego obok Sela, patrząc na światło zachodzącego słońca odbijającego się w szybach. — Tak się rozkleić...

Sel z troską i ulgą jednocześnie pocałował go w czoło, teraz już tylko ciepłe.

— Nieprawda — odparł cicho, jakby bał się, że naruszy kruchy spokój kochanka.

Leżeli chwilę w tej ciszy.

— Przyszedł dzień, kiedy to ja potrzebowałem ciebie — odezwał się Ross, a jego orzechowe oczy zaśniły.

Białe pasmo włosów lśniło w promieniu słońca. Psychicznie wymęczony popatrzył na Sela, któremu serce tłukło się od nadmiaru skrywanych uczuć. Ich czoła się zetknęły, gdy przymknęli oczy.

A potem Ross otworzył swoje szerzej i przytomniej, nagle tknięty myślą, która zawsze, bez względu na wszystko, popychała go do przodu. Miał prawo do lepszego życia. Miał prawo do szczęścia, niezależnie od tego, co wmawiała mu matka. Im bardziej chciała go zniszczyć, tym większą czuł w sobie siłę, by się nie poddawać. Nie zasłużył na zły los! Nikomu nie zrobił nic złego.

Ma prawo walczyć o swoje szczęście.

Poczuł nagły przyływ sił, a z każdym oddechem ponure myśli blakły. Miał Sela... Julien... Miał przyjaciół. Chyba więc nie był takim znowu złym człowiekiem? Gdyby było inaczej, czy wtedy trwaliby przy nim?

Klejnot rozjaśniał lekko, gdy wiara w samego siebie zaczęła powracać.

Przysunął się bliżej Sela, czując uzdrowicielską krew Wiwana burzącą jego własną niczym wino. Pocałował go, dając upust swej tęsknocie, wdzięczności i miłości...

* * *

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa, Wiwan zobaczył swojego dziadka wychodzącego w milczeniu z salonu, pocierającego ręce, zabierającego ze sobą swoją starą zimową kurtkę. Jakby nie widział gestu babki, która chciała go pocieszyć, jakby nie widział spojrzeń innych.

Wychodząc, obejrzał się jednak, wyczuwając obecność swego niezwyklego wnuka.

W jego oczach Wiwan — i tylko on — zobaczył cały ból i rozpacz, także z powodu tego, co i jego spotkało. Dostrzegł niemą prośbę, by zostawiono go samego.

Nie musieli mówić. Dziadek wiedział, że Wiwan go zrozumie. Wiwan wiedział wszystko o jego sercu. Żadne pozy nie mogły go zwieść.

Skinął głową w cichym porozumieniu.

— Dokąd poszedł? — zapytał cicho Pafian. — Musimy uważać, Wiwanie.

— Zaraz wróci — odparł brat w zadumie. — Znajdzie tylko odpowiedni kawałek drewna w drewnutni ciotki. Będzie rzeźbił.

— Rzeźbił? — zapytał Pafian, a ich rodzina wyczytała to słowo z jego ust i nieco się uspokoiła.

W tonie głosu brata Wiwan wychwycił nutę zazdrości.

Choć kiedyś Pafian dostał od dziadka wyrzeźbionego własnoręcznie konia, po cichu zazdrościł teraz temu, kto dostanie od dziadka inną rzeźbę. Poczuł się trochę jak dziecko, które nigdy nie ma dość niespodzianek.

Wiwan mimowolnie się uśmiechnął.

* * *

Julien z pomocą kamieniarza Berta, który zgodził się po nich pojechać z przyjacielem, pomogła zejść z wozu Tenanowi. Ten bowiem chciał wejść do domu Seme na własnych nogach. Wano obiecał, że zaopiekuje się koniem.

Przed drzwiami Tenan zawahał się, walcząc chwilę z samym sobą przed podjęciem ostatecznej decyzji. Rozumiała, co czuje. Był bezbronny wobec tego, co go czekało. Nie mógł skryć się za maską obojętności, a czar klątwy już niemal nie istniał. Dobrze wiedziała też, że nie do końca jej ufał, nie wierząc, że zdoła stawić czoło bliskim, znając jego prawdziwe „ja” tak krótko.

Choć nie chciała tego przyznać, nie ufała samej sobie. Pocałowała go w policzek, a Tenan udał, że ten gest podniósł go na duchu.

Przed przeszłością nie mógł uciec.

Weszli do środka, słysząc akurat koniec smutnej historii. Zaczekali w przedsionku, dopóki dziadek uzdrowiciela nie minął ich w zdenerwowaniu. Wtedy pozwolili, by ich zauważono.

— Julien — Seme szybko wprowadziła do środka całą trójkę i pośpiesznie zrobiono miejsce wychudzonemu mężczyźnie. — Poznajcie proszę... — powiedziała głośno do wszystkich Seme z dumą w głosie — oto jest Tenan. Mój obrońca. Dziś rano uratował mi życie, narażając własne.

Julien i Sai jęknęły w duchu. Obie też ucieszyły się, że szczęśliwie nie doszło do pełnej konfrontacji, choć Julien poczuła rozczarowanie, nie widząc żadnego z jej bliskich.

Zerknęła na schody, skąd dobiegły ją ciche kroki. Umilkły nagle.

Wszyscy spojrzeli na uzdrowiciela, który zamarł u podnóża schodów, wpatrując się w twarz Tenana.

Julien opowiadała mu o dziejach swoich i brata, o Bandzie Morena. Oliwier również.

Opowiedziała mu także, jak jego klejnot trafił w ręce Rossa i kim był Tenan.

W jego oczach zobaczyli najpierw niedowierzanie, a potem szok, gdy zrozumiał, że to wszystko prawda.

Człowiek, którego twarz śniła mu się po nocach od czasu wydarzeń na targowisku, ten, którego oczy zwiastowały mu wtedy śmierć, siedział teraz przed nim, świadomy tego, że jego ofiara go rozpoznaje.

Wszystko znów stanęło Wiwanowi przed oczami. Własny strach z tamtych czasów znów zaczął go dławić. Zbladł przerażony na widok stojącego naprzeciwko mężczyzny. Nie bał się Mayene. Bał się tego człowieka i wspomnień, jakie w nim wzbudzał. Cierpienia, które kojarzył z jego twarzą.

Nikt nie odezwał się słowem.

Bardzo wiele kosztowało Wiwana powstrzymanie się przed nagłą ucieczką.

Tenan siedział, niezdolny się choćby poruszyć, porażony strachem uzdrowiciela. Słowa, które chciał wypowiedzieć nagle uwięzły mu w gardle. Wydały się błahe i płytkie.

Wiwana wyczuł jego nastrój. Poczł z zdumieniem, że ten człowiek jest równie przerażony spotkaniem jak on sam, a jego serce bije tak mocno i szybko, jakby miało wyskoczyć mu z piersi, zupełnie jak jego własne. Nie dlatego, że bał się gniewu uzdrowiciela.

Na to był gotów.

To, co wyczuł w sercu Tenana, niezmiernie go zdziwiło. Było mu przykro, że stał się przyczyną cierpienia uzdrowiciela, i było to uczucie jak najbardziej szczere.

Wreszcie Tenan zwilżył językiem zaschnięte usta i zdobył się na jedno, tak małe i jednocześnie tak wiele znaczące słowo:

— Przepraszam...

Widząc Wiwana gotowego do ucieczki, bał się powiedzieć cokolwiek więcej.

Spojrzenie uzdrowiciela zmieniło się nagle. Jakby chciał powiedzieć: „Zdajesz sobie sprawę, co przez ciebie przeszedłem?”. Szybko jednak złagodniało. Napięte ramiona opadły.

Odczuli ulgę, widząc w nim tę zmianę.

Pafian przestał zaciskać dłonie na poręczy.

Tenan czuł na sobie wzrok Seme i pozostałych, zdumiony całym zajściem.

Zaskoczony Wiwan zauważył pełen ulgi wzrok Julien i zastanowił się, kiedy zaczęło zależeć jej na tym człowieku. Zrozumiała jego na wpół oskarżycielskie spojrzenie, lecz odważnie nie spuściła wzroku.

Powoli odwrócił się i wspiął po schodach, nie oglądając się za siebie, aż zniknął w swoim pokoju.

Dopiero wtedy Tenan pozwolił sobie na ciche westchnienie i spojrzał śmiało na zebranych.

— Kto zacznie pytać pierwszy? — zapytał, nadając tonowi głosu szczyptę ironii.

Na górze Wiwan ukrył twarz w dłoniach.

Waszeba wślizgnęła się za nim i objęła go delikatnie.

Nie bronił się przed tym.

ROZDZIAŁ 13 — NAPAŚĆ

— Sel! — Ross delikatnie potrząsnął ramieniem śpiącego kochanka. — Jak daleko od domu jesteśmy?

— Jakieś dwie godziny — wymamrotał Sel sennie. — Ileś tam mil. Nie pamiętam...

Ross wstał, słysząc w swojej głowie nawoływanie Klejnotu.

MUSIMY SIĘ ŚPIESZYĆ!

— Dokąd idziesz? — Sel przetarł zaspane oczy, z trudem wrywając się ze znużenia. — Ross, co się dzieje?

Spojrzał na niego. Blizny na plecach Rossa uwidaczniały się w świetle świec. Ubrał się pośpiesznie. Sel obserwował go z narastającym niepokojem.

— Powiedz coś — szepnął.

Ross wreszcie się odwrócił zaniepokojony. Przysiadł na chwilę, by złożyć na jego ustach pocałunek. Nie miał gorączki. Sel w duchu odetchnął z ulgą.

— Musimy się śpieszyć — powiedział spokojnie młody czarodziej Klejnotu Nadziei. — Wiwan mnie potrzebuje.

— Wiesz to? — odparł mu. — Skąd?

Ross ujął jego rękę i bez słowa położył na Klejnocie, który żarzył się słabo. Blask przybrał na sile.

Sel spojrzał na ukochanego nowym spojrzeniem, zadumany nad zmianami, które w nim zaszły. To był wciąż ten sam chłopak; ten, który podtrzymywał go na duchu w Domu Rozkoszy, jego tajemna tęsknota. Teraz jednak życie skierowało jego los na inne ścieżki i Sel nie był już pewien, czy zawsze za nim nadąży. Czy sprosta tym zmianom, nie okaże się słaby i nijaki?

Kochał go całym sercem.

WIWAN.

Sel zamarł w zaskoczeniu. Wewnątrz umysłu usłyszał nagle łagodny ton — ni to głos, ni muzykę — i ku własnemu zdumieniu od razu zrozumiał, że tak przemawia Klejnot.

— Wiwan — powtórzył z przejęciem.

Oczy Rossa rozszerzyły się z zaskoczenia i radości.

— Usłyszałeś... — szepnął.

Będzie mógł wreszcie dzielić z kimś tę tajemnicę.

Poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Zerwał się natychmiast.

Słyszał coś. Jakby dalekie echo.

— Wracajmy — powtórzył z uporem. — Sel, wracajmy!

Półprzytomnie niemal wyszedł na pokład, gdzie znajdowało się teraz tylko dwoje ludzi. Reszta pogrążona była we śnie. Niemal nie słyszał ich powitania.

Nasłuchiwał.

Pośród głosów dalekich i bliskich wychwycił jeden.

...będę musiał umrzeć.

„Wiwan!”.

Odległość była zbyt duża, by mógł odebrać więcej lub przekazać przyjacielowi własne myśli.

Spojrzał na wartowników. Po raz pierwszy miał wykorzystać swój nowy tytuł i pozycję. Nigdy nikim nie dowodził. Czy może dawać rozkazy tym ludziom? Pewnie są tu po to, by pomóc zaprowadzić statek do portu, nic więcej.

Jego wątpliwości rozwiął jeden z marynarzy.

— Jakie rozkazy, kapitanie?

Nie było w jego głosie kpiny ani szyderstwa. Tylko zrozumienie. Wiedział, że stojący przed nim młody mężczyzna nie ma pojęcia o żegludze ani o byciu kapitanem. Mimo to wydawało się, że jest mu życzliwy. Jakby go zachęcał. Ross przywykł w pewnym sensie do tego, że spotyka się z ludzką nieżyczliwością, czy to z powodu swojej orientacji, czy sposobu życia. A ostatnio bolało niczym otwarta rana, głównie z powodu tego, że żyje. Tkwiąca w nim nieufność oplatała już serce broniące się przed kolejnymi ciosami.

— Chcę wracać do domu — odparł więc niepewnie, obawiając się, jak zostanie przyjęta ta prośba w czasie trwania nocy.

Marynarz, blondyn o dość młodej twarzy, sterczących włosach i koleczyku w uchu, ten sam, który pomagał w czasie walki karczmarce z gospody „Pod Gwiazdami” przy porcie, uśmiechnął się zachęcająco:

— Czy tak właśnie brzmi rozkaz? — zapytał.

— To nie jest rozkaz — rzekł spłoszony Ross, jednocześnie złościąc się na siebie w duchu.

Odkąd to zaczął bać się też innych ludzi?! Gdzie podziała się jego pewność siebie?

Przecież już nie musi się bać...

Marynarz nie okazał po sobie, że widzi, jak bardzo Ross jest rozbity pomimo tego, że wyglądał o niebo lepiej niż dobiegł temu.

— Kapitanie — rzekł do niego ze spokojem. — Statek jest pod twoją komendą. Naszym zadaniem jako załogi jest słuchać twoich rozkazów aż do portu i dalej, jeśli będzie taka potrzeba. Jeśli to był rozkaz, to wydaj go! Ty tu dowodzisz!

Słowa zostały wypowiedziane łagodnie, lecz stanowczo. Drugi marynarz skinął Rossowi głową na zachętę.

Z odległości kilku kroków już ubrany Sel w milczeniu obserwował przebieg wydarzeń.

„Mam zadanie do wykonania” — zdopingował się w duchu Ross. To przełamało w nim słabość, podobnie jak życzliwość obecnych.

— Jak ci na imię, marynarzu? — zapytał sympatycznego blondyna, w myślach dziękując kapitanowi Norenowi za tych ludzi.

— Silas, kapitanie Hope! — odparł zapytany z błyskiem w oku, akcentując słowo „kapitanie”, zadowolony ze zmiany w zachowaniu Rossa.

— A więc, panie Silas... — zaczął Ross — rozkazuję, by statek natychmiast skierował się do portu w Barnicy!

— Ajajaj, kapitanie Hope! — zawołał radośnie marynarz, na co Rossowi serce aż podskoczyło z zadowolenia.

— Mamy płynąć, jakby gonił nas diabeł! — dodał.

Marynarz zmarkotniał nieco, a Ross zamarł w duchu w obawie, że zrobił coś nie tak.

— I tu tkwi kłopot, panie kapitanie — rzekł Silas. — Wiatr jest zbyt słaby na taką prędkość!

Ross podążył za jego spojrzeniem. Rzeczywiście, przy takim wietrze nie można było rozwinąć należytej prędkości.

TO ŻADEN PROBLEM — rzekł Klejnot.

Znów doznał tego uczucia. Zaledwie o tym pomyślał, a Klejnot złączył się z jego sercem. Poczuł, że jest w stanie zmienić ten stan rzeczy. Przymknął oczy.

Wiatr przybrał na sile. Silas przyjrzał mu się z uznaniem.

— Czy taki wystarczy? — zapytał Ross, znów otwierając oczy.

— Tak, panie kapitanie! — zawołał marynarz i pobiegł, by zbudzić pozostałą część załogi.

Ross nasłuchiwał jego nawoływań spod pokładu. Poczuł obecność Sela blisko siebie i uśmiechnął się z ulgą.

— Kapitan Ross Hope! — powiedział dobitnie Sel. — Czarodziej Klejnotu Nadziei.

Ross spojrział na niego, onieśmielony rozmachem zmian następujących w jego życiu w tak krótkim czasie.

— Nareszcie — rzekł do niego Sel z dumą i ciepłem w oczach. — Zasłużyłeś na to.

* * *

— ...przez nią musiał to robić — szepnęła Julien, ujmując rękę Wiwana. — Teraz rozumiesz? Potrafisz spojrzeć na niego swoim wielkim, kochającym sercem i zobaczyć, ile musiał wycierpieć?

Wiwana zarknęła na drzwi, za którymi obecnie przebywał człowiek z jego koszmarów. Julien nalegała, by zamienił z nią kilka słów. Nie chciała stracić przyjaciela przez swoją decyzję. Chciała, by zrozumiał. Kiedy Tenan opowiedział zebrany swoją historię, ich odczucia co do niego znacznie się zmieniły, a

przecież wciąż niezaprzeczalną prawdą był fakt, że postawił się wiedźmie, ryzykując życie. Z bohatera zmienił się w złodzieja klejnotu i mordercę na usługach bandyty. Julien wyczytała już z wyrazu twarzy ciotki, że pożałowała już swej gościnności i była pewna, że Tenan także to zauważył. Nawet nie zdążyli go poznać, jego prawdziwego ja, ukrytego pod klątwą przez te lata. Jeśli Wiwan także go nie dostrzeże, to jej i Sai wyrozumiałość oraz nowa przyjaźń z karczmarzem nie wystarczą, by zmotywować Tenana do życia. Widziała to. Widziała cień w jego oczach, których prawdy już nie ukrywał. Ten sam cień ogarniał czasem duszę Oliwiera, gdy miewał chwile zwątpienia i niechęci. Tamten cień ona i rodzice potrafili przegnać swą miłością. Tu źródło bólu było inne.

Chciała też, by Wiwan nie tylko zrozumiał, ale również zmierzył się z własnym lękiem. Miała nadzieję, że pomoże mu to w pokonaniu własnych koszmarów.

Wiwan milczał.

W domu nikt nie spał, podobnie jak w miasteczku. Wszędzie zapalono lampy i świece, jak wtedy, gdy odbywały się ważne uroczystości. Na dole wciąż przewijali się ludzie. Za chwilę wszystko zamilknie w niemym oczekiwaniu.

Reeba, biała tygrysica położyła się obok nich. Pafian przywołał ją, nie chcąc, by brat choć przez chwilę pozostawał bez opieki, skoro on i Waszeba zdecydowali się dać im obojgu odrobinę prywatności. Czekali w swoich pokojach.

Stojąc przy oknie na korytarzu, z ciężkim sercem patrzyła na Wiwana, którego poranione ciało widziała po tym strasliwym okrucieństwie, jakiego doświadczył na targowisku stolicy. Pamiętała, jak trzymała go za rękę.

Wiedziała, że pamięć o tamtych wydarzeniach nie zniknie. Wiwan maskował swój ból, próbował ukrywać swój nabyty lęk przed tłumem, by nie ranić bliskich. Nie chciał, by o tym wspomniano. Nie chciał uchodzić za cierpiętника. Ale choć chciał iść naprzód, przeszłość trzymała go przy sobie.

A teraz Tenan pojawił się niczym upiorna zjawa, budząc w nim większy lęk niż nieobliczalna wiedźma.

— Ból... — rzekł wreszcie cicho. — To potężne narzędzie.

Mówił nie tylko o działaniu bransolety. Patrzyła na niego z cichą nadzieją.

Wciąż zadumany, spoglądał na drzwi pokoju Tenana, jakby widział tam coś, czego ona nie mogła zobaczyć.

— Nie obawiam się go — powiedział cicho. — Wiem, co czuje.

Czekała. Wiedziała o tym, że Wiwan potrafi zajrzeć w ludzkie serca i w duchu ucieszyła się na myśl, że musiało się to potwierdzić w uczuciach Tenana. Inaczej Wiwan nie przyjąłby jego obecności tak spokojnie.

— Ale... — dodał po chwili — to nie oznacza, że jestem w stanie się z nim zaprzyjaźnić.

— Nie proszę o to — odparła szeptem z drżeniem w sercu.

Spojrzał na nią bez gniewu, z ciepłem w oczach. Odetchnęła, otulona życzliwością emanującą z całej jego postaci. Z każdym dniem wydawało się, że jego moc rośnie, niepowstrzymana. Niepokonana. Dopóki nosił miłość w sercu, każdy mógł liczyć na jego pomoc.

Tłum zdesperowanych, okrutnych nieszczęśników nie potrafił w nim zabić tej miłości.

Przytulił ją do siebie z cichym westchnieniem.

— Wiesz, jakie to będzie trudne? — zapytał.

Pokiwała głową w milczeniu, ukojona jego ciepłem.

Przez chwilę trwali tak w ciszy, która z wolna pogłębiała się.

— Nie pozwól, by skrzywdziła cię tak jak Tenana — szepnęła mu. —

Obiecuj mi.

— Jak mogę to obiecać?

— Więc obiecuj mi chociaż, że będziesz uważał.

— Obiecuję.

— A jeśli... — spojrzała mu w oczy. — Jeśli będzie chciała dopiąć swego?

Jeśli przegrasz?

Spojrzał na nią z powagą.

— Wtedy będę musiał umrzeć — odparł.

— Nie!

— Nie pozwolę jej na to, Julien. Kryje się za tym większe zło, niż możemy się domyślać.

— Nie możesz...

— Nie mów nikomu — poprosił, całując ją w czoło na pożegnanie, po czym skinął na tygrysicę, a ta natychmiast poszła jego śladem.

* * *

Dinn zmrużył oczy.

W domu dwójki dopiero co zamordowanych staruszków wciąż czuć było jej obecność. Jeszcze chwilę temu tu była. Czemu nie przyszedł tu wcześniej? Sądził, że będzie trzymała się blisko Wiwana. Przeszukał więc całą okolicę, gdy tymczasem ona przyszła w miejsce, gdzie przesiadywał Sel, jakby chciała mieć koniecznie widok nie tylko na miasteczko i port, ale też na fiord. Czy to znaczy, że czegoś się obawiała?

Szybko stąpając w śniegu pomiędzy drzewami, lekki niczym piórko, podążył jej tropem.

Tej nocy nie było mrozu. Śnieg stawał się miękki. Zima ustępowała pod naporem wiosny. W innych rejonach pewnie kwitły pierwsze kwiaty.

Mayene była o krok przed nim. Maskowała się. Czuł to. Wtedy pod domem

wyczuł jej sztuczkę. Tym razem był lepiej przygotowany. Wyciągnął z sakiewki przy pasku garść złotego pyłu i dmuchnął nim przed siebie.

Pył nie opadł, lecz uniósł się w powietrzu, migocząc w zapadłych ciemnościach. Dinn dmuchnął raz jeszcze, a wtedy pył rozniósł się po okolicy szybko i bezszelestnie, wychwytyjąc ludzką sylwetkę...

Mayene zaatakowała. Jej potężny cios był wymierzony w jego głowę, ale Dinn zręcznie tego uniknął. Mignęła mu, już bez kamuflażu, biegnąca do miasteczka. Wyciągnął strzałę i namierzył cel z łuku. Nie mogła mu umknąć. Swym niezwykłym wzrokiem widział ją doskonale. Cięciwa jęknęła.

Strzała o włos chybiła celu. Mayene już nieraz wykazała się swoją prędkością.

Pobiegł za nią.

Tuż przed pierwszymi domami w dolinie zaatakowała go ponownie. Raz za razem. Kilka szybkich ataków i odwrót. Podrapała mu twarz i ręce. Wytrąciła łuk z ręki.

Ale miał sztylet.

Ostrze utkwiło w jej piersi, tam gdzie powinno bić serce. Wykrzywiła się w nieludzkim grymasie, wyciągając go, a potem niespodziewanie rzuciła sztylet, omal go nie raniąc.

Równie szybko zerwał się i skoczył na nią. Uderzył, ale to nie zrobiło na niej wrażenia, podobnie jak rana, która nawet nie krwawiła. Przetoczyła ich oboje i zerwała się z nieludzką zwinnością. Rozpędził się, odbił od ziemi saltem i obiema nogami uderzył ją w plecy. Upadła. Dzika satysfakcja pojawiła się na twarzy Dinna, gdy wiedźma przeorała swą twarzą rozmokły śnieg i błoto. Zerwawszy się na nogi skoczył na nią i usiadł, nim zdołała uciec.

Mayene znów wykrzywiła twarz w nieludzkim grymasie, najwidoczniej coraz bardziej wściekła.

— Kim jesteś?! — syknął, przystawiając jej do gardła odzyskany sztylet.

— Demonem — wysyczała.

— Demony są potężne.

— Niewiele mi brakuje! — uśmiechnęła się chytrze. — Dziecko uzdrowiciela, które urodzę, da mi władzę nad światem!

— Jak?

— A powiem ci, powiem — odparła zuchwale, a ich głosy przyciągnęły uwagę mieszkańców domów na obrzeżu miasta. — Ono odziedziczy jego dar, dając mi siłę i nieśmiertelność. Dobro i Zło w jego krwi da mu siłę większą od mocy ojca. Zabiję je zaraz po urodzeniu i pożrę, by zyskać tę siłę. Wasz uzdrowiciel zaś do śmierci zostanie moim niewolnikiem, karmiąc mnie swoim bólem, cierpieniem i strachem, aż będzie błagał o śmierć. Wtedy jego nieśmiertelna dusza na wieki będzie moja! A wy nigdy nie przestaniecie się bać!

Dinn poczuł zimny strach mimo swej przewagi. Zimno przebiegło mu wzdłuż kręgosłupa. Mayene może i jeszcze była pomniejszym demonem, ale jej głos, oczy i aura, którą wokół roztaczała, już zaczynały przejmować władzę. Strach zaglądał w serca żyjących już dziś.

— Taak... — zamruczała lubieżnie Mayene. — Czuję to...

Uniół rękę, zamierzając się do ciosu. Dobrze wiedział, że poderżnięcie gardła nie wystarczy, wszak jego poprzednik już tego próbował.

— Masz, użyj tego! — krzyknął jeden z mężczyzn obserwujących sytuację, rzucając elfowi labrys, czyli topór o podwójnym ostrzu.

Dinn pochwycił go w locie za stylisko i uniósł się do ciosu. Mayene jakby na to czekała. Zerwała się, zrzucając go z siebie. Górale, których zgromadziło się już około dwudziestu obojga płci, zbrojnie ruszyli na nią z bojowym okrzykiem. Wrzasnęła wściekle, obróciła się, jakby szykowała się do ucieczki, a jej twarz wykrzywiła się w złości na widok Dinna i jego topora. Jej nieludzkie oczy zwięziły się. Skoczyła na atakujących, mordując jak popadnie, skręcając karki najbliższym i gdy tylko cofnęli się nieco, by obrać inną taktykę, zaatakowała elfa. Dinn był jednak na to przygotowany. Zamachnął się swą nową bronią, działając z nieprawdopodobną szybkością właściwą elfom. Zręcznie uniknęła jego ciosów i atakujących ją ludzi, paru odrzucając daleko w tył.

Aby zabić elfa, gotowa była zniszczyć wszystko i wszystkich. Na przemian unikali się i atakowali. Wydawało się, że jej wytrzymałość nie ma granic. Labrys zabłysł w świetle pochodni, gdy przeciął powietrze tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała wiedźma.

Wreszcie jeden cios dosięgnął jej boku.

Wrzasnęła ze złości, oceniając szkodę na swoim ciele i ubraniu, a Dinn przystanął z toporem w ręce. Nie był nawet zdyszany. Mayene skoczyła do niego, gotowa obdarzyć go swym pocałunkiem śmierci, lecz nagle pojawiła się przy niej smukła, czarnowłosa dziewczyna o niespotykanej w tym rejonie egzotycznej urodzie, równie obca na tej ziemi, jak i elf, którego zdecydowała się bronić. Jej niezwykła broń zaślniła, a długie środkowe szpikulce Sai wbiły się w pierś i krtań wiedźmy podczas zadawania szybkich pchnięć raz za razem w szybkim obrocie. Wyciągnęła je pośpiesznie, zamierzając znów zaatakować, lecz Mayene, twarzą niczym stal, pochwyciła ją za szyję szybkim ruchem. Gdyby nie to, że musiała obronić się przed Dinnem, złamałaby dziewczynie kark. Puściła zdobycz, rzucając ją w zaskoczonego elfa, którego zdążyła chwycić za jego długie białe włosy, nim ten wstał.

— Mam cię! — rzekła dobitnie.

Dinn wiedział, że za chwilę zginie. Mayene pocałowała go łapczywie, zachłannie, jakby miała go pożreć. Poczuł, że słabnie.

Sai wymierzyła w jej ucho, ale czujna wiedźma zablokowała atak. Ktoś

rzucił w nią swym toporem. Pochwyciła topór, puszczając elfa i przyskoczyła do nieszczęsnej kobiety, która ośmieliła się ją zaatakować. W mgnieniu oka pochłonęła jej życie, wysuszając jak pajak muchę. Górali obleciał strach. Mayene wciągnęła powietrze nosem, jakby sycąc się ich przerażeniem, a jej rany goiły się w oczach. Wszystko działo się tak szybko... Ich najlepszy wojownik z trudem się podniósł. Oszołomiona Sai ze śladami uderzeń podnosiła się jeszcze wolniej. Mimo to górale mocniej ujęli swą broń. Nie mogli się poddać. Mayene skrzywiła się, widząc ich głupią według niej zaciętość.

Wtedy nagle poczuła, jak wzbiera wiatr. Podmuch nasilał się z każdą chwilą, niosąc w sobie magię.

Znała źródło tej magii...

Spojrzała z żalem na swoje ofiary. Nie może ich teraz dobić. Musi zająć się uzdrowicielem. Na dodatek najwyraźniej zmierzały tu posiłki dla tych głupców, sądząc po odgłosach.

Spojrzała na Dinna.

Tego nie mogła odpuścić.

Jego obrońcy zostali rozrzućeni niczym zabawki, Sai uderzyła o ścianę domu. Osłabiony elf, którego włosy lepiły się od potu, upadł pchnięty przez atakującą wiedźmę. Nie był w stanie unieść topora. Zabrała z ziemi porzucony miecz. Uwielbiała to uczucie niemal tak samo jak całowanie swoich ofiar. Były wtedy takie bezbronne!

Wyciągnął sztylet, który Mayene odrzuciła bez wysiłku, a potem uniosła go, przystawiła do tej samej ściany, na którą rzuciła Sai, uniosła miecz i z dziką, mściwą radością wbiła go w brzuch Dinna aż po rękojeść, przyszpilając go do gładkiej powierzchni.

— Nie tak, to inaczej — wysyczała mu prosto w twarz, przysuwając się i całując go po spoconej szyi. — Twoja dusza jest moja!

Po raz pierwszy spojrzał na nią z mieszaniną strachu i determinacji, ze wszystkich sił walcząc o utrzymanie się przy życiu.

Mayene czekała, lecz Dinn był zadziwiająco silny. Pomoc dla zaatakowanych nadeszła. Ruszyli na nią. Nie miała już czasu.

— Szlag by to! — syknęła i oderwała się od elfa w pośpiechu, znikając w gęstwinie pobliskiego lasu.

— Dinn... — Sai wstała, chwiejąc się na nogach. Z rozcięcia na głowie płynęła krew. — Już idę. Trzymaj się — zataczając się, dotarła do niego niemal w tym samym czasie co górale, którzy zaraz chcieli go zdejmować, na co ostro zareagowała: — Zaczekajcie! — Wydobyła flakonik ukryty pod bluzką. — Wypij. — Podała mu dar uzdrowiciela.

Dopiero wtedy pozwoliła go uwolnić. Ułożono go delikatnie na ziemi, czekając na działanie niezwykłej krwi. Ktoś podłożył rannemu kurtkę pod głowę,

ktos inny przyniósł koce dla niego i Sai. Upiła łyk krwi i poczuła, jak jej kojące działanie leczy jej rany. Głowa przestała pulsować bólem.

Ludzie rozdzielili się w gorączkowym pośpiechu. Kilkunastu pozostało przy rannych i zabitych, reszta pobiegła do domu Smeraldy.

— Co tu robisz? — zapytał, gdy odzyskał siły na tyle, by mówić. — Czemu nie jesteś w domu?

— Czułam się tam niepotrzebna — wyjaśniła mu. — Przyłączyłam się do jednego z patroli.

Milczał, podczas gdy Sai oddała resztę flakoniku opatrującym rannych. Jedna z kobiet uklękła przy nich.

— Byłeś niezwykle odważny — pochwaliła go. — Dziękujemy ci za pomoc, niezwykle przybyszu z lasów.

Skinął głową. Podała mu wodę, obejrzała gojące się rany i uśmiechnęła z ulgą.

— Pomóc ci wstać? — zapytała. — Ziemia wciąż jest zmarznięta i niedobrze, żebyś tak tu leżał.

— Ja mu pomogę — odparła Sai.

Kobieta uśmiechnęła się do niej życzliwie i odeszła, zostawiając im wodę.

Dinn nie czuł zimna. Jego ciało wypełniało przyjemne ciepło. Ulga, gdy ból i osłabienie minęły, była niemal obezwładniająca. Czuł, że jego ciało porusza oddech, a w piersi tłucze się jeszcze niespokojne serce. Żył. Wdzięczność przepełniała jego duszę. Nie znajdował właściwych słów, by wyrazić swoje uczucia, głównie wzniosłe i poruszające w nim każdą wrażliwą strunę.

ŻYŁ.

Podniósł się sam, bez wysiłku, czując, jak wszystko drży w nim ze wzruszenia.

Był tak blisko. Tak potwornie blisko nie tylko utraty tego cennego daru, jakim jest życie. Z tym jeszcze mógł się pogodzić. Przerazała go myśl, co stałoby się z nim potem. W oczach Mayene zobaczył zapowiedź swego losu, każde wypowiedziane przez nią słowo było prawdą.

Po śmierci czekało go wieczne cierpienie.

Wystarczyło, że uchylił jedynie drzwi tej przyszłości, stanął blisko...

Wystarczyło, że był tak blisko...

Nagle poczuł, że ta wizja przerasta jego wytrzymałość.

Sai objęła go delikatnie. Przyłgął do niej, drząc na całym ciele. Zacisnął powieki w niemym lęku.

Jego strach sprawił, że ją także ogarnął lęk, choć nie doświadczyła jego przeżyć. Delikatnie głaskała go po głowie i plecach, szeptała kojące słowa, a on stał, wsłuchując się w tembr jej głosu, dopóki serce nie powróciło do właściwego rytmu. Trwało to długo, bo strach nie chciał odejść, trzymając go w swych

kleszczach.

Czy tak właśnie czuli się ci, których zabijała? Kiedy zło wdzierało się w ich dusze? Byli tak przerażająco bezradni? Jego dusza stała przed złem Mayene otwarta i bezbronna... To było nie tylko przerażające... Nie dało się tego nawet opisać.

— Sai — powiedział do niej drżącym głosem, a dziewczynie serce zamarło na dźwięk jego głosu.

Ten Dinn... tak bardzo odważny Dinn...

— Tak, Dinnie? — zapytała ciepło, gdy nagle zamilkł.

— Wiwan... — szepnął. — On nie może... To nie może się stać...

Sai otworzyła szerzej oczy. Choć mogła się jedynie domyślać, co przeżył przyjaciel, była pewna, że zło, które go dosięgło, trzeba absolutnie powstrzymać.

Za wszelką cenę.

* * *

Tak łatwo było powiedzieć: „będę musiał umrzeć”.

Kiedy jednak wypowiedział te słowa, poczuł niemal fizyczny ból.

Widział bliskich i przyjaciół gotowych do obrony. Słyszał ich głosy. Słyszał swój oddech. Czuł miękkie futro Reeby pod palcami. Miasteczko przez okna w blasku pochodni wyglądało tak pięknie, emanując przytulnością i bezpieczeństwem, jakby powstało pod pędzlem malarza. Idąc do swego pokoju, usłyszał głosy z pokoju dziadków. Dziadek pilnie pracował nad swoim prezentem dla Rossa, dyskutując z babcią.

To wszystko nadawało jego życiu sens. Nagle stało się niezwykle cenne.

Być może będzie musiał porzucić całą tę esencję swojego istnienia, świat i ludzi, którzy go otaczali, właśnie po to, by umrzeć.

Choć ta myśl wydawała się nieprawdopodobna właśnie teraz, gdy tak mocno, tak intensywnie odczuwał tętniące wokół życie i bicie własnego serca...

Wrócił do pokoju.

Waszeba poprawiała koc uszczelniający zamknięte okiennice okna, które ucierpiało w czasie potyczki z Mayene. Ogień trzaskał w kominku, lecz w pokoju wyczuwało się lekki chłód. Okiennice nie były szczelne. Na jego widok poruszyła się, a jej czerwony kucyk mignął w powietrzu.

Wyczytała z jego twarzy żal, choć próbował go przed nią ukryć.

Jednocześnie jednak skrycie pragnął, by mimo wszystko to zobaczyła. Chciał, by sprawiła coś, co pozwoliłoby mu jakoś pogodzić się z wizją własnej śmierci.

W jego oczach zobaczyła cichą tęsknotę, której dotąd tak wypatrywała.

Potrzebował jej.

Jej serce przyśpieszyło.

— Hej — podeszła do niego wolno. — Było aż tak źle?

Zerknął za siebie. Julien.

— Nie — odparł.

Przyglądał się Waszebie z zadumą, jakby chciał dobrze wyryć w swej pamięci jej twarz. Czego od niej oczekiwał? Czemu pragnął tak bardzo, by znów byli blisko siebie?

Gdy spała przytulona do niego, nieświadomie czuł spokój. Tęsknił za tym ukojeniem. Za bliskością. Za tym wspaniałym poczuciem swego miejsca na ziemi, gdy trzymał jej dłoń, spoczywającą na jego piersi.

Waszebie zależało na nim w sposób, o którym nie śmiał dotąd marzyć. To niesamowicie rozgrzewało jego serce. Uświadomił sobie, że pragnie z całej duszy, by jej uczucie nie wygasło, bo choć sprawiało mu ból, budząc go do życia, dawało mu też siłę i świadomość bycia kochanym, co okazało się najpiękniejszym uczuciem, jakie mógł dotąd jedynie obserwować u innych. Tak bardzo zależało mu, żeby to właśnie ona obdarzyła go uczuciem. Mając przed sobą widmo śmierci, był gotów jej zaufać, otworzyć swoje serce i zapomnieć o wątpliwościach.

Od trzech miesięcy Waszeba była blisko niego. Flirtowała z innymi mężczyznami, uwielbiała ich zwodzić i porzucać, nim gra rozpoczęła się na dobre. Bawiło ją ich uwielbienie, ich podniecenie. Chciała, by byli blisko niej, lecz nie za blisko. Obserwował to, bezpieczny w swym świecie, z początku traktowany przez nią jak ważna persona, którą trzeba chronić w czasie wypraw. Potem towarzysz, przyjaciel, któremu można ufać. Tak jak zwykle go traktowano. Nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Powoli Waszeba odkrywała w nim inne cechy. Wzbudził jej zaufanie. Sympatię. Zawsze rozumiała jego nastroje. Jak wtedy, gdy wiedziała, że nadopiekuńczość brata była dla niego trochę męcząca, tam, jeszcze w obozie podróżników.

Nie rozpaczała nad nim, gdy budził się z koszmarów. Gdy zostawali sami, nie poruszała tego tematu. Jej spokój i ciepło stawiały go na nogi szybciej niż troskliwość matki i brata. Uspokajał się wtedy, i to nawet nie dla niej, jak robił to w obecności ukochanych osób. Robił to, bo tak działała na niego jej obecność. Przy niej wydawało się to o wiele łatwiejsze. I naturalne.

Jej uczucie było dla niego błogosławieństwem, choć bał się je odwzajemnić.

Teraz zrozumiał, że nie może się już przed tym bronić. Rozwijało się w nim wbrew wszelkim oporom i wątpliwościom. Podobnie było z nią. A zaczęło się tak zwyczajnie — od obopólnego szacunku...

Nagle podjął decyzję, przepelniony pragnieniem i tęsknotą.

Z westchnieniem wyciągnął rękę i ujął jej dłoń, przypatrując się smukłym palcom, drżąc w duchu z obawy przed tym, jak Waszeba zareaguje na ten gest. Co

zrobi, gdy uświadomi sobie, co ten gest dla niego oznacza...

Poczuła ciepło promieniujące z jego dłoni. Jego palce błędziły po jej ręce, pocierając skórę, a jej ciało zareagowało na ten dotyk. Pobudzał w niej zmysły, które uspiła, wiedząc o tym, że potrafi je wyczuć. Jej skóra płonęła pod jego palcami. Ciało poczuło znajome napięcie, przyjemne podniecenie, zwiększające się z każdą chwilą. Uniósł wzrok, zaskoczony szczerze jej reakcją. Uśmiechnęła się w duchu. Wiwan naprawdę nie ma w tym żadnego doświadczenia! Zarumienił się, gdy odkrył jej myśli.

Zdolność współodczuwania nie ułatwiała mu teraz życia...

Napięcie między nimi stało się niemal namacalne. Ich oddechy przyspieszyły.

Westchnęła w duchu z wyrozumiałością. W ten sposób mogli stać aż do lata! Albo, nie daj Matko, ich pobudzona wyobraźnia starczy za czyny!

Miała ochotę go schrupać, gdy stał tak niepewny i onieśmielony.

Powoli pchnęła go w stronę drzwi.

Otworzył usta, gdy w niego uderzył, a w Waszebie na ten widok puściły wszelkie hamulce. Najchętniej rzuciłaby się na niego namiętnie, ale wiedziała, że takim zachowaniem mogłaby go spłoszyć. Było w nim coś, jakiś mur, który wyczuwała. Gwałtowna namiętność, choć z czystych pobudek, na pewno by tu nie pomogła.

Pocałowała go więc z początku delikatnie, a kiedy nie wyczuła oporu, mocniej i głębiej, językiem wodząc wokół jego języka.

Zareagował lepiej, niż mogła sobie wyobrazić. Zatracił się w tym pocałunku, oddając go z pasją, o jaką go nie podejrzewała, kierowany ukrytą tęsknotą i pragnieniem życia. Jakby tylko czekał na znak, by dać upust swoim pragnieniom! Poczuła, jak ciało reaguje na jego bliskość, jakby nie dzieliły ich ubrania; gorączka rozpala zmysły, a pocałunki stają się bardziej namiętne i nienasycone. Jej ręce błędziły po jego koszuli, jej usta całowały jego szyję. Och, mogła go pieścić całego i czuć się przy tym jak kapłanka czcząca swego osobistego, zmysłowego boga! Już wiedziała, skąd brały się te pogłoski o zmysłowym działaniu jego krwi. Gdyby kobiety mogły zamiast mu matkować i traktować jak przyjaciela posmakować tej ciepłej skóry! Gdyby te kwoki tak jak ona poczuły jego dotyk, to z pewnością by zrozumiały...

Jego usta... Jego włosy...

Jej myśli...

Ich dłonie...

Rozerwała drewniane guziki, chcąc ściągnąć mu koszulę z ramion. Jego zapach upajał. Smak jego skóry, dotyk jego ciała zniewalał. Miała wrażenie, że spłonie, jeśli natychmiast nie znajdzie się naga w jego ramionach.

— Stój! — krzyknął cicho, powstrzymując jej ręce na koszuli. — Nie...

Obawa w jego oczach przypomniła jej o przyczynie.

Delikatnie dotknęła jego twarzy.

— Nie takim chcesz mnie zapamiętać — wyszeptał.

Dziwne słowa. Niepokojące.

— Nie żegnaj się ze mną! — ostrzegła go czule. — Wiwanie Beckert, zakazuję ci żegnać się ze mną, słyszysz?! — przyciągnęła go do siebie za poły koszuli. — Nie wolno ci!

Pocałował ją. Siła jego uczuć wprawiła jej zmysły w rozkoszną torturę.

— Och — szepnęła, gdy naśladując ją, błędził ustami po jej szyi.

Był pojętym uczniem. Dodatkowa przewaga w rozpoznawaniu uczuć pomagała mu ocenić, czy i jak bardzo sprawia jej przyjemność. Była pewna, że znajdzie każdy czuły punkt na jej ciele, jeśli tylko mu na to pozwoli.

Uwolniła się z trudem, by podjąć na nowo próbę. Każdym pocałunkiem pokonywała jego opór. Od ust, podbródka i szyi po najpierw jedno, a potem drugie odkryte ramię, aż uległ jej pieszczotom i pozwolił zsunąć koszulę.

Całe jego ciało pokrywały blizny po pogryzieniach i ostrych przedmiotach.

Zamarła, porażona zadany mu okrucieństwem.

Nim zdołał jednak uwolnić się z jej objęć, zawstydzony jej spojrzeniem, zaczęła całować te blizny, jedną po drugiej, aż opadła na kolana, by ucałować te najniżej, doprowadzając jego niedoświadczony zmysły do wrzenia.

Och, widziała pod materiałem jego spodni, że był gotów na więcej.

Dużo więcej.

Wstała, by z satysfakcją zobaczyć to w jego oczach. Och, bogowie wszystkich światów! Trafiła na prawdziwy skarb!

Kiedy wsunęła mu swoją rękę w spodnie i zaczęła go pieścić, niemal słyszała trzask płomieni, które ich ogarnęły. Nic innego się nie liczyło. Nie słyszała niczego prócz ich oddechów i szumu własnej krwi.

Wiwan pozwalał jej na każdą pieszczotę, oszołomiony, złakniony dalszych doznań.

Za drzwiami usłyszeli, że rodzice jego matki wychodzą z pokoju. Wiwan próbował powstrzymać Waszebę, by nie usłyszano ich na korytarzu, ale ona bezlitośnie poruszała swoją dłońią w jego spodniach. Tą rozkoszną torturą sprawiała, że z trudem nad sobą panował, co oczywiście bawiło ją i podniecało jeszcze bardziej. Zaczekała, aż kroki na schodach prawie umilkły. Dopiero wtedy pociągnęła go na łóżko, gestem przeganiając przyglądającą się im tygrysicę, która przeniosła się bliżej kominka.

— Reeba patrzy — powiedział z uśmiechem Wiwan, widząc, jak Waszeba na niego reaguje.

Od podwójnych wrażeń kręciło mu się w głowie, a jednocześnie było to tak niesamowite, tak upajające, że przyćmiło nawet nieprzyjemne wspomnienia z

pobytu u króla.

— Pewnie podoba jej się to, co widzi — odparła Waszeba i obdarzyła go kolejnym upojnym pocałunkiem, przytrzymując mu rękę.

Siedziała na nim, ocierając się rozkosznie. Jego opór zanikał, ustępując przed ogromną, pochłaniającą falą czystej ekstazy.

— Jeszcze chwilę — powiedziała mu, w pośpiechu ściągając z siebie ubranie.

Widok jej piersi sprawił, że niemal stracił oddech.

— Nie jestem pewien... — wymamrotał rozpaczliwie, widząc jej ciało; czując, jak niemal zdziera z niego ubranie. Świat wirował. Zmysły oszalały.

— Dasz radę, kochanie... — szepnęła. — Jestem pewna.

Nigdy nie czuł się podobnie. Był pod nią. Nagi i bezbronny. Mogła z nim zrobić, co chciała. Nie bał się tego.

Chciał tego.

Oczy Waszeby rozszerzyły się, gdy ujrzała jego imponującego członka. A potem wyszeptwała z uśmiechem:

— Zrobiłam się głodna.

Wiwana wstrzymał na chwilę drżący oddech, widząc, jak się pochyla...

* * *

Ogień w kominku zatrzeszczał głośnie.

Waszeba położyła się obok Wiwana.

Poculi słaby podmuch zimnego wiatru z nieszczelnych okiennic. Tygrysica mruknęła gniewnie.

Niepokój otulił ich serca.

Reeba warknęła znowu, zrywając się na nogi. Waszeba poczuła, jak ciało Wiwana stygnie z każdym uderzeniem serca. Teraz usłyszeli głosy na zewnątrz zza zamkniętych okiennic, jakieś nerwowe zamieszanie. Spojrzeli na siebie.

— To ona — powiedział cicho, wyczuwając Mayene.

Jej wściekłość i determinację. Jej żądzę i okrucieństwo. Była blisko.

Demon.

Nie było w niej nic ludzkiego.

Waszeba objęła go mocno i pocałowała, jakby za chwilę miał runąć świat. Objął ją z niemałą tęsknotą, odwzajemniając ten pocałunek, wiedząc że za chwilę stawi czoło swemu przeznaczeniu. Nadszedł już czas. Nic nie mogło powstrzymać nadchodzących wydarzeń.

— Waszebo — rzekł do niej cicho i szybko, czując że musi to wyjaśnić, nim opuszczą łoże. — Nie jestem bez wad i wiem o tym. Jestem inny od pozostałych mężczyzn.

— Tak — odparła po prostu.

Spojrzała na niego z powagą, dotykając jego niezwykle brwi.

— Właśnie dlatego cię pokochałam — wyszeptała w zadumie.

Przytulił ją mocno do siebie, czując w duszy, jak cały jego świat zaczyna drżeć w posadach.

Troska o nią i wszystko, co było mu tak drogie sprawiła, że lęk przed śmiercią odszedł. Czuł się odpowiedzialny za jej życie i za życie swoich bliskich oraz przyjaciół.

Tak musiało być.

Reeba stanęła przy nich.

— Idziemy — powiedział, wstając i całując koniuszki palców dziewczyny.

Ubrali się w pośpiechu.

Odruchowo przyjrzał się swojej koszuli. Waszeba wzruszyła ramionami z uśmiechem, gdy niemo pokazał jej rozerwany materiał, więc pozostało mu jedynie pokręcić głową z iskierką wesołości.

— Natrą mi uszu — mruknął do niej żartobliwie, sprawdzając, czy miecz i sztylet są w zasięgu jego dłoni.

Potem poprowadził ją na dół, gdzie ojczym, matka i brat stali w towarzystwie innych gotowych do wyjścia. Na widok matki z mieczem u boku Wiwan poczuł, że robi mu się słabo. To nie miało prawa się dziać! Gdy zerknął za siebie, zobaczył dziadków, także uzbrojonych w miecze, choć wątpił, czy wiedzieli, jak ich używać.

Co Mayene zrobiła z tym miejscem?!

— Sai wyszła z patrolem — oznajmił Erlon.— Nie przekonałem jej, by zmieniła zdanie.

— Uparta zupełnie jak mój siostrzeniec — mruknęła również ubrana do wyjścia Seme. — Prosiła, byś uważał na siebie.

— Co robisz? — zapytał z mieszaniną grozy i zaskoczenia. — Wujku...?! — spojrzał na towarzyszącego jej męża.

— Jestem gotowa do walki! — odparła mu buntowniczo. — Myślisz, że będę siedzieć w domu bezczynnie? Nawet Julien i ten jej przyjaciel mają miecze, chociaż jemu na nic się to nie zda. Mam być gorsza od nich i siedzieć jak kura na grzędzie?!

— Masz przeżyć — odparł jej z troską.

— Ja już se tak umyślałam i zdania nie zmienię — rzekła mu. — Swego trzeba bronić!

— Co powie Garen, gdy się dowie, że tak się narażałaś? A Peran?

— Daremny trud, synu — mruknął do niego Kirst.

— Dzieci zrozumieją, Wiwanie — odparła spokojnie. — Tak jak i ty. Dlaczego swoich nie próbujesz powstrzymać? Bo wiesz, że nie zdołasz.

Obejrzał się na swoją rodzinę i Waszebę u boku. Nerwowo pogłaskał towarzyszącą im białą tygrysicę.

Ciotka miała rację. Nic nie mogło ich skłonić do zmiany zdania.

— Ty także jesteś moją rodziną — zwrócił się do kobiety i jej męża. — Nie zapominaj o tym.

— Chciałbyś w tym swoim sercu pomieścić cały świat — dotknęła jego piersi tam, gdzie kryło się serce.

Jego matka i babcia uśmiechnęły się na te słowa z miłością, a potem jak na komendę przyjrzały się jego koszuli. Mężczyźni wokół, wiedząc, że do tego dojdzie, wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Waszeba była pewna, że rumieniec oblał właśnie jej policzki, gdy kobiety przyjrzały się jej z uwagą. Wiwan zarumienił się.

— Zaraz — powiedziała Seme. — Coś ty zrobił z koszulą Garena?

Domyślne spojrzenie obecnych sprawiło, że Wiwan zaczerwienił się jeszcze bardziej.

— Aaa... — zaczęła jego babcia i umilkła spłoszona nieco wizją tego, co działo się przed chwilą na górze.

Jej wyobraźnia wprawiła ją w zakłopotanie, ponieważ chodziło o jej wnuka i wyjaśniało dochodzące z jego pokoju wcześniejsze odgłosy.

Pafian prychnął, rozbawiony zmieszaniem kobiet i brata. Lena spoglądała na syna i czerwono włosą dziewczynę u jego boku. Oboje wraz z mężem próbowali powstrzymać uśmiech. Daremnie próbowała nadać swemu spojrzeniu choć odrobinę rodzicielskiego gniewu, choćby ze względu na stojącego obok ojca, który jako ostatni pojął, w czym rzecz. Ta sytuacja zbyt przypominała jej własną przeszłość, gdy spotykała się z Erlonem bez wiedzy rodziców. Odruchowo, obawiając się, że oburzenie starszego pana na takie zachowanie skupi się na Waszebie, odzyskała pewność siebie i śmiało spojrzała teraz w oczy jego dziadka, Wiwan wysunął się do przodu w obronnym geście, który rozczulił kochające go kobiety.

Pafian spojrzał na brata z dumą i ukłuciem zazdrości w sercu.

— Gdzie te czasy, gdy o takich rzeczach przed ślubem mowy nie było? — westchnął zrzędliwie dziadek, kręcąc głową z niezadowoleniem, choć jego bystremu wzrokowi nie uszedł obronny gest wnuka, dający wyraźne świadectwo jego uczuć.

Nie zamierzał jednak tak łatwo pobłażać. Wiwan zawsze był przykładem i jego dumą, a tu takie coś! To nie do pomyślenia!

— Przepadły w naszym starym świecie! — oznajmiła mu stanowczo jego

żona, ucinając temat. — Seme! — zwróciła się do przyjaciółki. — Masz przecież inne koszule syna. Daj szybko, zanim Wiwan wyjdzie tak na dwór! — przykazała wnukowi.

— Panie hrabio! — do pomieszczenia wszedł poruszony kamieniarz Bert, za co Wiwan był mu w tym momencie ogromnie wdzięczny. Ten bowiem przerwał krępującą sytuację. Jego wzrok szybko przeskoczył z Erlona na uzdrowiciela. — Niosą rannego Azylasa! Mayene zabiła kilku naszych i odcięła mu rękę!

— Mają tę rękę? — instynkt uzdrowiciela w Wiwanie zadziałał natychmiast, odsuwając inne sprawy.

— Tak, panie! W garnku ze śniegiem ponoć. Niosą tutaj! — odparł szybko zapytany. — Ale nie to jest najgorsze, panie hrabio!

— Brama? — zapytała Lena z niepokojem.

— Otwarta, pani hrabino — potwierdził jej obawy kamieniarz. — Trolle wlażyły całym stadem. Rozlażyły się po mieście, zaraz tu pewnie będą!

Na zewnątrz rozległy się nawoływania. Wiatr zagwizdał w nieszczelnych okiennicach i drzwiach, przybierając na sile.

— Próbuje odwrócić uwagę — zauważył Erlon ponuro.

— Trolle? — babcia Wiwana zbladła.

— Nie pozwolę im się zbliżyć — zapewnił ją Erlon, na co uśmiechnęła się do niego niepewnie, z wdzięcznością, pamiętając stare czasy.

Erlon spojrzał na pasierba ze współczuciem. Wiwan był mu wdzięczny za tę troskę.

Lena mocno objęła syna.

— Dbaj o niego — poprosiła cicho Waszebę.

Wiwan zdążył zmienić koszulę i narzucić na siebie kaftan, gdy przynieśli rannego. Kilka paskudnych trolli usiłowało wedrzeć się do środka za ludźmi. Ich atak został odparty przez Erlona i Pafiana. Oddział ochotników, który im towarzyszył rozbiegł się po domu, by sprawdzić, czy okiennice i inne zabezpieczenia wytrzymają napór bestii. Tupot bosych stóp i skrobanie rozległo się w kilku miejscach.

Trolle wspinały się po ścianach. Szukały wejścia.

Wiwan zajął się rannym kowalem, a Waszeba pomogła usiąść rannemu. Jeden z trzech jego towarzyszy przyniósł w garnku pełnym śniegu odciętą dłoń. Z uwagi na obecność kobiet, Azylas nie przeklinał, choć miał na to ochotę.

— Tak dać się podejść, psia ją mać — mamrotał jedynie. — Dopiero ten osiłek mi będzie przygadawał, jak się dowie! Wlażyła na mnie ani się spostrzegłem! Gerta chciałem bronić, ale to stało się tak szybko. Wysuszyła go z życia. Nic nie mogłem poradzić!

— Już dobrze — uspokoił go Wiwan, biorąc do ręki dłoń kowala i przykładając do kikuta.

— Da się złożyć? — zaniepokoił się kowal. — Co za kowal będzie ze mnie bez ręki?

— Tylko patrz — nakazał mu łagodnie Wiwan.

Wszyscy przyjrzeni się zafascynowani.

Przez chwilę widzieli tylko zmieniające się kolory pod skórą kikuta i dłoni. Czerwona linia w miejscu połączenia była widoczna, lecz krew przestała już płynąć. Wiwan widział swym wewnętrznym wzrokiem, jak zrastają się kości, stawy, mięśnie i tkanki. Palce drgnęły. Poruszony całym zajściem kowal wciągnął cicho powietrze.

— Boli? — zapytał spokojnie Wiwan, pochłonięty procesem leczenia i zrastania.

— Nie, panie hrabio — odparł z nabożnym podziwem Azylas.

— Oczywiście że nie — Wiwan uśmiechnął się z przekorą.

Jego dobry nastrój udzielił się obecnym. Waszeba przysunęła się bliżej. Widziała, że to zauważył.

Palec wskazujący poruszył się wyraźnie. Choć nie raz byli świadkami działania tej mocy, poczuli ulgę i wzruszenie na widok kolejnego cudu. A kiedy linia przecięcia zniknęła i szczęśliwy Azylas z dumą pokazał sprawną rękę, radość była ogromna.

Głaskając delikatnie Reebę, Pafian pomyślał, że nigdy mu się nie znudzi patrzenie na działanie mocy jego niezwykłego brata. Ani radość uleczonych.

Jednak najbardziej cieszyło go, że Wiwan przestał być kapłanem dobrej woli, rozdającym dar maluczkim, a stał się wreszcie człowiekiem z krwi i kości, zdolnym do głębszych uczuć. Oraz to, że długo jeszcze będzie wspominał minę dziadka, gdy dotarło do niego, co wnuk robił w swoim pokoju.

To szczególnie zapadnie mu w pamięci. Podobnie jak rumieniec brata, o czym kiedyś być może Wiwanowi przypomni w bardziej sprzyjających okolicznościach. Lękał się jedynie w duchu, że nie będzie już żadnych nowych wspomnień związanych z Wiwanem. Widział, że rodzice także się martwią, choć starali się tego nie okazywać. Ich oczy śledziły z troską Wiwana i Waszebę.

Azylas, wzruszony do łez, uściśnął zadowolonego Wiwana i ucałował w oba policzki, drapiąc go swoją gęstą brodą, a potem rażno zerwał się na nogi.

— Trza te trolle wypędzić! — zawołał. — Dajcie mi co do walki! Zaraz tam zrobię porządek! — obejrzał zrosniętą dłoń i zaniepokoił się nieco. — A dobrze to trzyma, panie hrabio? Nie puści?

Wiwan roześmiał się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Co ma puścić, Azylasie? — zapytał ciepło. — Spodziewasz się tam kołków i gwoździ?

— Ano nie! — zaśmiał się rubasznie kowal, któremu udzielił się nastrój uzdrowiciela, po czym znów mocno go uściśnął. — Skoro to jest niezawodna

robota, to ja pójdę polaskotać trolle — ujął podany mu przez kompanów miecz. — A ty dopilnuj, by wiedźma pożegnała się z życiem.

Pierwszy raz od rozmowy Wiwana z bratem ktoś wspomniał o powinności Wiwana. Wiedząc, że nie będzie to zwykła walka, wszyscy nagle zmarkotnieli, a dobry humor gdzieś się ulotnił.

Było tak wiele rzeczy, które mogły się stać, tak wielkie groziło mu niebezpieczeństwo, a przecież był ich nadzieją i jedyną bronią zdolną tak naprawdę pokonać Mayene.

Wiedzieli o tym.

I naprawdę go kochali.

— Wiwanie — zaczął z powagą Azylas, nagle rezygnując z oficjalnej formy. — Takie historie się zdarzają. Jeden bohater staje przeciw złu, które chce zawładnąć światem i wie, że może przy tym zginąć. Zawsze wtedy stoi przy nim ktoś, kto mówi: „Zabij to ścierwo!”. A ja powiem ci jeszcze tak: „Nie zapomnij, że masz wyjść z tego żywy!”.

Oczy Wiwana zalśniły, gdy napotkał spojrzenia wszystkich. W milczeniu życzyli mu tego samego.

Kował poklepał go po ramieniu, a potem spojrzał na towarzyszy, nasłuchując chwilę odgłosów porywistego wiatru i chrobotania wokół, by po chwili za ich niemą zgodą skinąć wszystkim na pożegnanie i wyjść na zewnątrz. Zaraz też usłyszeli jego gromkie okrzyki, gdy przeklinał trolle...

Wiwana obejrzał się, tknięty niewypowiedzianą myślą w chwili, gdy Julien sprowadziła na dół Tenana. Ten uporczywie unikał patrzenia mu w oczy. Był rozdarty między chęcią zadośćuczynienia, wyrzutami sumienia i poczuciem własnej krzywdy. Chcąc nie chcąc, uzdrowiciel wyczuwał w nim żal i poczucie niesprawiedliwości. Znał przyczynę tych uczuć.

Mayene dopadła go przed nim.

Jakaś mało szlachetna część jego duszy cieszyła się z tego, że spotkała go kara. Ale poczucie sprawiedliwości zwyciężyło tę myśl.

Mimo to nie odważył się odezwać do tego człowieka. Nie potrafił.

— Wychodzę — oznajmił zebranym.

Wtedy rozległ się łomot i trzask na zewnątrz. Ziemia zatrzęsała się w posadach. Erlon podszedł do drzwi wraz z kilkoma ludźmi, by wyrzeć na zewnątrz.

— Co się tam dzieje?! — zawołał, widząc kowala i kilkunastu ludzi na ulicy i podwórzu.

— Pałac, panie hrabio! — odparł zapytany ze zgrozą.

Wyszli na zewnątrz, zaniepokojeni tą informacją. Spojrzeli na niedalekie wzgórze, gdzie znajdował się ich rodzinny dom. Szyby w oknach pękały z hukiem, a cały pałac wraz z nimi, drżąc w posadach. Nawet stąd widzieli rozmiar zniszczeń

rosnących w oczach.

— Boże mój! — krzyknęła cicho babcia Wiwana, tuląc się do męża. — Nasz dom! Erlonie, nasz dom!

Lena objęła zdruzgotanego widokiem męża, w milczeniu beradnie przyglądającego się zagładzie jego domostwa. Pałac poddał się wreszcie z hukiem, ściany zapadły się pod naporem dachu, a wszystko, co było im drogie, dosłownie wszystko, co posiadali, zginęło pod naporem rozpadającej się konstrukcji.

Dom, który znał — przestał istnieć...

Zdruzgotana tym widokiem rodzina Beckert spoglądała w milczeniu na ponure rumowisko.

Stojący przy drzwiach Tenan zwrócił się cicho do Julien:

— Czy w mojej torbie nadal jest ten sznur, którym mnie związałyście?

Julien zastanowiła się chwilę, decydując w duchu, że nie będzie zażenowana z powodu tego, co zrobiły wtedy z Sai. W końcu miały poważny powód, by tak właśnie postąpić.

— Wano ją pakował. Wiem, że chował tam sznur. Torba jest w pokoju pod oknem.

Tenan w duchu ocenił swoje możliwości. Nie były imponujące. Może i po posiłku zaserwowanym mu przez Seme, pomimo niechęci, czuł się teraz zaskakująco lepiej, niż się spodziewał. Zapewne dzięki działaniu krwi Wiwana, który teraz stał przed nim, próbując ukoić żal swoich bliskich, ale to z pewnością było dalekie od jego niedawnych możliwości. Widział, że Wiwan był zły na Mayene o to, że zraniła jego bliskich.

— Po co ci lina? — zapytała Julien.

— Pochwycę ją. Pomożesz mi?

Skinęła głową, ujmując jego rękę.

Włosy na karku Tenana zjeżyły się. Zauważył, że Wiwan zamarł, a czerwonowłosa elfka przybrała pozycję obronną, czujnie nasłuchując.

Mayene.

— Do środka! — nakazał wszystkim Wiwan.

Okiennice, choć były specjalnie zabezpieczone, otwarły się z trzaskiem. Wszyscy drgnęli nerwowo i w pośpiechu rozeszli się do domów.

Zaledwie powrócili do środka domu Seme, szyby w oknach pękły, podobnie jak te w pałacu, a wiatr przeleciał po pomieszczeniach, gasząc świece i lampy oliwne.

— Niech każdy się odezwie! — zakomenderował Erlon.

Po kolei zabierano głos, a Erlon w milczeniu sprawdzał to ze stanem sprzed wyjścia na zewnątrz. Wreszcie zapadła cisza.

Wiwan uprzedził ojczyma, stwierdzając:

— Nie ma Julien i jej towarzysza.

— Głupiec! — zawołała Seme. — Nie wie, na co ją naraża?!

Wiwan wybiegł, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, a za nim podążyli Waszeba i Pafian.

Erlon powstrzymał pozostałych, zajmując miejsce przy drzwiach.

* * *

— Jestem blisko, słoneczko — szepnął Ross, gdy statek płynący z nieprawdopodobną prędkością znalazł się niedaleko portu. — Wyczuwam cię.

Widzieli już światła miasteczka, jakby organizowano tam właśnie wielki festyn.

— Wyjdziemy na brzeg, prawda, kapitanie? — zapytał Silas z szaloną nadzieją, bawiąc się swym nieodłącznym nożykiem.

Ross wymienił nieco rozbawione spojrzenie z Selem i przyjaciółmi, widząc ten zapal.

— Tak, panie Silas — odparł złowrogim tonem. — Wyjdziemy.

Ku zdumieniu Sela, marynarzy wyraźnie ucieszyła ta wiadomość. Alesei wykrzywił się, a jego wierny pies wspiał się wyżej i zaczął szczekać krótkimi, pojedynczymi szczeknięciami. Oliwier zacisnął dłonie na balustradzie.

Ross w myślach zmniejszył prędkość wiatru.

Cadelia zaczęła zwalniać.

ROZDZIAŁ 14 — KLEJNOT

— Gdzie oni są? — zapytał Pafian.

Wybiegli na środek brukowanej uliczki. Szybko stanęli do siebie plecami, przybierając obronną postawę.

Wiwan spojrział w stronę pałacu, wyczuwając złowrogą obecność. Uliczka była pusta, ale miał pewność, że Mayene tam jest.

Że czeka.

Gdyby nie światło księżycy, ciemność okryłaby miasteczko niczym całun. Wszystkie latarnie pogasły. Życie zamarło. Wiatr osłabł wyraźnie.

Gdzieś dało się słyszeć płacz dziecka ukrytego przed wzrokiem wiedźmy, gdzieś indziej parsknął zaniepokojony koń. Pośród panującej ciszy wiedźma stanęła przed nimi na zakręcie uliczki, pozostawiając za plecami ruiny pałacu. Jej sylwetka na tle łuny pojawiła się nagle, znikąd; ciemna, milcząca i nieruchoma.

Ten widok wzbudził większy strach w sercach ludzi niż jakiegokolwiek jej działanie. Porażał swym złowrogim spokojem, budząc większy niepokój niż dotychczasowe gwałtowne ataki.

Wiwan wiedział, że Mayene robi to celowo. Właśnie po to, by spotęgować strach i zasiać panikę w ludzkich duszach. Udało jej się osiągnąć cel, bowiem nikt nie ośmielił się jej zaatakować.

Wreszcie, gdy jej milcząca obecność stała się niemal nie do zniesienia, poruszyła się. Ku zdziwieniu wszystkich nie ruszyła gwałtownie ku swoim ofiarom, lecz szła powoli, władcza i pewna swego. Choć Wiwan nie widział jej twarzy, był pewien, że patrzy wprost na niego. Włosy zjeżyły mu się na karku. Wyczuł wahanie Pafiana i Waszeby, lecz zapanował nad sobą.

Waszeba, uspokojona jego opanowaniem, sięgnęła po strzałę i napięła łuk. Pafian wyciągnął obnażony miecz.

Z każdą chwilą Mayene była coraz bliżej, szła stanowczym krokiem.

Kilkanaście metrów przed nimi nagły ruch i stukot kopyt odwrócił ich uwagę. Ze stajni po lewej stronie wybiegł koń niosący na grzbiecie dwóch jeźdźców: Tenana i kowala. Mayene zatrzymała się, by przyjrzeć się swej ofierze, która nie śpieszyła się z ucieczką, umyślnie podsuwając jej się przed oczy.

Po drugiej stronie Julien na białym wałachu ciotki Seme minęła dom, powóz Sela i Rossa, aż znalazła się za bramą w momencie, gdy Mayene odwracała ku niej głowę. Wtedy rzuciła sznur, a kowal chwycił go mocno, owinął wokół wyleczonej ręki i drugą pochwycił za kubrak Tenana, który trzymał wodze.

Środek zawisł na jedną krótką chwilę pomiędzy Wiwanem i Mayene, jakby ich rozdzielając.

Waszeba uniosła brwi z uznaniem.

Sznur elfów.

Konie ruszyły w stronę pałacu.

Waszeba wypuściła strzałę, nim Mayene zdołała przeszkodzić jeźdźcom, tym samym zyskując dla nich chwilę zaskoczenia, która pozwoliła im w niezwykłym manewrze zahaczyć o szyję wiedzmy, znaleźć się za jej plecami, mijając się o włos, w czym pomogły doskonałe umiejętności jeździeckie Tenana i karkołomny dla kowala sposób, który musiał się niebezpiecznie przechylić, by zamienić się końcami sznura, aby ten posłusznie trafił do wyciągniętych dłoni. Długość sznura była umyślnie nierówna. Krótszy koniec Julien pochwyła, kładąc się na grzbiecie konia. Był to iście cyrkowy manewr, obliczony na zaskoczenie i zręczność obu stron.

Ale bez wątpienia się opłacił.

Pętla zacisnęła się na szyi Mayene, co powaliło ją na ziemię.

Konie się zatrzymały.

Mayene, ze strzałą w sercu i pętlą na szyi, rzucała się wściekle. Powoli wyglądano z okien i drzwi, by zobaczyć całą zajście.

— Dobić ją! — zaczęli wołać ludzie.

Sapnęła wściekle na widok Wiwana zmierzającego w jej stronę. Próbowwała odpełznąć, gdy tymczasem tłum gromadził się wokół.

Wiwana przytrzymał ją stanowczo, klękając. Bez lęku zmierzył ją spojrzeniem.

Nie tracił czasu na zbędne słowa. Jego oczy załśniły. Srebrne żyłki rozchodziły się od tych oczu na jego twarz i szyję, spływając w dół. Mayene zmrużyła swe oczy ze złością. Rozejrzała się szybko, szukając czegoś, co odwróci jego uwagę. Ofiara musi być blisko.

Trzasnęły okiennice we wszystkich oknach wokół. Konie przestraszyły się huk.

Znalazła...

Podwójnie bolesne, a nawet potrójnie...

Zachichotała złośliwie, zaskakując tym uzdrowiciela. Jej śmiech sprawił, że głosy wokół zaczęły milknąć.

Walach uniósł przednie nogi, zdjęty przerażeniem. Julien puściła linę, by mocno się złapać. Niespodziewanie koń pognął do przodu przed siebie, a złośliwy, okrutny umysł Mayene skierował go w bok, pod ściany budynków, wprost na ich wystające dachy i szyldy.

Wbrew wszelkiemu instynktowi...

— Nie! — zawołał Tenan ze zgrozą, poganiając swego konia, by pomóc dziewczynie.

Wiwana zamarł ze zgrozy.

Koń pogalopował prosto na wystający ozdobny szyld najlepszego krawca

w miasteczku.

Głową Julien odrzuciło od uderzenia, a nieszczęsne zwierzę, nie mogąc zatrzymać się w pędzie, potknęło się i upadło z głośnym rzeniem, przygniatając dziewczynę swoim ciężarem...

Mayene odepchnęła zdruzgotanego Wiwana i nim znów ją pochwycił, umknęła, zrywając sznur z szyi. Wyrwała strzałę i przyskoczyła na Pafiana. Stała za nim, obejmując jedną ręką jego szyję i zbliżając twarz do jego ucha. Wiwan pośpiesznie wstrzymał ludzi, którzy chcieli się na nią rzucić, zobaczył bowiem jak długi rozdwójony język demona wysuwa się z jej ust, dotykając twarzy brata.

Język poruszał się jak odrębna istota, mierząc w ucho Pafiana...

— No, no — powiedziała z nutą szyderczego uznania. — Trzeba przyznać, macie wyobraźnię! Zdajesz sobie sprawę, że przez twój upór zginęli teraz oboje, prawda?

Oczy Wiwana załśniły.

— Ona jest martwa — rzekła Mayene, nie kryjąc satysfakcji.

Zza jej pleców dobiegł go rozpaczliwy krzyk Tenana.

Poczuł, jak ogarnia go chłód. Zadrżał w trwodze, czując ból i rozpacz nie tylko tamtego człowieka, lecz swój własny, palący niczym ogień. Julien...Oliwier...!

* * *

Oliwier upadł.

Ból rozdzierał go od wewnątrz. Był tak porażający, że ten nie potrafił wydać nawet dźwięku.

Nie był w stanie się poruszyć.

Otoczono go. Słyszał głosy przyjaciół. Potrząsano nim gorączkowo, krzyczano coś do niego.

Wiedział o tym wszystkim.

Jego mózg rejestrował dźwięki i obrazy, ale on sam nie był zdolny do jakiegokolwiek reakcji, przestał reagować na wszelkie bodźce.

Obraz się rozmazywał.

Głosy zaczęły brzmieć jak niezrozumiałe bełkot szaleńca.

Najgorszy był ten ból...

Nieskończony... Rozrywający w nim coś ważnego. Jego osobowość, poczucie istnienia, miłość. Całe jego „ja”.

Szarpiący każde uczucia, jakie dotąd przeżył i przechowywał w pamięci.

To nie był fizyczny ból. Pozbawiał go wszystkiego, kim był, jego jestestwa, istnienia, psychiki. Targał jego wspomnienia, wbijając w nie swe szpony,

rozdzierając do fundamentów duszy. Niszczył to, co czyniło go tym, kim był. Zrywał fragmenty obrazów i myśli, czyniąc je pozbawionymi sensu i budząc w nim wielką, bezdenną rozpacz. Zapadał się w tę koszmarną otchłań. Gubił. Znikał.

A ból się nasilał.

Chciał krzyknąć, słyszeć chociaż swój głos, przerażony pochłaniającą go pustką. Walczył o to z całej siły. Wydostać się!

Wydostać się!

Julien...

* * *

— Oliwierze! — krzyczał do niego Sel. — Oliwierze, powiedz coś! Słyszysz mnie?!

Ross czuł, jak oczy zaczynają go niebezpiecznie piec.

Sel potrząsał przyjacielem, tulił go, przemawiał, groził i prosił. Inni obserwowali w milczeniu, wstrząśnięci do głębi.

Oliwier tak po prostu upadł...

Potem z wolna światło w jego oczach stawało się mętne, nie odpowiadał. Nie reagował nawet wtedy, gdy Sel wymierzył mu policzek.

Jak marionetka, której odcięto sznurki...

Ross dotknął ramienia kochanka, porażony stratą Julien i straszną, powolną agonią Oliwiera:

— Sel...

— Cholera, Ross, nie mów tego! — Sel rozpaczliwie przytulił przyjaciela.
— To nie może się dziać! Nie mogę ich stracić! Julien nie umarła!

— Sel... — wyszeptał Ross, cały drżąc.

Jego klejnot lśnił.

Sel zerknął.

— Nie używaj na mnie swojej mocy!

— Nie chciałem...

— Co z tobą?! Julien nazwała cię swoim bratem, wiesz o tym? Wiesz?!

— Ja... — Ross w rozpaczę chwycił się za włosy. — Nie mówiłeś...

— Chcesz go zabić, tak?!

— Nie! — zawołał przerażony Ross, truchlejąc w duchu na samą myśl. —
Uratował mi życie!

— Ale już pomyślałeś...!

— Sel! — krzyknął na niego Alesei, nie wytrzymując. — Ross nic nie powiedział! Stul pysk, do diabła, albo natychmiast go przeproś! Mało już przeszedł?

Sel zrozumiał, że przesadził. Przyciągnął do siebie zdruzgotanego kochanka.

Objął mocno wolną ręką, tuląc twarz w jego szyi.

— Wybacz... — szepnął do niego. — Nie chciałem.

Ross swym kochającym sercem natychmiast mu wybaczył.

— Po tych wszystkich latach z Morenem... — w głosie Sela pobrzmiwał gniew pomieszany z rozpaczą. — Po tym, jak się z nim szarpał... Ile oboje musieli znieść przez tego... — przez chwilę zmagali się z sobą, jakby jeszcze nie chciał nazywać tej myśli. Bolesnej, lecz prawdziwej. — Ten sukinsyn omal mu wszystkiego nie zabrał! — wyrzucił z siebie ze złością, a Ross spojrział na niego z mieszaniną smutku i dumy. — To nie może się stać! Oni nie mogą umrzeć! Nie mogą...

— Panie — odezwał się z wahaniem Silas w imieniu załogi. — Trzeba go dobić. Już po nim. Tak to jest z bliźniakami — dzielnie wytrzymał gniewne pośród łez spojrzenie Sela. — Już po nim.

— Przestań, do cholery, to powtarzać! — krzyknął na niego Sel, aż Ross skulił się w swej własnej rozpacz.

Kochał Julien właśnie tak, jak ona to wyraziła. Jak siostrę, której nigdy nie miał. Powierniczkę w nieszczęściu, gdy oboje cierpieli.

Chciałby myśleć, że nie będzie wierzył w jej śmierć, dopóki nie zobaczy ciała. Ale wiedział już co nieco o bliźniętach. To musiała być prawda...

Nagle Oliwier ocknął się z tej dziwnej drętwoty i spojrział przytomnie wokół. Jego oczy zatknęły się ze strachem i determinacją na twarzy Sela.

— Zaczyna się... — zauważył ponuro towarzysz Silasa z tatuażem pierścienia na twarzy.

Oliwier pochwycił mocno Sela za ubranie i błagalnym głosem wysyczał:

— Dobijcie mnie!

Sel zamarł porażony jego słowami. Mężczyzna z tatuażem wyciągnął zza pasa swój sztylet i podał go, mówiąc:

— Jeśli jesteś naprawdę jego przyjacielem... zrób to, o co cię prosi! Zaraz będzie dużo gorzej!

Sel obdarzył go morderczym spojrzeniem. Ross nie mógł znieść cierpienia kochanka i utraty przyjaciół. Czuł jednak, że marynarz mówi prawdę. Oliwier spojrział, jakby wyczuwając jego wahanie.

— Ross... — poprosił z rozpaczą.

Teraz wszyscy oczekiwali na jego decyzję. Nawet pies polizał go po ręce. Alesei położył mu dłoń na ramieniu, a Silas patrzył z nadzieją na swego kapitana.

Sel błagał go w myślach, by tego nie robił.

Czy oni wszyscy oszaleli?! Jak mógł decydować o czyimś życiu?! Wystarczyło jednak, by spojrział w oczy Oliwiera. Drżącego z emocji i odczuwanego bólu, który wywoływał w nim większe cierpienie, niż ktokolwiek z obecnych był w stanie kiedykolwiek sobie wyobrazić. Pamiętał płacz Julien.

Pamiętał, jak odczuwała ciosy, które wymierzano jej bratu. Pamiętał jej stan, gdy niemal traciła zmysły z rozpacz. Widział. Widział ten strach. Tę rozpacz, która była zaledwie iskrą tego, co działo się teraz w sercu jej brata. Widział jej spojrzenie w jego oczach, błaganie, by zakończył jego agonię. By nie zostawiał ich w potrzebie...

ROSS — usłyszał nagle klejnot. — POTRAFIĘ TO ZROBIĆ. MUSISZ TYLKO TEGO CHCIEĆ!

Przez chwilę nie wiedział, co właściwie klejnot próbuje mu powiedzieć. Zmącony rozpaczą umysł nie myślał jasno.

— Co? — zapytał, nieświadomy tego, że pyta na głos.

— Panie kapitanie? — usłyszał głos jednego z marynarzy.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

Oliwier zacisnął dłoń na ręce Rossa, błagalnie, natarczywie.

— O czym ty mówisz? — zapytał Ross swój klejnot, a otaczający go ludzie zgodnie pomyśleli, że kapitan oszalał.

Jedynie Sel popatrzył nagle z błyskiem nadziei i także dotknął jego dłoni. Zaabsorbowany tym, co chciał mu przekazać klejnot, Ross spojrział na otoczenie nieco nieprzytomnie.

ŚPIESZ SIĘ — powiedział klejnot.

Oliwier zamknął oczy i zacisnął usta w udręce.

MOŻESZ GO URATOWAĆ.

Ross napotkał zdumione spojrzenie Sela.

On także to usłyszał.

— Jak? — wyszeptał, podczas gdy Oliwier zaczął kręcić się niespokojnie.

Czuł, że odpowiedź wzbudzi w nim lęk.

TYLKO MY MOŻEMY TO ZROBIĆ. TYLKO RAZ — odpowiedział klejnot.

— Co się dzieje? — zapytał inny towarzysz Silasa.

— Kapitan rozmawia ze swoim kamieniem — wyjaśnił Silas, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Mężczyzna z tatuażem opuścił sztylet.

POŁĄCZ Z NIM SWOJĄ DUSZĘ.

Ross zbladł.

— Nie! — powiedział stanowczo Sel, kręcąc przecząco głową. — To zbyt niebezpieczne! Nie zgadzam się! Nie rób tego, słyszysz?!

Ale Ross zrozumiał, że dalsza zwłoka oznacza dla Oliwiera jeszcze większe cierpienie lub natychmiastową śmierć.

— Julien by tego chciała — wyszeptał.

— Nie — Sel objął go mocno. — Nie chciałaby. Mnie też niczego nie musisz udowadniać. Proszę cię...

Oliwier otworzył oczy i spojrzał na mężczyznę z tatuażem. Wyciągnął błagalnie rękę. Tamten kiwnął głową.

Ross wiedział, że Oliwier ma już dość i chce przerwać swoją udrękę.

— Nic mi nie będzie — próbował nadać swojemu głosowi odpowiednią moc, by przekonać samego siebie, odsunąć strach.

„Zgadzam się” — odparł mentalnie klejnotowi.

— Nie! — zawołał rozpaczliwie Sel, lecz klejnot zalśnił już całą swą mocą.

Wszyscy prócz Sela cofnęli się szybko, a pies schował się za swego pana, obserwując sytuację z ukrycia.

Ross poczuł, jakby w jego duszy otwarto wielkie drzwi. Zamknął oczy z lękiem. Słyszał wokół różne głosy, widział dusze dobre i złe. Czuł się, jakby umierał, a zło i dobro zgromadziły się wokół, by szarpać się o jego duszę.

Wszystko było tak niematerialne... Działo się jakby gdzieś obok, jakby otaczała go niewidzialna bariera.

„Ross — usłyszał nagle ciepły głos. — Jesteś szalony”.

Julien!

W myślach uśmiechnął się. Poczuł, jak ogarnia go smutek.

„Kocham cię za to, braciszku” — wyszeptała gdzieś blisko niego.

„Ja też zawsze będę cię kochał — odpowiedział jej. — Siostrzyczko” — dodał ciepło.

Wyczuł jej smutek.

„Powiedz” — poprosił ją.

„Tenan został sam” — wyszeptała.

Potem już jej nie było.

Nie zdążył się zastanowić nad tą dziwną dla niego informacją, bo usłyszał znajomy głos:

„Wreszcie przyszła kolej na ciebie” — w głosie matki usłyszał złośliwą radość.

„Nie jestem martwy”.

„Przygotowałam ci specjalne miejsce — wysyczała mu do ucha — Dla takich jak ty”.

„Nie pójdę za tobą!”.

„Jesteś pewien?” — niemal widział jej uśmiech.

„Zostaw go wreszcie w spokoju!” — usłyszał nagle głos Oliwiera.

I wtedy wszystko ucichło.

Byli tylko oni.

„Ross — powiedział Oliwier. — Nawet nie wiem, co mam na to powiedzieć. To, co zrobiłeś...”.

„Najważniejsze, że będziesz żył” — przerwał mu z powagą.

ROZDZIELAM WAS — usłyszeli klejnot. — TYLKO ŻYCIE WAS

BĘDZIE ŁĄCZYĆ.

„Wielkie dzięki” — odparł na to Ross szczerze.

Oliwier uśmiechnął się do niego lekko, bez udziału oczu. Tam krył się jedynie ogromny żal...

* * *

Otworzył oczy.

Sel trzymał go jedną ręką, drugą obejmował Oliwier. Jak wtedy, gdy Ross podjął decyzję.

Widząc, że się ocknął, przyjrzał się mu z uwagą, nim pocałował go w skroń.

— Jak długo to trwało? — zapytał przytomnie, na co Sel odetchnął z ulgą.

— Chwilę — odparł ze łzami wzruszenia w kącikach oczu. — Tylko chwilę. Ty wariacie... — rzekł z czułością.

Ross z ciepłem w sercu spojrział na niego.

Ktoś chrząknął znacząco, zerknął więc na otoczenie. Cała jego skromna załoga nie wiedziała, gdzie teraz oczy podziąć. Uśmiechnął się z pobłażliwością.

Oliwier ocknął się. Usiadł z ich pomocą bez jednego słowa. Wszyscy obserwowali go z uwagą. Zaczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie, nim spojrział na Rossa i Sela. Obdarzył ich cieniem uśmiechu, tym samym, który Ross widział przed chwilą. Ujął dłoń Rossa. Przez chwilę wahał się, nie wiedząc, czy jest mu wdzięczny za ten odważny gest, czy jednak wolałby, by stało się inaczej. Potem znów na niego spojrział. Przypomniawszy sobie, kojarząc tych dwoje dzięki przeszłości, w oczach Sai... W jej smutnym uśmiechu. Jej smukłym ciele. Ciemnych, kruczoczarnych włosach. Przypomniawszy sobie komentarz Rossa, gdy Klejnot oznajmił, że łączyć ich będzie tylko życie. Jego uśmiech stał się szerszy na to wspomnienie. Ross odwzajemnił go lekko, domyślając się jego myśli. Poczł, jak dłoń Oliwier. Zaciska się na jego dłoni. Mocno odwzajemnił ten uścisk w cichym porozumieniu dusz.

Nie wypowiedzieli ani słowa.

Alesei pomógł wstać Oliwierowi, a potem puścili go bez słowa. Po chwili ten oddalił się do kapitańskiej kajuty. Wiedzieli, że tego właśnie potrzebował.

Ross czuł się dziwnie. Miał wrażenie, że znajduje się jednocześnie w dwóch miejscach. Było to nowe i całkowicie dziwne dla niego doświadczenie, jakby część jego ja znajdowała się teraz niezbyt daleko, bo tylko w kapitańskiej kajucie, lecz mimo to wydawała się dalej niż zwykle. Nie potrafił nazwać tych uczuć. Był rozdarty. Może to było właściwe słowo? Czł się bowiem dziwnie rozciągnięty i nieswój.

— Ross? — Sel zaniepokoił się jego zmieszaniem.

Ross poczuł, że zaczyna ogarniać go panika. Ten stan nie był dla niego

normalny. Nigdy się tak nie czuł. To było dość nieprzyjemne uczucie. Z każdą chwilą sączyło się w jego intymność. Dobrze że klejnot rozdzielił ich umysły. Gdyby jeszcze słyszał myśli Oliwiera... A nie daj Boże, gdyby jeszcze na dodatek Oliwier słyszał teraz jego...

Oblał go pot.

Załoga przyglądała mu się z niepokojem. Mężczyzna z tatuażem pokręcił głową w zadumie.

— Ross, mów do mnie! — teraz Sel zaniepokoił się nie na żarty. — Co się dzieje?!

Ross słyszał swój własny niespokojny oddech.

— To nic... — powiedział z trudem. — Muszę się przyzwyczaić...

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Coś w nim tkwiło. Coś obcego. To uczucie było okropne. Jak miał sobie z tym poradzić? Pochwyił rozpaczliwie klejnot na szyi. Sel puścił go z niepokojem.

— Pomóż mi... — szepnął Ross.

Klejnot zalśnił lekko. Drzwi kapitańskiej kajuty otwały się głośno. Oliwier znalazł się przy nim.

— To nic, Ross — powiedział mu cichym, spokojnym głosem z domieszką smutku. — To minie.

— Skąd możesz wiedzieć? — zapytał z nutą paniki.

Oliwier dotknął jego ramienia.

Porażające poczucie rozdarcia zniknęło... Ross odetchnął z ulgą. Spojrzał na swego nowego brata z wdzięcznością.

— Widzisz? — zapytał Oliwier ze smutnym uśmiechem.

— Kapitanie! — zawołał nagle sternik. — Zaraz cumujemy!

Ross skinął głową w milczeniu. Był ciekaw, kiedy przyzwyczai się do nadanego mu tytułu. Pogłaskał ucieszonego psa, który bardzo chciał go polizać.

Odetchnął głęboko.

— Róbcie co trzeba! — zawołał do Silasa, na co ten kiwnął głową. — Ja poszukam Mayene.

Oliwier spojrział na niego z mieszaniną uznania i lęku zarazem. Ross zastanowił się w duchu. Ostatnio robił rzeczy, o które nigdy by się nie podejrzewał. Było to dla niego naturalne niczym oddychanie. Zupełnie jakby został do nich stworzony. Mimo zagrożeń, które się z tym wiązały, akceptował to. To było jego życie. Jego nowe, prawdziwe życie. Obaj, on i Oliwier, spojrzeli w stronę portu. Sel uśmiechnął się na to lekko.

Po chwili Ross wsparł się o balustradę i przymknął oczy. Alesei uśmiechnął się krzywo do Oliwiera, licząc na to, że przyjaciel sprawi wiedźmie przykrą niespodziankę. Ten westchnął cicho, próbując odsunąć żal na dalszą przyszłość. Nie odszedł daleko, ale nie mógł nim teraz zawładnąć...

Sel uniósł głowę, gdy zobaczył sylwetki na niedalekim brzegu.

— Gdzie jesteś? — wyszeptał Ross.

Poprzez strumienie głosów i myśli odnalazł ją wreszcie. Odrzucił gniewne myśli, by ich nie wyczuła, i niczym wąż wślizgnął się do jej umysłu.

Stała, trzymając w swych rękach Pafiana.

Sel zobaczył, że na pomost wchodzą ludzie. Widział wśród nich Sai i tego milczącego elfa. Gestem nakazał im pozostać na swoich miejscach i zachować ciszę, wskazując im przy tym Rossa. Był pewien, że ocaleni zdążyli już co nieco opowiedzieć o jego umiejętnościach.

Nie mylił się.

Tymczasem na brzegu trwała dyskusja.

— Oto, co się teraz stanie — powiedziała Mayene do uzdrowiciela. — Oddasz mi się dobrowolnie albo na tym się nie skończy.

Wiwan milczał, obserwowany przez ludzi.

„Żałośnie to wygląda — przeszło wiedźmie przez myśl. — Widzą jedną kobietę przeciw całej gromadzie. I jeszcze do tego wzięłam sobie na głowę tego gnojka” — spojrzała na Pafiana z odrazą.

— Nie rób tego, Wiwanie! — krzyknął do niego brat.

— Mam inny pomysł — odparł spokojnie uzdrowiciel. — Puść go.

„Niegłupie. Pozbyłabym się ciężaru...Zaraz! — zastanowiła się jednak niemal natychmiast. — A niby czemu miałabym to zrobić?”

— Czemu miałabym to zrobić? — zapytała z drwiną. — Żeby wam było łatwiej mnie zabić?

„Wierci się jak kura na grzędzie” — denerwowała się tymczasem w duchu, choć Pafian prawie się nie ruszał.

— Weź mnie, skoro tego tak bardzo chcesz — odparł Wiwan. — A jego wypuść.

Coś było nie tak, czuła to. I nie chodziło o decyzję uzdrowiciela. To było do przewidzenia. Jest pewny, że użyje tej swojej mocy. Cóż, sprawi, że zmieni zdanie...

— Nie wierć się! — syknęła gniewnie do ucha swej ofierze, która jedynie lekko się poruszyła.

Ci ludzie! Otoczyli ją ze wszystkich stron! Nie będzie łatwo stąd uciec. Nie wypuszczą jej bez walki.

Wiwan zauważył, że wiedźma rozgląda się niespokojnie, marszcząc brwi. Jeszcze przed chwilą jej zimna pewność siebie budziła lęk. Czy teraz...?

— Chodź do mnie! — rozkazała, lecz w jej tonie zabrakło dotychczasowej stanowczości.

Jakby się śpieszyła. Wciąż spoglądała nerwowo na ludzi, którzy wyczuwając jej obawę, ciaśniej otoczyli wiedźmę i swojego uzdrowiciela. Tak nie zachowywała

się Mayene, którą poznał Wiwan.

— Ach, do cholery! — wrzasnęła zniecierpliwiona na Pafiana. — Jesteś gorszy od dziecka! Przestań się wreszcie wiercić!

Pafian prawie się nie ruszał!

Nawet góralom jej zachowanie zaczęło wydawać się dziwne.

— Waszebo — szepnął cicho Wiwan, nie patrząc w stronę dziewczyny.

Napięła łuk ponownie. Uniósł miecz. Ludzie zbliżali się wolno. Kto miał kusze i łuki, również się przygotował.

Mayene poczuła dziwny strach. Otaczali ją. A ona miała ze sobą tego głupka! Z nim nigdzie nie ucieknie!

Za chwilę rzucą się na nią, a ona nie ma przez niego pola manewru. Dopadną ją!

Zakląła szpetnie.

Po cholere go wzięła?!

I czemu ten uzdrowiciel tak dziwnie na nią patrzy?

Jego oczy są niepokojące. Zaraz na pewno ją czymś zaskoczy!

Musi pozbyć się tego śmiecia!

— Zawadzasz mi! — syknęła Pafianowi do ucha.

W następnej chwili zrobiła coś, co było wbrew dotychczasowym jej działaniom. Odepchnęła mężczyznę z całej siły, nie czyniąc mu krzywdy.

Pafian upadł na brukowaną ulicę. W tej samej chwili Mayene zrozumiała, że zachowuje się dziwnie... Jakby... T en lęk przed ludźmi! Przecież... Nigdy w życiu!

— Chodź tu! — Wiwan wyciągnął pośpiesznie rękę, pomagając wstać bratu. — Stań za mną!

Uniósł miecz na znak.

Mayene zaczęła węszyć. I nagle jej opalizujące oczy błysnęły.

— Czarodziej Klejnotu! — syknęła zła, lecz jednocześnie zaniepokojona, że tak łatwo dała się podejść. Wiwan wyczuł jej lęk.

Rozejrzała się.

Dał znak do ataku.

Otoczyli ją i powstał chaos, ale uzdrowiciel wiedział już, że to starcie przegrał.

Miał rację.

Mayene zniknęła.

— Co się stało? — zapytał Pafian z niedowierzaniem.

— Ross wrócił — odparł Wiwan.

— Czarodziej Klejnotu — zrozumiał szybko jego brat. — Ona się go boi.

Wiwan przypomniał sobie jej zachowanie sprzed chwili.

To dlatego zorganizowała porwanie...

Tknięty powracającym żalem nad utratą przyjaciół, objął mocno brata. Pafian to rozumiał. Ponad wszystko na tym świecie Wiwan kochał swoją rodzinę. Byli jego życiem. Jego tarczą. Jego esencją istnienia.

Obaj dopiero po dłuższej chwili spojrzeli w stronę, gdzie zginęła Julien.

Z pomocą innych Tenan uwolnił jej ciało spod konia. Nieszczęsne zwierzę trzeba było dobić. Szedł teraz z dziewczyną na rękach przytuloną do swej piersi, niemą i martwą. Jej ciemne włosy poruszały się na wietrze. Oczy były już zamknięte. Wyglądała jakby spała teraz w jego ramionach. Gdyby nie łyzy na jego zasmuconej twarzy, może część z tu zgromadzonych miałaby jeszcze nadzieję, że faktycznie tak jest. Że to sen wśród okowów nocy, nie śmierci. Lecz łyzy rozpaczy nikogo nie mogą oszukać. Świat nie zatrzyma się dla nich w miejscu, ale pozwoli im płynąć, by dotykały czułego serca.

Wzrok Wiwana spotkał się ze wzrokiem Tenana. Po raz pierwszy nie spoglądali już na siebie z niechęcią. Wiwan podszedł do nich. Jego spojrzenie szybko przeszło na Julien, którą Tenan trzymał kurczowo w dłoniach. Już nie mógł na niego patrzeć. Nie potrafił dłużej zatrzymać na nim wzroku, nie czując lęku i poczucia winy jednocześnie, że nie potrafi mu tak łatwo zapomnieć. Nie chciał łatwo zapomnieć. Wyrządzona mu krzywda była bolesna i ogromnie przytłaczająca. On, ten człowiek, był z nią powiązany. Sprawiał mu ból. Nie fizyczny. Ranił jego uczucia wspomnieniami. Choć teraz się zmienił, dzięki swemu darowi współodczuwania, a on o tym wiedział, to nie przekreślało tamtych wydarzeń. Ani związanych z nimi koszmarów. Wiwan nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie myślał inaczej.

Nie wiedział, że dzięki swemu wielkiemu sercu już zaczyna tak myśleć...

Dotknął twarzy Julien.

Nic.

Pustka.

Brak pulsu, zimne ciało. Nie było oczu wpatrzonych w niego siostrzanym wzrokiem. Nie było już słów wypowiedzianych z martwiejących ust. Ani miłości. Ani zrozumienia.

Dotknął jej dłoni, która tamtej nocy, gdy leżał zdruzgotany okrucieństwem ludzi i bólem, trzymała go przy życiu i nadziei.

Już nigdy nie zamienią ze sobą nawet słowa. Nigdy nie poczuje kojącego dotyku jej dłoni...

Oczy wezbrały mu od łez.

Poprzez żal i ból poczuł smutek obecnych. Rozpacz tamtego człowieka, który w milczeniu tulił ją w ramionach niczym skarb.

Ona go kochała.

Szybko, by żadna myśl nie sprawiła, że zmieni nagle zdanie, żałując tego, dotknął ramienia Tenana.

Cofnął ją.

Wszyscy patrzyli w napięciu. Gdy cofnął się, by go przepuścić, szmer głosów zakłócił nagle żalobną ciszę.

Stało się coś niezwykłego. Wielu z nich słyszało już historię Tenana, przekazywaną sobie z ust do ust w całym miasteczku. Byli tacy, którzy chcieli ganić uzdrowiciela za pochopnie okazaną życzliwość. Wielu żywiło mieszane uczucia. Jednak wszyscy patrzyli teraz na Wiwana z ciepłem w sercach. To był uzdrowiciel, jakiego znali.

Czekali na jego ostateczną decyzję.

W milczeniu opuścili broń i ruszyli do domu Seme...

Na widok siostrzenicy czekająca niespokojnie przed domem Seme zaczęła zawodzić z rozpacz. Jej głos przeniknął duszę Wiwana. W poczuciu klęski i niezmiernego żalu wszedł za żalobnikami do domu. Tam Tenan ucałował Julien, nim położył ją ostrożnie na stole pośród licznie zebranych.

Wiwana czuł wyraźnie jego boleść i poczucie samotności.

To, co na dobre przekonało do niego uzdrowiciela, pochodziło wprost z rozpacz jego serca, udowadniając Wiwanowi, że Tenan naprawdę się zmienił. Nie wyczuwał w jego zachowaniu fałszu i obłudy. Ani śladu dawnego wyrachowania.

Wszyscy ludzie byli Tenanowi obcy. Wielu z nich poznało historię pierwszego spotkania z uzdrowicielem. W klątwę rzuconą na niego prawie nikt nie uwierzył. Choć karkołomny manewr z końmi pomógł mu nieco w ociepleniu wizerunku, podobnie jak szczera rozpacz, wciąż odnosili się wobec niego nieufnie.

Wiwana wiedział, co rzeczywiście pozwoliłoby Tenanowi zyskać przychylność mieszkańców miasteczka.

Spojrzał na martwą dziewczynę.

Kiedyś całą noc trzymała go w ramionach, by nie odszedł w objęcia śmierci.

Nie zdołał zrobić tego dla niej, lecz czuł, co ucieszyłoby teraz jej serce.

Seme rozpaczła, tuląc do siebie dłoń Julien. Kirst nerwowo gładził rąbek jej sukni, nie patrząc na żadnego z obecnych.

Nikt nie zwracał uwagi na Tenana. Widząc ogromną żalobę rodziny Julien, zapomnieli prawie o jego istnieniu. Niektórzy zaczęli go nawet zwyczajnie ignorować, a widząc Seme traktującą jego obecność obojętnie (zbyt pochłonięta rozpaczą nie zwracała teraz uwagi na cokolwiek innego), uznali to za znak. Zaczęli napierać na niego, zmuszając go do cofnięcia. Chcieli, by wyszedł. Z początku stał niemy, jakby nieobecny, całkowicie zobojętniały. Pozwalał im na to. Jednak gdy ciało Julien zaczęli przesłaniać mu inni, ocknął się z niepokojem. Bez wahania obudził w sobie dawną zaciętość, by znów znaleźć się przy niej. Spotkało go za to kilka pierwszych złowrogich spojrzeń.

Nie uszło to uwagi Wiwana. Wyczuwał nastroje, więc bez trudu wychwytał

rodzącą się wrogość. W tym momencie napotkał też domyślne spojrzenie Waszeby i swojej matki.

Musiał to zmienić.

Ludzie rozstępowali się przed nim, gdy szedł do stołu.

Dotknął ramienia przybranej ciotki i wuja, dając im ukojenie.

Potem podszedł do Tenana.

Czuł, że wszyscy ich obserwują. Nie robił jednak tego dla nich.

Tenan spojrział na niego i nagle, jakby szukając w nim choć odrobiny zrozumienia, wyciągnął w jego stronę rękę, na której, według słów Julien, tkwiła bransoleta.

Trzymał ją teraz w dłoni.

— Powiedziała... — wykrztusił, przepełniony emocjami. — Powiedziała... pocałuj mnie, Tenanie — potrząsnął bezużyteczną bransoletą przed oczami Wiwana. — Pocałuj mnie... — powtórzył jak mantrę szeptem.

Wiwan nabrał tchu i zbliżył się do niego z drżeniem w sercu. Tenan jakby tylko na to czekał. Wystarczyło, że uzdrowiciel zapraszającym gestem powoli rozłożył ręce, a w następnej chwili Tenan rozszłochał się w jego ramionach, chroniony jego dotykiem przed niechęcią ludzi, która stopniała wobec dobroci i zrozumienia uzdrowiciela.

Wiwan zamknął oczy. Poczuł ulgę, jakby zdjęto mu z ramion wielki ciężar.

* * *

— Sai... — szepnął Oliwier w ciemnościach kajuty, gdy ochłonęła nieco po usłyszanych wieściach.

Tu go przyprowadziła, widząc w jakim jest stanie. Przytuliła go mocno, roniąc ciche łzy, jednocześnie jednak szczęśliwa, że jest z nią cały, zdrowy. Że jest żywy...

— Tak, Oliwierze? — zapytała cichutko.

Wtulił się w nią w milczeniu, co powiedziało jej więcej niż jakiegokolwiek słowa...

* * *

— Wyczuwasz ją? — cicho zapytał tymczasem Alesei.

— Ledwo — odparł Ross. — Oddaliła się. Jest gdzieś w lesie, czyli praktycznie gdziekolwiek.

— Może cię jakoś zgubić?

— Nie — pokręcił przecząco głową z przekonaniem. — Złapałem jej ślad. Zawsze ją odnajdę.

Alesei odetchnął z ulgą, a wtedy Ross dodał cicho:

— A ona zawsze odnajdzie mnie...

Poczuł, jak przenika go zimno. Otulił się szczelniej przyniesionym przez Sela kocem.

— Musimy iść — powiedział.

Poczuł wszechogarniający smutek na myśl o tym, co tam zastaną.

ROZDZIAŁ 15 — OCZEKIWANIE

Radość pomieszana z żalem towarzyszyła ich powitaniu. Oczywiście uściskano ich serdecznie, były też łzy wzruszenia i mnóstwo ciepłych słów pod ich adresem. Na wieść o ich powrocie pojawili się nawet ocaleni i kapitan Noren z załogą. Ross przywitał się ze wszystkimi przed domem obok powozu, by nie naruszać spokoju zmarłej. Ich powrót świętowano z wielką radością, gratulując Selowi i Aleseiowi udanej akcji ratunkowej z udziałem kapitana, który swoje odebrał w karczmie „Pod Jednorożcem”, gdzie tymczasowo postanowiono umieścić rodzinę hrabiego Beckerta i ich przyjaciół, dopóki okna w domu Seme i Kirsta nie zostaną wymienione.

Wiwan mocno uściśnął Rossa, nie kryjąc swojego wzruszenia, podobnie jak przyjaciel.

— Przykro mi, że tyle złego cię spotkało — szepnął mu do ucha. — Najbardziej martwiłem się właśnie o to, jak to zniesiesz.

Żal, który znienacka znów się pojawił, sprawił, że Ross nie mógł wypowiedzieć właściwych słów. Przyłgął więc tylko w milczeniu do swego przyjaciela, pozwalając mu ogrzewać się jego kojącym, uzdrawiającym ciepłem.

Dopiero po dłuższej chwili przekazał go w ręce Sela i Aleseia, dając sobie czas na ochłonięcie, nim przekaże najważniejszą wiadomość.

Zauważył, że nie ma dziadków Wiwana na tym powitaniu.

Poczuł ukłucie żalu w swym sercu. Dlaczego liczył, że może jednak zdoła coś zmienić? Gdyby i on znalazł się w gronie tych ludzi, to by wystarczyło. Ross doskonale rozumiał, że pewne rzeczy wymagają czasu. Także to, że choć ta myśl była dla niego bolesna, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jednak gdy chodziło o Wiktora, miał nadzieję... Najwyraźniej się mylił.

Westchnął w duchu, nie patrząc na Sela, który pewnie także to zauważył.

— Muszę wam wszystkim coś powiedzieć! — zawołał, gdy wreszcie ich odstępiono. — Jest z nami ktoś jeszcze. I myślę, że ta wiadomość przyniesie wam pewną pociechę!

Zgodnie, według ustalonego planu, on, Sel i Alesei odsunęli się na jedną stronę, a skromna załoga Cadellii na drugą, jakby torowali przejście. Zgromadzeni stanęli za nimi, prócz Beckertów i Seme z mężem, którzy zostali naprzeciw bramy,

wypatrując z niepokojem gościa.

Kiedy rozpoznano Sai i Dinna idących po obu stronach zakapturzonej postaci, wśród tłumu zawrzało.

Tknięta przecuciem Seme wyszła naprzeciw idącym, składając ręce na piersiach. Wiwan rozpoznał przybysza. Z trudem powstrzymał się, by nie wydać jego tajemnicy, ogarnięty mieszaniną ulgi i radości.

Odszukał wzrokiem Tenana stojącego w drzwiach domu. Tamten, wyczuwając jego spojrzenie, wyrwał się z zadumy, by także się temu przyjrzeć.

Uzdrowiciel uśmiechnął się przez łzy, gdy Oliwier ściągnął kaptur i pokazał się ciotce. Ta z początku znieruchomiała z zaskoczenia, by następnie objąć ocalałego siostrzeńca, zalewając go łzami radości i pocałunkami. Kirst, bardziej powściągliwie, dołączył do nich. Wiwan odnalazł rękę Waszeby. Zauważył, że Sel dyskretnie całuje Rossa w skroń, jakby czegoś mu gratulował, lecz nim zdołał się nad tym zastanowić, Seme zawołała:

— Ale jak?! Dziecko, jak przeżyłeś cały i zdrowy?! Przecież ja wiem... wszyscy wiedzą, jak to jest z bliźniętami!

Oliwier spojrzał ze smutnym uśmiechem na Rossa, który odruchowo się wyprostował, gdy spojrzenia wszystkich stopniowo zaczęły zatrzymywać się na nim.

— Dzięki niemu, ciociu — odparł z wdzięcznością, wywołując szmer wśród tłumu. — Żyję dzięki niemu. I Klejnotowi Nadziei. Chociaż teraz nie wiem, czy cieszyć się, czy płakać. Wiem jedno: miłość, która stworzyła ten klejnot, pozwoliła na to, by Ross uratował mi dziś życie. Klejnot nie mógł trafić w lepsze ręce. To musiałeś być ty, Ross. Julien także to wiedziała.

Ross, speszony otaczającą go życzliwością i zawstydzony, spuścił wzrok.

Ludzie podeszli do niego.

Poklepywali go po plecach, zagadując życzliwie przez długi czas, nim powoli rozeszli się do swoich spraw.

— Drugi raz cię tak poklepują — zauważył Alesei. — Zaczynam być zazdrosny.

Sel uśmiechnął się tylko w zadumie.

— Chcecie ją zobaczyć? — zapytała zapłakana Seme, rozwiewając ten podniosły nastrój.

Ross uściskał ją mocno, wywołując tym gestem nowe łzy wzruszenia.

— Tak — odparł jej ciepło.

— Tak, ciociu Seme — rzekła mu do ucha. — Oliwier mi wyjaśnił, gdy otoczyli cię ludzie. Jesteś teraz członkiem naszej rodziny, Ross. Tu jest twój dom. I twoich przyjaciół.

— Seme...

— Taaa... Oliwier też tak zwykle do mnie mówi. Może być, skoro się

upierasz! Ale odtąd jestem dla ciebie ciotką, a Kirst — wskazała męża, który uściskał mu dłoń — jest twoim wujem. Nasi chłopcy, którzy wkrótce wrócą do domu, twoimi kuzynami. Jesteś nie tylko przyjacielem, ale i bratem Oliwiera i tak będziesz traktowany w naszej rodzinie! Rozumiesz?

— Ale...

Zdenerwowała się.

— Ale co? Bez gadania, Ross! Jesteś nasz i kropka! Chodźcie już! Gdyby Julien wiedziała...Oliwier! — uściskała siostrzeńca spontanicznie, jak to było w jej naturze. — Bądź teraz silny! Trzeba przez to przejść! Chodźcie!

Ross gestem dał jej znać, że zaraz dołączy, pozostając jeszcze z Selem, Aleseiem, Wiwanem i Waszebą oraz resztą przyjaciół na pustoszejącym już placu. Świtało. Zmęczeni ludzie postanowili iść do swoich domów. Widać było, że pomimo zamieszania Erlon nie zapomniał o swoich obowiązkach. Wciąż jeszcze omawiał sprawy organizacyjne i wyznaczał ludzi do zadań, gdy Wiwan się za nim obejrzał.

— Słyszałeś to, co ja słyszałem? — zapytał Ross swego kochanka, czując w głowie zamęt.

— Jak my wszyscy, Ross. Jak my wszyscy — odparł na to Sel z czułym uśmiechem, zerkając w stronę, gdzie prawdopodobnie znajdował się na wzniesieniu dom sympatycznych staruszków, którzy gościli go z taką życzliwością.

Nagle zatęsknił za nimi, mile dotknięty życzliwością Seme. Pomyślał, że chciałby się wreszcie z nimi przywitać. Na pewno czekają na jakieś wieści.

Gdyby spojrzeć teraz na Dinna, zauważyłby jego utkwiony w nim smutny wzrok.

— Słyszałaś, Julien? — zapytał cicho Ross.

Klejnot załśnił na jego piersi ciepłym światłem.

* * *

Niezauważony przez Wiwana i jego przyjaciół, Tenan wrócił do gospody „Pod Jednorożcem”, czując się, pomimo zrozumienia uzdrowiciela, jak bezdomny pies. Pozostawił Julien wśród jej bliskich, sam czując się kompletnie wyczerpany i pusty.

Wano uściskał go i poklepał aż zadudniło.

— Mam twój pokój — powiedział mu, ale Tenan pokręcił przecząco głową.

— Położę się gdziekolwiek, byle nie tam — odparł. — Nawet na podłodze za barem.

— Tak też myślałem — rzekł mu na to Wano, kiwając głową ze

zrozumieniem. — Dlatego twoje rzeczy są już w moim domu, a Sarana przygotowała ci ciepłe łóżko i kąpiel. Miałem nadzieję, że będziesz chciał skorzystać z naszej gościny.

— A ty dalej swoje! — zamruczał Tenan, jednak już bez przekonania.

— Tenanie... — rzekł mu przyjaźnie karczmarz, lekko go popychając ku wyjściu. — Idź.

— Nie zabawię tu długo — powiedział mu. — Wyjadę jak tylko ta suka zdechnie. Jutro najpóźniej — dodał mściwie z błyskiem w oku.

— A dokąd niby pójdziesz jak już będzie po wszystkim?

— Przed siebie.

Wano uniósł swoje krzaczaste brwi.

— A gdybym powiedział ci, że mam dla ciebie robotę? Pomagałbyś mi?

Tenan odwrócił wzrok.

— Już na to za późno, Wano — odparł ponuro. — Nie ma już dla mnie przyszłości.

Wano pochwycił jego rękę, w której Tenan wciąż trzymał bransoletę.

— A to? — zapytał, wskazując na przedmiot. — To nic nie znaczy?!

Tenan pokręcił przecząco głową, próbując się wyrwać.

— Nic.

— Głupiec! Zmarnujesz jej miłość, myśląc o śmierci!

— Ona jest martwa! I ja też, Wano! — krzyknął Tenan. — Może tego nie widzisz, ale ja też jestem już martwy! Nic mnie tu już nie trzyma! Nic! Tylko zemsta!

— Możesz zacząć żyć od nowa!

— Nie potrafię zrobić tego sam! — Tenan wyszarpnął się z jego uścisku. — Już nie.

— A twoja rodzina? Ta, którą zostawiłeś?

— Dla nich jestem martwy już od dawna. Nikogo nie obchodzę. A gdy jutro spotka mnie tu człowiek, któremu zabiłem żonę, może pozwolę mu zrobić ze mną, co tylko zechce.

— A jest takowy?

— Sel, przyjaciel uzdrowiciela.

— To on miał żonę?! — mimowolnie zdziwił się Wano. — Przecież...! — opamiętał się szybko pod spojrzeniem Tenana. — To był rozkaz, tak?

— Wszystko jedno — odparł mu obojętnie.

Wano naprawdę szczerze pożałował, że nie ma tu teraz Julien albo chociaż jego żony. Na pewno poradziłyby sobie lepiej w tej sytuacji.

— Nie pokazuj się mu na razie — doradził.

— Pewnie w ciągu najbliższego dnia odbędzie się pogrzeb — zauważył Tenan. — Nie zamierzam cię słuchać.

— Cholera!

Zamilkli.

— Nie da się ominąć, to trzeba wleźć — powiedział w końcu Wano. — Słyszałeś?

— Wiedziałem, że to powiesz — mruknął Tenan.

* * *

Ross zapewnił przyjaciół, że będą wiedzieć o Mayene długo przed tym, nim postawi nogę w mieście. Choć wyczuwał, że sprawdzała jego możliwości, stosując różne zaklęcia kamuflujące, wiedział, że te próby się nie powiodą. Istniał jeden zasadniczy powód, przez który Mayene nie zdołała w żaden sposób oszukać Klejnotu. Siłą napędzającą moc Klejnotu była miłość, niezaprzeczalnie obecna także w sercu Rossa. Było to uczucie, do którego Mayene nie była zdolna, nie potrafiła więc nawet go naruszyć.

Oczywiście rozważała plan, by podstępnie zatruć myśli czarodzieja, budząc w nim niepewność do miłości jego partnera i prawdy w okazywaniu uczuć przez przyjaciół. Chciała, by poczuł się niepewny, oszukany i odrzucony.

Sęk w tym, że Klejnot, a więc także i Ross, wiedzieli o każdym jej pomysłe. O tym Ross nie chciał mówić nikomu. Niepokój, jaki w nim wzbudziły jej myśli, nie pozwolił mu przespać spokojnie kilku godzin poranka, bo jeśli coś naprawdę mogło go zboleć, to właśnie to. W końcu, gdy Sel naprawdę zaniepokoił się jego stanem, opowiedział mu o tym, co knuła Mayene.

— Widzisz — rzekł mu Sel. — Już sam pomysł zatruł twoje myśli i sprawił, że jesteś niespokojny. A przecież o to jej chodzi! Nie daj się jej. Znasz mnie. Znasz naszych przyjaciół. Popłynąłem po ciebie, a oni okazali swoje uczucia do ciebie, choćby wczoraj — uścisnął jego rękę. — Masz chłodną dłoń — zauważył z niepokojem.

— Zimno mi — odparł mu Ross, rzeczywiście wtulony w pierzynę po uszy. — Odkąd jej dotknąłem, ciągle mi zimno. Jakby odbierała mi całe ciepło.

„Demon — pomyślał Sel — pochłania ciepło. Wczoraj coś o tym wspominali”.

— Odetnij się od niej — poprosił, tuląc się do jego pleców i obejmując go.

— Nie mogę — odparł Ross. — Dzięki temu wiem, że jest teraz daleko.

— Czujesz się słabszy?

— Nie. Tylko niewyspany.

Sel przymknął oczy.

— Lepiej? — zapytał po dłuższej chwili.

Poczuł, że skóra Rossa, nawet przez koszulę, zrobiła się znacznie cieplejsza. Mimo to czekał na odpowiedź z niepokojem.

— Znacznie lepiej — odparł sennie Ross.
Sel zaczekał, aż oddech kochanka przejdzie w miarowy rytm snu.
„Czuwasz?” — w myślach skierował pytanie do Klejnotu.
TAK — padła odpowiedź charakterystycznym, melodyjnym głosem.
Sel nie zamknął już oczu.

* * *

Dinn był wdzięczny Wiwanowi za przywrócony spokój. Nie wierzył, że jeszcze kiedykolwiek zaśnie. Pafian z podejrzanym zapalem postanowił mu towarzyszyć w wyznaczonym przez karczmarza pokoju. Oczywiście nie mógł przy tym odmówić sobie przyjemności, by nie mrugnąć znacząco do brata, gdy rodzeństwo nie widziało. Jak zawsze był pod tym względem niepoprawny.

Oliwiera i Sai wzięła pod swoje skrzydła ciotka, więc Wiwan nie miał szans, by dostać się do przyjaciela. Nie był z tego powodu zadowolony. W końcu jego dotyk koił skołataną nerwy, lecz tu Seme stwierdziła, że sama sobie poradzi.

Wymienili jedynie porozumiewawcze spojrzenia, co uspokoiło Wiwana. Oliwier najwyraźniej znosił to lżej dzięki więzi z Rossem.

Wszedł więc z Waszebą do wyznaczonego pokoju jako ostatni.

Widok przepięknie rzeźbionego łoża i subtelnego wystroju wnętrza uprzytomnił im, że karczmarz ugościł ich pokojem dla nowożeńców lub bogatych par. Instynkt podpowiadał to pierwsze. Stara prawda głosiła, że plotki szybko się rozchodzą. Któryś z mężczyzn towarzyszących ojczymowi uzdrowiciela w obronie domu Seme i Kirsta miał widocznie za długi język. Może nawet wszyscy. Z pewnością sensacją była wieść, że Wiwan, wielki uzdrowiciel, przespał się z kobietą. Wyobrażał sobie zaciekawienie mieszkańców na pogrzebie zamordowanych.

Przygłębiało go to.

Czuł się strasznie spięty, rozdrażniony i smutny jednocześnie. Złościła go własna powolność, gdy przyszło do zwalczania Mayene. Gdyby tylko był szybszy...

— Ross powiedział, że Mayene jest daleko — powiedziała łagodnie Waszeba na widok jego posępnej miny.

Podeszła powoli, by ująć go za rękę.

— Chodź — szepnęła, patrząc na niego łagodnie.

Wiwan spojrział na nią wzrokiem zranionego do granic zwierzęcia. Tak, wyczuła to, o czym pomyślał.

— Chciałam zrobić ci kojący masaż — wyjaśniła mu ciepło. — Są tu olejki relaksujące. Wano dba o gości tego pokoju — dotknęła jego twarzy. — Niczego nie zrobiłabym wbrew twojej woli.

— Przepraszam — szepnął, całując ją w policzek. — Myślę o tylu rzeczach jednocześnie...

— Wiem.

Pozwolił zaprowadzić się do łóża. Z nutą wahania sięgnęła do guzików jego koszuli.

— Zdejmę ją — oznajmiła, nadal zachowując spokój.

Gdyby tylko potrafił, spałby się jeszcze bardziej. Ścisnęło jej się serce.

— Do masażu — przypomniała mu.

Niepewnie pozwolił jej odpiąć guziki i zdjąć koszulę. Nim wpadł w większy niepokój, poleciła położyć się na brzuchu, po czym przygotowała olejki. Wtedy, w blasku lamp oliwnych, zobaczyła blizny na plecach.

Skłamałaby, gdyby powiedziała, że ten widok przestał być dla niej wstrząsający. Mała ochotę wycalować każdą bliznę, usuwając ją na zawsze, gdyby tylko mogła. Poczwała wzbierające pod powiekami łzy.

Poruszył się niespokojnie, co przypomniało jej, że on doskonale wyczuwa emocje u innych.

Sięgnęła po jeden z flakoników.

Używanie tego olejku sprawiłoby, że Wiwan z pewnością by się odprężył i stał podatny na pieszczoty, więc nawet się nie zawahała. Właśnie tego mu było trzeba, choć sobie tego nie uświadamiał.

Ogrzała nieco wonny olejek w swej dłoni i delikatnie rozsmarowała na skórze pleców, ramion i szyi. Potem zaczęła masaż wprawnie i bez wysiłku, pozwalając olejkowi wnikać w jego pokrytą bliznami skórę i zarysowane mięśnie.

Westchnął z ulgą, poddając się jej dłoniom. Napięcie zniknęło, lecz ona dodała olejku, by jeszcze go odprężyć.

Z wolna jej dłonie, podążając za ukrywanym pragnieniem i tęsknotą, zaczęły dotykać go bardziej subtelnie, zmysłowo. Erotyka tych ruchów, ich pozorna powolność i sięganie palcami pod materiał spodni, niby mimochodem, nie uszły uwadze Wiwana, zdecydowanie odwracając jego uwagę od ponurych myśli. Czekwała, masując wszędzie tam, gdzie sięgały jej dłonie. Czy będzie zły za ten jej niewinny podstęp?

— Zdejmij resztę ubrań — poleciła mu, a potem szybko się poprawiła, czując jak serce jej przyśpiesza na tę myśl: — To znaczy... zdejmij spodnie, tylko spodnie.

Ich spojrzenia się spotkały, gdy wypełniał jej polecenie. Bardzo, bardzo starała się wyglądać niewinnie, ale nie sądziła, by dał się oszukać. Jednak nie protestował. Najwidoczniej chciał poznać dalszy ciąg.

Ponownie położył się na brzuchu, a Waszeba poczuła suchość w ustach. Znów zaczęła masaż, tym razem jednak poczynając sobie śmieiej. Pod bielizną wyczuwała jego delikatną skórę na pośladkach. Gdy zaczęła masować mu uda,

sięgając coraz wyżej, usłyszała cichy jęk i urywany oddech.

Dobrze.

Czuła między nimi wibracje. Ciało Wiwana reagowało na zakamuflowane pieszczoty. Zaciśnięła dłonie na poduszce.

— Co robisz? — zapytał cicho, rozgorączkowany jej dotykiem.

Poczuła drżenie na dźwięk tego głosu, a ciało rozpało gorączkowe pragnienie.

Olejek potęgował ich emocje. Wolno, zaczynając od nasady włosów, obsypała go delikatnymi pocałunkami. Słyszała jego przyśpieszony oddech i cichy jęk, który sprawił, że dręczyła go gorliwie zmysłowością pocałunków i dotykiem swych dłoni. Uwielbiała, gdy tak jej ulegał.

Zdjęła ubranie, śledzona jego rozpalonym spojrzeniem, po czym zmusiła go do przewrotu na plecy. Usiadła na nim i pochyliła się, pozwalając mu na pieszczoty. Jego dłonie dotykały jej piersi, usta paliły od pocałunków. Prężyła się pod jego dotykiem.

Wreszcie usunęli ostatnią przeszkodę i wpuściła go do środka...

Znaleźli się blisko siebie, twarz przy twarzy, spleceni nierozzerwalnie, połączeni intymnie, poruszając się nieśpiesznie. Naparła na niego, wsuwając go w siebie maksymalnie głęboko.

Spojrzał na nią poruszony i drżący z emocji. Zapało jej dech od tego spojrzenia. Zatrzymali się, smakując tę chwilę absolutnej więzi.

Wydawało się, że widzi w jego oczach coś więcej niż namiętność.

Lśniły.

Powoli poruszyli się w zgodnym rytmie, aż jednocześnie osiągnęli spełnienie.

Chwilę później Wiwan przytulił ją mocno do siebie, drżący, czego była już pewna, nie tylko z powodu przeżytego uniesienia, lecz i ukrytych emocji. Nie widziała już jego twarzy.

Poczuła przejmujący smutek, który szybko zatarł w pamięci radość spełnienia, jakby byli razem po raz ostatni.

Pod palcami czuła wypukłości i wgłębienia blizn na jego plecach i bokach, świadectwo zła, jakim odpłacili się ludzie za jego dobroć.

Nie pozwolił spojrzeć sobie w oczy. Przytulił ją tylko mocno w milczeniu.

— Nie żegnaj się ze mną — szepnęła mu więc w cichym niepokoju serca.

Nie odpowiedział. To zasmuciło ją jeszcze bardziej, jakby już go straciła, choć wciąż był przy niej, tak ciepły, kojący. Niezwykły.

— Kocham cię — tchnęła uczucia w te słowa, mimo że wbrew sobie.

Wtedy pocałował ją żarliwie, mocno, targany uczuciami, których tak się bała, choć serce już przeczuwało rozstanie.

* * *

Sai spojrzała na postać siedzącą w bujanym fotelu zwróconym w stronę okna. Koc zsuwał jej się z kolan w delikatnym, słabym rytmie ruchu płóć mebla.

— Dobrze, że przyszłaś — powiedziała żona karczmarza. — Nie spał ani przez chwilę. Nie chce jeść. Może uda ci się chociaż namówić go na herbatę — szepnęła konspiracyjnie i dodała jeszcze ciszej, nachylając się do ucha dziewczyny: — Lepiej, żeby go tam nie było. Wybuchnie straszna awantura. Pogrzeb to nie jest dobra chwila na takie rzeczy. Obaj powinni mieć prawo do żalu. Kiedy odbędzie się uroczystość?

— Wieczorem. Chyba że Mayene nam przeszkodzi — odparła równie cicho Sai. — Wszyscy musimy odpocząć.

Patrzyła na Tenana ze smutkiem. Nawet nie zauważył jej przyjścia. Z jednej strony wyglądał lepiej, skutki pocałunku wiemy nie były już tak widoczne, lecz z drugiej strony... stanowił żywe odbicie jej ukochanego Oliwiera, którego właśnie ułożyła do snu, podając mu uspokajającą herbatę na jego życzenie. Był tak rozdygotany i przemęczony, że ledwie trzymał się na nogach. Jednak nie potrafił zasnąć, dlatego poprosił o pomoc. Ta z kolei z pewnością potrzebna była teraz też i Tenanowi, którego bursztynowe oczy wypełniało cierpienie.

Nie zazdrościła mu obecnego losu. Nie miał nic. Nie miał czego się trzymać. Jedyna osoba, dla której narażał się na niebezpieczeństwo — umarła. Dobrze że chociaż Wiwan mu wybaczył na oczach wszystkich. Wiedział, że to pomoże Tenanowi zjednać ludzi. Ale był jeszcze Oliwier.

No i Sel...

Podeszła do niego cicho. Lekki zarost pojawił się na jego twarzy o zapadniętych oczach, z widocznymi cieniami pod dolnymi powiekami.

Poprawiła mu koc.

Spojrzał na nią, zaskoczony jej widokiem, jakby nie spodziewał się, że jeszcze ją zobaczy.

Jak mógł myśleć w ten sposób po tym, co im opowiedział?

— Co tu robisz? — zapytał cicho i nieco zbyt ostro. — Powinnaś być z Oliwierem. Na pewno cię potrzebuje. Na pewno bardziej niż ja.

— Śpi.

Tenan przyjrzał się jej ze smutkiem.

— Przyszłaś na ostatnią rozmowę ze skazańcem?

Sai położyła swoją dłoń na jego.

— Przyszłam, bo przy tobie mogę płakać — powiedziała, a łzy, jakby wywołane, spłynęły po jej policzkach. — Mój żal raniłby Oliwiera. On i tak już cierpi. Alesei ma dobre chęci, ale nie chcę jego pociechy. Nie mam już przyjaciółki, z którą mogłam porozmawiać. I to już po raz drugi w tak krótkim

czasie... Ta pustka pożera moje serce. Dziś tylko ty potrafisz mnie zrozumieć. Ty i ja mamy przeszłość, której nie chcemy pamiętać. Straciliśmy tych, których wciąż kochamy.

— Jestem mordercą.

— Byłeś niewolnikiem, Tenanie. Pamiętasz Ramoza, prawda? Byłam jego niewolnicą. Ja i Lena. Ty i ja znamy już ten ból.

Uściskał jej dłoń. Wstał i objął ją delikatnie, czując, że właśnie tego oczekiwała. On także chyba na to czekał.

Przez chwilę po prostu milczeli.

— Chciałbym ją zobaczyć, ten jeden, ostatni raz — powiedział cicho, gdy wycisz yli emocje.

— Chodź — wzięła go za rękę. — Nikt nie może ci tego zabronić.

Seme nie była zadowolona z jego przybycia. Niechętnie wpuściła go do małego pokoju, w którym naprawiono już okiennice. Panował tam przenikliwy chłód. Białe ciało Julien ubrano w białą suknię. Leżała na długiej ławie. Jej twarz była spokojna, jakby spała. Długie, ciemne włosy opadały na jej ramiona. Dłonie były złożone na piersi.

Tenan pochylił się, włożył w dłonie złamaną bransoletę. Złożył ostatni pocałunek na ustach ukochanej...

* * *

Dinn zobaczył Sela schodzącego do izby jadalnej. Poprosił cicho karczmarza o przysłanie posiłku do pokoju. Podszedł do konstruktora, nim ten wrócił na piętro.

— Sel — zagadnął najłagodniej, jak umiał. — Muszę ci o czymś powiedzieć...

Gdy skończył, Sel milczał, niezdolny wyrzec słowo.

— Sąsiedzi już się nimi zajęli — dodał cicho. — W domu znaleźli list do ciebie. Pewnie napisali go na wszelki wypadek, gdyby coś im się stało. — Wyciągnął kopertę z kieszeni. — Gunter i Maria nie mieli dzieci. Dom jest twój, jeśli tylko zechcesz. Wiem, że to w niczym nie uko i straty, ale może pocieszy cię fakt, że pokochali cię jak kogoś bliskiego tak bardzo, że podarowali ci swój jedyny majątek.

Sel pomyślał gorzko, że ta miłość przyniosła im tylko straszną śmierć.

— Znow k toś umarł... — zaczął cicho, głosem przepełnionym żalem i urwał nagle.

Dinn patrzył na niego, nie bardzo rozumiejąc, o czym tamten myśli. Nie znał całej jego historii. Miał tylko rozpaczliwą nadzieję, że jego domysły nie są prawdą. Gdyby tak było, los dusz tych dobrych ludzi byłby taki, jaki chciała mu zgotować Mayene. Sel z rozpaczy by się załamał.

Jeśli to okaże się prawdą, śmierć wiedźmy im pomoże.

Nie powiedział Selowi o swoich podejrzeniach.

— Powiedz Rossowi, że poszedłem do powozu — powiedział z trudem Sel, ledwo nad sobą panując, nim wyszedł bez żadnego wierzchniego okrycia, nie zważając na zimno.

Dinn z ciężkim sercem poszedł więc do pokoju, gdzie spał Ross, ale przed drzwiami zastał już dziadka Wiwana. Teraz nie mógł przekazać wieści. Nie chciał psuć tej szczególnej chwili. Wiedział od Pafiana, jak bardzo wyczekiwane to było spotkanie. Oddalił się więc.

Ross spał niespokojnie. Nie słyszał dyskretnego pukania.

Śniło mu się, że jest w Domu Rozkoszy z klientem, który chciał jego usług. Odmawiał mu, lecz klient nalegał. Był natarczywy. Obleśny. Gdyby Sel go zobaczył... Nie chciał pieprzyć się z klientem. Chciał być z Selem. Ale ciągle coś go od niego odpychało. W końcu Sel spojrział na niego tak, jakby Ross właśnie go zdradził, choć robił, co mógł, by uciec od namolnego klienta i wyjść z pokoju. Wtedy go zostawił. A on sam nadal nie mógł wyjść. Nie mógł uciec!

ROSS — usłyszał Klejnot. — OBUDŹ SIĘ! WE ŚNIE PODRÓŻUJESZ MIĘDZY WYMIARAMI!

Nagle wszedł mu w słowo inny głos...

— MAM CIĘ!!!

Tego głosu nie mógłby pomylić z żadnym innym. Mayene wdarła się do jego snu, wstrząsając nim do głębi. Przeraził się, bo w żaden sposób nie był na to przygotowany. W dodatku ten koszmar wytrącił go z równowagi.

To ona mu go zesłała! Krótki błysk myśli wystarczył, by to zrozumieć. To...

Ktoś dość mocno poruszył jego ramieniem, by go obudzić. Usłyszał, jak wypowiada jego imię natarczywym tonem:

— Ross! Zbudź się, synu. No już!

Otworzył gwałtownie oczy, nabierając powietrza. Ku swojemu zdumieniu, napotkał zatroskane spojrzenie Wiktora, dziadka uzdrowiciela. Był chyba ostatnią osobą, jaką spodziewał się teraz zobaczyć. Przecież wtedy nawet go nie przywitał! Nawet nie przyszedł! Czemu więc zrobił to teraz?!

Choć właściwie nie czas teraz i miejsce na te dywagacje. Wyrwał go z macek wiedźmy i był mu za to wdzięczny.

— Mój Boże! — powiedział stary duchem, lecz nie ciałem Wiktor. — Co ci się śniło?

Rossem wstrząsnął zimny dreszcz. Wciąż był ogarnięty paraliżującym strachem. Nie potrafił tego powstrzymać. Czuł się roztrzęsiony tym koszmarem i wtargnięciem do snu przez Mayene. Ledwie nad sobą panował, więc wołał milczeć. Skulił się, owijając na wpół świadomie kołdrą, niezdolny do jakiegokolwiek innego ruchu. Wiktor wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kapoty

swoją starą, pochodzącą z innego świata manierkę i podał mu ją szybko.

— Masz, pij! — nakazał krótko, otworzywszy butelkę, przejęty jego stanem.

Ross przyjął manierkę, którą znał z widzenia, lecz nigdy nie miał okazji skosztowania jej zawartości, i upił potężny łyk. Poczłł mocne palenie w gardle, jakby trawił go ogień, aż się zakrztusił i łzy stanęły mu w oczach.

— Jeszcze! — zachęcił go Wiktor. — To nasza polska wódka! Czegoś takiego jeszcze nie próbowałeś w życiu, prawda?

Ross pokręcił przecząco głową. Posłusznie jednak wypił drugi łyk. Poczłł palące działanie alkoholu rozgrzewającego jego wnętrzości, co wcale nie było takie złe.

Rozjaśniło mu w głowie.

— Jeszcze? — zapytał Wiktor z nadzieją, lecz Ross energicznie oddał manierkę, kręcąc głową.

— Błagam, nie... — wykrztusił tylko.

Czuł się lepiej, a groza przeżytego koszmaru nieco zbladła, choć pozostał strach, że Mayene jest nadal w jego umyśle i trzyma go w swych szponach.

Udało się jej. To naprawdę jej się udało.

NIE MA JEJ. PRZEDARŁA SIĘ TU PRZEZ SEN. ZA DRUGIM RAZEM BĘDĘ CZUJNY — zapewnił go Klejnot. — JUŻ SIĘ DO CIEBIE NIE DOSTANIE. NIE POZWOLĘ NA TO.

Zamknął oczy w cichej udręce, czując, jak coś nieuchronnie zbliża go do granic wytrzymałości. To stawało się coraz trudniejsze. Raz po raz raniono go boleśnie. Coraz trudniej było mu podnosić się po kolejnym ciosie, a serce, wciąż obolałe po odrzuceniu przez matkę, nie przestawało krwawić, czułe na każdą zadaną krzywdę.

W dodatku to zimno. Nieustanne zimno, odkąd dotknął umysłu Mayene...

Działo się z nim coś bardzo złego. Czuł to.

— Już dobrze — Wiktor niepewnie pochylił się, by, ku jego zdumieniu, z ojcowską czułością pogłaskać go po włosach. — Już po wszystkim. To tylko sen. Tego już nie ma.

Przemawiał do niego, dopóki Ross się nie uspokoił. Delikatnie, z troską, jak nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Poruszony tym do głębi Ross marzył, by ta chwila nigdy nie minęła. Odpoczywał psychicznie, czując szczerą troskę starego weterana, pozbawioną wreszcie uprzedzeń.

— Powiedz coś — przemówił do niego dziadek uzdrowiciela po dłuższej chwili.

Wtedy rozejrzał się za Selem, zaskoczony, że nie czuje jego obecności. Nie było go. Zatęsknił za nim boleśnie, spragniony jego dotyku.

— Pewnie zaraz wróci — powiedział Wiktor, widząc wzrok młodzieńca błędzący po pomieszczeniu.

Ross zmieszał się i opamiętał nieco, teraz z zupełnie innych powodów. Wiktor przeżyłby wstrząs, widząc ich czułość. Zrobił wielki krok naprzód tym troskliwym, ojcowskim gestem, dając mu odczuć, że go akceptuje, tak jak Ross zawsze marzył. Choć otwarcie tego nie przyznał przed porwaniem, Ross czuł, że stary weteran go lubi, tylko ciężko mu jeszcze tak po prostu się przestawić i zaakceptować inność w jego świecie. Ale się starał. Obaj z Selem wiedzieli, że musieli postępować delikatnie, bez nacisku, jeśli chcieli zyskać jego przyjaźń i akceptację. Czułe gesty nie pomogłyby, a już z pewnością nie w jego obecności. Wiktor musiał widzieć wychodzącego Sela, dlatego przyszedł, choć to też wymagało pewnej odwagi z jego strony. Nie wiedział, co może tu zastać.

— Pomyślałem, że zajrzę — powiedział mu teraz, siadając na brzegu łoża.

Udał, że nie widzi tego, jak kompletnie zaskoczony wizytą Ross nerwowo sprawdza, czy ma na sobie koszulę. Gdy ochłonął po koszmarze, jego serce ponownie wpadło w szybki rytm, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi.

— Cieszę się — odparł Ross cicho.

Wiktor spojrzał na niego z powagą w oczach.

— Dawne życie ci się śniło — na wpół zapytał, na wpół stwierdził. — Mówiłeś przez sen.

Oddałby złotego dukata za to, żeby dowiedzieć się, co takiego powiedział i co teraz Wiktor o nim myśli. Ten wyczytał z jego twarzy ogrom zażenowania po tych słowach. Powiedział więc spokojnie:

— Nie przyszedłem cię tu oceniać, Ross. Cokolwiek było, jest już za nami.

Widać jednak było, że myśli o tym, co usłyszał, wobec czego Ross poczuł niepokój.

Wiktor odetchnął głośno. Spojrzał na niego ciepło.

— Sel gdzieś wyszedł — zaczął tłumaczyć, wyraźnie kończąc tamten temat. — Pomyślałem, że sam jesteś, a moja jest zajęta Seme... Więc możemy pogadać. No, bośmy się dotąd nie widzieli, prawda? Tak cię wszyscy obsiedli, że ani chwili spokoju nie było po tym całym starciu. Ale widziałem, jak cię Seme do rodziny przyjął. Cieszysz się pewnie, co? Teraz masz wreszcie normalną rodzinę. Teraz już nie potrzebujesz przy mnie siedzieć...

— Panie Wiktorze... — zaczął Ross, gdy trochę ochłonął.

— Panów tu żadnych nie ma i nie było. Mówiłem ci, ale sam się upierałeś, że niby nie wypada!

— Sel tak mówi...

— To niech też przestanie, Ross! — Wiktor spojrzał na niego zdenerwowany i Ross struchlał nieco.

Starszy pan nie lubił, jak mu się wytykało, że zachował się nieuprzejmie. Rossowi pozwolił mówić sobie po imieniu, lecz Selowi nie, stąd dziwna reakcja Rossa.

— Nie bocz się na mnie o takie pierdoły — pomachał mu Wiktor ręką przed twarzą. — Rozumiesz? Za mądry na to jesteś!

— Tak jest — odparł posłusznie Czarodziej, lecz bez przypochlebiania, mile polechtany słowami Wiktora.

Nastała chwila milczenia.

— Martwiłem się — odezwał się Wiktor. — Oni mi tu nie chcieli mówić co i jak, ale coś tam od Leny usłyszałem. O twojej matce.

Ross odwrócił wzrok.

— No i ci ludzie, co to z tobą byli... opowiadali wszystko. Mikela się popłakała.

Czułość do karczmarki wezbrała w sercu Rossa.

— Blizny masz — zauważył cicho Wiktor. — Zabić cię kazała.

Emocje wciąż były zbyt świeże, by Ross mógł podejść do przeszłości z dystansem. Poczul pieczenie pod powiekami.

— Chcesz mieć ten cały statek? — Wiktor taktownie udał, że nie widzi jego wzruszenia.

Ross skinął głową z przekonaniem, mającym swe źródło w przeszłości.

— A co myślisz o Seme? Cieszysz się, że cię przyjęła do rodziny?

Ross znów skinął głową, niezdolny wyrzec choćby słowo.

— Ano — powiedział Wiktor. — Szkoda, że była pierwsza.

Ross, zaskoczony i poruszony, spojrzał na niego.

— Skoro masz statek — wyciągnął nagle zawiniątko, które ukrywał za plecami — to pewnie chcesz mieć wiatr w żaglach. Wyplyniesz gdzieś daleko — odwinął tajemniczy pakunek, a wzruszony Ross zobaczył miniaturę Cadelii wielkości dłoni, nieco niedokładną, ale rozpoznawalną. — No, to wiatry muszą ci sprzyjać, więc pomyślałem, że jak dam ci to... — Wiktor położył mu stateczek na dłoni, a Ross poczuł dławienie w gardle — to będziesz tego wiatru miał pod dostatkiem i będziesz o nas pamiętał w tych swoich podróżach. Żeby to taki talizman był. I że ja tu będę czekał... — głos Wiktora załamał się wreszcie ze wzruszenia. — I teraz to ja cię będę słuchał, jak mi mówisz o tym waszym dziwnym świecie i cudach. I będę z ciebie dumny.

Ross spojrzał przez łyzy na drewniany galeon, pomalowany jeszcze świeżą farbą, którą wyczuwał pod palcami. Ujął go mocno, jak najcenniejszy skarb, a potem objął Wiktora poruszony do granic.

Po chwili wahania, niepewny tego, jak ma się zachować, Wiktor odwzajemnił jego uścisk.

— Miałem nadzieję, że nie będziesz na mnie zły — powiedział Ross cicho.

— O co miałbym być zły? — zdziwił się Wiktor, uwalniając go z objęć.

— O tę moją chorobę na statku — odpowiedział Ross skrepowany. — Ty byś nigdy się tak nie zachował.

— Głupoty! — powiedział na wpół gniewnie, na wpół zaskoczony tym pomysłem Wiktor. — Każdy czasem tak ma, że już więcej nie może znieść. Ja przynajmniej tak miałem.

— Naprawdę?!

Wiktor spojrzał na niego z powagą.

Ross zrozumiał to spojrzenie i już o nic nie pytał. Znał uczucie, które się za tym kryło. Wciąż tkwiło w jego sercu.

Spojrzał na swój stateczek.

— Nadal będziesz go nazywał Cadelią? — zapytał Wiktor.

Wolno pokręcił przecząco głową. Przypomniały mu się wcześniejsze chwile, nim poznał swoich obecnych przyjaciół. Gdy poczuł w otchłani rozpacz, że komuś na nim zależy. Właśnie wtedy, gdy już stracił nadzieję. Poczuł, jak myśl o niej rozgrzewa jego obolałe serce. Świat na nowo zaczął nabierać barw.

— Nazwę go tak, jak miała na imię kobieta, której zawdzięczam życie. Waleria. Mówiłem do niej Valeri...

* * *

Wiwan obejmował przytuloną do niego Waszebę. Spała tak spokojnie. Reeba drzemała tak cicho, że niemal jej nie słyszał. Zza drzwi dobiegały odgłosy krzątania i rozmów. Zbierano się na posiłek. Słyszał głos matki i ojczyma. Karczmarz ponaglał jedną z dziewczyn. Babcia zapytała z wyrzutem dziadka, czemu sam poszedł do Rossa i nie zaczekał na nią. Nie było radości i śmiechów. Tylko ściszone rozmowy.

Dziś był pogrzeb pomordowanych.

Pogrzeb Julien.

Poczuł gorące łzy spływające mu po twarzy. Żal ścisnął jego serce jak imadło. Dławił w gardle.

Nie pogrzeb jednak był tego przyczyną...

* * *

Ross podszedł do stojącego w półmroku kochanka. Wiatr wdzierał się przez wybitą szybę powozu, poruszając kilkoma rysunkami rozrzuconymi na stole.

— Dinn właśnie mi powiedział — wyznał cicho.

Sel przytulił go do siebie. Poczuł drżenie jego ciała pomimo tego, że Ross ubrał się ciepło i nałożył pelerynę. Prócz targającej nim rozpacz, zawładnął nim lęk. Jego ukochany był narażony na kontakt z wiedźmą. Bał się o jego los.

— Zimno ci? — zapytał z troską.

Myślał, że Ross spróbuje to zbagatelizować, ale on tylko szepnął:

— Po prostu muszę to znieść. Nie denerwuj się.

Coś w jego ruchach, w spojrzeniu nawet zaniepokoiło Sela jeszcze bardziej. Jak wtedy, gdy Ross patrzył na martwą kobietę i jej dziecko leżące na ulicy w czasie przejazdu przez miasto ogarnięte zarazą, w drodze do ich nowego domu.

„On jest na granicy wytrzymałości” — zrozumiał nagle.

Porwanie... Koszmarne starcie z matką i jej kochankiem... Jej odrzucenie... Choroba... A potem niespodziewana życzliwość tylu osób. Aż wreszcie śmierć Julien, połączenie dusz z Oliwierem. No i Mayene...

Ross przechodził nieustanną huśtawkę nastrojów, odkąd go porwano. Raz pogrążał się w rozpacz, by po chwili się cieszyć i znów popadać w rozpacz, a potem znów odczuwać radość. Nie powinien walczyć teraz z Mayene. Powinien zaznać choć trochę spokoju i odpocząć.

Objął Rossa mocno, rozpaczliwie bezradny, przepelniony lękiem i miłością.

— Nie mogę stracić i ciebie — szepnął mu do ucha.

Oczy Rossa zabłyśły od łez.

— Nie stracisz — zapewnił go ciepło. — Dam sobie radę. Nie martw się. To nie pierwszy raz.

Sel milczał, więc ten dodał cicho:

— Zabiorę cię potem w rejs Walerią. Będę jedynym kapitanem na tych wodach, który nie ma pojęcia o żeglowaniu, więc nie możesz tego przegapić. Silas obiecał, że zostanie i zbierze mi załogę.

— Waleria? — zapytał Sel, odsuwając się.

— Wolałbyś, żeby nosił twoje imię? — zapytał Ross niepewnie.

„Nie, nie zrobiłbym ci tego” — odparł mu Sel w myślach.

— Miałbym kilka pomysłów co do wyglądu Walerii — rzekł mu z cieniem uśmiechu. — Przydałoby się też kilka udoskonaleń. Oczywiście jeśli pozwolisz.

Ross odetchnął.

— Świetnie — odparł, próbując dopasować myśli do tych pomysłów. — Bo ja nie znoszę tych jej złocen. Są kompletnie bez gustu. No i trochę staroświeckie.

— Załatwione.

„Wielka Matko! — pomyślał Sel. — On naprawdę chce ten statek!”

— Zajmij się też kajutą kapitańską — dodał Ross niby mimochodem, ale jego twarz znów nabrała tego niepokojącego wyrazu.

Sel skinął głową, obserwując go w milczeniu.

Obiecał sobie w duchu, że po wszystkim spróbuje się dowiedzieć od Aleseia i Sai, jak Ross poradził sobie po ucieczce z domu, gdy doszedł do siebie po tym, jak niemal zakatowano go na śmierć. Co dało mu wtedy siłę? Jego siłą był Ross. Jeśli załamał się po tym, co przeżył, on także się podda. Znów stracił kogoś, kogo zdążył polubić. Bez niego nie wyobrażał sobie dalszego życia. Wyczuwał mrok w sercu kochanka, choć tamten bardzo próbował pokazać, że wszystko jest w

porządku. Ale nie było.

Zbyt wiele się stało.

* * *

Ziemia była błotnista. Śnieg prawie zniknął. Alesei ramię w ramię z Azylasem pomógł mieszkańcom w przygotowaniu grobów i zbiórce kamieni. Pies trzymał się swojego pana, jakby coś przeczuwając, i gdy ten sięgał do niego ręką, lizał go troskliwie, jakby się bał, że pan może go opuścić.

— Nazwałeś już tego zwierzaka? — zapytał kowal, gdy skończyli.

— Pies! — zawołał po prostu Alesei i zwierzę znów podeszło do niego.

Pogłaskał je z czułością.

— Rozumiem — odparł kowal lakonicznie.

— On już ma swoje imię — odparł Alesei w zamyśleniu. — Tyle że ja go nie znam. Nadali mu je ludzie, których zabiła zaraza. Nie będę go zmieniał. Może kiedyś do niego wróci.

Kowal zadumał się nad tymi słowami, patrząc na nich.

Wzgórze będące jednocześnie miejscowym cmentarzyskiem wypełniło się mieszkańcami. Na pogrzeb przybyli wszyscy. Odśpiewano pieśni. Trzymano się za ręce. Dzielono tę samą rozpaczą. Było w tym coś naprawdę niezwykłego: zgromadziło się tak wielu ludzi gotowych się wspierać w smutku. W imieniu wszystkich Wiwan wystąpił przed zgromadzonymi i wygłosił krótką mowę pożegnalną wśród płaczu i wszechogarniającego smutku. Ludzie oczekiwali tego od niego i nie zawiodł ich oczekiwań. Jego mowa niosła nadzieję, że tym razem uda się powstrzymać zło raz na zawsze i już nikt nigdy nie będzie cierpiał. Świadkowie starcia z wiedźmą niedaleko portu spoglądali na Dinna i Sai, pamiętając jak niewiele brakło, by elf zginął pomimo swojej waleczności. Sąsiedzi Guntera i Marii ciepło odnosili się do Sela. Sai wskazała Rossowi ukrytego pod kapturem Tenana, który trzymał się na uboczu. Ktoś pocieszająco poklepał go po ramieniu. Ross przytulił zasmuconą przyjaciółkę z oczyma pełnymi łez. Alesei starał się im wszystkim po trochu okazywać swoje wsparcie dyskretnymi gestami.

Seme łkała cicho przytulona do męża.

Oliwier stał przy siostrze, dopóki nie umilkły ostatnie pieśni, by potem bez słowa osunąć się na kolana, nie zważając na błoto. Pozostał w takiej pozycji, kiwając się lekko w milczeniu, patrząc to na jej ciało, to na twarz i zamknięte oczy. Po chwili Ross dołączył do niego w braterskim bólu. Oliwier sprawiał wrażenie targanego emocjami szukającymi ujścia z wielkim hukiem. Ross wyczuwał te emocje. Podobnie jak Wiwan zaniepokojony kryjącą się w nich rozpaczą.

W pewnym momencie Oliwier, nie panując już nad sobą, wyciągnął zza pasa sztylet i zamachnął się nim wprost na siebie...

Wszyscy zamarli ze zgrozy.

Sel, załoga, która dotąd towarzyszyła Rossowi, wszyscy, którzy wiedzieli o złączeniu dusz, zastygli w przerażeniu. Sai osunęła się na ziemię naprzeciw ukochanego po drugiej stronie grobu, błagalnie wyciągając rękę. Sel przysiadł obok niej.

Sztylet w rękę Oliwiera dygotał niebezpiecznie.

Ross spojrział na niego z dziwnym spokojem, choć był teraz zawieszony między życiem a śmiercią. Nikt nie widział w nim strachu. Tego Sel przeraził się najbardziej, bo potwierdzało to jego lęk, że Ross znajduje się teraz zbyt blisko emocjonalnej krawędzi.

— Wiwanie... — szepnął do wnuka Wiktor.

Wiwan uciszył go ruchem ręki, doskonale wiedząc, jak blisko przepaści jest Oliwier. Każdy gest mógł go sprowokować do nierozważnych czynów.

Oliwier patrzył tylko na Julien.

Złowroga cisza ogarnęła stopniowo wszystkich zgromadzonych.

Wiwan spojrział na Sela. Porozumieli się wzrokiem.

— Ross — wycedził Sel wśród ciszy drżącym z napięcia głosem.

Ross spojrział na ukochanego i w jego wzroku Sel zauważył tylko miłość. Ani śladu lęku czy wahania.

Tak, przygotowywał się na najgorsze. Pozwolił, by Klejnot go uspokoił.

— Patrz tylko na mnie, dobrze? — szepnął mu. — Tylko na mnie.

„Czemu go nie powstrzymasz?! — zapytał w duchu ze zgrozą. — Przecież potrafisz. Ty i Klejnot!”

— Dobrze — odparł drżący Ross, poblady na twarzy.

Przez głowę Sela przechodziło wiele ich wspólnych wspomnień. Od pierwszego razu po pobyt w Domu Rozkoszy i obecne chwile. Płonął z niepokoju. Jeden ruch Oliwiera, a skoczyłby na niego ponad ciałem Julien. Widział Rossa kątem oka. Ten czuł panujące w Selu napięcie, widział je w jego oczach. Nie spuszczał z niego wzroku, ale myślami tkwił gdzieś w zawieszeniu, daleko stąd.

Oliwier uniósł wzrok i spojrział na Sela, budząc się z transu.

Potem jego wzrok wolno spoczął na Sai. Wtedy i Sai, i Sel zobaczyli w oczach Oliwiera przebłysk świadomości.

Aż wreszcie, podążając wzrokiem za spojrzeniem przyjaciela, spoczął na Rossie.

Z wolna zrozumiał, co się dzieje. Odrzucił sztylet.

— Więź... — wyszeptał. — Ross... zgotowałbym ci straszną śmierć. Czemu nie próbowałeś mnie powstrzymać?!

Ross szybko objął go bez wahania, kryjąc ulgę. Niemal namacalne napięcie zniknęło. Oliwier odetchnął głęboko, jakby uwolnił się nagle od wielkiego ciężaru.

Ross ukrył emocje, zamykając oczy.

— Już dobrze — powiedział łagodnie. — Wiem, że nie zrobiłbyś tego.

ROZDZIAŁ 16 — OSTATECZNA WALKA

Nadeszła noc, a Mayene wciąż nie było.

Doskonale wiedzieli, że wiedźma zwleka, by doszczętnie ich wystraszyć, lecz po tych wszystkich wydarzeniach w serca wyczekujących ludzi nie wstąpił lęk, a ponura złość i chęć zemsty. Chcieli, by zapłaciła wreszcie za wszystkie wyrządzone krzywdy. Jeśli nawet obawiali się śmierci, nie okazywali tego. Sam uzdrowiciel powiedział podczas mowy pogrzebowej, że Mayene popełniła błąd, myśląc, że łatwo jej przyjdzie zapanować na nim i Barnicą. On nie ma zamiaru się poddać, a ludzie tutaj udowodnili, że nawet okrutna śmierć nie zdławi w nich odwagi.

* * *

Dinn nie opowiedział nikomu o swoich przeżyciach. Nikomu prócz Wiwana i Waszeby. Podobnie postąpił Tenan, który także wiedział o zagrożeniu. Choć nie znano całej prawdy, w sercach ludzi tkwiło przekonanie, że walczą o coś więcej niż tylko ich własną wolność oraz życie uzdrowiciela. Byli zdecydowani walczyć, choćby to była ostatnia rzecz, jakiej dokonają. Stawką bowiem była cała ich przyszłość. I przyszłość ich rodzin.

Bez uzdrowiciela, którego życie zharmonizowało się z ich życiem, ich przyszłość byłaby taka jak innych ludzi, a jeśli Mayene uczyni z niego niewolnika własnych pragnień, to ta przyszłość nie będzie godna zazdrośczenia. Istnienie Barnicy w obecnej postaci jako tętniącego życiem portowego miasteczka, gdzie ludzie prawie nie chorowali i wolno się starzeli, zależało w dużej mierze od uzdrowiciela. Siłę i moc swojego daru czerpał on z ich szczerej miłości i przywiązania. Ludzie naprawdę go kochali, za co im dawał swoją gotowość do pomocy, dobro, ciepło. I bezpieczeństwo. Jego cierpienie i śmierć byłyby dla nich naprawdę bolesne. Zwiastowałyby ich własną zgubę.

Za wszelką cenę musieli się bronić!

Kolacja w wielkiej sali gospody „Pod Jednorożcem” przebiegła w milczeniu. Prócz rodziny Beckert, ich przyjaciół i karczmarza z żoną, nie było tu nikogo. Seme wróciła do swojego domu wraz z rodziną. Oliwier nie nadawał się teraz do życia towarzyskiego, więc zabrakło go nawet na kolacji, którą zjedli wszyscy razem. Nie potrafił być teraz z nikim prócz Sai. Poprosił więc, by przeprosiła wszystkich w jego imieniu. Większość dnia i tak przespał.

Zmęczony obowiązkami Erlon mało się odzywał. Nie spał, gdy inni poszli odpocząć, nadzorując wiele spraw, od organizacji zbiorowego pogrzebu, zbiórkę rzeczy z pozostałości pałacu, po rozstawienie ochotniczej straży w mieście i

podział obowiązków w pomocy rodzinom zamordowanych. Lena z troską się do niego przytuliła. Nie mogła teraz namówić go, by poszedł choć trochę odpocząć. Nie posłuchałby jej. Wszyscy przeczuwali, że Mayene zjawi się znów w mieście. Wsparł głowę na jej ramieniu. Jednak gdy Wiwan podszedł do niego, by dodać mu sił, odprawił go łagodnie.

— Oszczędzaj się — nakazał mu.

Wiwan nie chciał ustąpić. Czuł, że musi dopilnować kilku spraw.

Pies Aleseia podszedł do niego i polizał go po ręce. Ten pogłaskał go w zamyśleniu. Nawet zwierzęta coś przeczuwały. Reeba nie spuszczała z niego wzroku ze swego stanowiska przed ogromnym kominkiem. Z przygnębieniem spojrzął na wszystkich. Matka uściśnęła jego rękę w geście otuchy. Kochał jej matczyne spojrzenie, które tak wiele widziało. Jak teraz.

— Anno — Wiktor zwrócił się cicho do swojej żony.

Babka Wiwana spojrziała na niego z czułością, całując w policzek. Potem spojrziała pytająco na Rossa. Wszyscy obecni zaraz to podchwycili. Pokręcił przecząco głową. Zmarszczyła brwi. Wrócił jakiś inny z tej nieszczęsnej podróży. Mniej już było w nim tej energii, którą dotąd miał. No, ale miał za sobą ciężkie przejścia, włączając w to niefortunny powrót tutaj.

Mayene zostawiła w nim ślad.

Przynajmniej nie było mu już tak zimno. Wiwan o to zadbał.

Teraz rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami. Po chwili Ross wstał.

— Zaraz wrócimy — oświadczył zebranym.

Wiwan powstrzymał Waszebę, która chciała pójść za nim. Usiadła więc obok Anny zaniepokojona i niezbyt zadowolona.

— Oni mają swój wspólny świat — próbowała ją uspokoić Anna. — Podobne moce, te same amulety, tyle że jeden magiczny. Zaraz wrócą.

— Zauważyłaś — od pierwszego spotkania mówiły sobie po imieniu — że łączy ich coś jeszcze?

— Co masz na myśli? — zaniepokoił się natychmiast Wiktor.

Obie domyśliły się, o czym pomyślał ze względu na Rossa, bo poczerwieniał lekko ze zdenerwowania.

— Stary i głupi! — skwitowała jego minę żona. — Co też ci chodzi po głowie?!

Sel zerknął na nich ciekawie. Podobnie jak Dinn.

— O czym mówisz, Waszebo? — zapytała matka uzdrowiciela.

— O bliźnach — odparła Waszeba. — Obaj je mają.

— Tak, wiemy, ale... — zaczęła, lecz Waszeba przerwała jej ruchem głowy.

— Selu — zwróciła się do przyjaciela — podobno w czasie walki z matką Rossa i Ramseyem zostałeś ranny. Tak mówiono. Czy to prawda?

Doskonale pamiętał, jak Cadelia cięła go w brodę i policzek, jak też jej

złośliwy komentarz.

— Tak — odparł.

— Gdzie? — zapytała.

Opowiedział jej o nacięciach.

— Nie ma po nich śladu — zauważyła cicho.

Wszyscy przyjrzeni mu się z rosnącym zainteresowaniem.

— Wiwan i Ross zachowali swoje blizny — wyjaśniła im swoje domysły. — Odzwierciedlają ich dusze. Gdyby chcieli, by ich nie było, zniknęłyby. Ale są, bo zostali głęboko zranieni i nie chcą, by o tym zapomniano. Ich rany na ciele się zabiżniły, ale te na duszy — nie...

* * *

— Ross... — zaczął Wiwan, gdy znaleźli się w opuszczonym pokoju jedynie z nieodłączną tygrysicą, która usiadła obok. — Wiem, jak możemy ją pokonać.

Wyłożył mu swój plan, starając się zachować przy tym spokój. Im więcej zdradzał szczegółów, tym większy lęk budził w sercu Rossa. Zaczął kręcić przecząco głową, nim Wiwan skończył mówić.

— Nie! — odparł przejęty. — Nie zgadzam się na to!

— Pomóż mi! To jedyny sposób!

— Nie możesz tego zrobić!

— Ross, posłuchaj! — Wiwan pochwycił go za ramiona. — Jeśli ona wygra, jeśli przetrwa i zwycięży, wszyscy będą cierpieć. Sel, Waszeba, Pafian, nasze rodziny!

— Tak! Wiem! — odparł mu Ross z mocą. — Ale ten plan... Twój sposób jest...

— Proszę cię! — przerwał mu z powagą uzdrowiciel.

Ross umilkł, rozmyślając nad tym, co usłyszał. Wiwan podszedł do okna. Udawał, że przygląda się widokowi uspiionych uliczek miasteczka oświetlonych pochodniami. W rzeczywistości jednak czekał na jego decyzję...

— Dobrze — odparł w końcu Ross z ciężkim sercem.

Podszedł do niego i objął go mocno, mówiąc:

— Pamiętaj, że jestem obok.

— Musisz być. Będzie chciała dorwać nas obu. Gdyby coś mi się stało... wtedy to ty pozostaniesz dla wszystkich jedyną nadzieją. Rozumiesz?

Ross kiwnął potakująco głową, nie wypuszczając go z objęć.

— Nie możesz zginąć...

— Opiekuj się nimi.

Uściskał go mocniej, w milczeniu potakując, nim z wahaniem poluzował uścisk.

— Jeszcze jedno... — powiedział uzdrowiciel, starając się, by głos mu nie zdrzął. — Powiedz o tym Selowi, Pafianowi, Dinnowi i Aleseiowi. Nikomu innemu i nie wszystko. Nie zgodziliby się. Zabierz ich stąd. Wszystkich. Niech wiedzą jak najmniej, choć co nieco muszą. Należy się im to.

— A Waszeba?

— Ja jej powiem... W odpowiedniej chwili. Nie mów jej o tym, jak...

— Jak daleko się posuniesz?

Wiwan zdrętwiał. Pytanie zabrzmiało ostro, jednak spojrzenie Rossa wydawało się łagodne.

— Tak — odparł.

Na twarzy Rossa wyczytał współczucie.

— A jak daleko się posuniesz, Wiwanie? To akurat muszę wiedzieć.

Uzdrowiciel spojrzał na przyjaciela z powagą.

— Tak daleko, jak będzie trzeba.

* * *

Przez okno wystawnego pokoju dla nowożeńców Wiwan obserwował ruiny swojego domu. Blask lampek oliwnych i pochodni oświetlał część ruin pałacu. Erlon zlecił, aby to, co da się uratować, przenieść do pomieszczeń gospodarczych. Część przedmiotów już przeniesiono, gdy oni tu odpoczywali. To dobrze. Może to pocieszy jego rodzinę.

Widział przy kolacji, że Pafian w zamyśleniu dotyka ukrytej pod kaftanem książki. Pewnie zastanawiał się, czy dwa pozostałe tomy trylogii ocalały. Sam miał kilka ulubionych woluminów, których los był niepewny. W jednej z nich bohatera nazywano Kotem, zupełnie jak ponoć nazywano Oliwiera w Wermodzie. I także prowadził podwójne życie. W innej bohater nagle stawał się wybrańcem z purpurową aurą, jedynym, dzięki któremu będzie można pokonać samego arcydiabła...

Poddawał się takim rozmyśleniom. Nie chciał już myśleć o tamtych sprawach ani o swojej przyszłości. Chciał, by wreszcie coś zaczęło się dziać. Lecz chwile mijały, a Mayene nie pokazywała się.

Dręczyła go.

Szarpała mu nerwy tą ciszą.

Waszeba ucałowała go lekko w skroń. Czuwała wraz z nim. Jej oczy obserwowały jego twarz z niepokojem, jakby wyczuwała coś, o czym bała się choćby pomyśleć. Na pewno zastanawiała się, o czym rozmawiał w tajemnicy z Rossem.

Kochał ją za tę troskę. Było mu żal, że będzie musiał ją zranić.

W domach pogaszono światła. Ulice były puste. Pierwsza noc bez mrozu mijała w całkowitym i jakże pozornym spokoju.

Reeba wstała, nim usłyszeli kroki i ciche pukanie do drzwi. Waszeba podeszła, by je otworzyć. Wiwan dotknął miękkiego futra białej tygrysicy, wiedząc, co za chwilę zobaczy.

Ross skinął im obojgu ze śmiertelną powagą. Za nim zobaczył Sela, Pafiana i Dinna.

— Nadchodzi — oznajmił krótko.

— Zaczekam tu na nią — odparł spokojnie.

Obaj spojrzeli na siebie z ciężkim sercem. Razem dźwigali ten ciężar.

— Będę w pobliżu — rzekł Ross.

Wiwan skinął głową.

— Jesteś pewien? — zapytał Ross, wchodząc do środka.

— Niczego nie jestem pewien.

— Zostanę z tobą.

— Wtedy cię zabije. Musimy mieć drugi plan, pamiętasz? Ustaliliśmy to.

Waszeba zaniepokoiła się.

— Jak to: ustaliliście?! Co ustaliliście?! Wiwanie?

— Jeśli coś pójdzie nie tak... — Wiwan wciąż patrzył w oczy przyjaciela, pozbawiony odwagi, by spojrzeć na nią. — Wiesz, co masz robić...

— Pafian? — zapytała Waszeba. — Sel? Powiecie mi, co się dzieje?

— Musisz pójść z nimi — nakazał jej Wiwan.

Poczuła, jakby wymierzono jej policzek.

— Solei (siostrzyczko) — odezwał się Dinn. — Nimas ale gann (On musi to zrobić).

— Tu let da! Nah, binn ate bost! (Ani słowa! Nie chcę was słuchać!) — krzyknęła — Ami eno Kilinn! Jestem jego Strażniczką! — przeszła na wspólny język. — Więcej nie zawiodę! — krzyknęła, patrząc z pasją w oczy uzdrowiciela. — Nie zawiodę!

— Waszebo... — zaczął, lecz wymierzyła mu nagle siarczysty policzek.

Urwał, powstrzymując Pafiana gestem.

Chwyliła go za koszulę, wzburzona i poruszona swoim czynem. Jej czerwone, rozpuszczone włosy nadawały jej wygląd kuli ognia. Dotknęła delikatnie uderzonego policzka, który zaczął purpurowieć.

— To nic... — próbował ją uspokoić.

Dygotała z emocji.

— Nie zostawię cię z nią! — powiedziała ochryple.

— Zginiesz... — próbował ją przekonać.

Uderzyła go w klatkę piersiową pięścią, nie za mocno, lecz zdecydowanie.

— Milcz! — nakazała mu stanowczo z nutą rozpaczki.

— Solei — powiedział Dinn cicho. — Musimy iść.

Obdarzyła go pełnym złości spojrzeniem.

Wiwan ujął ją pod brodę. Wyrwała mu się gniewnie, więc spróbował jeszcze raz. Nie mogli się rozstać w gniewie. Pocałował ją czule. Chwyliła go mocno za ubranie, jakby nie zamierzała ustąpić, oddając mu pocałunek. Była w tym jakaś obustronna rozpaczliwa namiętność. Mimowolni świadkowie pocałunku nie mogli oderwać od nich oczu.

Tych dwoje nie chciało się ze sobą rozstawać, choć powody każdego z nich nie do końca ze sobą współgrały.

Dinn poczuł, że musi interweniować, jeśli plan Wiwana miał się powieść.

— Chodźmy już — wyciągnął dłoń do siostry.

Nie odrywała wzroku od oczu Wiwana, w którym sprzeczne uczucia toczyły wewnętrzną walkę.

Ross był pewny, że ukrytym pragnieniem przyjaciela było teraz pójście z nimi i schowanie się przed wiedźmą.

Wiwan przede wszystkim pragnął żyć!

W końcu jednak rozsądek zwyciężył. Puścił powoli ukochaną, pozwalając, by brat mu ją odebrał. Pożegnali go smutnym spojrzeniem.

Pafian mocno uściskał brata.

Nie mógł powiedzieć nic więcej.

— Wiwanie... — Ross objął go jako ostatni. — Jestem w pobliżu. Pamiętaj.

— Uciekaj już — odparł ciepło.

Sel zaczął cierpliwie.

— Dopilnuj, by się nie zbliżał — pouczył go Wiwan.

— Dopilnuję — odparł Sel. — Nie daj się zabić.

Wiwan nasłuchiwał ich milknących kroków. Karczma opustoszała. Opuścili ją wszyscy prócz niego i tygrysicy, która najwyraźniej nie zamierzała go zostawić w potrzebie.

— Reebo — spojrzała na nią surowo. — Wyjdź. No, już!

Zignorowała go. Tylko jedno ucho poruszyło się nerwowo.

— Reebo, nie bądź uparta — nakazał jej.

Ciszę nocną przerwał nagle znajomy ryk, którego nie spodziewał się tu nigdy usłyszeć. Z zewnątrz usłyszał szczekanie psa. Obejrzał się akurat w chwili, gdy przed oczyma mignął mu zielony kształt. Zbladł.

— Smok! — zawołała żona karczmarza. — To smok!

— Ukryj się! — nakazał tygrysicy szybko, podczas gdy na zewnątrz rozległ się złowieszczy łomot i trzask.

Smok burzył wszystko, co napotkał na swojej drodze.

Reeba wreszcie posłuchała swego pana i wymknęła się przez otwarte drzwi.

Wiwana usłyszał swój własny przyspieszony oddech. Serce tłukło mu się jak oszalałe.

Nasłała smoka na jego ludzi!

Z zewnątrz dochodziły go krzyki i trzask płomieni. Smok ział ogniem. Obejrzał się. Pożar już pochłaniał część domów. Ludzie ukrywali się... Niektórzy napinali łuki i kusze.

Nie przerazili się bestii.

Ogień uderzył w budynek karczmy. Od uderzenia ogonem wyrwało w dachu potężną dziurę. Wszystko zadrżało w posadach. Drzwi i okna gospody załomotały. Te od pokoju uderzyły w ścianę, aż pękły. Jak mogły być dla wiedzy jakkolwiek przeszkodą?!

Mayene wpadła nagle z góry wśród dymu, a jej złowrogi wierzchowiec rykiem obwieścił ich pojawienie się w miasteczku. Zatrzeszczały płomienie buchającego ognia, gdy zatrzymała się tuż przed progiem pokoju.

Podniosła się z przyczajonej pozycji. Jej nieludzkie oczy skierowane były wprost na niego.

Ciarki przebiegły mu po plecach.

Demon.

Znów potężna i złowroga, zmierzyła go wolnym, taksującym wzrokiem.

— Powstrzymaj smoka — zwrócił się do niej, nie okazując lęku. — Poddaję się. Dam ci to, czego chcesz.

Przekrzywiła głowę.

— Dopiero teraz? — zapytała. — I tak po prostu?

— Zabiłaś wielu ludzi.

— No, no, no — pokręciła głową z uśmiechem. — I tak się tym przejąłeś?! Gówna prawda — stwierdziła, przekraczając próg. — Co tam teraz ukrywasz, co? Znów jakieś niespodzianki? A może jakiegoś konia? — rozejrzała się pogardliwie. — Jesteś jakiś nieruchawy. Niczego tu nie widzę. Żadnych łuków, bab, sznurów. Nic! Wieje nudą! Co tam naszykowałeś tym razem? Nie powiesz swojej przyszłej żonie? — roześmiała się chrapliwie.

Czuł zaciskającą się wokół nich obojga złowrogą aurę, wciskającą się do jego umysłu niczym trucizna. Biło od niej zło, jakiego nigdy dotąd nie spotkał. Była pozbawiona wszelkich skrupułów.

Ogarnęło go zimno.

Okrażała go, przyglądając się wszystkiemu, nie poświęcając prawie w ogóle uwagi poczynaniom smoka w miasteczku.

— Dlaczego go nie zatrzymasz? — zapytał po chwili, śledząc ją wzrokiem.

— Bo na to już za późno! — krzyknęła mu nagle w twarz, jakby dawała mu ostrą reprymendę. — Teraz do ciebie dotarło, co jestem w stanie zrobić?!

— Chciałaś dziecka — odparł, choć te słowa z trudem przeszły mu przez

gardło.

Stała przed nim nagle i już wiedział.

Ross realizował ich plan...

Spojrzenie Mayene wróżyło mu, że ma ochotę rznąć się z nim na wszelkie sposoby, jakie tylko zdoła wymyślić.

Spodziewał się tego.

Ujęła go mocno za brodę. Z determinacją spojrzał jej w oczy.

— Masz mi być bezwzględnie posłuszny — zażądała stanowczo.

— Powstrzymaj smoka. Dotrzymaj umowy — odparł z trudem, powołując się na jej wcześniejsze słowa.

Warknęła gniewnie.

— Zgoda — rzekła wreszcie z ociąganiem. — Ale żadnych innych kombinacji. Całkowita, niewolnicza uległość.

Jej zimne słowa i dotyk sprawiły, że zaczął drżeć. Spodobało jej się to.

— Jesz, kiedy pozwolę, śpisz, kiedy pozwolę. Rozumiesz?

— Tak — odpowiedział szybko.

Spojrzała na niego pożądliwie. Uwielbiała taką uległość. Wiedział o tym. Ross wykorzystywał jej upodobania, by podsycać te myśli.

Za kark zaciągnęła Wiwana do łoża, które dzielił przedtem z Waszebą. Pchnęła go na nie bezceremonialnie.

— Smok! — przypomniał jej, zaciskając pięść z determinacją.

Skrzywiła się zniecierpliwiona. Dźwięk, który z siebie wydała, nie miał w sobie nic ludzkiego.

Na zewnątrz zapanowała nagle cisza.

Mayene spojrzała na ozdobne rzeźbienia łoża. Użyła magii. Drewniane gałęzie uwięziły dłonie Wiwana.

— Nie użyjesz rąk — powiedziała mu z ironią.

Powąchała go uważnie. Potem usiadła na nim, by lepiej się pochylić, znów węższąc.

— Ach — zrozumiała po chwili. — Pieprzyłeś się już z kimś na tym łożu. Powinam zastrzec, że chcę być twoją pierwszą. Głupi, głupi błąd. Zmarnowana okazja! Cóż... — rozerwała koszulę na jego piersiach szybkim, gwałtownym ruchem, aż drgnął nerwowo. Z chorą fascynacją przyjrzała się licznym bliznom na jego ciele.

— Wiesz już więc, jak to jest — zauważyła zimno. — Ale możesz o tym zapomnieć. Ze mną tak nie będzie.

Tak. Będzie dużo gorzej...

— Tyle cierpienia... — uśmiechnęła się lubieżnie, przesuwając swym długim paznokciem po nierównościach skóry. — Tyle rozkosznego bólu...

„Dalej!” — ponaglił ją w myślach, walcząc ze strachem. — Zabaw się,

miejemy to już za sobą”.

Wbiła paznokcie w blizny, ponaglana podsycanym przez Rossa pragnieniem. Zaczęła przesuwając je wolno, tworząc krwawy ślad na ciele uzdrowiciela. Jęknął cicho, co tylko spotęgowało jej podniecenie.

— Nie lubisz tego, co? — spytała.

— Nie — odparł zgodnie z prawdą, podczas gdy ona żłobiła na jego ciele krwawe bruzdy, przesuwając dłońmi z upodobaniem.

Oddech Wiwana przyspieszył. Ból przeszywał, odbierając oddech.

Mayene nie tylko drapała go paznokciami. Robiła coś, co sprawiało, że wrażenie znacznie się spotęgowało. Wywoływało w nim koszmarnie skojarzenia.

Przełknął nerwowo ślinę, gdy przestała. Jej opalizujące oczy błysnęły.

„Och, jest taki słodki — pomyślała dziko. — Niszczyć go będzie czystą przyjemnością”.

Nieświadomie przygryzła wargę.

„Mam ochotę spróbować — pomyślała nagle gdzieś na granicy świadomości.— Chcę sprawdzić, jak smakuje”.

„Żeby tylko się nie opamiętała” — pomyślał Wiwan, obserwując jej twarz z niepokojem.

Siedząc na nim, pochyliła się, pragnąc dotknąć językiem krwawych znaków. Przesunęła nim powoli po wargach, lubieżnie. Tylko trochę. Odrobinę...

Wstrzymał oddech.

Westchnęła z rozkoszą, nim zaczęła zlizywać wolnym, zmysłowym ruchem krople krwi, sunąc dłońmi po jego ciele z większą natarczywością, rozmazując krwawe znaki.

Był ofiarą na jej ołtarzu.

Zacisnął wargi, oddychając z trudem.

Udało się.

Zaraz ogarnie ją gorączka.

„Smakuje doskonale — podsuwał jej tymczasem myśli Ross, siedząc w ukryciu, w opuszczonym domu Guntera i Marii. — Jak czysty strach...”.

Sel okrył już go wszystkim, czym tylko mógł i napalił w kominku, lecz mimo to Ross dygotał z zimna. Zimny pot oblał jego ciało. Waszeba obserwowała jego twarz z niepokojem, siedząc tak, by jej nie widział. Mocno ścisnęła dłoń brata. Pafian wsparł się rękami o ramę okna, niespokojny i pełen obaw. Wolał nie patrzeć na Rossa. Choć on i Wiwan nie wyjawili, na czym polegał ich plan, wszyscy czuli, że nie będzie łatwo.

Nikt nie odzywał się ani słowem, by nie rozpraszać czarodzieja.

Pafian starał się myśleć o matce i ojcu, którzy wraz z dziadkami ukryli się w gospodzie przy przystani. Stąd nie widać było, co robi smok. Wydawało się, że wszystko nagle się uspokoilo.

Ross skupił się na swoim zadaniu. Trzeba było przekonać Mayene, żeby zatraciła się w swojej chorej zabawie. Z trudem sam siebie znosił przez to, co musiał robić. To było chore. I złe. Bardzo złe.

Sel z troską wyciągnął z kieszeni chusteczkę, delikatnie ocierając płynącą Rossowi z nosa krew. Ten z zamkniętymi oczami w skupieniu nie zareagował na ten gest.

Klejnot lśnił.

Czas mijał powoli. Północ minęła.

Czekał na znak.

— Z każdą chwilą — wyszeptał wreszcie do innych poblady — czuję się przez nią coraz bardziej chory...

Potrzebował chwili wytchnienia. Sel napotkał jego udręczone spojrzenie.

— Wiesz, co robi? — zapytał cicho.

Wszyscy spojrzeli z niepokojem.

— Aż za dobrze — odparł, unikając spojrzenia innych. — Jej aura... Jej myśli...

Widział to oczyma Mayene, lecz Wiwan nie pozwolił mu nic zrobić.

Jeszcze nie teraz.

Dzięki jej łapczywości jego krew przeniknęła do jej wnętrza, zmieniając je, budując, potęgując doznania. Płynęła niczym fala....

— Ach! — krzyknęła Mayene, oszołomiona, pobudzona do granic.

Spojrzała na uzdrowiciela pożądliwie, targana wątpliwościami, czego w tej chwili chce bardziej — czy jego ciała, czy krwi. Jednego i drugiego, gdyby tylko mogła... Jej złowroga, nieludzka natura wybrała ulubioną rozrywkę, lecz w inny niż dotychczas sposób.

Krew.

Rzuciła się na niego i wbiła mu w szyję ostre zęby, by posmakować więcej. Ssała łapczywie, ogarnięta pragnieniem, by posiąść w nim wszystko, wchłonąć, zniszczyć. Pożreć!

„Zabije mnie!” — pomyślał przerażony, czując łomotanie swojego serca, jakby chciało wyskoczyć mu z piersi.

Z każdą chwilą pozbawiała go krwi, skracając mu życie! A przecież musiał...

— Nie! — szarpnął się rozpaczliwie. — Nie, do diabła! Zostaw! Zabijesz mnie!

Zerwała się i usiadła na nim. Szumiało mu w głowie.

— Pocałunek — wyszeptała w rozmarzeniu.

Poczuł przerażenie chwytające go za gardło i jeżące włosy na głowie.

— Nie... — zdołał jedynie jęknąć.

Ich wargi się spotkały. Pocałunek śmierci...

Ross otworzył oczy, ale nie zdawał się nie widzieć niczego przed sobą.

Zobaczył dusze ludzi, których zabiła Mayene, wchłonięte przez nią, rozpaczające, jęczące. Wciągnął głośno powietrze.

Pożarła ich dusze!

A teraz pocałowała Wiwana. Czuł jego zapach, jakby był tuż obok. Jego myśli. Opierał się. Z nim Mayene tak łatwo nie pójdzie. Nie pozwolił, by wchłonęła jego życie. Był silny.

Ale to był dopiero pierwszy pocałunek, który jednak poważnie go osłabił.

Ross gwałtownie zerwał się na nogi.

— Ross! — zawołał Sel. — Co robisz?!

— Idę tam! — krzyknął gorączkowo.

— Wyobrażasz sobie, że tak po prostu na to pozwolę?!

— Ona go zabije!

— Najpierw — Sel zbliżył się nagle do niego — chce się z nim pieprzyć!

Nie wtrącaj się, dupodajcu!

Ross znieruchomiał z zaskoczenia. Spojrzał na swojego kochanka ze zgrozą i bolesnym zdumieniem.

Ale to nie był Sel.

Patrzyły na niego opalizujące oczy Mayene...

— Zapomniałeś chronić swoich bliskich, skarbie — zasyczała mu swoim głosem, poruszając ustami Sela.

Klejnot zalśnił natychmiast, nim Ross zdołał sprecyzować myśl. Blask niemal ich oślepił.

Sel zachwiał się. Upadł na kolana, chwytając się za głowę. Gdy ją uniósł, zobaczył dwie krwawe łyzy. Dinn natychmiast znalazł się przy nim i pomógł mu wstać.

— Sel? — zapytał z obawą.

Oczy Sela znów stały się normalne.

— Była we mnie... — wyszeptał, bielejąc na twarzy.

— Wiem — odparł poważnie Dinn.

Ross ocknął się z szoku i objął Sela, przejęty do granic.

— Już dobrze — szepnął, podczas gdy Sel wtulił się w jego ramię, wstrząśnięty gwałtem na jego duszy.

W sercu Rossa zalśnił gniew, którego źródłem była miłość do Sela. Zraniła go. Skaziła. Posiadła.

Klejnot w pełni podzielał ten gniew.

— Powiedziała wtedy — rzekł dobitnie — że mógłbym być potężniejszy niż fundamenty ziemi. Cóż... — Klejnot zalśnił intensywną czerwienią — sprawię, że ziemia zadrży jej u stóp, a ona pokocha mnie tak, że zgodzi się na wszystko, co jej zgotuję!

— Nie możesz jej zabić — wyszeptał Sel.

— Nie — odparł Ross, całując go czule w czoło. — Ale wiem już, co mam robić.

Nagle przestało mu być zimno. Poczul w sobie niezwykłą moc, jakby mógł przenosić góry.

To było niezwykle, wszechogarniające uczucie, jakby więził swój umysł w klatce i teraz wreszcie go uwolnił.

Poczul, że może tak wiele.

Z powodu miłości.

Nic nie mogło go powstrzymać!

— Idziemy z tobą — powiedział Pafian, a Waszeba stanęła u jego boku.

* * *

Smok zatrzymał się na placu targowym, roznosząc sobą wszystkie opustoszałe namioty podróżników.

Coś się zmieniło. Nagle ocknął się z dziwnego otępienia.

Czemu się tu znalazł?

Co robi pośród ludzi?

Ściągnęli go tu. Mają broń. Zachciało im się smoka?!

Potraktowali go jak zabawkę. O nie, on nie da tak sobą pomiatać. Pokaże im, czym grozi jego gniew!

ROZDZIAŁ 17 — SMOK

Tenan wybiegł na wprost smoka na odległość kilku metrów i z wielką precyzją wymierzył strzałę z łuku, powoli napinając cięciwę. Smok rozniósł namioty podróżników na targowisku. Teraz ogarnięty gniewem zaczął burzyć domy i łapać ludzi.

Tenan nie zamierzał mu na to pozwolić.

Wypuścił strzałę.

Odbiła się od twardego pancerza, nie czyniąc smokowi najmniejszej krzywdy. Zaklął cicho, wyciągnął drugą, napiął łuk i znów wypuścił.

Tym razem precyzyjnie utkwiała w szyi, co naprawdę nie było łatwą sztuką. Smok nie stał w jednym miejscu ani przez chwilę. Wiele toporów, beltów i strzał nie trafiło w ten sposób do celu.

— Dobrze — pochwalił sam siebie Tenan.

Smok jakby go usłyszał lub też rozwścieczyła go strzała, bo spojrzał wprost na zuchwałego łucznika wielkimi zielono-niebieskimi oczami. Otworzył paszczę.

Chciał zionąć ogniem.

W tym momencie gdzieś znikąd nadleciał pocisk i celnie trafił go prosto w jedno ze ślepi. Ryknął gniewnie, uchylając łeb i zakrywając łapą bolące miejsce. Nie widział już łucznika, który rozejrzał się za swym obrońcą.

Oliwier wyciągnął drugi kamień z kieszeni i bez wahania strzelił z procy w drugie oko bestii, jak tylko łeb znalazł się po jego stronie.

Znów rozległ się ryk, a rozwścieczony i obolały smok zaczął się skręcać i zwijać na oślep, wpadając na domy. Ziemia drżała pod stopami i raz po raz rozlegał się huk, gdy pękały kamienne ściany.

Tenan zaczekał zaskoczony, aż spojrzenia jego i Oliwiera spotkają się. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Jego zdumienie stało się tym większe, gdy zrozumiał, że ten go rozpoznaje.

A mimo to mu pomógł.

Niepewnie i z szacunkiem skinął w podzięcie głową.

Oliwier odpowiedział tym samym.

Krzyk odwrócił uwagę Tenana. Długowłosa dziewczyna wrzasnęła, gdy smok uderzeniem łapy odrzucił młodego chłopaka na jeden z domów. Głuchy stuk i otwarte spojrzenie młodzieńca nie pozostawiło żadnych wątpliwości. Zginął na miejscu.

— Maia!! — zawołał Oliwier, gdy zobaczył, że dziewczyna stanęła, zszokowana tym, co się stało.

Smok nie czekał. Miał właśnie zamiar ogonem zmieść ją z placu. Tenan podbiegł do dziewczyny i pociągnął ją za sobą na bruk, tuż pod ogonem smoka.

Oliwier przebiegł odważnie obok łap bestii i pomógł wstać jego ofiarom.

— Dzięki — rzekł krótko, patrząc poważnie na dawnego prześladowcę. — Nic ci nie jest? — zapytał dziewczynę, którą najwyraźniej znał.

Pokręciła tylko głową, patrząc to na niego, to na smoka, który zaglądał do zbiegających się na targowisku uliczek.

— Brat? — zapytał Tenan z troską.

— Miłość — odparł za dziewczynę Oliwier, na co ona przytuliła się do niego przygnębiona.

— Choćmy stąd! — zakomenderował Tenan, widząc zawracającego smoka.

Cała trójka uciekła do ruin jednego z domostw i schowała się przed wzrokiem bestii.

Maia zerknęła z ukrycia.

— Zaraz się uniesie — poinformowała ich, a potem jej wzrok podążył za nieruchomym ciałem na targowisku.

— Nie patrz — poprosił cicho Oliwier, przyciągając ją do siebie.

— Gdzie jest Sai? — zapytał Tenan.

— To wy się znacie? — zimny ton Oliwiera zwrócił nawet uwagę Mai.

Przyjrzała się obu uważnie.

— Julien nas ze sobą poznała — Tenan wybrał szybko jeden z wariantów odpowiedzi, jaki przyszedł mu do głowy, żeby uniknąć niejasności.

Niestety, ta odpowiedź nie wystarczyła Oliwierowi.

— Ach tak... — wycedził. — Maiu, proszę poznaj Tenana — przedstawił złośliwie tę sytuację. — To zbir i morderca, który zabił ojca Sela i jego żonę, a także naszych oddanych służących!

Maia spojrzała na Tenana ze zgrozą.

— Zabił ojca Sela?! I żonę?!

— Cudownie... — warknął Tenan. — Więc czemu mnie uratowałeś?

— Bo nie jestem taki jak ty!

— Rzucono na niego klątwę — powiedziała Maia. — Musiał to robić.

— Takie bajeczki opowiadasz teraz ludziom?! — zaperzył się Oliwier. — Ty zakało!

— Uspokójcie się! — warknęła Maia. — Smok się unosi. Nie trza, coby nas usłyszał!

Nastała więc pełna napięcia cisza, która potrwała, dopóki smok nie odleciał znad targowiska w stronę portu.

— Tylko mi się nie brać tu za łby! — zagroziła Maia. — Widziałam bransoletę w rękach Julien, na pogrzebie. Klątwę miłością zdjęła, tak? — spojrzała na Tenana.

— Tak.

— Jaka, kurwa, miłością?! — krzyknął szczerze zdumiony Oliwier, trzęsąc

się z gniewu. — Moja siostra nigdy by nie pokochała mordercy!

— A taką miłością, jak moja tam teraz na kamieniach leży! Prawdziwą! — zaniósł się gwałtownym szlochem Maia, wstrząśnięta własną stratą. — Ludzie widzieli, jak on płakał po niej! Że ona pocałować mu się kazała, mówił! Bo pocałunek prawdziwej miłości zniszczy każdy czar! Każdy! Tylko śmierci nie cofnie. Na to rady nijakiej...! — urwała nagle i ukryła twarz w dłoniach.

Straszliwy lęk wydobył się z jej piersi.

Zaskoczeni jej rozpaczą, z początku milczeli, nie wiedząc, co robić, bezradni wobec jej cierpienia. A potem Maia zerwała się nagle i nim Oliwier zdołał ją powstrzymać, podbiegła do ciała swojego narzeczonego i uklękła przy nim.

Wstrząśnięty zasłyszonymi słowami Oliwier zamilkł. Na targowisku pojawili się rodzice Mai, zaniepokojeni losem córki. Ludzie w pośpiechu szukali pogrzebanych, słychać było wołania o pomoc i płacz dzieci.

— Nie rozumiałem tego... — wyszeptał w końcu Oliwier. — Powiedziała Rossowi: „Tenan został sam”. On też nie zrozumiał. A ona naprawdę martwiła się o ciebie...

Tenan zmarł.

Oliwier spojrzał na niego wzrokiem pełnym bólu.

— Sai pilnuje mojej ciotki i wuja. Są z rodziną Wiwana. Przybiegłem pomóc... Nie chciałem czekać w kryjówce...

Nie chciał czekać i siedzieć beczynnie. Tak, Tenan zjawił się dokładnie z tego samego powodu.

Oliwier westchnął i wstał. Spojrzał na zrozpaczoną Maię, która trzymała na kolanach głowę ukochanego. Obie rodziny, jej i zapewne zabitego już ją otoczyły, daremnie próbując złagodzić żal.

— Ależ jestem głupcem — powiedział. — Bez niej czuję się taki niepełny. Jakiś zły na wszystko. Narażam życie, które mi zwrócono. Życie, które Ross dla mnie ofiarował. Sai pewnie odchodzi od zmysłów. Powinienem być z nią. Nie tutaj. A ja wrywam się wciąż do czegoś, wciąż mi czegoś brak. Nie wiem, co mam zrobić, by stłumić ten ból, Tenanie. Nie wiem, co zrobić, by uciszyć ten żal. Głupiec...

To uczucie również nie było obce Tenanowi. Doznawał podobnych uczuć. Wstał, by stanąć obok niego.

— Nie powinno mnie tu być... — szepnął Oliwier, patrząc na Maię.

Ostrożnie, obawiając się odrzucenia, Tenan położył mu dłoń na ramieniu.

— Jeśli zechcesz — powiedział cicho — będę ci towarzyszył w drodze powrotnej.

Celowo nie użył słów: „Odprowadzę cię”. Nie przyznał racji, że postąpił niemądrze. Oliwier nie był zbłąkanym dzieckiem czy psem, lecz zagubioną, nieszczęśliwą duszą, skazaną na dzielenie swego istnienia z kimś innym. Nie prosił

o taki los. Nie zasługiwał na odprawę. Obaj wyszli, kierując się tym samym pragnieniem, szukając ukojenia w bólu. Przewrotny los zdecydował jednak, że tylko jeden z nich ma do tego prawo, nie narażając innych. Tylko jeden miał prawo decydowania o swoim losie.

Oliwier spojrzał na niego z bezbrzeżnym smutkiem.

Tenan wolałby, by to Oliwier towarzyszył jemu, ale wiedzieli, że los inaczej ułożył ich karty...

— SMOK! SMOK ZAWRACA! — zawołał nagle ktoś i w tym momencie usłyszeli ryk nadlatującej bestii.

Obaj jak na komendę spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— Cóż — zauważył ironicznie Tenan — zdaje się, że czas minął.

— Zabawne — zauważył podobnym tonem Oliwier. — Pomyślałem dokładnie o tym samym.

Spojrzeli na Maię i jej rodzinę, zbierających się w pośpiechu. Nie chcieli zostawić ciała zabitego.

— Tenanie — rzekł z powagą Oliwier — to nie znaczy, że między nami...

— Tak, wiem — przerwał mu stanowczo.

Mimo to spojrzeli już na siebie inaczej niż przed kilkoma chwilami, choć żaden z nich by nie przyznał, że zaszła jakaś zmiana.

Zgodnie podbiegli, by pomóc.

* * *

— Ross! — zawołał Sel, gdy biegli uliczkami, starając się unikać smoka za wszelką cenę. — Wiwan ci tego zabronił! Nie chciał cię tam!

Ross w odpowiedzi spojrzał jedynie krótko wiele znaczącym wzrokiem.

Waszeba wyciągnęła strzałę z kołczanu, gdy smok zatoczył nad targowiskiem szersze koło, przelatując w ich pobliżu. Naciągnęła cięciwę i wypuściła strzałę.

Celnie.

Zwróciła na nich uwagę.

Ross spojrzał na Waszebę z wyrzutem, gdy smok ryknął i skierował się prosto na nich. Alesei zaklął szpetnie.

Smok zionął ogniem, przed którym ledwie umknęli.

Jednak gdy zaczął ich szukać, coś odwróciło jego uwagę. Ulicą pod nim przebiegł mężczyzna, na którego widok Sel drgnął nerwowo. Tuż za nim biegł Oliwier, który dojrzał grupę przyjaciół.

Tenan z wielką precyzją wypuścił strzałę prosto w podgardle smoka, który zakołował z bólu ponad nimi i z hukiem runął pomiędzy grupą a dwójką strzelców. Poderwał łeb, zły na łucznika, gotów do ostatniego tchnienia go ścigać. Kłapnął

zębami niebezpiecznie blisko.

Nieulekły Tenan, którego także pchała w niebezpieczeństwo jakaś determinacja, odepchnął jak najdalej od siebie stojącego obok Oliwiera, co kosztowało go utratę cennego czasu na własną ucieczkę.

Smok pochwyił go zębami.

Strzałę, którą trzymał w dłoni wymierzył mu prosto w oko, a Waszeba trafiła w podstawę szyi.

Smok ryknął boleśnie, młóćąc ogonem na wszystkie strony, uszkadzając tym samym ściany jeszcze stojących domów. Bił rozpaczliwie skrzydłami, czując swój koniec, lecz mimo to nie chciał wypuścić z paszczy swej zdobyczy, którą najwyraźniej miał zamiar pociągnąć za sobą w objęcia rychłej śmierci.

Każdy zacisk jego szczęk wywoływał przy tym falę nowego cierpienia u łuczника.

Wstrząśnięci tym widokiem ludzie czekali z lękiem, aż agonía bestii wreszcie dobiegnie końca.

Wreszcie smok padł, a ranny Tenan z pomocą Oliwiera i Aleseia wysunął się z nieruchomej paszczy prosto na bruk.

Oliwier pośpiesznie obejrzał obrażenia. Brzuch, klatka piersiowa. Ślady zębów. Rany od kłów.

Po zachowaniu rannego domyślił się, że ten zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

Jednak nie wyglądało na to, by się tym przejął.

Pośpiesznie sięgnął za kołnierz, by pochwyić łańcuszek, na którego końcu zawieszony został niewielki flakonik życiodajnej krwi Wiwana. Tenan rozpoznał ten gest i wstrzymał jego rękę.

— Nie trzeba... — wydusił z trudem.

— Oszalałeś — stwierdził krótko Oliwier.

Flakonik znalazł się w jego rękach, a reszta jego cennej zawartości spłynęła do gardła rannego, wbrew jego oporowi. Musiał przełknąć. Przyglądało się temu zbyt wielu widzów, którzy ściągnęli tu z wszystkich stron.

— Uparty jak ona — mruknął potem Tenan.

Na usta Sela cisnęło się wiele pytań, ale Ross, który chciał jak najszybciej znaleźć się przy Wiwanie nie pozwolił, by zadał choć jedno z nich. Widząc, że Tenan będzie już od tej chwili czuł się tylko lepiej, skinął głową Oliwierowi i opuścił tłum, nie czekając na resztę.

Nie pozostało więc Selowi nic innego, jak pójść za nim jak najprędzej.

Zobaczył jeszcze, jak przy rannym i Oliwierze przyklęka wyraźnie zatroskany karczmarz z gospody „Pod Jednorożcem”. Najwyraźniej on i ten morderca byli już zaprzyjaźnieni, co naprawdę nie mieściło się Selowi w głowie.

Nagle napotkał spojrzenie Tenana.

Wzrok Sela stał się zimny.

Potem jednak obrócił się do rannego plecami i odszedł. Mimo to Tenan wiedział, że to nie było ich jedyne spotkanie.

Najgorsze dopiero przed nim.

Poczuł dotknięcie mroku.

Wano zobaczył cień w jego oczach, którego wcześniej tak przestraszyła się Julien.

Teraz to on poczuł lęk na ten widok, a scena, której był świadkiem ukazała mu się z nowej, bardziej ponurej perspektywy.

To nie odwaga pchnęła Tenana do walki...

— Ross był tutaj — zauważył Tenan. — Idzie do uzdrowiciela, jak myślę.

— Tak — odparł Oliwier w zadumie, czekając aż wydobrzeje, podczas gdy przyjaciele Rossa opuścili w pośpiechu zgromadzonych.

— Masz więc szansę pół na pół — zauważył ozdrowieniec. — Tak czy inaczej... możesz umrzeć. W każdej chwili. Nawet teraz.

Oliwier spojrzał na Tenana z powagą. Nie zauważył na jego twarzy nawet śladu rozbawienia.

— Martwi cię to? — zapytał.

Wano udawał, że ich nie słyszy. Tłum z wolna zaczął interesować się martwym smokiem, wyczuwając osobiste sprawy między nimi.

Tenan w duchu rozkoszował się przyjemnym, kojącym ciepłem, które rozchodziło się po jego ciele, i powracającą siłą. Milczał przez dłuższą chwilę.

— Tak — odparł w końcu, nie patrząc na niego.

Zaskoczony Oliwier nie odrywał od niego wzroku. Czuł jego spojrzenie.

ROZDZIAŁ 18 — POMÓŻ MI

Pocałunek śmierci...

Wiwan czuł, jak opuszczają go siły, ręce omdlewają z wyczerpania, uwięzione w rzeźbionych konarach.

Mayene, pochłonięta tym pocałunkiem, zapomniała się na dobre. Tak wielką moc miała w sobie jego krew, taką siłę miał w sobie jego dotyk, że nagle jej cel, jakim było spółdzenie potwornego potomka, stał się nieważny. Zwyciężyło ogromne pragnienie, nad którym nie miała kontroli: by zabrać mu wszystko, co tylko mogła.

Nienasycone.

Hipnotyczne.

Pochłaniające ją bez reszty.

Nie było nic ważniejszego. Dopóki się nim nie nasyci, nie obchodziło ją nic innego.

Zrozumiał, że nie ma już dla niego żadnej nadziei.

Nawet gdy oderwała wreszcie swe usta, wiedział już, że jest za późno.

Oslabiony czuł, że rozpina mu w pośpiechu spodnie, jakby rzeczywiście miała nadzieję, że pomimo tego, co już zrobiła, uzdrowiciel będzie jeszcze miał siłę na cokolwiek.

Z rozpaczą pomyślał, że jeśli jej nie przeszkodzi teraz, Waszeba zobaczy go z opuszczonymi spodniami pod martwą, niemal rozebraną do naga starą wiedźmą i nic już nie wymaże z jej pamięci tego widoku. Ani z jej serca.

Nie chciał tego.

Musiał więc zrobić to, co konieczne.

Ręka Mayene zanurkowała pod jego bielizną.

Zamknął oczy...

Tylko część ogromnej, życiodajnej mocy, która rozświetlała jego spojrzenie i przenikała krew pojawiła się na jego twarzy. Niemal nie miał już sił na tak potężną dawkę. Miał nadzieję, że jednak to, co jej da, wystarczy do ożywienia jej serca, skoro krew pomogła przygotować resztę.

Potężny impuls wstrząsnął ciałem Mayene: desperacka dawka mocy, której jeszcze niedawno u siebie nie podejrzewał. Jedna jedyna.

Zawierała w sobie wszystko.

Serce Mayene z wolna zaczęło bić, aż uchwyciło właściwy rytm.

Serce uzdrowiciela zwolniło gwałtownie, ledwie mając siłę, by podjąć swą pracę.

Wiwan umierał...

— COŚ TY ZROBIŁ?! — krzyknęła, budząc się gwałtownie z amoku. —

TY...!

Jej namiętność w mgnieniu oka przeobraziła się w czysty gniew. Ręce zacisnęły się na szyi uwięzionego Wiwana, twarz wykrzywiła w nieludzkim okrucieństwie.

— Myślałeś... — wykrzyczała świszcząc, podczas gdy uzdrowiciel daremnie walczył pod jej uściskiem o haust powietrza — że ludzka postać odbierze mi moc?! Miałam ją zanim stałam się tym, kim jestem, ty przeklęty, cnotliwy odmieńcu!

Wiwana szarpał się w walce o życie, ale osłabienie i brak powietrza szybko pozbawiły go sił.

Jedyne co mógł to przegrać, przed oczami mając widok wykrzywionej ze złości twarzy Mayene, gdy tym razem definitywnie pozbawiała go życia.

Ktoś inny będzie musiał...

Wtedy biały kształt mignął mu przed oczami, a wiedźma wrzasnęła z bólu, powalona z łoża na podłogę.

„Reeba” — pomyślał z wdzięcznością.

Biała tygrysica próbowała dostać się do szyi Mayene, której ludzka postać najwyraźniej pozbawiona była niezwyklej używanej do tej pory siły. Walka wiernego zwierzęcia z człowiekiem mogła się zakończyć tylko w jeden sposób, o czym Mayene szybko się przekonała. Podrapana, poraniona walczyła jednak z zacięłością, której pozazdrościć mógł jej niejeden mężczyzna na polu walki. Szczególnie mocne były jej kopnięcia, z których jedno odrzuciło białą tygrysicę.

Mayene wstała z poraną tygrysimi pazurami szyją. Z jej ran wreszcie płynęła krew. Podrapana na całym ciele, w podartym ubraniu, niebezpieczna mimo odniesionych obrażeń.

Tygrysica warknęła i wskoczyła na łoże, gotowa bronić swego pana. Szykowała się do skoku, podczas gdy Mayene rozglądała się za czymś do obrony, czując już skutki odniesionych ran.

Wiwana z trudem nabierał powietrza. Jego zdolności regeneracyjne były na wyczerpaniu, podobnie jak cały organizm. Nie miał siły na to, by dopełnić dzieła, bo nie potrafił swobodnie oddychać, a to z pewnością nie pomagało w koncentracji. Wysilek potwornie go męczył.

Tygrysica czujnie obserwowała wiedźmę, która oddaliła się przezornie od łoża w poszukiwaniu broni.

Spod półprzymkniętych powiek Wiwana widział, jak analizuje sytuację, chcąc przeważać zwycięstwo na swoją stronę, ale nie potrafił temu w żaden sposób zaradzić. Czuł jej gniew. Zwykłe zwierzę nie mogło przecież tak po prostu przeszkodzić przyszłej władczyni królestwa.

To nie mieściło jej się w głowie.

— Dzięki twemu ciału — syknęła w jego stronę — będę żyła wiecznie.

Skoro tak to rozegrałeś, zachowam je i będę żywić się tobą, aż nie zostanie po tobie nawet ślad, a twoja moc przeniknie we mnie na wiele lat. Zawsze jest jakiś sposób... — szepnęła na koniec mściwie, patrząc w oczy tygrysicy.

Tylko Reeba stała między nią a Wiwanem i jej nowym planem.

— Nie zdołają mnie zabić — warknęła.

Uśmiech wykrzywił jej wargi, gdy poczuła działanie krążącej w niej krwi uzdrowiciela, która na oczach Wiwana zaleczyła jej rany. Jej uśmiech był lubieżny, jakby działo się z nią coś niezwykle podniecającego. W pewnym sensie tak było.

Jego broń obróciła się przeciw niemu...

Widział satysfakcję w jej oczach, gdy ujrzała wyraz jego twarzy.

— Mayene — usłyszeli nagle spokojny, lecz niespotykane władczy głos —

Siad!

Zupełnie jakby mówił do psa, nie do niebezpiecznej wiedźmy.

Wiwan spojrział w stronę wejścia ze zdumieniem.

Ross, tak inny niż dotychczas. Przyjaciel był poważny i stanowczy. Stał w progu, gestem potwierdzając rozkaz.

Zupełnie jakby zajrzał teraz do jego dawnego życia, gdy dominował nad niepewnym, ale chętnym klientem. Choć Wiwan miał mgliste pojęcie o tym, jak mogły wyglądać igraszki tego typu, były przecież zupełnie obce jego naturze, to jednak patrząc na Rossa, tego samego Rossa, który z serdecznością słuchał jego dziadka oraz cierpliwie i życzliwie odpędzał jego koszmary, potrafił wyobrazić sobie też jego drugą stronę. Tę mroczną, o której mu czasem wspominał, z czasów gdy chciał zatracić się w dekadencji Domu Rozkoszy, stłumić wewnętrzną udrękę po przejściach.

O tym wiedział tylko Wiwan i nieżyjące już dwie kobiety, które zaopiekowały się skatowanym chłopcem. Wiedział dzięki swym niezwykłym zmysłom, przed którymi nic nie mogło się ukryć, żadna bolesna przeszłość. Nie wtajemniczyli w to nawet Sela, uważając, że lepiej będzie o tym zapomnieć.

Przynajmniej Ross był tego zdania.

Dopóki pewnego dnia Cadelia nie zjawiała się w mieście...

Nie zdążył jakkolwiek wypomnieć mu, że nie powinien tu być, wedle ich planu, ponieważ stało się coś niezwykłego.

Bez słowa protestu, bez próby walki nawet, Mayene jak stała, tak upadła na kolana i przysiadła na piętach!

W jej oczach Wiwan spostrzegł podobne jemu zdumienie własnym zachowaniem.

Wola szybko jednak zwyciężyła, choć w jej głosie obaj usłyszeli obawę, nim zdążyła się opanować w pełni.

— Czarodziej!

Wiwan ponowił wysiłki, by nie stracić przytomności.

Ross pośpiesznie zerknął na niego i ten obraz mocno wrył się w jego pamięć. Zakrwawiony uzdrowiciel leżał przywiązany przedziwnym sposobem na łożu, ledwie żywy, a obok niego stała na poplamionej krwią pościeli biała tygrysica, czujna i gotowa do obrony swego pana. Jej boki i pysk także były poranione, zapewne przez ostre pazury Mayene.

Było gorzej, niż obaj przewidzieli.

— NIE MASZ NADE MNĄ WŁADZY! — powiedziała dobitnie Mayene, zwracając jego uwagę, jakby jednocześnie prócz niego chciała przekonać też samą siebie.

Stała naprzeciw, patrząc mu w oczy.

W następnej chwili cały budynek gospody zatrzęsł się, gdy dwie moce starły się ze sobą w walce jednej woli przeciw drugiej. Mayene rozłożyła ręce. Reeba położyła się na łożu obok uzdrowiciela, przezornie nie chcąc teraz atakować, gdyż wiedźma, używając magii, mogła ją zwyciężyć. Czekwała na dobry moment, jak prawdziwy dobry łowca.

Ross próbował wdrzeć się do umysłu Mayene, jednak ten usilnie stawiał mu opór. Pot zrosił mu czoło. Wiedział, że przegrywając skaże na zagładę nie tylko siebie. Wciąż miał w pamięci obraz zniewolonego Sela z oczami Mayene i śmiertelnie rannego Wiwana leżącego na łożu.

Nie mógł przegrać tego starcia.

Mayene próbowała się wdrzeć do jego umysłu, podobnie jak on do jej. Również i ją kosztowało to nieoczekiwanie wiele wysiłku. Tak wiele, że przez dłuższą chwilę nie potrafiła nawet ruszyć się z miejsca.

Ściany gospody zaczęły pękać, kawałki dachu spadały na ziemię.

— Wiwan! — krzyknęła rozpaczliwie Waszeba, którą Sel i Pafian powstrzymali przed wtargnięciem do środka.

Zgromadzeni mieszkańcy obserwowali budynek ze zgrozą. Wano pochwycił kurczowo ramię Tenana, patrząc na to, co działo się z gospodą. Jego żona tuliła do siebie Ryskę, dziewczkę kuchenną, dla której gospoda była jedynym domem, jaki kiedykolwiek miała.

Oliwier poczuł zawroty głowy.

— Pociągnę was obu do piekła! — syknęła wściekle Mayene, a gospoda zatrzęsała się gwałtownie.

Część ścian zaczęła się rozpadać. Ziemia wokół niej rozwarła się w kilku miejscach, ukazując głębokie szczeliny. Wszyscy cofnęli się szybko, a część schowała pod dachami stajni, gdy gwałtowne wyładowania zagrzmiały nad ich głowami, a ciemne chmury przysłoniły blask jutrzeńki.

Reeba postanowiła wykorzystać fakt, że cała uwaga wiedźmy skupiona była pozornie na Rossie i zaatakowała.

Mayene niedbałym ruchem ręki sprawiła, że ciało tygrysicy odrzuciło do tyłu

i uderzyło w okno, a to pękło z hukiem, wpuszczając zimne powietrze, niosące jeszcze w sobie ostatnie tchnienia zimy.

Zimno przeniknęło na wskroś na wpeł rozebranego Wiwana.

Przełknął ślinę z mniejszym bólem.

Ostre powietrze dostało się wreszcie do jego płuc swobodnie, a ciałem zaczęły wstrząsać lodowate dreszcze.

Reeba legła, niezdolna ruszyć się na skutek przejmującego bólu. Wiwan czuł jej cierpienie, choć nie mógł jej zobaczyć. Żał mu było dzielnego zwierzęcia.

— Włoski ci bieleją! — zauważyła tymczasem złośliwie Mayene, patrząc jak kasztanowe włosy Rossa szybko zmieniają kolor pasmami na biel.

Ross zacisnął zęby. Klejnot nieprzerwanie lśnił czerwienią, podsycany troską i miłością swojego właściciela, by nikomu z bliskich nie stała się już krzywda, choćby on sam miał za to zapłacić.

Włosy wkrótce stały się śnieżnobiałe.

Ross poczuł, że traci siły, a budynek, który wyczuwał dzięki klejnotowi całym sobą, za chwilę zapadnie się pod ich stopami.

Podwoił wysiłki.

— Tenanie... — Oliwier zachwiał się, czując ogarniające go osłabienie i ciemność przed oczyma. Tenan obrócił się w samą porę, by zobaczyć Oliwiera osuwającego się na ziemię. Pochwycił go w ostatniej chwili. Drobnobudowany chłopak nie był ciężki, gdy ten wziął go na ręce.

— Oliwier! — zawołał do niego, przyciągając uwagę Sela, który zbladł na ten widok.

Oliwier stracił przytomność.

— Chodź! — poczuł na sobie delikatny dotyk i zobaczył matkę uzdrowiciela. — Zaniesiemy go w bezpieczne miejsce!

— Dla niego nigdzie nie będzie teraz bezpiecznie! — odparł jej ponuro.

Zgodziła się z nim w milczeniu, nim skinęła ręką.

— Co z Oliwierzem?! — zaniepokoiła się Seme, która chwilę wcześniej pojawiła się w tłumie. — Tenan?!

Pierwszy raz odezwała się do niego bezpośrednio, ale nie miał czasu, by się nad tym głowić.

Sai pojawiła się przy nich i z troską dotknęła nieprzytomnego kochanka.

— Ross — powiedział jej, idąc za Sai.

— Wiem — odparła.

W jej oczach zalśniły łzy.

Z bólem odwrócił wzrok od tego widoku.

— Wiwanie... — Ross nie miał odwagi, by spojrzeć na przyjaciela. — Nie mogę jej zabić swoją mocą. Nie mam miecza.

— Wiem — wychrypiął Wiwan z trudem.

Już czas.

Miał na to dość sił.

O czym mógłby teraz myśleć?

O czym można myśleć w tak krótkim czasie? O życiu? Ta myśl bolała bardziej niż zadane rany. Obraz Waszeby, matki i jego bliskich był dla niego udręką.

O śmierci, która go czekała?

Nie był na nią gotów. Nie potrafił o niej myśleć ani godzić się z tym, że nadchodziła.

Zamknął oczy.

W myślach znalazł się w ciele Mayene, która już patrzyła na Rossa z triumfem.

— Wiesz — powiedział do niej Ross. — Przegrałaś już dawno. Jak tylko postawiłaś nogę w tym mieście. Wtedy, gdy pomyślałaś, by się mnie pozbyć! Wtedy... — klejnot załśnił intensywną czerwienią, podsycany jego emocjami — gdy zabiłaś Julien swoimi sztuczkami! Gdy zabiłaś Guntera i Marię! Gdy wdarłaś się do umysłu Sela! — ostatnie słowa wykrzyczał, a potem szybko stonował głos: — Nie waż się drgnąć bez mojej zgody!

Uśmiech zamarł na twarzy Mayene, zmieniając się w groteskową maskę.

Nie potrafiła ruszyć się z miejsca! Rozkaz zabrzmiał w jej głowie niczym dzwon. Pierwotny lęk przed jakąś niewyobrażalną karą, którą mógłby jej zgotować, stłumił w niej wszelkie odruchy. Przeszło jej przez głowę, że przecież nie powinna tak myśleć, w końcu prawie go pokonała. Jeszcze przed chwilą niemal miała go w ręku!

Ale teraz nie miała nad nim władzy.

On, mocą swej miłości do Sela i przyjaciół, miał nad nią władzę absolutną.

Klejnot zaś w pełni się z nim zgadzał.

Ciemne oczy białowłosego Czarodzieja Klejnotu przenikały ją na wskroś.

Trzymały w miejscu.

Powinna się bronić. Stawić mu opór.

Ale śmiertelnie się bała.

Bała się mocy tych uczuć, które wprost z niego emanowały, a do których nigdy nie miała dostępu, bo nie potrafiłaby nad tym panować. Nie potrafiła ich nigdy z siebie wykrzesać, dlatego nie mogła być doskonałą czarownicą. Sięgnęła do mocy piekieł z nadzieją, że druga, ta mroczna strona, pozwoli jej zwyciężyć.

O wiele łatwiej było iść ciemną stroną, gdy człowiek urodził się bez zdolności do ciepłych uczuć, niedokończony, przeciw wszelkim normom i zasadom. Wystarczyło ulec tym wpływom.

Nawet dziecko było jej potrzebne tylko po to, by zdobyć władzę.

Brzydziła się czymś, czego nie była w stanie zrozumieć, uwielbiała to

niszczyć.

Śmierć zabierała wszystkich, którzy darzyli uczuciem.

Śmierć powinna spotkać tę męską dziwkę.

Śmierć miała być końcem słodkiego uzdrowiciela.

— Całe to wasze dobre serce jest gówno warte — wycodziła. — Powinieneś zdechnąć w męczarniach na statku! — skuliła się po tych słowach, jakby spodziewała się, że ją za to ukarze. — Dobrzy są słabi. To śmiecie. Pierwsi giną w przekonaniu, że są bohaterami za sprawę. Zwykle śmiecie, które trzeba zgnieść i zdeptać. Co dobrego przyniosła ci ta twoja dobroć, dupodajcu? Gdzie przez nią trafiłeś? Dobrze ci było? A tamten? — skinęła głową bojaźliwie i zjadliwie jednocześnie, jak ktoś, kto wie, że nie ma już szans, by przeżyć. — Jak skończyłby na targowisku w Wermodie? Czemu wciąż to robicie? Chcecie im się przypodobać? Tym, co was gnoili?! Jesteście dupy, nie wybrańcy! Wydymali was, skatowali, a wy dalej podlizujecie się ludziom! Dlaczego?!

Bała się, a jednak nie mogła się powstrzymać, by nie wypowiedzieć tych słów. Nie mogła pojąć, czemu nie podążyli podobną drogą do jej, gdy ludzie ich zdradzili.

Ross zbliżył się do niej, pełen władczego dostojeństwa.

— My nie ulegamy nikomu — odparł z powagą. — Słuchamy jedynie własnego serca. To nasz własny wybór. Nie potrafią nas tego pozbawić. Bo są naszą siłą. Tak, cierpieliśmy przez ludzi, to prawda. Ale oni także nauczyli nas miłości i poświęcenia. I przyjaźni. Żal mi cię. Nawet nie wiesz, jak wiele straciłaś. Zło jest zbyt łatwe, a tylko głupcy zawsze podążają łatwą drogą. Czasem trzeba się natrudzić, żeby docenić. Czasem trzeba po prostu to znieść, by o siebie zawalczyć. Tobie się nie chciało.

Zamarła.

Poczuła ukłucie zazdrości. A nawet, być może po raz pierwszy w życiu, poczucie żalu? Nie chciała tego. Jej twarz wykrzywiła się w desperackiej walce z jego wolą.

Trzask w powietrzu pochodził już nie tylko od pękających desek.

Ross czuł, że musi wykorzystać wszystkie swoje siły przeciw jej woli. Tak zaborczo dążyła do pokonania, przełamania jego woli. Nigdy nie musiał tak desperacko walczyć, nie tylko o władzę, ale przede wszystkim o własne istnienie, i to tylko siłą swojego umysłu. Gdy żył z matką, każdy dzień był przetrwaniem, a nieustająca czujność była czasem jedyną bronią. Musiał być czujny jak wtedy, gdy bał się niespodziewanego ataku.

A to dosłownie wykańczało go psychicznie.

Wiedźma chciała nim zawładnąć.

Opadał z sił, nienawykły jeszcze do takiej walki.

Spojrzał raz jeszcze na Wiwana, by podsycić swoją wolę, wpoić w umysł

widok udręczonego przyjaciela. Po to, by nieustannie pamiętać, że nie walczy przecież o to, by udowodnić swoją siłę, lecz by już nigdy nie zdołała wyrządzić nikomu krzywdy. Ale, choć starał się z całej mocy, niewprawiony do tak twardej rozgrywki, ulegał jej naciskowi. Jego znużone nieustannym napięciem ciało zaczynało się poddawać.

Gdy wyczuła w nim słabość, uśmiechnęła się.

Stawiał jej opór, lecz coraz więcej go to kosztowało. Głowę rozpierał mu ból, jakby ktoś ścisnął ją z wielką siłą.

— Ross... — szepnął Wiwan, poruszony jego męczarnią.

Mayene wyciągnęła rękę, w którą wpadł przyciągnięty magią kamień ze ściany gospody. Bezsilny Ross mógł tylko patrzeć, jak dłoń zmierza w jego stronę, by zadać mu cios.

Bronił się do ostatniej chwili.

Uderzenie powaliło go na ziemię i przerwało więź. Ból rozsądził mu czaszkę. Chwycił się za głowę obiema rękami, jęcząc. W ostatniej chwili zauważył, że rusza w jego kierunku, gotowa rozłupać mu głowę tym kamieniem lub zrobić coś znacznie gorszego.

— Nie zaznasz mojego pocałunku — powiedziała do niego. — Zbyt się tobą brzydzę!

— Nie! — zaczął cofać się z dala od niej, pełzając. Chciał zyskać na czasie, by wstać, ale kręciło mu się w głowie. — Ty się mnie boisz! — syknął napędzany bólem i gniewem.

Roześmiała się z pogardą.

Wiwan zacisnął pięści. Jeszcze ten raz. Ten jeden raz!

— Rzuć to! — zawołał Ross.

Miał wrażenie, że własny krzyk go zabije, ale podziałało.

Mayene odrzuciła kamień!

Omał nie krzyknął z radości. Za to zła na samą siebie i skołowana wiedźma wrzasnęła wściekle i rozejrzała się dookoła. Jej wzrok spoczął na stojaku przy kominku, gdzie wisiał pogrzebacz...

Wzrok Wiwana podążył za jej wzrokiem i na chwilę wstrzymał oddech w lęku...

Musi mu pomóc!

Mayene wyciągnęła rękę, podczas gdy obolały Ross trzymał swoją na głowie, w miejscu, z którego płynęła krew. Pomimo zamroczenia bólem zobaczył jednak, co pochwyciła tym razem. Serce zabiło mu gwałtownie ze strachu. Pogrzebacz. Znow pogrzebacz!

Mayene spojrzała na niego z satysfakcją, oburącz obejmując przedmiot. Przymierzyła się do pierwszego ciosu...

Ross skulił się mimowolnie, wiedząc, że choćby mógł, nie zdąży już wstać.

Dobrze wiedział, co teraz nastąpi.

Mylił się.

— Nie — odezwała się Mayene — Nie zamierzam cię tym bić! — Zamachnęła się na pokaz, a jej twarz przybrała wyraz niewyobrażalnego okrucieństwa. — Zamierzam zrobić ci nim naprawdę dobrze...

Pobladł na jej słowa ze strachu.

Wszystko, co dotąd mu się zdarzyło, nie było gorsze od tego, co właśnie miało nastąpić.

Nawet Ramsey nie pomyślał, by zadać mu taką śmierć.

A byłym klientom nigdy nie pozwoliłby na tak chore fantazje.

— A potem tym pokręcę... — spoważniała, gotowa do działania.

— Odłóż to — powiedział, lecz w jego głosie zabrakło pewności. Strach odebrał mu już władzę nad nią.

Nie posłuchała tego rozkazu. Przerażony omal nie zaczął jej błagać o łaskę, ale szybko zacisnął zęby.

Był zgubiony, lecz nie usłyszy jego krzyku.

Przynajmniej tak długo, jak będzie mógł to wytrzymać.

Klejnót błysnął jasno, gdy Mayene się pochyliła.

WIWANIE... — szepnął do uzdrowiciela, żegnając się z przyjacielem.

Wiwana zamknął oczy i zacisnął pięści w ostatnim desperackim geście.

Mayene zachwiała się. Pociemniało jej w oczach. Piersi rozsadził ogromny, miażdżący jej wolę ból... W mgnieniu oka zsiniała na twarzy, jej twarz wykrzywiła się w wyrazie niedowierzania, a usta zmieniły kolor. Odwróciła się do konającego uzdrowiciela, wytrzeszczając oczy. On powinien już skończyć!

Zatrzymał jej serce siłą swej woli, jak zrobił to w próbie ratunku kilka miesięcy temu, wśród żądnych jego krwi ludzi, ogarnięty beznadziejną rozpaczą.

Ścisnął je wielką, niewidzialną pięścią.

Niczego nie zdążyła już zrobić.

Upadła na podłogę, daremnie walcząc o życie. Jeszcze podpełzła do niego, wyciągając rękę. Chciała go udusić, zmiażdżyć, pociągnąć za sobą do grobu. Lecz tu jej czas wreszcie się skończył.

Skonała przy jego łożu, ostatnim szarpnięciem chwytając jego dłoń, poszarpaną kiedyś dotkliwie przez innych. Długimi paznokciami rozcięła mu na niej skórę, jakby chciała zniszczyć chociaż to: symbol jego daru, który potrafił przynieść także zgubę. Jej niezwykle opalizujące oczy niewidzącym już spojrzeniem spoglądały we wrota otwierających się piekielnych otchłani.

To był koniec.

Ross podpełzł do niej. Dotknął, by upewnić się, że jest już martwa. Potem zebrał się w sobie i gniewnym szarpnięciem pochwycił jej włosy. Nie zareagowała. Upadła niczym kukielka, której odcięto sznurki.

— Nie żyje — powiedział po chwili cicho. — Nareszcie...

Wszystko wokół uspokoiło się momentalnie. Gospoda zamarła, jakby w oczekiwaniu.

Uniósł wzrok z wysiłkiem, by spojrzeć na rannego Wiwana.

Wzrok uzdrowiciela przygasł. Żył jeszcze, choć niewiele mu tego życia pozostało.

— Wiwanie... — szepnął Ross z bólem w sercu.

Wiwana spojrział na niego z trudem. Kąciki ust zadrgały mu od próby uśmiechu, jakby chciał dodać otuchy, pocieszyć po tym akcie przemocy.

W tym momencie rozległ się głośny trzask. Cały budynek ledwie trzymającej się gospody zaczął się rozpadać z hukiem...

— Ross — szepnął Sel z rozpaczą. Waszeba przywarła do jego ramienia.

Dinn ujął jej rękę.

Tygryś w ostatnim tchnieniu uniosła łeb, by spojrzeć na źródło niezwykłego hałasu.

Potem położyła go z powrotem i zamknęła swe niezwykle oczy na zawsze, podczas gdy świat wokół niej pękał i grzmiał...

Wokół ruin rozległ się lament.

Sel, Pafian i Waszeba zgodnie zaczęli się przedzierać przez rumowisko, nim opadł pył, nawołując swych bliskich. Odpowiadała im cisza, ale nie tracili nadziei.

Piętro, na którym mieścił się pokój Wiwana i Waszeby przykrywało jeszcze to, co zostało ze strychu i dachu jeszcze niedawno pięknej góralskiej gospody „Pod Jednorożcem”. Przedrzeć się tam było okropnie niebezpiecznie i trudno, ale nie ustawiali w wysiłkach.

— Tam! — zawołała do nich Sarana, żona karczmarza. — Widzę komin, a on był zaraz nad kominkiem w ich pokoju!

Pafian podążył za jej spojrzeniem i także go zauważył. Teraz rozpaczliwie trzymał się, jak dojdź w to miejsce. Dinn stał obok na deskach, jakby ważył tyle co piórko. Pomagał Waszebie wyjść na górę.

Elfy były lekkie, kiedy tego chciały.

— Dinn! — Pafian zawołał do niego.

— To niebezpieczne! — krzyknęła Waszeba. — My pójdziemy!

— Nie zamierzam stać i czekać! — mruknął Sel obok niego.

— Stójcie! — krzyknął do nich kamieniarz Bert, stojąc przy rumowisku. — Elfy raczej mają! Tu trzeba z głową! To wszystko ledwie trzyma się kupy! Pogrzebie was wszystkich żywcem!

— Tam jest Wiwan! — krzyknął Pafian.

— I Czarodziej! Tak, panie hrabio, wiem! — zgodził się spokojnie kamieniarz. — Ale jak pójdziecie dalej, to będziecie martwi, tak samo jak i oni! Tak to czuję!

— Trzeba stopniowo! Narzędzi jakiś potrzeba — zgodził się z nim jego przyjaciel.

— Konie do wozów zaprząć! — zawołał karczmarz z gospody „Pod Przystanią”, który znalazł się aż tutaj ze swoimi trzema synami. — Kłody odciągać!

— Ja będę mówił! — zagrział kamieniarz Bert. — Wszyscy się słuchać mają!

— Co mamy robić? — zapytał go więc Erlon, który zjawił się z rodziną.

Kamieniarz rozejrzał się po zgromadzonych. Ocaleni z porwania i ich obrońcy stali w jednej gromadzie, jakby się zmówili. Uratowani ostatnio przez uzdrowiciela, łącznie z kowalem Azyłasem, stali naprzeciw. Reszta — pośrodku.

Pafian pociągnął za sobą ociągającego się Sela, przyznając w duchu rację słowom kamieniarza. Martwi nie pomogą nikomu.

Prawdziwą sensację wywołał jednak Oliwier, który zjawił się wśród tłumu w towarzystwie Tenana. Chociaż był blady jak płótno i nie wyglądał najlepiej, wzbudził wśród ludzi nadzieję swoim przybyciem, zwłaszcza w sercu Sela.

Dlatego właśnie nalegał, by tu przyjść.

Czuł, że jego obecność będzie w tej sytuacji potrzebna. Bo jeśli on wciąż żył, to dawało pewność, że Czarodziej Klejnotu, kapitan Walerii, chociaż wciąż jeszcze Cadellii, którego skromna załoga także tu była, żył także. Więc może i uzdrowiciel...

Sel zapomniał na tę chwilę nawet o tym, co czuł na widok Tenana, tak wielką poczuł radość.

— Brać mi zaraz młoty, topory, siekiery, liny i co tam kto ma! — zawołał kamieniarz. — I słuchajcie, potem zrobimy tak...

* * *

— Ross...

— Tak, Wiwanie...?

— Pomóż mi...

Stłumiony głos Rossa przepełniony był żalem.

— Nie mogę się ruszyć!

— Wiem — powiedział cicho uzdrowiciel. — Czuję to. Nogi, ręce...

— A co z tobą?

Przez dłuższą chwilę nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Czuł jednak, że przyjaciel wciąż żyje. Klejnot także go o tym zapewnił.

— Umieram... — odparł wreszcie Wiwan.

Ross zamknął oczy, czując spływające po policzkach łzy. Przeczynał to. Wiedział, że tak będzie, odkąd zobaczył go rannego na łożu.

— Nie... — powiedział jednak, rozpaczliwie chcąc odpędzić tę przyszłość, zatrzymać czas, powstrzymać wydarzenia.

Wszystko, byle to się nie stało...

— Proszę cię... — Wiwan mówił z trudem, a głos miał zachrypnięty — o inną pomoc.

Wiedział już, co usłyszysz, dlatego zadrżał z tłumionej rozpacz.

— Pomóż mi odejść — poprosił cicho przyjaciel.

— Wiwanie...

— Ross... — głos Wiwana nagle się załamał. — Wierz mi, nie chcę tego robić! Nie chcę umierać...

— Więc walcz! — krzyknął mu. — Słyszysz te głosy? Oni już po nas idą! Wytrzymaj!

— Nie mam siły... — wychrypiał Wiwan z trudem.

— Proszę cię!

— Jestem taki zmęczony...

— Jeśli teraz zamkniesz oczy — umrzesz! Słyszysz mnie?! Wiwan?!

— Zimno mi...

Ross omal nie jęknął głośno. Zimno. Oznaka umierania.

— Proszę, nie poddawaj się — powiedział błagalnie.

Odpowiedziała mu cisza.

— Wiwan? — ze swego miejsca nawet go nie widział, tak wiele było desek i kamieni.

Ale wciąż go wyczuwał.

SPEŁNIJ JEGO PROŚBĘ — powiedział cicho Klejnot.

— Ty też?! — szepnął z żalem.

Wyczuł smutek Klejnotu.

— Wiwan?! — zawołał.

Dopóki z nim rozmawia...

Wołał go jeszcze dwukrotnie, nim usłyszał wreszcie słaby głos:

— Jestem...

Łzy nie przestawały płynąć Rossowi z oczu.

— Byłem przez chwilę po tamtej stronie — powiedział Ross. — Wtedy, gdy pomogłem Oliwierowi. Julien tam była.

Nie wiedział, czy Wiwan wciąż go słucha.

— Na pewno wyjdzie ci na spotkanie — zapewnił go przez łzy. — Wiem, że najbardziej boisz się, że będziesz tam sam. Nie będziesz. Ona będzie tam na ciebie czekać, jestem pewien. Nie będziesz sam, słyszysz?

Wreszcie usłyszał cichy szloch.

— Tylko na nas musisz trochę zaczekać — łzy niemal go dławily.

Urwał. Na górze nad sobą słyszał jakieś głosy. Pomoc niewątpliwie

nadchodziła.

— Nie powiedziałem Waszebie, że ją kocham — usłyszał głos przyjaciela. — To dlatego, że... Boże mój! — przerwał nagle. Poprzez hałasy na zewnątrz Ross usłyszał jego tłumiony jęk. Po chwili Wiwan trochę się uspokoił — To dlatego że... dla mnie... — z trudem wypowiadał słowa — znaczy to... Kocham ją... powiedz jej... ponad życie... na zawsze... — ostatnie słowa wyszeptał, nim zamilkł na dobre.

Ross wołał go nieustannie, ale Wiwan już nie odpowiedział. Rozpacz rozsadzała piersi ocalałego tłumionym szlochem.

„Żyje jeszcze, prawda?” — zapytał z obawą swój Klejnot.

TAK — odparł Klejnot. — ZAPADŁ W DZIWNY SEN. BALANSUJE MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ.

Ross westchnął ciężko i spojrzał w górę, skąd dobiegały go znajome głosy.

On także czuł dotkliwe zimno. Z pulsującego bólem rozcięcia na głowie spływała krew.

Obok niego leżało martwe ciało Mayene, teraz bliżej niż przedtem. Jej oczy skierowane były na niego, jakby wciąż go obserwowała.

Gdzieś w jego psychice szczelina pogłębiała się od tego jej martwego spojrzenia. Bał się jej wzroku, choć przecież już nic nie mogła mu zrobić, i jednocześnie szczerze ją nienawidził za całe zło, które wyrządziła.

Odwrócił wzrok z wysiłkiem.

Gorsze od tych myśli były inne, które leżyły się w jego głowie, gdy na nią patrzył. Te, których nie poznawał. Tak inne, obce. Przerażające. To była jakaś inna część jego natury — mroczna, odmienna, dla której nic się nie liczyło prócz opętającego żalu nad sobą i chęci odwetu za krzywdy. Bał się tego mroku, jego niszczącej siły. Odebrałaby mu to, kim był dotąd i za co go pokochano. Wolałby się już wydostać z tej mrocznej pułapki. Wolał już nie patrzeć na Mayene. Nie zostawać sam z własnymi myślami. Dopóki Wiwan z nim był — skupiał swoje myśli na nim. Teraz go nie było. Został sam, a nie miał już siły na walkę z własnym demonem, kryjącym się w jego duszy. Nie miał czego się trzymać.

— Idą po nas — szepnął sam sobie, by przerwać ciszę wokół niego i martwej więdźmy.

NIE PATRZ NA NIĄ — rzekł mu Klejnot.

Uchwycił się jego głosu niczym tonący brzytwy.

— Mów do mnie, proszę — szepnął mu. — Nie zostawiaj mnie.

Klejnot otulił go swym ciepłem uczuć, załśnił w panującym półmroku, napełniając mu znów serce nadzieją. Poczuł, jak ciemność go opuszcza.

Znów był sobą.

ROSS — powiedział Klejnot. — SEL JEST TUŻ NAD TOBĄ.

Uśmiechnął się słabo.

— A Wiwan? — zapytał.

Wolał, by Klejnot mu o tym powiedział.

JESZCZE NAS NIE OPUŚCIŁ — odparł Klejnot.

Pod belką stropu, która więziła jego ręce zacisnął je w pięści z cichą nadzieją.

ODPOCZNIJ — nakazał mu Klejnot łagodnie.

* * *

— Spadli aż do piwnic — zauważył Pafian.

— Ostrożnie z tymi dechami! — zawołał do nich kamieniarz Bent. —
Mieście głowę na karku!

— Ross... — szepnął przestraszony Sel, dotykając leżącego. — Pafianie,
spójrz na jego włosy!

— Paskudne rozcięcie — dodał jeszcze Pafian, obserwując ranę na
śnieżnobiałych włosach. — Jest zaklinowany. Może być poważnie ranny.

— Ross, słyszysz mnie? — Sel delikatnie poklepał po twarzy Rossa.

Ranny z trudem otworzył oczy i spojrzał na niego półprzytomnie.

— To ty... — wychrypiał z trudem.

Sel uśmiechnął się lekko.

— Zawiedziony?

Ross spróbował odwzajemnić uśmiech, lecz skrzywił się jedynie z bólu.

— Masz rozbitą głowę — wyjaśnił mu Sel. — Boli cię gdzieś jeszcze?

— Nogi... Brzuch... Ręce... — zaczął wymieniać Ross, na co Sel
pośpiesznie wyciągnął zza koszuli flakonik z darem Wiwana i przystawił mu do
ust.

— Pij — szepnął — Co by było, gdyby tego zabrakło...?

Ross posłusznie spełnił jego polecenie. Przejęty Sel pocałował go z troską
w czoło.

— A Wiwan? — zapytał Ross — Znaleźliście go?

Pafian przetrząsał właśnie gruzowisko, gdzie prawdopodobnie mógł
znajdować się jego brat. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to dobrze. Nie widział
nawet skrawka wolnej przestrzeni.

— Był tam, prawda? — zapytał Rossa, który powoli dochodził do siebie. —
Słyszałeś go?

— Tak.

Z góry dobiegł ich odgłos odciąganych desek, trochę dalej od nich.

Bert zlecił poszukanie innej drogi.

— Tam było łóżko, pod oknem — przypomniał sobie Pafian. Głos mu się
załamał pod koniec wypowiedzi — Był na nim?

Ross nie odpowiedział od razu. Pafian wiedział, że Wiwan użyje sposobu, by zwieść Mayene, choć nie znał szczegółów. Mimo to domyślał się prawdy.

— Tak — odparł więc po dłuższej chwili.

Wzrok Pafiana spoczął na martwym ciele Mayene, które znaleźli razem z Rossem.

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby Pafian miał zamiar ją kopnąć. Tak zaciętego, chłodnego gniewu nie widzieli na jego twarzy jeszcze nigdy, zwłaszcza gdy jego oczy przebiegły po jej półnagim ciele, nakrytym podartą, kolorową jak zwykle, pokrwawioną koszulką.

— Przeszkodziłem jej — czuł, że musi mu to powiedzieć. Nie chciał widzieć w nim tej zaciętości. — Do niczego nie doszło.

Pafian spojrział na niego, a właściwie przyjrzał się z powagą jego śnieżnobiałym włosom.

Potem zerknął na Sela. Widocznie obaj musieli dojść do tych samych wniosków, Sel bowiem podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Znajdziemy go — wyszeptał.

Rossa zdradziło ponure spojrzenie. Pafian przyjrzał mu się z niepokojem. Otworzył usta, by zadać pytanie. Wtedy usłyszeli z góry głos Waszeby:

— Wiwan! — zawołała. — Jest tam! Widzę go...

Głos załamał jej się nagle.

Pafian poczuł lęk.

Wołała Wiwana, lecz nie usłyszeli jego odpowiedzi.

* * *

Trudno było wyrwać się z tego dziwnego stanu.

Jakby miał do przebycia długą i ciężką drogę, by dotrzeć do domu. O wiele prościej byłoby się poddać, ale wiedział, że tego jednego nie wolno mu zrobić. Jakaś siła pchała go w stronę światła. Kosztowało go to wiele wysiłku. Tak wiele, że niemal całkiem opadł już z sił.

Aż wreszcie dotarło do niego, że czuje ciepło.

Kojące ciepło.

Było mu przecież tak zimno! Przemarznął w ruinach gospody.

To ciepło nie pochodziło od ognia.

Ktoś tulił go do siebie, rozgrzewał.

Trzymał go za rękę.

Dwie istoty. Za nim i przed nim.

Miękka, puchowa pościel.

Ciche oddechy.

Delikatny pocałunek.

Waszeba!

A za nim...

Pafian. Pafian i Waszeba ogrzewali go swym ciepłem pod miękką, wspaniałą kołdrą. Gdzieś w pobliżu trzaskał ogień w kominku, a im dwojgu zaczynało już być gorąco.

Oboje trzymali go za ręce, które bolały niemiłosiernie.

Czuł się tak ociężały! Skóra na torsie i brzuchu piekła go, choć znośnie. Poczul zapach ziół.

Ziołowy opatrunek na rękach i gdzieś z przodu, na ciele. Opatrunek wokół jego szyi.

Ale gdy chciał wydobyć głos, zabolalo. To musi poczekać.

Powoli, jakby ważyły zbyt wiele, uchylił powieki.

W przyciemnionym pokoju pierwsze co zobaczył, to jej piękną twarz. I fale purpurowych włosów, odkrywających szpiczaste ucho elfa.

Jakby wyczuła, że na nią patrzy. Obudziła się.

Kochał jej cudowne, zielone oczy, które otwarły się szerzej, gdy napotkały jego wzrok. Najpierw pełne niedowierzania, a potem nieopisanej radości.

Próbował się uśmiechnąć, lecz nawet mięśnie twarzy nie chciały go słuchać, tak bardzo był wyczerpany powrotem do świata żywych.

Bo przecież żył, prawda? Patrzył teraz na nią, więc musiał żyć...

Rozchyliła swe pełne usta, jakby chciała coś powiedzieć. Potem jednak zerknęła na śpiącego za nim Pafiana i by nie zmać tej chwili jego przebudzeniem, zrezygnowała ze słów. Oczy zalśniły jej od łez tajonego szczęścia.

Ledwie zdołał zacisnąć palce na jej dłoni, lekko, ale każdy ten ruch, każdy gest był dla niego ważny, chociaż dużo go kosztował, bo uświadamiał mu, że żyje. To i jej widok były warte każdego wysiłku. Uścisnęła tę dłoń w milczeniu, przysunęła się ostrożnie i pocałowała go najpierw w policzek, potem w czoło, by wreszcie dosięgnąć jego ust. Poczul się, jakby wraz z tym pocałunkiem tchnęła w niego siłę. Krew zaczęła mu szybciej krążyć, mięśnie przypominać do czego służą, wzrok się rozjaśnił, a dotyk w pełni powrócił. Śmiertelna bladość ustąpiła miejsca zwykłemu rumieńcom.

Jeszcze nie miał dość sił, by naprawdę ją pocałować, ale przynajmniej mógł do niej przyłgnąć, przytulić się z poczuciem szczęścia, kontemplując te chwilę milczenia i radości.

Zaczął drzeć, a wtedy objęła go mocniej, budząc przy tym Pafiana, któremu twarz rozpromieniła się na widok przytomnego Wiwana.

Wtedy poczul czułe dotknięcie, którego nie mógłby pomylić z niczym innym, tak było mu drogie. Matka usiadła za Waszebą, by widzieć jego twarz. Czującym dotknięciem wodziła po jego włosach. Widząc, że jest bardzo słaby, sama zbliżyła się do niego, by pocałować go w policzek, jak robiła to dawniej. Obie

tuliły go do siebie, a Pafian poprawił jeszcze kołdrę na jego plecach, by bratu naprawdę było ciepło, chociaż widział, że jest dużo lepiej.

Ta niekłamana miłość i troska innych działała na jego serce niczym balsam, choć budziła też lęk, że wszystko to utraci, że nie zdoła się przy nich utrzymać. Objęli go wszyscy, szczęśliwi z powodu jego powrotu, wyczuwając w nim ten strach, a przytulony do ciała Waszeby Wiwan trzymał się bardzo mocno jej ręki, w obawie że z nimi nie zostanie i osunie się gdzieś w bezdenną czerń, zimną i pustą. Dopiero gdy drżenie ustało, uspokoił się pod ich dotykiem i zasnął wyczerpany, uspokojony ich kojącymi słowami zapewnienia, że zło już minęło i nie wróci, i że wszyscy na niego niecierpliwie czekają.

Zasnął, słuchając ich głosów.

I było mu z tym tak dobrze...

* * *

Gdy już stało się pewne, że uzdrowiciel przeżyje, nie posiadający się z radości mieszkańcy wzięli się za naprawianie szkód. Ross i kapitan Noren zaangażowali swoją załogę w odbudowę gospody „Pod Jednorożcem”, a hrabia Erlon znów miał dużo zajęć związanych z organizacją pracy w Barnicy.

Tym razem na targowisku powstała wielka stołówka pod prowizorycznym namiotem, gdzie pracujący spożywali posiłki. Punkt zaopatrzenia i żywności poprowadziły te same kobiety, które robiły to w czasie zarazy. Postawiono namioty dla tych, którzy nie mieli dachu nad głową. Większość rodzin z uszkodzonych domów znalazło tymczasowy nocleg w domu Seme i kilku innych, a także w gospodzie „Pod Przystanią”.

Najważniejszym i prawdziwym wydarzeniem dla mieszkańców tuż po klęsce więdźmy było spalenie jej ciała na stosie na niewielkiej plaży przy porcie. Nie było osoby w miasteczku, która nie chciała zobaczyć takiego widowiska. Ludzie złorzeczyli jej, nie tylko za zło, do którego się przyczyniła, ale i za krzywdę na uzdrowicielu, którego omal nie zabiła.

Ross, którego wszędzie teraz witano jak dostojnego gościa, przyglądał się temu pogrzebowi z ponurą zadumą, myśląc o tym, jak wiele Mayene zmieniła w sercach tych ludzi, ile w nich wszczepiła złości i gniewu, z czego nie zdawali sobie dotąd sprawy. Miał nadzieję, że gdy emocje już opadną, życie w tym miejscu wróci do harmonii i takiego spokoju, jakie zakiełkowało tu tuż po zarazie.

Tęsknił za spokojem w swoim życiu, obiecując sobie, że jak tylko skończą pomagać przy odbudowie Barnicy, zajmą się przerabianiem Walerii, by wypłynąć w rejs. Spodobała mu się perspektywa pływania po spokojnych wodach bezkresnego morza. Nawet burze go nie przerażały. To była poważna zmiana w jego życiu, która wreszcie dawała nadzieję na lepszą przyszłość u boku Sela z

otwartym na wszystko teraz Aleseiem i jego Psem.

To była przyszłość, która go do siebie wabiła, wołała słodkim głosem. Uśmiechał się do tych pragnień z ironią. Wydawało mu się bowiem, że zupełnie niezaplanowanie i nieświadomie jego matka właśnie zaszczepiła w nim tę miłość do żeglowania, czego zupełnie się nie spodziewała. Nawet we wzroku Sela widział czasem to zaskoczenie. Ukochany wciąż nie mógł się nadziwić, choć tego nie mówił, skąd w Rossie wzięła się tak duża sympatia do statku, który matka oddała mu z taką pogardą i niechęcią i dlaczego tak ciągnie go do żeglowania. Czemu miałyby być inaczej? Statek nie był winien temu, że dowodził nim podły Ramsey, a już głowa Rossa była w tym, by z pomocą Sela tak przerobić Walerię, by nie został nawet maleńki ślad po poprzednich właścicielach. Wtedy stanie się jego ukochaną, pełną dostojeństwa Walerią, która budziła w nim ciepło najwspanialszych wspomnień z ponurego okresu w jego życiu.

Już nawet widział ją w myślach. Sel namalował ją na obrazie, płynącą po falach, a Wiktor pożyczył od niego darowaną mu wcześniej drewnianą minaturę stateczku, by na wieść o planowanych zmianach oddać mu go, w każdym szczególe podobny do przyszłej Walerii. Silas zebrał mu załogę złożoną z godnych zaufania ludzi, a kapitan Hydry w wolnym czasie uczył go sztuki nawigacji i żeglarskich komend. Szczególnie to ostatnie Silas lubił śledzić. Chętnie w tym pomagał i życzliwie śmiał się wraz z kapitanem Norenem z pomysłów.

Sel natomiast, przygotowując się do przyszłych wypraw, uczył się kartografii i szkicował swoje pomysły udoskonalen zarówno na Hydrze, jak i na Walerii. Nie spędzali z Rossem w tym czasie zbyt wielu chwil z wyjątkiem nocy, ponieważ pomoc Sela była także konieczna kamieniarzowi Bertowi, dowodzącemu niczym kapitan budowami w miasteczku pod okiem hrabiego Erlona.

Dzięki temu zmieniała się w całym miasteczku architektura, ponieważ projekty Sela i rozwiązania w kwestii dachów, na podstawie obserwacji życia mieszkańców zimą, cieszyły się sporym wzięciem. Nawet pałac, którego budowę zaplanowano na końcu, miał już w swych projektach nowe rozwiązania, w tym system wodny, a jego mały prototyp Sel zainstalował swego czasu w rodzinnym domu.

W czasie prac przy gospodzie Sel spotykał czasem Tenana...

Ich kontakty ograniczały się jedynie do wzajemnych obserwacji. Żaden z nich nie chciał być tym, który jako pierwszy zacznie rozmowę.

Z wolna — co Sel zaobserwował ze zdumieniem — zakiełkowała przyjaźń między Tenanem a Oliwierem, także za sprawą Sai, którą Tenan traktował jak drogą przyjaciółkę. Owszem, Ross opowiedział mu o tym o kłątwie, bransolecie i tym, jak została w końcu z tego człowieka, ale o ile Oliwier w końcu zrozumiał, w jak okropnym położeniu był Tenan, gdy był prawą ręką Morena, a miłość zdejmująca kłatwę przecież musiała być wzajemną, i to tak mocną, by pomóc

stworzyć Klejnot Nadziei — to Sel jednak nie miał tak otwartego serca jak jego przyjaciele. W jego wspomnieniach ten człowiek wciąż był mordercą jego ojca, w związku z czym nigdy nie będzie się mógł z nim porozumieć. I mordercą Milery, która była mu oddana i kochała go, pomimo wad i groźby jego rychłej śmierci.

Nie mógł puścić w niepamięć tego, co się stało. Nie był też pewny, czy kiedykolwiek to zrobi.

Ross nie ingerował w jego decyzje. Nie unikał Tenana, ani też się do niego nie zbliżał ze względu na Sela, lecz w duchu zgadzał się z Oliwierem. W tej sprawie jednak nie chciał opowiadać się za żadną ze stron. Znał Tenana także z pobytów w Domu Rozkoszy i widział tam zarówno jego dobrą, jak i złą stronę. Patrząc na to bardziej obiektywnie: były chwile, gdy można było tę czy inną sytuację rozegrać inaczej, jak z nieszczęsną Reniel, biedną dziewczyną tak podobną do Oliwiera, zabawką w rękach Morena. On swego czasu zbyt skupił na sobie uwagę bandytów, którzy zajęli burdel, stając w obronie Walerii, swojej opiekunki. Nie mógł się więcej narażać dla innych. Ale Tenan miał kilka razy okazję złagodzić jej los. Jednak zadowolony z faktu, że impulsywny Moren skupia się na dziwce, postępował tak samo jak reszta bandy.

Prawdopodobnie szlachetny postępek wobec Reniel także wiele by Tenana kosztował, lecz o tym Ross nie miał pojęcia...

Ross nie był świadkiem, kiedy ból zabijał Tenana, kiedy Sai i Julien do niego przyszły. Sai nigdy mu o tym nie powiedziała.

Tenan w żaden sposób nie próbował naciskać na Sela. Żył po prostu własnym życiem, mając nadzieję, że z czasem ten przestanie go tak bardzo nienawidzić.

Nie było prostych rozwiązań dla tej sytuacji. Tu mógł pomóc tylko czas.

Na razie cieszył się z zyskiwanych przyjaźni i serdeczności, jaką darzył go karczmarz Wano i jego żona, oraz z sympatii mieszkańców, którzy szybko dorobili sobie do jego historii romantyczno-tragiczną otoczkę.

Tylko jego serce pozostało przepelnione tęsknotą. Usta pamiętały smak nie tego ostatniego pocałunku, lecz tamtego zmysłowego w jego pokoju. Boleśnie za nią tęsknił.

Widział, że Oliwier także. Często widywał go przy jej grobie.

Dinn odzyskał spokój, gdy pewnego wieczora całkiem przypadkiem usłyszał przez okno jednego z domów zasłyszaną historię.

Babcia opowiadała stęsknionej małej dziewczynce o jej matce, układając ją do snu.

— Śniła mi się wczoraj twoja mama — powiedziała jej ciepło. — Pytała o ciebie. Mówiła, że bardzo cię kocha.

— I co jeszcze mówiła?

— Pamiętasz, co opowiadał ci tata? Twoja mama broniła tego białowłosego

elfa, który walczył z wiedźmą.

— Dinna — powiedziała dziewczynka cicho. — Leni mówi, że on ma na imię Dinn. Tak słyszała.

Dinn uśmiechnął się ciepło.

— Pytała też o niego.

— I co jej powiedziałaś?

— To, co powinnam. Że jest cały i zdrowy. A ona na to: „Powiedz mu, że jesteśmy już wolni. Naszym duszom już nic nie zagraża”. Muszę mu to przekazać, kiedy go spotkam.

— A co to znaczy?

— Kiedyś ci wytłumaczę. On na pewno mnie zrozumie.

— To coś dobrego, prawda?

— Tak, kochanie — odparła babcia. — To bardzo dobra wiadomość.

— Dziękuję ci — szepnął cicho Dinn do zmarłej.

Nagły wietrzyk musnął przelotnie jego twarz w delikatnej pieśczoce.

* * *

Każdego dnia mieszkańcy Barnicy zostawiali prezenty dla swego uzdrowiciela w sali jadalnej gospody „Przy Przystani”. Ktoś przynosił smakowite potrawy, ktoś inny ciepłe wełniane koce czy kamizelki. Inni podawali doprowadzone do porządku ocalałe książki z biblioteki pałacu, zioła na poprawienie zdrowia, pierzynę, własnoręcznie rzeźbione figurki... Gdyby to była już wiosna, gospoda zapewne tonęłaby pod nawałem kwiatów.

Codziennie pytali o jego zdrowie.

Karczmarz nikogo prócz zamieszkujących, rodziny hrabiego i jego przyjaciół nie wpuszczał na piętro, gdzie znajdował się pokój uzdrowiciela, wspomagając się czasem własnymi synami, gdy domagano się tego zbyt natarczywie. Na początku wpuszczał jedynie rodzinę, wyjątek czyniąc jedynie dla Czarodzieja Klejnotu, któremu odmówić po przeżytych chwilach na Cadellii i wszystkim, co się tam stało, nie zamierzał. Wszyscy, których wtedy z nim porwano, przeżyli wstrząs na widok nowego koloru jego włosów. Związał ich ze sobą sercem. Przez jego koszmarne przeżycia z matką zawsze witali go ciepło i traktowali życzliwie. On także bardzo ich lubił, jakby połączyła ich wszystkich jakaś dziwna więź.

— Jest jeszcze za słaby na ciągłe odwiedziny — tłumaczył cierpliwie karczmarz pozostałym ludziom, gdy przy nich wypadło mu przepuścić wybrańców na górę.

Dumny był z tego, że jego opieka pomaga dojść Wiwanowi do zdrowia, choć

z pewnością to miłość Waszeby miała tu największe znaczenie. I troska bliskich.

Pilnował, by żaden z gości nie wygadał się o planowanej niespodziance dla uzdrowiciela, mając wraz z kowalem Azylasem i innymi pomysłodawcami nadzieję, że ten prezent przyniesie Wiwanowi więcej radości niż smutku.

Wyrzeźbili bowiem w marmurze dwa białe tygrysy. Na pamiątkę ich odwagi.

W końcu te wspaniałe zwierzęta oddały za niego życie...

* * *

Wiwan stał przy oknie, niewidoczny na zewnątrz dzięki gęsto tkanym wzorom na firance.

Po kilku dniach, gdy osłabienie spowodowane utratą krwi minęło, a wrodzona zdolność regeneracji przy ogromnej miłości, jaką go darzono powróciła, wstał wreszcie z łoża. Rany od ostrych pazurów Mayene nie goiły się szybko, a przetarte do krwi ręce, gdy daremnie próbował się bronić przed uduszeniem, wciąż go jeszcze piekły, ale przynajmniej znów mógł mówić. Ślady po dłoniach Mayene stały się zaś słabo widoczne.

Patrzył, jak znajomy świat zaczyna się zmieniać na jego oczach i myślał o tym, że mógł tego nigdy nie zobaczyć...

— O czym myślisz? — zapytała cicho Waszeba, tuląc się do jego pleców.

Ujął jej dłonie i oplótł się nimi, choć próbowała temu zapobiec, by go nie urazić. Nie chciała, by jej ręce poruszyły opatrunki pod koszulą. Ale Wiwan wolał znieść ból, niż zrezygnować z jej dotyku. Odkąd się ocknął wiedziała, że stale szukał okazji, by czuć ją przy sobie. Jakby się bał, że bez niej straci wszelkie oparcie. Potrzebował poczucia bezpieczeństwa.

Ucałowała go delikatnie w kark, gdzie wciąż widziała ślady palców, jakby prawie nie zniknęły. Zawsze już będzie je tam widzieć.

— Zobacz — powiedział cicho. — Gdy przyjdzie lato, wiele rzeczy będzie wyglądało zupełnie inaczej.

„Nie o tym myślałeś” — pomyślała, ale nie powtórzyła tych słów na głos.

Słuchała jego spokojnego oddechu. Promieniował znów wspaniałym, kojącym ciepłem, które tak uwielbiała. Tęskniła za jego dotykiem. Mijały już dwa tygodnie, odkąd wstał po raz pierwszy o własnych siłach, lecz wciąż nie byli razem.

Rany nie goiły się szybko nie tylko dlatego, że zadał je wcielony demon. To ona odkryła tę tajemnicę cierpienia.

— Kiedy wyjdiesz z pokoju? — zapytała łagodnie.

— Jutro — odparł jej. — Nie mogę się już doczekać. Chcę to wszystko zobaczyć!

Jak dotąd nie wychodził, bo dobrze mu tu było. W spokoju, gdy wszyscy myśleli, że wciąż jest zbyt słaby. Chciał mieć czas, by dojść do siebie, wśród bliskich mu osób. Uspokoić własne myśli.

— Wiesz, jak bardzo na ciebie czekają? — zapytała radośnie. — Widziałeś te wszystkie podarki? Stęsknili się za tobą.

A potem cicho dodała:

— Ja się za tobą stęskniłam...

Wiwan odwrócił się do niej powoli. Spuściła wzrok, onieśmielona jego spojrzeniem, co było u niej niespotykane. Wyciągnął rękę z bliznami po otarciach i ostrych pazurach Mayene. Uniósł ostrożnie jej brodę.

Drgnęła od jego dotknięcia. Ciepło przeniknęło jej ciało niczym fala.

— Wiwanie... — zaczęła mówić, bo czuła, że dłużej nie zniesie już tej dręczącej tęsknoty.

Pocałował ją z pasją, namiętnie. Z rozkoszą oddała mu pocałunek, przylegając do jego ciała, obejmując go ramionami. Jakby ten pocałunek był iskrą, która wzniciła w niej pożar.

— Jesteś ranny... — wyszeptała, przepełniona wyrzutami sumienia, że tak na niego zareagowała.

Obsypywał ją pocałunkami, jakby trawił go ten sam ogień.

— Będę uważał — wyszeptał jej pośpiesznie do ucha.

Zwolnili tempo, gdy znaleźli się w łóżu. Powoli, sycąc się wzajemną bliskością, delikatni dla siebie, dzielili między sobą namiętność, miłość i zaufanie.

Liczyły się tylko te chwile, tak pełne niezmałowanej harmonii i szczęścia.

A kiedy zasnął, czuwała przy nim. Jego strażniczka, gotowa odpędzać złe sny.

Budziła go, gdy śniło mu się, że wściekła Mayene znów chce go udusić i gdy podobnie jak Rossowi śniło się, że gospoda się wali, grzebiąc go żywcem.

Jak to nieustannie się zdarzało od tamtego pamiętnego dnia.

Była jego strażniczką.

Odpędzała złe sny swoim głosem.

I miłością.

— Inen min, Kalen... — mówiła wtedy łagodnie — Śpij spokojnie, ukochany.

* * *

Nim następnego dnia wyszli z gospody, pod drzwiami pokoju znaleźli niewielki pakunek.

Wewnątrz znajdowało się misternie wyrzeźbione drzewko. Dąb pomalowany na biało, którego każdy liść był dziełem najdelikatniejszej sztuki. To najpiękniejszy

przedmiot wykonany ręką dziadka, z jakim Wiwan miał kiedykolwiek do czynienia.

Między konarami mieścił się niewielki liścik od Wiktora:

Wiwanie,
jesteś naszą odwagą.
Naszym życiem.
I naszą siłą.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Kilka słów podziękowań.

Pierwsze kieruję w stronę Pani Wydawcy. Pani Aneto, dziękuję, I niech te słowa mają moc magiczną.

Pani Izie, korektorce, dziękuję za ciepłe słowa i wsparcie. Pani słowa zapadają w pamięć.

Magdalenie Marków, za mapę i nieustające wsparcie dla Uzdrowiciela.

Moim przyjaciołom:

Agnieszce — mojej FrodoSamie, zawsze...

Renacie — za gotowość do odpowiadania na najdziwaczniejsze pytania.

Damianowi za pamięć.

Danielowi za... zarost :)

Oraz rodzinie, zwłaszcza dzieciom.

Znajomym poznanym od czasów pierwszego tomu.

Katarzynie za uwagi, Adrianowi za sympatię.

Pani Marcie Bilewicz za recenzję i sympatię dla moich bohaterów.

Wszystkim blogerom i Czytelnikom za ich recenzje i komentarze.

Dziękuję Wam.

Spis treści

Od redakcji: ROZDZIAŁ 1 — PORWANIE ROZDZIAŁ 2 — PANIKA W
MIASTECZKU ROZDZIAŁ 3 — CADELIA ROZDZIAŁ 4 — HYDRA
ROZDZIAŁ 5 — GOSPODA POD JEDNOROŻCEM ROZDZIAŁ 6 — MAYENE
ROZDZIAŁ 7 — BUNT NA POKŁADZIE ROZDZIAŁ 8 — TO TYLKO
KOLEJNA KOMPLIKACJA ROZDZIAŁ 9 — SZTORM ROZDZIAŁ 10 —
TENAN ROZDZIAŁ 11 — WSZYSTKIE ŁZY SPŁYWAJĄ TAK SAMO
ROZDZIAŁ 12 — SERCE ROZDZIAŁ 13 — NAPAŚĆ ROZDZIAŁ 14 —
KLEJNOT ROZDZIAŁ 15 — OCZEKIWANIE ROZDZIAŁ 16 —
OSTATECZNA WALKA ROZDZIAŁ 17 — SMOK ROZDZIAŁ 18 — POMÓŻ
MI PODZIĘKOWANIA

